PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ORSON SCOTT CARD

UCZEŃ ALVIN

(Przełożył: Piotr W. Cholewa)

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Wszystkim, moim dobrym nauczycielom, a zwłaszcza:

Fran Schroeder, klasa czwarta, szkoła podstawowa Millikin, Santa Clara, Kalifornia, dla której pisałem swoje pierwsze wiersze.

Idzie Huber, klasa dziesiąta, język angielski, Mesa High School, Arizona, która wierzyła w moją przyszłość bardziej niż ja.

Charlesowi Whitmanowi, twórczość dramatyczna, Brigham Young University, który sprawił, że moje teksty prezentowały się lepiej, niż na to zasługiwały.

Normanowi Councilowi, literatura, University of Utah, za Spencera i Miltona, żywych.

Edwardowi Yasta, literatura, University of Notre Dame, za Chaucera i przyjaźń.

I zawsze Francois.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

PODZIĘKOWANIA

Przygotowując ten tom "Opowieści o Alvinie Stwórcy", jak zawsze korzystałem z pomocy innych. Za nieocenioną pomoc przy początkowych rozdziałach tej książki moja wdzięczność należy się uczestnikom Warsztatów Pisarskich Sycamore Hill, a dokładniej: Carol Emshwiller, Karen Joy Fowler, Greggowi Keizerowi, Jamesowi Patrickowi Kelly'emu, Johnowi Kesselowi, Nancy Kress, Sharian Lewitt, Jackowi Massa, Rebecce Brown Ore, Susan Palwick, Bruce'owi Sterlingowi, Markowi L. Van Name, Connie Willis i Allenowi Woodowi.

Dziękuję także Stanowemu Instytutowi Sztuk Pięknych w Utah za przyznanie mi nagrody za mój poemat "Uczeń Alvin i pług do niczego". Ta zachęta skłoniła mnie do rozwinięcia tej opowieści prozą; to pierwszy tom, który zawiera fragment historii opowiedzianej wtedy wierszem.

Szczegóły na temat życia i pracy na pograniczu zaczerpnąłem ze wspaniałej książki "Zapomniane sztuki" (New York City: Knopf, 1984) oraz Douglasa L. Brownstone'a "Krótki przewodnik po historii Ameryki" (New York City: Facts on File, Inc., 1984).

Wdzięczny jestem Gardnerowi Dozois, który zgodził się, by fragmenty "Opowieści o Alvinie Stwórcy" ukazały się drukiem na stronach "Isaac Asimov's Science Fiction Magazine", dzięki czemu znalazły czytelników, zanim jeszcze przybrały formę książek.

Bet Meacham z wydawnictwa Tor należy do ginącego gatunku redaktorów o magicznych talentach. Jej uwagi nigdy nie były natrętne, a zawsze mądre. Przy tym (a jest to najrzadsza cecha redaktorów) dzwoni do mnie, kiedy o to poproszę. Choćby za to powinna zostać świętą.

Dziękuję moim uczniom na zajęciach z pisarstwa w Greensboro zimą i wiosną 1988 roku - ich sugestie pozwoliły na znaczące udoskonalenia książki - a także mojej siostrze, przyjaciółce i asystentce redakcyjnej, Janice, za jej trud zapamiętywania szczegółów opowieści.

Ale najbardziej wdzięczny jestem Kristine A. Card, która wysłuchuje licznych projektów każdej nie napisanej jeszcze książki, czyta igłowe wydruki początkowych wersji i jest moim drugim ja na każdej stronie wszystkiego, co napisałem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

W książce wykorzystano fragmenty "Elegii napisanej na wiejskim cmentarzu" Thomasa Graya w przekładzie Stanisława Barańczaka oraz cytaty z "Psalmów" wg Biblii Tysiąclecia.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

UWAGI TŁUMACZA

W wiekach XVI-XVIII (a nawet później) istniał w krajach anglojęzycznych zwyczaj nadawania imion, które oznaczały coś, niezależnie od swej funkcji określania konkretnej osoby. W Polsce i krajach słowiańskich działo się podobnie (np. Bogumił czyli Bogu miły), choć z czasem znaczenie imienia zostało zapomniane. Jednak w dobrych, prezbiteriańskich czy purytańskich rodzinach, zasada ta obowiązywała jeszcze w czasie zasiedlania Ameryki, choć nie była regułą obowiązującą bez wyjątków (zdarzały się "zwykłe" imiona, jak choćby David, Alvin czy Eleanor). Tłumaczenie imion wydało mi się czynnością niezbyt rozsądną, ponieważ o ile w języku angielskim konwencja ta jest dość naturalna, to po polsku brzmiałoby to dziwacznie (choćby Armor-of-God Weaver stałby się czymś w rodzaju Tkacza-Boskiej-Zbroi, Wastenot Miller byłby Oszczędnym Młynarzem, albo - odwrotnie - Bogumił Kowalski Kowalem Bożej Miłości). Jednak, dla informacji czytelnika, podaję znaczenie imion głównych bohaterów powieści. Dodatkowo, część nazwisk pochodziła od zawodów wykonywanych przez osoby te nazwiska noszące, co jest chyba regułą na całym świecie (np. wspomniany już Kowalski). Podałem również tłumaczenie tych nazwisk, choć są w zasadzie oczywiste.

Armor-of-God - dosł. tarcza boża czy pancerz boży Calm - spokój Dowser - różdżkarz Faith - wiara Ferryman - przewoźnik Guester - ktoś, kto przyjmuje gości; oberżysta Hichory - gatunek amerykańskiego orzecha, rodzaj leszczyny Larner - od słowa learner, co obecnie znaczy uczeń, jednak - rzadziej - może też oznaczać nauczyciela Lashman - człowiek z batem Makepeace - czyniący pokój Measure - umiar Miller - młynarz Modesty - skromność Physicker - pochodzi od słowa physician czyli lekarz Plantor - tu: plantator Smith - kowal Vigar - wigor Wastenot i Wantnot - imiona bliźniaków tworzą razem przysłowie (Waste not, want not), odpowiadające w przybliżeniu polskiemu "oszczędnością i pracą ludzie się bogacą" (dosłownie: "kto nie marnuje, ten nie potrzebuje") Weaver - tkacz (przodkowie Armora-of-God Weavera zajmowali się tkactwem) Wiseman - mędrzec, ale też (w przypadku szeryfa) mądrala Piotr W. Cholewa

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 1 - NADZORCA

Swoją opowieść o nauce Alvina rozpocznę od dnia, kiedy sprawy zaczęły się źle układać. Działo się to daleko na południu, u człowieka, którego Alvin nigdy nie widział i nigdy nie miał zobaczyć. A jednak to on właśnie skierował wypadki na długą ścieżkę, która - dokładnie tego dnia, kiedy Alvin zakończył naukę i stał się mężczyzną - doprowadziła go do czynu przez prawo uznawanego za morderstwo.

Działo się to w Appalachee przed rokiem 1811, zanim jeszcze Appalachee podpisało Traktat o Zbiegłych Niewolnikach i przyłączyło się do Stanów Zjednoczonych. W miejscu niedaleko granicy pomiędzy Appalachee i Koloniami Korony. Nie znalazłby się tam ani jeden Biały, który by nie chciał posiadać stada Czarnych, co by dla niego pracowali.

Niewolnictwo było dla tych Białych czymś w rodzaju alchemii. Opracowali sobie sposoby przemiany w złoto każdej kropli potu czarnego mężczyzny, a każdego jęku rozpaczy czarnej kobiety w słodki, czysty dźwięk srebrnej monety padającej na stół bankiera. W tym miejscu sprzedawało się i kupowało dusze. A jednak mało kto zdawał tam sobie sprawę, jaką cenę płaci za posiadanie ludzi.

Słuchajcie uważnie, bowiem opowiem wam, jak wygląda świat oglądany z głębi serca Cavila Plantera. Ale upewnijcie się najpierw, że dzieci już śpią, bowiem części tej historii słyszeć nie powinny. Mówi ona o pragnieniach, których sensu jeszcze nie rozumieją. A nauczanie ich nie jest jej celem.

Cavil Planter był człowiekiem pobożnym, chodził do kościoła i dawał na tacę. Wszyscy jego niewolnicy byli ochrzczeni i dostawali chrześcijańskie imiona, gdy tylko poznali angielski dostatecznie, by nauczyć ich modlitwy. Zakazywał im praktykowania czarnej magii - nie pozwalał nawet na zabicie kurczęcia, a co dopiero na zamianę tego niewinnego aktu w składanie ofiary jakiemuś ohydnemu bóstwu. We wszystkim Cavil Planter służył Panu jak najlepiej potrafił.

I jaką nagrodę otrzymał ten nieszczęsny człowiek za swoją prawowierność? Jego żonę Dolores dręczyły straszliwe bóle, przeguby zaś i palce miała pokrzywione jak staruszka. Już w wieku dwudziestu pięciu lat prawie każdej nocy zasypiała z płaczem, aż wreszcie Cavil nie mógł znieść przebywania z nią w jednym pokoju.

Próbował jej pomóc. Okłady z zimnej wody, kompresy z gorącej, proszki i wywary - więcej, niż mógł sobie pozwolić, wydawał na tych szarlatanów-doktorów z dyplomami

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Uniwersytetu w Camelot. Przez jego dom przewinęła się nieskończona parada kaznodziejów z ich wiecznymi modlitwami i księży z magicznymi inkantacjami. A wszystko to całkiem na nic. Co noc leżał w pościeli i słuchał jej płaczu, potem szlochu, aż ten szloch zmieniał się w równomierny oddech z cichym jękiem przy wydechu, niby delikatną smużką cierpienia.

Doprowadzało to Cavila do szału rozpaczy i litości. Miał wrażenie, że nie spał już od miesięcy. Praca przez cały dzień, a potem cała noc modłów o ulgę w cierpieniu - jeśli nie dla niej, to przynajmniej dla niego.

Dopiero sama Dolores ofiarowała mu spokój nocami.

- Musisz pracować za dnia, Cavilu, a nie możesz, jeśli nie sypiasz. Nie potrafię milczeć, a ty nie możesz znieść moich jęków. Proszę cię, śpij w innym pokoju.

Cavil chciał przy niej zostać mimo wszystko.

- Jestem twoim mężem i moje miejsce jest tutaj - oświadczył, ale ona nie ustąpiła.

- Idź - powiedziała. A nawet podniosła głos. - Idź!

Odszedł więc, zawstydzony własną ulgą. Tę noc przespał spokojnie: pełne pięć godzin do samego świtu. Spał dobrze po raz pierwszy od miesięcy, może lat... I wstał rano zżerany wyrzutami sumienia, ponieważ opuścił swoją żonę.

Po pewnym czasie przyzwyczaił się do spania samotnie. Żonę odwiedzał często, rankami i wieczorami. Razem jedli posiłki: Cavil na krześle, z talerzem na małym stoliku obok łóżka, Dolores na leżąco. Jej dłonie spoczywały na kołdrze nieruchomo jak martwe kraby, a czarna kobieta ostrożnie podawała jej jedzenie łyżeczką prosto do ust.

Nawet sypiając w innym pokoju, Cavil nie uwolnił się od cierpień. Nie będzie miał dzieci: synów, których mógłby wychować na dziedziców plantacji, ani córek, którym wyprawiłby wspaniałe wesela. Sala balowa na dole... Kiedy pierwszy raz wprowadził Dolores do pięknego domu, który dla niej zbudował, powiedział:

- Nasze córki spotkają swych ukochanych w tej sali. Tu pierwszy raz zetkną się ich dłonie, jak nasze się zetknęły w domu twojego ojca.

Teraz Dolores nie oglądała tej sali. Schodziła na dół tylko w niedzielę, żeby pojechać do kościoła. I po zakupie nowych niewolników, żeby dopilnować ich chrztu.

Wszyscy patrzyli na nich wtedy i podziwiali oboje za odwagę i wierność w obliczu przeciwieństw losu. Ale podziw sąsiadów niewielkim był pocieszeniem, gdy Cavil spoglądał na ruiny swych marzeń. Wszystko, o co się modlił... Zupełnie jakby Pan spisał listę jego próśb, po czym na marginesie każdej linii wypisał "nie, nie, nie".

Rozczarowania mogłyby zniechęcić kogoś słabszej wiary. Ale Cavil Planter był człowiekiem pobożnym, człowiekiem prawym. Kiedy tylko przez głowę przemknęła mu

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

myśl, że Bóg źle go traktuje, zatrzymywał się natychmiast, wyjmował z kieszeni mały psałterz i głośnym szeptem czytał słowa mędrca.

Panie, do Ciebie się uciekam; Skłoń ku mnie ucho Bądź dla mnie skałą mocną.

Koncentrował się. Zwątpienie i żal znikały szybko. Pan nie opuszczał Cavila Plantera nawet w nieszczęściach.

Aż do owego ranka, gdy czytając Genesis, Cavil trafił na dwa pierwsze wersy rozdziału 16.

Saraj, żona Abrama, nie urodziła mu jednak potomka. Miała zaś niewolnicę Egipcjankę, imieniem Hagar. Rzekła więc Saraj do Abrama: "Ponieważ Pan zamknął mi łono, abym nie rodziła, zbliż się do mojej niewolnicy; może z niej będę miała dzieci".

Wtedy właśnie przyszła mu do głowy pewna myśl. Abram był człowiekiem pobożnym, i ja też taki jestem. Żona Abrama nie rodziła mu dzieci, i moja też nie ma nadziei. W ich domu była niewolnica z Afryki i w moim są takie kobiety. Dlaczego nie miałbym postąpić jak Abram i nie spłodzić dziecka z jedną z nich?

I ledwie o tym pomyślał, wstrząsnął się ze zgrozy. Słyszał plotki o Białych: Hiszpanach, Francuzach, Portugalczykach na porośniętych dżunglą wyspach, którzy otwarcie żyją z czarnymi kobietami. Zaprawdę, byli najniżsi ze wszystkich stworzeń, podobni do tych, co grzeszą ze zwierzętami. A zresztą, jak dziecko czarnej kobiety mogłoby zostać jego następcą? Mieszańcowi łatwiej by przyszło latać, niż odziedziczyć plantację w Appalachee. Cavil po prostu przestał o tym myśleć.

Ale kiedy zasiadł z żoną do śniadania, myśl powróciła. Zdał sobie sprawę, że obserwuje czarną niewolnicę, która karmiła Dolores. Tak jak Hagar, i ta kobieta była przecież Egipcjanką. Zauważył, jak giętko skręca ciało, przenosząc łyżkę z talerza do ust żony. A kiedy się pochyla, żeby przytknąć kubek do ust chorej, jej piersi opadają i napinają bluzkę. Delikatne palce ocierają z warg Dolores krople napoju i okruchy. Wyobraził sobie, że to jego te palce dotykają i zadrżał - lekko, a jednak miał wrażenie, że nastąpiło trzęsienie ziemi.

Niemal bez słowa wybiegł z pokoju. Przed domem ścisnął w dłoniach psałterz.

Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego!

...Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ale zanim jeszcze wypowiedział te słowa do końca, podniósł głowę i zobaczył robotnice, które myły się w korycie. Była wśród nich młoda dziewczyna, kupiona ledwie parę dni temu. Niewysoka, ale dał za nią sześćset dolarów, bo prawdopodobnie nadawała się do rozrodu. Świeżo zeszła ze statku i nie nauczyła się jeszcze chrześcijańskiej skromności. Stała tam naga jak wąż i, pochylona nad korytem, oblewała wodą głowę i szyję.

Cavil znieruchomiał, zapatrzony. To, co w sypialni żony było ledwie przelotną myślą o grzechu, teraz zmieniło się w trans pożądania. Nigdy jeszcze nie widział czegoś tak pełnego gracji, jak te ocierające się o siebie niebieskoczarne uda, tak pociągającego, jak jej drżenie, gdy woda spływała po skórze.

Czy to była odpowiedź na jego gorący psalm? Czy Pan mówił mu w ten sposób, że w istocie jest z nim właśnie tak jak z Abramem?

Ale równie dobrze mogły to być czary. Kto wie, co potrafią ci Czarni prosto z Afryki? Wie, że się jej przyglądam, i kusi mnie. To naprawdę dzieci Szatana, skoro budzą we mnie takie grzeszne myśli.

Oderwał spojrzenie od nowej dziewczyny i zagłębił się w Piśmie. Tyle że strony jakoś się przewróciły - a może to on sam je przewrócił? Zobaczył wersy Pieśni Salomona.

Piersi twe jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli, co pasą się pośród lilii.

- Wspomóż mnie, Boże - wyszeptał. - Zdejmij ze mnie ten czar.

Codziennie powtarzał tę samą modlitwę, a jednak codziennie się przekonywał, że z pożądaniem spogląda na swoje niewolnice. A zwłaszcza na niedawno kupioną dziewczynę. Dlaczego Bóg nie chce go wysłuchać? Czyż nie jest człowiekiem prawym? Czyż nie jest dobry dla żony? Czyż nie składa dziesięciny, nie daje na tacę? Czyż nie traktuje dobrze swoich niewolników i koni? Dlaczego Pan Bóg w Niebiosach nie chroni go przed tym czarnym zaklęciem?

A jednak nawet słowa modlitwy układały się w grzeszne obrazy. Panie, wybacz mi, że wyobrażam sobie, jak ta nowa niewolnica staje w drzwiach mojej sypialni płacząc, wychłostana przez nadzorcę. Wybacz, że widzę, jak układam ją w moim własnym łożu, jak unoszę jej sukienkę, by posmarować rany maścią tak silną, że ślady na jej udach i pośladkach znikają w oczach, jak ona śmieje się, porusza wolno w pościeli, spogląda na mnie przez ramię, odwraca się z uśmiechem, wyciąga do mnie rękę i... Panie, wybacz mi, zbaw mnie!

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

I kiedy tak się działo, nie mógł zrozumieć, dlaczego takie myśli przychodzą do niego w czasie modlitwy. Może jestem pobożny jak Abram; może to Pan zsyła na mnie te żądze. Czy pierwszy raz nie pomyślałem o tym, kiedy czytałem Pismo? Pan może czynić cuda... A gdybym wszedł w tę nową dziewczynę, ona poczęła, a Pan sprawił cud i dziecko przyszłoby na świat białe? Dla Boga wszystko jest możliwe.

Ta myśl była równocześnie cudowna i straszna. Gdybyż okazała się prawdziwa... Abram ciągle słyszał głos Boga, więc nie musiał się zastanawiać, czego Bóg żąda od niego. Ale do Cavila Plantera Bóg nigdy nie przemówił wprost.

Dlaczego nie? Dlaczego Bóg nie powie mu: "Weź tę dziewczynę, jest twoja"? Albo: "Nie dotykaj jej, jest ci zakazana!" Daj mi usłyszeć twój głos, Panie, żebym wiedział, co robić.

Do ciebie, Panie, wołam, skało moja, nie bądź wobec mnie głuchy, bym wobec Twojego milczenia nie stał się jak ci, którzy zstępują do grobu.

I pewnego dnia roku 1810 jego modlitwa została wysłuchana.

Cavil klęczał w suszarni, prawie pustej, jako że plon zeszłego roku został już dawno sprzedany, a nowy zielenił się jeszcze na polach. Walczył ze sobą w modlitwie, spowiedzi i mrocznych wyobrażeniach, aż wreszcie zawołał:

- Czyż nikt mnie nie wysłucha?

- Słyszę cię doskonale - odpowiedział mu surowy głos.

Z początku Cavil przeraził się, że ktoś obcy - jego nadzorca albo sąsiad - słyszał te straszne wyznania. Ale kiedy podniósł głowę, przekonał się, że to nikt znajomy. A jednak od razu wiedział, kim jest ten człowiek. Po szerokich ramionach, opalonej twarzy i rozpiętej koszuli - bez marynarki - poznał, że to nie dżentelmen. Ale też nikt z motłochu ani kupiec. Surowy wyraz twarzy, chłodne oko, mięśnie napięte niczym stalowa sprężyna w sidłach... Najwyraźniej jeden z tych ludzi, którzy batem i żelazem utrzymują dyscyplinę wśród czarnych robotników. Nadzorca. Tyle że silniejszy i groźniejszy od wszystkich nadzorców, jakich Cavil dotąd oglądał. Wiedział, że ten nadzorca wydobyłby ostatnią uncję wysiłku z tych leniwych małp, które próbują tylko uciec od pracy w polu. Czyjejkolwiek plantacji by doglądał, prosperowałaby z pewnością znakomicie. Ale Cavil wiedział też, że nigdy nie zatrudniłby takiego nadzorcy - nadzorcy tak silnego, że on, Cavil, wkrótce by zapomniał, kto jest sługą, a kto panem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Wielu nazywało mnie swoim panem - oświadczył obcy. - Wiedziałem, że natychmiast mnie poznasz.

Skąd ten człowiek znał słowa, które Cavil zaledwie pomyślał?

- Jesteś więc nadzorcą?

- Tak jak ten, którego nazywałeś nie panem, ale Panem, tak i ja jestem nie zwykłym nadzorcą, ale tym Nadzorcą.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Ponieważ mnie wezwałeś.

- Jak mogłem cię wezwać, skoro nigdy w życiu cię nie widziałem?

- Kiedy przyzywasz niewidziane, Cavilu Planterze, to oczywiście zobaczysz coś, czego jeszcze nie oglądałeś.

Dopiero wtedy Cavil zrozumiał, jaka wizja nawiedziła go we własnej suszarni. Ktoś, kogo wielu nazywa swym Panem, przybył, odpowiadając na jego modlitwy.

- Panie Jezu! - wykrzyknął Cavil.

Nadzorca odskoczył, wyciągając rękę, jakby chciał się zasłonić przed tymi słowami.

- Zakazane jest, by jakikolwiek człowiek nazywał mnie tym imieniem - zawołał.

Przerażony Cavil pochylił głowę aż do ziemi.

- Wybacz mi, Nadzorco. Ale jeśli niegodny jestem, by wymawiać twoje imię, jak mogę spoglądać na twoją twarz? A może mam dzisiaj umrzeć, nie zaznawszy wybaczenia grzechów?

- Biada ci, głupcze! Czy naprawdę wierzysz, żeś zobaczył moją twarz?

Cavil uniósł głowę.

- Widzę przecież twoje oczy spoglądające na mnie w tej chwili.

- Widzisz twarz, jaką stworzyłeś dla mnie we własnym umyśle. Widzisz ciało przywołane twoją wyobraźnią. Gdybyś ujrzał mnie takiego, jakim jestem naprawdę, twoje słabe zmysły nie zdołałyby tego znieść. Dlatego twój rozum broni się, nakładając na mnie wymyśloną przez siebie maskę. Dostrzegasz we mnie Nadzorcę, ponieważ ktoś taki ma w twych oczach wielkość i moc, jąkają posiadam. To postać, która budzi w tobie miłość i strach jednocześnie, kształt, który czcisz i który cię przeraża. Nadawano mi wiele imion: Anioł Światła i Wędrowiec, Niespodziany Przybysz i Jasny Gość, Ukryty i Lew Wojny, Niszczyciel Żelaza i Nosiciel Wody. Dzisiaj ty nazwałeś mnie Nadzorcą, a zatem dla ciebie takie jest moje imię.

- Czy poznam kiedyś twe imię prawdziwe, Nadzorco? Czy zobaczę twoje prawdziwe oblicze?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Twarz Nadzorcy stała się mroczna i straszna. Otworzył usta, jakby chciał zawyć.

- Jedna tylko żywa dusza na tym świecie poznała moją prawdziwą postać. I ona z pewnością zginie.

Te potężne słowa uderzyły jak grom i wstrząsnęły Cavilem Planterem do głębi. Wbił palce w klepisko szopy, aby nie pofrunąć w powietrze niczym kurz porwany wiatrem przed burzą.

- Nie porażaj mnie śmiercią za mą zuchwałość - zapłakał. Głos Nadzorcy spłynął łagodnie niby blask jutrzenki.

- Porazić cię? Jakżebym mógł? Ty przecież jesteś człowiekiem, którego wybrałem, by pobierał moje najtajniejsze nauki, słowo nie znane kapłanom ni księżom.

- Ja?

- Już cię uczyłem, a ty zrozumiałeś. Wiem, że pragniesz czynić to, co ci nakazuję. Ale brakuje ci wiary. Jeszcze nie całkiem do mnie należysz.

Serce podeszło Cavilowi do gardła. Czy to możliwe, by Nadzorca chciał dać mu to, co dał Abramowi?

- Nadzorco, niegodny jestem...

- Oczywiście, że jesteś niegodny. Nikt nie jest mnie godny, nikt, ani jeden człowiek na tej ziemi. Mimo to, jeśli będziesz posłuszny, zasłużysz może w moich oczach na łaskę.

O tak, on to zrobi! - zakrzyknął Cavil w głębi serca. Tak, da mi kobietę!

- Cokolwiek każesz, Nadzorco.

- Czy sądzisz, że dam ci Hagar jedynie z powodu twojej głupiej żądzy i pragnienia dziecka? Jest ważniejszy cel. Ci Czarni są bez wątpienia synami i córkami bożymi, ale w Afryce żyli pod władzą diabła. Ten straszliwy niszczyciel zatruł im krew. Jak myślisz, dlaczego są czarni? Nie mogę ich zbawić, póki kolejne pokolenia rodzą się czarne, gdyż wtedy diabeł nimi włada. Nie mogę ich odzyskać, jeśli mi nie pomożesz.

- Czy więc moje dziecko urodzi się białe, jeśli wezmę tę dziewczynę?

- Dla mnie ważne jest tylko, żeby nie urodziło się całkiem czarne. Czy rozumiesz, czego od ciebie żądam? Nie jednego Iszmaela, ale wielu dzieci. Nie jednej Hagar, ale wielu kobiet.

Cavil ledwo się ośmielił wyznać głośno tajemne pragnienie swego serca.

- Wszystkie?

- Oddaję ci je, Cavilu Planterze. To pokolenie zła jest twoją własnością. Wytrwałą pracą zdołasz przygotować następne, które do mnie będzie należeć.

- Uczynię to, Nadzorco.

PDF-XChange Click to buy NOW! www.docu-track.com
PDF-XChange Click to buy NOW! www.docu-track.com

- Nikomu nie możesz wyznać, że mnie widziałeś. Przemawiam tylko do tych, których własne chęci zwróciły się już ku mnie i moim dziełom. Którzy sami zapragnęli napić się wody, którą przynoszę.

- Nie powiem ani słowa nikomu, Nadzorco.

- Bądź mi posłuszny, Cavilu Planterze, a obiecuję, że u kresu życia zobaczysz mnie takim, jaki jestem naprawdę. Wtedy powiem do ciebie: "Jesteś mój, Cavilu Planterze. Pójdź za mną i już na zawsze bądź moim niewolnikiem".

- Z radością! - zawołał Cavil. - Z radością! Z radością! Rozłożył ramiona i objął nogi Nadzorcy. Ale tam, gdzie powinien dotknąć przybysza, trafił na pustkę. Gość zniknął.

Od tego dnia niewolnice Cavila nie zaznały spokoju. Kiedy sprowadzał je do siebie nocą, starał się traktować je z taką samą mocą i wyższością, jaką widział na twarzy strasznego Nadzorcy. Patrząc na mnie, myślał, muszą widzieć Jego oblicze. I z pewnością widziały.

Pierwszą, którą do siebie wezwał, była pewna niedawno kupiona dziewczyna, która znała ledwie kilka słów po angielsku. Krzyczała przerażona, póki nie poznaczył jej ciała takimi samymi śladami, jakie widział kiedyś w marzeniach. Wtedy jęcząc pozwoliła mu zrobić to, co przykazał Nadzorca. Za pierwszym razem przez jedną chwilę jej łkanie było jak głos Dolores, płaczącej cicho w łóżku. I Cavil poczuł litość tak mocną, jak dla swej ukochanej żony. Wyciągał już niemal rękę, by ją pocieszyć, jak pocieszał Dolores. Ale zaraz przypomniał sobie twarz Nadzorcy i pomyślał: ta czarna dziewczyna jest Jego nieprzyjacielem. Jest moją własnością. I jak człowiek musi orać i siać ziemię, którą Bóg mu ofiarował, tak i ja nie mogę pozwolić, by to łono leżało odłogiem.

Hagar - tak nazwał ją tej pierwszej nocy. Nie rozumiesz, że cię błogosławię.

Rankiem spojrzał w lustro i zobaczył coś nowego w swym odbiciu. Jakąś gwałtowność. Coś w rodzaju straszliwej a ukrytej siły. Tak, pomyślał. Nikt nie oglądał mnie jeszcze takim, jakim jestem w istocie. Nawet ja sam. Dopiero teraz poznaję, że czym jest Nadzorca, tym i ja jestem.

Nigdy już nie poczuł litości, gdy wykonywał swą nocną pracę. Z jesionową laską w dłoni wchodził do chaty kobiet i wskazywał tę, która miała iść za nim. Jeśli cofała się, laska szybko ją uczyła, ile kosztuje opór. Jeśli ktoś z Czarnych, mężczyzna czy kobieta, próbował protestować, następnego dnia Cavil osobiście pilnował, by krwią zapłacili Nadzorcy za nieposłuszeństwo. Nikt z Białych niczego się nie domyślał, a nikt z Czarnych nie śmiał go oskarżać.

Nowo kupiona dziewczyna, jego Hagar, poczęła jako pierwsza. Cavil z dumą spoglądał na jej rosnący brzuch. Wiedział już, że Nadzorca rzeczywiście jego wybrał. Czerpał

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ze swej władzy dziką rozkosz. Urodzi się dziecko, jego dziecko. I pojmował, jaki powinien być następny krok. Skoro biała krew ma zbawić jak najwięcej czarnych dusz, to nie może przecież zatrzymać tych mieszanych dzieci u siebie. Sprzeda je na południe, każde innemu nabywcy, a potem w Nadzorcy będzie pokładał ufność, że dorosną i rozprzestrzenia jego nasienie na całą nieszczęsną czarną rasę.

I każdego ranka obserwował przy śniadaniu swoją żonę.

- Cavilu, mój najdroższy - powiedziała kiedyś. - Czy coś się stało? Widzę jakiś mrok na twej twarzy, spojrzenie pełne... gniewu może... czy okrucieństwa. Czyżbyś się z kimś pokłócił? Nie pytałabym, ale... ale mnie przerażasz.

Z czułością poklepał ją po wykręconej dłoni. Czarna kobieta przyglądała mu się spod ciężkich powiek.

- Nie czuję gniewu wobec żadnego mężczyzny ani kobiety - zapewnił łagodnie Cavil. - A to, co nazywasz okrucieństwem, to tylko poczucie władzy. Dolores, jakże możesz patrzeć na moją twarz i nazywać mnie okrutnym?

Zaszlochała.

- Wybacz mi! - krzyknęła. - Wyobraziłam to sobie. Ty, najlepszy z ludzi... To diabeł wzbudził w moich myślach tę wizję. Wiem o tym. Diabeł potrafi wywoływać fałszywe obrazy, ale tylko niegodziwych zdoła oszukać. Wybacz mi moją niegodziwość, mężu.

Wybaczył jej, ale płakała ciągle, dopóki nie posłał po kapłana. Nic dziwnego, że tylko mężczyzn wybierał Pan na swych proroków.

Kobiety są za słabe, za wiele w nich współczucia, by wykonać dzieło Nadzorcy.

Tak to się zaczęło. To był pierwszy krok na ciemnej, strasznej ścieżce. Ani Alvin, ani Peggy nie słyszeli tej historii, póki jej nie poznałem i nie opowiedziałem im o wiele później. Oboje zrozumieli natychmiast, że był to początek wszystkiego.

Nie chcę jednak, byście myśleli, że była to jedyna przyczyna wszelkiego zła, jakie się wydarzyło. Dokonywano innych wyborów, chętnie popełniano okrucieństwa. Człowiek może znaleźć wielu pomocników, gdy szuka skrótu na drodze do piekła, ale jedynie on sam może postawić na niej nogę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 2 - UCIEKINIERKA

Peggy zbudziła się o świcie. Sen o Alvinie Millerze napełnił jej serce sprzecznymi pragnieniami. Chciałaby uciec od tego chłopca, chciałaby zostać tu i czekać na niego. Zapomnieć, że go znała, i obserwować go zawsze.

Leżała w łóżku, ledwie uchylając powieki, i patrzyła, jak szary świt wlewa się do jej pokoju na poddaszu. Trzymam coś, zauważyła. Krawędzie przedmiotu wbiły się w skórę dłoni tak mocno, że zabolało, kiedy rozprostowała palce. Jakby mnie coś użądliło. Ale to nie było użądlenie. To tylko pudełko, gdzie chowała czepek porodowy Alvina. A może, pomyślała Peggy, może naprawdę mnie ukąsił, ukąsił głęboko i dopiero teraz poczułam ból?

Miała ochotę odrzucić to pudełko jak najdalej, zakopać głęboko i zapomnieć, w którym miejscu je zakopała, albo utopić w wodzie i przysypać kamieniami, żeby nie wypłynęło.

Ale przecież wcale tego nie chcę, powiedziała sobie bezgłośnie. I żałuję, że o czymś takim pomyślałam, bardzo żałuję, ale on teraz przybywa, po tylu latach wraca do Hatrack River. Nie będzie tym dzieckiem, które widziałam na wszystkich ścieżkach przyszłości, ani mężczyzną, w którego ma się przemienić. Nie, nadal będzie chłopcem. Ma jedenaście lat. Poznał już życie tak, że może wewnątrz jest dojrzały. Widział tyle bólu i cierpienia, ile ktoś pięć razy starszy. Ale wciąż ma jedenaście lat. Będzie chłopcem, kiedy wkroczy do tego miasteczka.

A ja nie chcę oglądać żadnego jedenastoletniego Alvina. Tak, będzie mnie szukał. Wie, kim jestem, chociaż miał dwa tygodnie, kiedy mnie widział. Wie, że zajrzałam w jego przyszłość tego deszczowego dnia, gdy przyszedł na świat. Więc przyjdzie tu i powie: "Peggy, wiem, że jesteś żagwią. Napisałaś w książce starego Bajarza, że mam zostać Stwórcą. Dlatego wytłumacz mi, czym powinienem się stać". Peggy wiedziała, co powie Alvin, i na ile sposobów może to powiedzieć... Czy nie oglądała tego już sto, tysiąc razy? I nauczy go, a on stanie się wielkim człowiekiem, prawdziwym Stwórcą, i...

I pewnego dnia, kiedy będzie przystojnym dwudziestojednoletnim chłopakiem, a ja dwudziestosześcioletnią starą panną z ostrym językiem, poczuje wobec mnie taką wdzięczność, że za swój święty obowiązek uzna zaproponować mi małżeństwo. A ja, od tylu lat chora z miłości, pełna marzeń o tym, czym on się stanie i czym będziemy razem, ja powiem: "Tak". I obciążę go brzemieniem nie chcianej żony, a on przez wszystkie dni naszego wspólnego życia będzie wzrokiem pożądał innych kobiet...

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jakże Peggy pragnęła nie wiedzieć z całą pewnością, że tak ułożą się sprawy. Ale była prawdziwą żagwią, najsilniejszą ze wszystkich, o jakich słyszała, a ludzie z okolic Hatrack River nawet sobie nie wyobrażali, jaką silną.

Usiadła w pościeli i nie odrzuciła pudełka, nie schowała go, nie połamała i nie zakopała. Otworzyła je. Wewnątrz leżał ostatni strzęp czepka porodowego Alvina, suchy i biały jak spalony papier w wystygłym piecu. Jedenaście lat temu, kiedy mama Peggy, jako położna, wyciągnęła Alvina ze studni życia, a malec pierwszy raz spróbował wciągnąć do płuc wilgotne powietrze zajazdu taty, Peggy ściągnęła mu z twarzy ten cienki krwawy czepek, żeby mógł oddychać. Alvin, siódmy syn siódmego syna i trzynaste dziecko... Peggy od razu zobaczyła, dokąd prowadzą ścieżki jego życia. Dążył ku śmierci, śmierci w tysiącach różnych wypadków na tym świecie, który jakby postanowił zabić chłopca, zanim ten naprawdę zacznie żyć.

Ona była wtedy małą Peggy, pięcioletnią, ale od dwóch lat już żagwią. I nie widziała jeszcze przychodzącego na świat dziecka, które tak wiele ścieżek wiodłoby ku śmierci. Przeszukała je wszystkie i tylko na jednej chłopiec mógł stać się mężczyzną.

Tylko wtedy, gdy ona zatrzyma czepek, gdy będzie obserwować chłopca z daleka, a kiedy tylko zobaczy sięgającą ku niemu śmierć, zrobi z czepka użytek. Chwyci go w palce, zetrze odrobinę na proszek i wyszepcze, co ma się zdarzyć... zobaczy to w swoich myślach. I wtedy stanie się, jak powiedziała. Czy nie ocaliła go przed utonięciem? Czy nie uratowała przed rozjuszonym bykiem? Nie zatrzymała, kiedy zsuwał się z dachu? Raz nawet rozcięła belkę kalenicy, która miała runąć z pięćdziesięciu stóp i rozgnieść go na podłodze budowanego kościoła. Rozdzieliła tę belkę równiutko jak się patrzy, zostawiając akurat tyle miejsca, żeby zmieścił się między jedną a drugą częścią. I jeszcze ze sto razy zrobiła coś tak sprytnie, że nikt się nawet nie domyślił, jak uratowała mu życie. A za każdym razem używała czepka.

Jak to się działo? Właściwie nie miała pojęcia. Tyle tylko że wykorzystywała jego własną moc, jego wrodzony dar. Przez lata nauczył się czegoś o swoim talencie tworzenia rzeczy, kształtowania ich, łączenia i rozbijania. Aż wreszcie zeszłego roku, wplątany w wojny między czerwonymi i białymi ludźmi, sam zajął się ratowaniem swojego życia, tak że nie musiała już się martwić, jak go ocalić. I bardzo dobrze. Z czepka został zaledwie strzęp.

Zamknęła wieczko. Nie chcę go widzieć, pomyślała. Nic już nie chcę o nim wiedzieć.

Ale palce same otworzyły znów pudełko... Ponieważ, oczywiście, musiała wiedzieć. Miała wrażenie, że połowę życia spędziła trzymając ten czepek, szukając płomienia jego serca daleko na północnym zachodzie kraju Wobbish, w miasteczku Vigor Kościół.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Sprawdzała, jak sobie radzi. Spoglądała wzdłuż ścieżek przyszłości, żeby się przekonać, jakie niebezpieczeństwo czai się w zasadzce. A kiedy już się upewniła, że nic mu nie grozi, wtedy patrzyła dalej. Widziała, jak pewnego dnia wraca do Hatrack River, patrzy jej w oczy i mówi: "To ty ocaliłaś mnie tyle razy, ty zobaczyłaś, że będę Stwórcą, zanim jeszcze ktokolwiek pomyślał, że to w ogóle możliwe". A potem obserwowała, jak poznaje głębie swojej mocy, dowiaduje się, jaka czeka go praca, jak musi wznieść Kryształowe Miasto. Widziała, jak płodzi z nią dzieci, jak głaszcze niemowlęta, które ona karmi piersią. Widziała te, które pochowali i te, które przeżyły; a na końcu widziała jego...

Łzy ciekły jej po policzkach. Nie chcę wiedzieć, powtarzała. Nie chcę znać wszystkich ścieżek przyszłości. Inne dziewczęta mogą śnić o miłości, o rozkoszach małżeństwa, o zdrowych i silnych dzieciach. A wszystkie moje sny niosą w sobie śmierć i cierpienie, i lęk, bo są prawdziwe. Wiem więcej, niż może wiedzieć człowiek i zarazem zachować w duszy resztkę nadziei, A jednak Peggy miała nadzieję. O tak, to na pewno - wciąż trzymała się jej rozpaczliwie, bo nawet wiedząc, co czeka na ścieżkach życia, nadal dostrzegała wizje pewnych dni, godzin, ulotnych chwil radości tak wielkiej, że warto było cierpieć, by tam dotrzeć.

Tyle że te wizje we wszystkich przyszłościach życia Alvina były tak rzadkie i nieliczne, iż nie potrafiła odszukać drogi, która do nich prowadzi. Wszystkie ścieżki znajdowała bez trudu: te zwykłe, które najpewniej staną się rzeczywistością, wiodły do chwili, gdy Alvin żenił się z nią bez miłości, z wdzięczności i z poczucia obowiązku. Żałosne małżeństwo. Jak ta biblijna opowieść o Lei, której piękny mąż Jakub nienawidził, choć ona kochała go bardzo, choć dała mu więcej dzieci niż inne żony, choć umarłaby dla niego, gdyby tylko poprosił.

Źle Bóg traktuje kobiety, myślała Peggy, skoro zmusza nas do tęsknoty za mężem i dziećmi, a to prowadzi do poświęceń, bólu i zgryzoty. Czy tak wielki był grzech Ewy, że Bóg na wszystkie kobiety rzucił swą straszną klątwę? W bólu będziesz rodziła dzieci, rzekł Wszechmocny i Łaskawy Bóg. Ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą.

To właśnie gorzało w niej teraz: pragnienie męża. Chociaż był dopiero jedenastoletnim chłopcem i szukał nie żony, lecz nauczycielki. Może i jest chłopcem, pomyślała Peggy, ale ja jestem kobietą. Widziałam, jakim stanie się mężczyzną i tęsknię do niego. Przycisnęła dłoń do piersi; wydawała się taka duża i miękka, nie pasująca do ciała, które kiedyś składało się z samych kantów i patyków, jak szałas z gałęzi. Teraz zaokrąglała się niczym cielę tuczone na powrót syna marnotrawnego.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Zadrżała na myśl o losie tego cielęcia, raz jeszcze dotknęła czepka i spojrzała.

W dalekim miasteczku Vigor Kościół Alvin po raz ostatni jadł śniadanie u matczynego stołu. Obok leżał worek, który miał zabrać ze sobą w drogę do Hatrack River. Po policzkach matki spływały nie skrywane łzy. Chłopiec kochał ją, ale ani przez chwilę nie żałował, że musi odejść. Dom zmienił się w ponure miejsce, splamione krwią niewinnych. Nie chciał tu zostawać. Nie mógł się już doczekać, kiedy wyruszy, zacznie nowe życie jako uczeń kowala w Hatrack River, odszuka żagiew, która go ocaliła, gdy się rodził. Nie mógł już zjeść ani kęsa. Odsunął się od stołu, wstał, ucałował mamę...

Peggy wypuściła czepek i zatrzasnęła pudełko mocno i szybko, jakby chciała złapać w nim muchę.

Przybywa, by mnie odszukać. Zacząć wspólne życie, pełne cierpienia. Dalej, płacz, Faith Miller, ale nie nad swoim chłopcem, który wyrusza na wschód. Płacz nade mną, której życie twój chłopiec zniszczy. Uroń łzę nad samotnym bólem jeszcze jednej kobiety.

Peggy otrząsnęła się z posępnego nastroju szarego świtu. Ubrała się szybko, pochylając głowę, by nie zawadzić o ukośne belki sufitu. Przez lata nauczyła się, jak nie myśleć o Alvinie Millerze Juniorze, jak wypełniać obowiązki córki w gospodarstwie rodziców i żagwi dla całej okolicy. Potrafiła nie pamiętać o nim przez całe godziny. Wystarczyła odrobina wysiłku. A chociaż teraz było jej trudniej, gdyż wiedziała, że tego ranka Alvin ma wstąpić na drogę prowadzącą wprost do niej, stłumiła myśli o nim.

Rozsunęła zasłony w oknie na południe i usiadła, wsparta o parapet. Spojrzała na puszczę, nadal sięgającą zajazdu, rozciągającą się wzdłuż Hatrack aż do Hio. Po drodze było tylko parę świńskich farm. Oczywiście, Peggy nie widziała Hio nawet w czystym, chłodnym powietrzu wiosennego ranka. Ale czego nie widziały jej oczy, bez trudu odnajdywała płonąca w niej żagiew. Żeby zobaczyć Hio, wystarczyło odszukać jakiś daleki płomień serca, wśliznąć się w ten ogień i spojrzeć przez oczy tego człowieka jak przez własne. A kiedy już pochwyciła czyjś płomień serca, wtedy dostrzegała nie tylko to, co on widział, ale i co myślał, co czuł, czego pragnął. A nawet więcej: w najjaśniejszej części płomienia, często ukryte w szumie bieżących myśli, migotały otwarte ścieżki, decyzje, jakie ów człowiek musi podjąć, życie, jakie sobie stworzy, jeśli wybierze tę, tamtą czy jeszcze inną drogę w ciągu godzin i dni, które nadejdą.

Peggy tak dobrze widziała płomienie serc innych ludzi, że prawie nie znała własnego.

Czasami wyobrażała sobie, że jest samotnym marynarzem na bocianim gnieździe. Co prawda nigdy w życiu nie widziała prawdziwego statku, najwyżej tratwy na Hio i raz barkę na Kanale Irrakwa. Ale czytała książki: wszystkie, które doktor Whitley Physicker przywoził jej

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

z Dekane. Dlatego wiedziała o człowieku w bocianim gnieździe na maszcie. Trzymającym się olinowania, z ramionami wplecionymi w wanty, żeby nie spaść, gdy statek zakołysze się nagle czy zahuśta po niespodziewanym szkwale; człowieku zimą sinym od mrozu, latem czerwonym od słońca. Przez długie godziny wachty miał tylko wpatrywać się z błękitny ocean. Jeśli był to okręt piracki, marynarz szukał żagli ofiary. Jeśli wielorybniczy, to fontann i rozbryzgów.

Zwykle wyglądał lądu, płycizn, ukrytych ławic piasku, piratów albo wrogów jego bandery.

I zwykle nie widział nic, zupełnie nic, tylko fale, nurkujące morskie ptaki i postrzępione chmury.

Ja też siedzę w bocianim gnieździe, myślała Peggy. Posłali mnie na maszt szesnaście lat temu, w dniu, kiedy się urodziłam. I trzymają tu bez przerwy. Nigdy, ani razu, nie pozwolili zejść na dół, odpocząć w wąskiej koi na najniższym pokładzie, ani razu nie mogłam zamknąć luku nad głową i drzwi za sobą. Zawsze, zawsze na wachcie, wypatrująca daleko i blisko. A że to nie przez swoje oczy patrzę, więc nie mogę ich zamknąć nawet we śnie.

Nie ma żadnej ucieczki. Siedząc na poddaszu widziała, wcale tego nie chcąc:

Matka, znana ludziom jako stara Peg Guester, a sobie samej jako Margaret, gotuje w kuchni dla gości, którzy zjawią się na kolację. Nie ma szczególnego talentu, więc praca jest ciężka; matka nie jest jak Gertie Smith, która solonej wieprzowinie potrafi w sto kolejnych dni nadać sto różnych smaków. Dar Peg Guester to kobiece sprawy, położnictwo i domowe heksy, ale dobry zajazd wymaga dobrego jedzenia, a że Dziadunio już odszedł, musi gotować sama. Myśli tylko o kuchni i nie znosi, kiedy ktoś jej przeszkadza; a już najbardziej własna córka, która łazi tylko po domu i prawie się nie odzywa. Ta dziewczyna to paskudny i ponury dzieciak, a przecież była kiedyś taka słodka, taka obiecująca, całe życie jakoś się skwasiło...

Czy to taka radość wiedzieć, jak mało obchodzi się własną mamę? Nieważne, że Peggy znała także jej gorące oddanie. Wiedza, że odrobina miłości żyje w jej sercu, nawet w połowie nie tłumiła bólu świadomości, że mama wcale jej nie lubi.

I tato, znany powszechnie jako Horacy Guester, oberżysta w Hatrack River. Wesoły kompan z taty; nawet teraz stoi na podwórzu i opowiada coś gościowi, któremu wyraźnie trudno opuścić zajazd. On i tato jakoś ciągle mają sobie coś jeszcze do powiedzenia.

I tak, ten gość, prawnik z Cleveland, myśli, że Horacy Guester to najlepszy, najuczciwszy obywatel, jakiego spotkał w życiu. Gdyby wszyscy byli podobni do starego Horacego, nie byłoby przestępstw i nikt by nie potrzebował prawników w górnym kraju Hio. Wszyscy tak sądzili. Wszyscy kochali Horacego Guestera.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ale jego córka, żagiew Peggy, spoglądała w płomień jego serca i wiedziała, co on sam o sobie myśli. Widział uśmiechających się do niego ludzi i mówił sobie: "Gdyby wiedzieli, jaki jestem naprawdę, spluwaliby mi pod nogi i próbowali zapomnieć, że kiedyś zobaczyli moją twarz albo usłyszeli moje imię".

Peggy siedziała na poddaszu, a wokół lśniły płomienie serc. Wszystkie. Najjaśniej rodziców, gdyż ich znała najlepiej. Gości śpiących w zajeździe. I mieszkańców miasta.

Makepeace Smith, jego żona Gertie i trójka zasmarkanych dzieciaków, zawsze planujących diabelskie psoty, jeśli akurat nie rzygały albo nie sikały... Peggy widziała rozkosz Makepeace'a, gdy kształtował żelazo, jego niechęć dla własnych dzieci, rozczarowanie, gdy żona zmieniła się z fascynującej, nieosiągalnej piękności w kudłatą wiedźmę, która najpierw wrzeszczy na dzieci, a potem tym samym tonem wydziera się na męża.

Pauley Wiseman, szeryf, który uwielbia, kiedy ludzie się go boją. Whitley Physicker, zły na siebie, bo jego lekarstwa nie skutkują w połowie przypadków i niemal co tydzień widzi śmierć, na którą nic nie może poradzić. Nowi przybysze, starzy mieszkańcy, farmerzy i rzemieślnicy... Patrzyła ich oczami i zaglądała im w serca. Wiedziała o małżeńskich łożach, zimnych nocami, i cudzołóstwach skrywanych w sercach winnych. Wiedziała o złodziejstwie zaufanych urzędników, przyjaciół i służących, o szlachetnych sercach wielu, którymi pogardzano i na których spoglądano z góry.

Widziała to wszystko i milczała. Wolała nie otwierać ust. Nie mówiła nikomu. Ponieważ nie chciała kłamać. Przed laty obiecała, że nigdy nie skłamie, i dotrzymywała słowa - milcząc.

Inni nie mieli takich problemów. Potrafili mówić swobodnie, mówić prawdę. Ale Peggy nie mogła zdradzić prawdy. Zbyt dobrze znała tych ludzi. Wiedziała, czego się lękają i czego pragną, co zrobili takiego, że zabiliby ją albo siebie, gdyby się domyślili, że wie. Nawet ci, którzy nigdy nie uczynili nic złego, wstydziliby się, bo Peggy znała ich tajemne marzenia albo skrywane szaleństwa. Dlatego i z nimi nigdy nie rozmawiała szczerze. Coś mogłoby się jej wymknąć, może nawet nie słowo, mogli zauważyć, jak odwraca głowę, jak unika pewnych tematów... Domyśliliby się, że wie, albo tylko by się przestraszyli. I sam strach, bez nazywania rzeczy po imieniu, mógł ich zniszczyć - przynajmniej tych najsłabszych.

Dlatego wciąż siedziała na szczycie masztu, trzymała się lin, widziała więcej, niż chciała, i nie miała nawet chwili dla siebie.

Nawet jeśli akurat nie rodziło się dziecko i nie musiała tego pilnować, zawsze jacyś ludzie potrzebowali pomocy. Sen wcale nie pomagał. Nigdy nie zasypiała na dobre. Zawsze częścią umysłu patrzyła, widziała płomień, dostrzegała błysk.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jak choćby teraz. Dokładnie w chwili, kiedy spojrzała ponad lasem, już tam był: daleki płomień serca.

Przysunęła się bliżej... Nie ciałem, naturalnie, ciało tkwiło bez ruchu na poddaszu. Jednak będąc żagwią wiedziała, jak przyjrzeć się z bliska dalekim płomieniom serc.

Młoda kobieta... Nie, dziewczyna raczej, młodsza nawet od niej, Peggy. Jakaś dziwna wewnątrz, więc Peggy od razu poznała, że ta dziewczyna mówiła kiedyś językiem innym niż angielski, choć teraz go używała, myślała już po angielsku. Jej myśli były od tego pomieszane i niewyraźne. Ale pewne myśli sięgają głębiej niż ślady pozostawiane w mózgu przez słowa. Mała Peggy nie potrzebowała niczyjej pomocy, żeby zrozumieć nawet dziecko, które dziewczyna trzymała na rękach. I to, że ona stoi nad brzegiem wiedząc, że umrze, i jaka groza czekają na plantacji, i co zrobiła ostatniej nocy, żeby uciec.

Widać tam słońce, trzy palce nad drzewami. To zbiegła czarna niewolnica i jej mały bękart, półbiały chłopiec-dziecko, ich widać na brzegu Hio, ukrytych w drzewach i krzakach. Patrzy, jak Biali spływają rzeką na tratwach. Jest przerażona. Wie, że psy jej nie znajdą, ale niedługo wezwą odszukiwacza zbiegów, to najgorsze, i jak w ogóle dostanie się za rzekę z tym chłopcem-dzieckiem?

Łapie się na strasznej myśli: zostawię chłopca-dziecko, schowam go w tym spróchniałym pniu, przepłynę i ukradnę łódź, wrócę tu. To będzie dobrze, o tak.

Ale choć nikt czarnej dziewczyny nie uczył, jak być mamą, wie przecież, że dobra mama nie zostawia dziecka, które ciągle jeszcze musi ssać tyle razy dziennie, ile jest palców u rąk. Szepcze: "Dobra mama nie porzuci chłopca-dziecka, gdzie stary lis albo łasica mogą przyjść i odgryźć kawałek, mogą zabić. Nie, to nie ja." Siada więc, tuli to dziecko i patrzy na rzekę. Mógłby to być brzeg morza, bo i tak nie dostanie się na drugą stronę.

Może jacyś Biali pomogą? Tu, po stronie Appalachee, Biali wieszają takich, co pomagają uciec czarnym niewolnicom. Ale ta zbiegła czarna dziewczyna słyszy na plantacji opowieści o Białych, co mówią, że lepiej, żeby nikt nie był czyjś. Mówią, żeby ta czarna dziewczyna lepiej miała te same prawa, co biała dama, mówiła "Nie" każdemu mężczyźnie oprócz swojego prawego męża. Mówią, żeby ta czarna dziewczyna lepiej zachowała swoje małe, nie pozwolą białemu panu grozić, że je sprzeda, kiedy przestanie ssać, i pośle tego chłopca-dziecko, żeby dorastał w chacie niewolników w Dreydenshire, całował buty Białego, kiedy ten powie buu.

- Twoje dziecko ma takie szczęście - mówią tej niewolnicy. - Wychowa się w posiadłości wielkiego pana w Koloniach Korony, gdzie mają jeszcze króla. Może nawet kiedyś zobaczy króla.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ona milczy, ale śmieje się cicho. Co jej zależy na królu. Jej tato był królem w Afryce i zastrzelili go na śmierć. Ci portugalscy łowcy pokazali jej, co znaczy być królem. Znaczy, że umierasz szybko, jak inni, że przelewasz krew czerwoną, jak u wszystkich, krzyczysz głośno z bólu i strachu... Pięknie być królem i pięknie go zobaczyć. Czy ci Biali wierzą w to kłamstwo?

Ja im nie wierzę. Mówię, że tak, ale kłamię. Nie pozwolę zabrać mojego chłopca-dziecka. On wnuk króla i powtórzę mu to każdego dnia. Kiedy będzie wielkim królem, nikt nie zbije go kijem, bo wtedy odda, nikt nie porwie jego kobiety, nie rozłoży jej nóg jak świni na rzeź i nie wetknie do brzucha takiego półbiałego dziecka, a on nie może poradzić, tylko siedzieć w chacie i płakać. Nie, o nie.

Dlatego robi rzecz zakazaną, grzeszną, brzydką i złą. Kradnie dwie świece i rozgrzewa nad ogniem. Rozrabia jak ciasto, dodaje mleka z własnej piersi, kiedy chłopiec-dziecko już possał, i jeszcze miesza z woskiem własną ślinę. Potem ugniata, toczy, poprawia, aż ma lalkę całkiem jak czarna niewolnica. Jak ona sama.

Potem chowa tę lalkę czarnej niewolnicy i idzie do Tłustego Lisa. Prosi o pióra tego wielkiego starego kruka, którego sobie złapał.

- Czarna niewolnica nie potrzebuje żadnych piór - mówi Tłusty Lis.

- Robię lalkę dla mojego chłopca-dziecka - tłumaczy.

Tłusty Lis śmieje się. Wie, że kłamie.

- Nie ma czarnopiórych lalek. Nie słyszałem o czymś takim. Czarna niewolnica na to:

- Mój tato król w Umbawana. Znam wszystkie tajemnice.

Tłusty Lis kręci głową i śmieje się, śmieje.

- Co ty możesz wiedzieć? Nawet nie mówisz po angielsku. Dam ci czarnych piór, ile chcesz, ale kiedy dziecko przestanie ssać, przyjdziesz do mnie, a ja dam ci drugie. Tym razem całe czarne.

Nienawidzi Tłustego Lisa jak Białego Pana, ale on ma pióra kruka. Dlatego mówi:

- Tak, psze pana.

Dwie dłonie ma pełne piór. Śmieje się cicho. Będzie daleko i martwa, zanim Tłusty Lis da jej dziecko.

Pokrywa piórami lalkę czarnej niewolnicy, aż jest małym ptakiem w kształcie dziewczyny. Bardzo mocna ta lalka, z jej własnym mlekiem i śliną i z tymi piórami. Bardzo mocna, wysysa z niej życie, ale jej chłopiec-dziecko nie będzie całował nóg Białego. Biały Pan nie uderzy go batem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ciemna noc, nie widzi jeszcze księżyca. Wybiega z chaty. Chłopiec-dziecko ssie, więc nie hałasuje. Przywiązuje go do piersi, żeby nie upadł. Rzuca lalkę do ognia. Wtedy cała moc piór wypływa płonąc, płonąc, płonąc. Czuje, jak wlewa się w nią ten ogień. Rozkłada skrzydła szeroko, tak szeroko, rozkłada i macha, jak widziała u tego starego kruka. Wzlatuje w powietrze, wysoko w ciemną noc, wznosi się i leci, leci daleko na północ, a kiedy wychodzi księżyc, ma go po prawej ręce, żeby trafić z chłopcem-dzieckiem tam, gdzie Biali mówią, że czarna dziewczyna nie niewolnica, półbiały chłopiec-dziecko nie niewolnik.

Przychodzi ranek i słońce i już dalej nie leci. To jak śmierć, myśli, to śmierć tak chodzić nogami po ziemi. Ten ptak w niej łamie skrzydło. Dziewczyna się modli, żeby Tłusty Lis ją znalazł, teraz wie. Po tym, jak lecisz, chodzić jest smutno, chodzić boli, jak niewolnik w łańcuchach, z ziemią pod nogami.

Ale idzie z chłopcem-dzieckiem przez cały ranek i teraz stoi nad szeroką rzeką. Tak blisko dotarłam, mówi zbiegła czarna niewolnica. Leciałam tak daleko i bym przeleciała nad tą rzeką. Ale wyszło słońce i spadłam wcześniej. Teraz już się nie przedostanę, stary odszukiwacz mnie znajdzie, zbije mocno, odbierze chłopca-dziecko, sprzeda na południe.

Nie mnie. Oszukam ich. Umrę pierwsza.

Nie. Umrę druga.

Inni mogli się spierać, czy niewolnictwo to grzech śmiertelny, czy po prostu dziwaczny zwyczaj. Mogli wykrzykiwać, że Emancypacjoniści są zbyt zwariowani, żeby z nimi wytrzymać, chociaż niewolnictwo to rzeczywiście paskudna sprawa. Inni mogli patrzeć na Czarnych i żałować ich, ale jednak cieszyć się, że są na ogół w Afryce, w Koloniach Korony, w Kanadzie albo gdzie indziej, daleko stąd. Peggy nie mogła sobie pozwolić na luksus własnej opinii. Wiedziała tylko, że żaden płomień serca nie był jeszcze tak pełen bólu jak dusza Czarnego, który żył w cienkim, mrocznym cieniu bata. Wychyliła się z okna.

- Tato! - krzyknęła.

Wyszedł z podwórza na drogę, skąd widział jej okno.

- Wołałaś mnie, Peggy?

Spojrzała tylko na niego bez słowa i nie musiała tłumaczyć nic więcej. Pożegnał się z gościem i życzył mu dobrej podróży tak szybko, że biedaczysko dopiero w połowie drogi do miasteczka zorientował się, co też go napadło. Tato był już w środku i biegł po schodach.

- Dziewczyna z dzieckiem - powiedziała mu. - Po drugiej stronie Hio. Przestraszona. Myśli, że się zabije, jeśli ją złapią.

- Jak daleko nad Hio?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Zaraz przy ujściu Hatrack, o ile się orientuję. Tato, idę z wami.

- Nic z tego.

- Tak, tato. Nigdy jej nie znajdziesz. Ani ty, ani dziesięciu innych. Za bardzo się boi Białych. I ma powody.

Tato przyjrzał się jej niepewnie. Nigdy przedtem nie chciał jej zabrać, ale zwykle uciekali czarni mężczyźni. I zwykle, zagubionych i przerażonych, znajdywali ich już po tej stronie Hio, więc było to mniej niebezpieczne. Przejście do Appalachee to pewne więzienie, jeśli ich tam złapią na pomaganiu Czarnym w ucieczce. Więzienie albo i pętla na gałęzi. Na południe od Hio Emancypacjonistom nie wiodło się najlepiej, a zwłaszcza takim Emancypacjonistom, którzy pomagali zbiegłym kozłom, owieczkom i pikaninom przedostać się na północ, do kraju Francuzów w Kanadzie.

- Za rzeką jest niebezpiecznie - oświadczył.

- Tym bardziej będę wam potrzebna. Żeby ją znaleźć i żeby ostrzec, czy nie nadchodzi ktoś jeszcze.

- Matka mnie zabije, jeśli się dowie, że cię zabrałem.

- W takim razie wymknę się zaraz, tylnymi drzwiami.

- Powiedz jej, że idziesz z wizytą do pani Smith.

- Nic jej nie powiem, tato, albo powiem prawdę.

- No to zostanę tutaj i będę się modlił, żeby dobry Bóg ocalił mi życie i nie pozwolił jej zauważyć, jak wychodzisz. Spotkamy się o zachodzie słońca przy ujściu Hatrack.

- Nie można...

- Nie. Ani minuty wcześniej. Dopiero po ciemku możemy przepłynąć rzekę. Jeśli ją złapią albo umrze, zanim się tam dostaniemy, to trudno. Bo nie wypłyniemy za dnia. To pewne.

Hałas w lesie. To przeraża czarną niewolnicę. Drzewa chwytają ją, sowa skrzeczy, mówi, gdzie mają jej szukać. Rzeka śmieje się bez przerwy. Nie może się ruszyć, bo upadnie po ciemku i zrani dziecko. Nie może zostać, bo na pewno ją złapią. Lot nie oszuka odszukiwaczy, oni widzą daleko i znajdą ją nawet mnóstwo mil od plantacji.

Krok, na pewno. Panie Boże Jezu zbaw mnie od tego diabła w ciemności.

Krok, oddech, szelest rozsuwanych gałęzi. Ale nie ma latarni. To, co nadchodzi, widzi mnie po ciemku! O Panie Boże Mojżeszu Zbawco Abrahamie!

- Dziewczyno.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ten głos, słyszę ten głos. Nie mogę oddychać. Słyszysz go, chłopcze-dziecko? Czy śnię sobie ten głos? Głos damy, bardzo cichy głos damy. Diabeł nie mówi głosem damy, każdy to wie, prawda?

- Dziewczyno, przychodzę zabrać cię za rzekę, pomóc tobie i twojemu dziecku przedostać się na północ. Na wolność.

Nie umiem znaleźć słów, ani słów niewolnika, ani słów Umbawa. Czy tracę słowa, kiedy okrywam się piórami?

- Mamy solidną łódź i dwóch ludzi u wioseł. Wiem, że mnie rozumiesz, że mi ufasz i że chcesz iść. Dlatego uspokój się, dziewczyno, weź mnie za rękę, o tutaj, to moja ręka, nic nie musisz mówić, złap mnie tylko. Tam są biali ludzie, ale to moi przyjaciele i nie dotkną cię. Nikt cię nie dotknie oprócz mnie, możesz mi wierzyć, musisz mi wierzyć.

Ręka dotyka mojej skóry, chłodna i miękka jak głos tej damy. Ta dama to anioł, to Święta Dziewica Matka Boża.

Znowu kroki, ciężkie, potem latarnie, światła i wielcy biali mężczyźni, ale ta dama trzyma mnie za rękę.

- Śmiertelnie przerażona.

- Popatrz na tę dziewczynę. Do cna wykończona.

- Ile dni nie jadła?

Głosy wielkich mężczyzn, jak głos Białego Pana, który dał jej dziecko.

- Zeszłej nocy uciekła z plantacji - tłumaczy dama.

Skąd biała dama to wie? Ona wie wszystko. Ewa, matka wszystkich dzieci. Nie ma czasu na słowa, na modły, ruszać się bardzo szybko, oprzeć o białą damę, iść, iść, iść do łodzi, leży w wodzie czekając, całkiem jak sen! Patrz! To łódź, chłopcze-dziecko, łódź przewiezie nas przez Jordan do Ziemi Obiecanej.

Byli na środku rzeki, kiedy czarna dziewczyna zaczęła się trząść, płakać i bełkotać.

- Ucisz ją - rzucił Horacy Guester.

- Nikogo nie ma w pobliżu - odpowiedziała Peggy. - Nikt nie usłyszy.

- O czym ona gada? - zapytał Po Doggly.

Hodował świnie niedaleko ujścia Hatrack. Przez chwilę Peggy zdawało się, że mówi o niej. Ale nie, miał na myśli czarną dziewczynę.

- Mówi chyba w swojej afrykańskiej mowie - odparła Peggy. - Ta naprawdę odważna dziewczyna. Jak im uciekła...

- Razem z niemowlęciem i w ogóle - zgodził się Po.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Ach, niemowlę - zawołała Peggy. - Wezmę je.

- A to dlaczego? - zdziwił się tato.

- Bo wy obaj musicie ją nieść. Przynajmniej od brzegu do wozu. Nie ma mowy, żeby to dziecko zrobiło jeszcze choćby krok.

Właśnie tak zrobili, kiedy dotarli do brzegu. Stary wóz Po nie był specjalnie wygodny - jedna derka to wszystko, co mogli zaproponować czarnej dziewczynie. Ale ułożyli ją, i jeśli nawet coś się jej nie podobało, nie powiedziała ani słowa. Horacy uniósł latarnię.

- Miałaś świętą rację, Peggy - stwierdził.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nazwałaś ją dzieckiem. Głowę dam, że nie ma jeszcze trzynastu lat. A już jest matką... Jesteś pewna, że to jej dzieciak?

- Jestem pewna - potwierdziła Peggy.

Po Doggly parsknął.

- Wiecie, jak to z nimi jest. Jak króliki, kiedy tylko mogą... - Nagle przypomniał sobie, że jest z nimi Peggy. - Proszę o wybaczenie, panienko. Do tej pory nigdy nie braliśmy ze sobą dam.

- To ją powinniście prosić o wybaczenie - oznajmiła zimno Peggy. - To dziecko jest mieszańcem. Jej właściciel spłodził je bez żadnego "za pozwoleniem". Chyba mnie rozumiecie.

- Nie życzę sobie, żebyś dyskutowała o takich sprawach - oświadczył Horacy Guester. Był zły, to jasne. - Wystarczy, że poszłaś z nami. Nie wolno ci zdradzać tajemnic tego biedactwa.

Peggy umilkła. W drodze do domu nie odezwała się więcej. Zawsze tak było, kiedy mówiła szczerze; dlatego prawie nigdy sobie na to nie pozwalała. To przez cierpienia tej zbiegłej niewolnicy zapomniała się i powiedziała za dużo. A teraz tato myślał, jak wiele dowiedziała się o czarnej dziewczynie w ciągu paru chwil, i martwił się, ile też wie o nim.

Chciałbyś wiedzieć, tato? Wiem, dlaczego to robisz. Nie jesteś jak Po Doggly, któremu specjalnie na Czarnych nie zależy, ale nie znosi, kiedy trzyma się w klatce dzikie stworzenia. Pomaga niewolnikom przedostać się do Kanady, bo ma w sobie taką potrzebę: żeby wypuścić ich na wolność. Ale ty, tato, robisz to, żeby zapłacić za swój grzeszny sekret. Twoją śliczną tajemnicę. Uśmiechała się do ciebie, a ty mogłeś powiedzieć: "Nie", ale nie powiedziałeś. Powiedziałeś: "Tak, o tak". To było wtedy, kiedy mama oczekiwała mnie, a ty wyjechałeś do Dekane po zapasy. Zostałeś tam przez tydzień i miałeś tę kobietę może dziesięć razy w ciągu sześciu dni. Pamiętam każdy z nich wyraźnie, jak ty, czuję, jak śnisz o

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

niej po nocach. Płonący ze wstydu i płonący pożądaniem... Wiem, co czuje mężczyzna, kiedy pragnie kobiety tak bardzo, aż piecze go skóra i nie potrafi leżeć spokojnie. Przez wszystkie te lata nienawidziłeś się za to, co zrobiłeś, i jeszcze bardziej za to, że kochasz to wspomnienie. I płacisz za nie. Narażasz się na więzienie albo że cię powieszą na drzewie, krukom na żer, nie dlatego, że kochasz Czarnych. Dlatego, że masz nadzieję, iż dobre uczynki dla dzieci bożych uwolnią cię od grzechu twej tajemnej miłości.

To zabawne, tato. Gdybyś wiedział, że znam twoją tajemnicę, pewnie byś umarł. Padłbyś trupem na miejscu. A przecież, gdybym tylko mogła ci o tym powiedzieć, mogłabym dodać coś jeszcze. Mogłabym dodać: "Tato, czy nie rozumiesz, że to jest właśnie twój dar? Myślisz, że nie masz żadnego talentu, ale to nieprawda. To dar sprawiania, że ludzie czują się kochani. Przychodzą do twojego zajazdu i jest im jak w domu. Kiedy ją zobaczyłeś, tę kobietę w Dekane, ona była spragniona. Chciała tego uczucia, które budzisz w ludziach. Tak bardzo cię potrzebowała. A to trudne, tato, strasznie trudne, nie kochać kogoś, kto ciebie kocha tak bardzo, kto lgnie do ciebie jak chmury do księżyca. I wie, że odejdziesz, że nie zostaniesz, ale pragnie. Szukałam tej kobiety, tato. Szukałam jej płomienia serca. I znalazłam. Wiem, gdzie jest. Nie jest już młoda, nie taka, jaką pamiętasz. Ale wciąż piękna, tak samo jak w twoich wspomnieniach, tato. I jest dobrą kobietą, a ty nie wyrządziłeś jej krzywdy. Wspomina cię ciepło, tato. Wie, że Bóg wybaczył jej i tobie, wam obojgu. Tylko ty, tato, nie możesz sobie wybaczyć." To smutne, myślała Peggy, jadąc wozem do domu. Tato robi coś, co w oczach każdej innej córki uczyniłoby go bohaterem. Wielkim człowiekiem. Ale że jestem żagwią, znam prawdę. On nie wychodzi nocą, jak Hektor przed bramy Troi, nie naraża się na śmierć, by ratować życie innych. On czołga się jak zbity pies, bo w głębi duszy jest zbitym psem. Biegnie nad rzekę, żeby ukryć się przed grzechem, który Pan wybaczyłby mu już dawno, gdyby tylko tato uznał, że wybaczenie w ogóle jest możliwe.

Ale po chwili Peggy przestała myśleć, że to smutne dla jej taty. To przecież smutne dla każdego, prawda? A smutni ludzie przeważnie pozostają smutni, trzymają się tej boleści jak ostatniego garnka wody w czasie suszy. Jak Peggy, która wciąż czeka tu na Alvina, chociaż wie, że Alvin nie przyniesie jej radości.

Ale ta dziewczyna leżąca na derce jest całkiem inna. Miało ją spotkać wielkie nieszczęście, miała stracić swojego chłopca-dziecko, ale nie siedziała i nie czekała, aż to się stanie, żeby potem rozpaczać. Powiedziała: "Nie". Po prostu nie i tyle. Nie pozwolę wam sprzedać mojego chłopca na południe, nawet do dobrej, bogatej rodziny. Niewolnik bogacza jest przecież dalej niewolnikiem. A na południe oznacza, że znajdzie się dalej od miejsca,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

dokąd może uciec i przebić się na północ. Peggy wyczuwała te decyzje, kiedy dziewczyna przewracała się i jęczała w tyle wozu.

To jeszcze nie wszystko. Ta dziewczyna była bohaterką bardziej niż tato i Po Doggly. Ponieważ znała tylko jeden sposób ucieczki: magię tak silną, że Peggy nigdy o czymś podobnym nie słyszała. Nie śniło jej się nawet, że Czarni znają takie czary. Ale to nie kłamstwo ani nie sen. Dziewczyna leciała. Zrobiła woskową lalkę, ubrała ją w pióra i spaliła. Spaliła bez śladu. To pozwoliło jej frunąć aż tutaj, bardzo daleko - dopóki nie wzeszło słońce. Tak daleko, że Peggy ją dostrzegła i przewieźli ją przez Hio. Ale jakąż cenę miała zapłacić zbiegła niewolnica...

Kiedy wrócili do zajazdu, mama była tak wściekła, jak chyba jeszcze nigdy.

- To zbrodnia, za którą powinni cię wychłostać! Jak można zabierać szesnastoletnią córkę na taką zbójecką wyprawę w środku nocy...

Ale tato nie odpowiadał. Nie musiał. Wystarczyło, że wniósł tę dziewczynę do izby i ułożył na podłodze przy ogniu.

- Ona chyba od tygodnia nic nie jadła! - wykrzyknęła mama. - A czoło aż parzy rękę. Przynieś garnek wody, Horacy, będziesz ocierał jej czoło. A ja podgrzeję trochę bulionu...

- Nie, mamo - przerwała jej Peggy. - Lepiej poszukaj mleka dla dziecka.

- Dziecko nie umrze, a ta mała chyba tak. Nie ucz mnie, takie rzeczy sama umiem leczyć...

- Nie, mamo - powtórzyła Peggy. - Ona robiła czary z woskową lalką. To magia Czarnych, ale wiedziała, jak się do tego zabrać, i miała moc. W Afryce była córką króla. Znała cenę i teraz musi ją zapłacić.

- Chcesz powiedzieć, że ta dziewczyna umrze? - spytała mama.

- Zrobiła swoją lalkę, mamo, i wrzuciła ją do ognia. To dało jej skrzydła i mogła lecieć przez całą jedną noc. Ale ceną za to jest reszta życia.

Tato wyglądał, jakby mu było słabo.

- Peggy, to przecież wariactwo. Co by jej przyszło z ucieczki z niewoli, gdyby miała tak zwyczajnie umrzeć? Mogła przecież po prostu się zabić i oszczędzić sobie kłopotów.

Peggy nie musiała tłumaczyć. Trzymane na rękach dziecko zapłakało akurat i to wystarczyło za odpowiedź.

- Pójdę po mleko - oświadczył tato. - Christian Larson na pewno znajdzie pół kwaterki, nawet w nocy.

Mama powstrzymała go jednak.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Zastanów się, Horacy - powiedziała. - Już prawie północ. Co mu powiesz? Że dla kogo jest to mleko?

Horacy westchnął i zaśmiał się z własnej głupoty.

- Dla małego pikanina, dzieciaka zbiegłej niewolnicy. Ale natychmiast poczerwieniał ze złości.

- To szaleństwo, co zrobiła ta czarna dziewczyna - burknął. - Dotarła aż tutaj i przez cały czas wiedziała, że umrze. I co niby mamy zrobić z tym pikaninem? Nie zawieziemy go przecież na północ i nie położymy za kanadyjską granicą, żeby wrzeszczało, aż jakiś Francuz je znajdzie.

- Moim zdaniem zwyczajnie pomyślała, że lepiej umrzeć wolnym niż żyć w niewoli - stwierdziła Peggy. - Wiedziała, że cokolwiek dziecko tu spotka, będzie lepsze od tego, co zostawiła za sobą.

Dziewczyna leżała przy ogniu. Miała zamknięte oczy i oddychała płytko.

- Ona śpi, prawda? - spytała mama.

- Jeszcze nie umarła - odparła Peggy. - Ale nas nie słyszy.

- W takim razie powiem wprost: to paskudny kłopot. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie się dowiedzieli, jak to sprowadzasz tu zbiegłych niewolników. Plotka rozniesie się szybko, a potem przez okrągły rok będzie tu obozować dwudziestu odszukiwaczy. I prędzej czy później któryś cię zastrzeli.

- Nikt nie musi wiedzieć - mruknął tato.

- A co powiesz ludziom? Że przypadkiem potknąłeś się w lesie o jej trupa?

Peggy miała chęć krzyknąć na nich: "Ona jeszcze żyje, więc uważajcie, co mówicie!" Ale faktycznie, musieli coś zaplanować, i to szybko. A gdyby ktoś z gości obudził się teraz i zszedł na dół? Jak wtedy zachowają tajemnicę?

- Kiedy umrze? - zapytał tato. - Do rana?

- Przed świtem będzie martwa.

Tato kiwnął głową.

- Więc lepiej wezmę się do roboty. Tą dziewczyną sam się zajmę. A wy, kobiety, wymyślicie, mam nadzieję, co zrobić z małym.

- Wymyślimy, tak? - rzuciła groźnie mama.

- Wiem, że ja nic nie wymyślę, więc lepiej się postarajcie.

- To może powiem ludziom, że to moje dziecko.

Tato nawet się nie rozzłościł. Uśmiechnął się tylko.

- Nie uwierzą ci, choćbyś trzy razy dziennie kąpała tego chłopaka w śmietanie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Wyszedł na dwór i zawołał Po Doggly'ego, żeby mu pomógł wykopać grób.

- To całkiem niezły pomysł: rozgłosić, że ten dzieciak urodził się gdzieś w okolicy - stwierdziła mama. - Ta rodzina Czarnych, co mieszka na mokradłach... Pamiętasz, dwa lata temu jakiś plantator próbował udowodnić, że był ich właścicielem? Jak oni się nazywają, Peggy?

Peggy znała ich o wiele lepiej niż ktokolwiek inny w Hatrack River. Obserwowała ich jak wszystkich, znała ich dzieci, ich imiona.

- Nazywają się Berry - odparła. - Jak szlachetne rody, zachowują to nazwisko niezależnie od pracy, którą przychodzi im wykonywać.

- Może powiemy, że to ich dziecko?

- Oni są biedni, mamo. Nie wyżywią jeszcze jednej gęby.

- Na to możemy zaradzić. Pomożemy im.

- Zastanów się, mamo, jak to będzie wyglądać. Ni z tego, ni z owego u Berrych zjawia się takie jasne dziecko. Wystarczy popatrzeć, a już się wie, że jest w połowie białe. A potem Horacy Guester zaczyna im nosić prezenty.

Mama poczerwieniała.

- Co ty wiesz o takich sprawach? - mruknęła.

- Wielkie nieba, mamo, jestem żagwią. A ty dobrze wiesz, że ludzie zaczną gadać. Na pewno zaczną.

Mama zerknęła na czarną dziewczynę.

- Wpakowałaś nas w poważne kłopoty, maleńka.

Dziecko zaczęło się wiercić.

Mama podeszła do okna, jakby mogła widzieć w ciemności i zobaczyć jakąś odpowiedź wypisaną na niebie. Potem nagle ruszyła do drzwi. Otworzyła je.

- Mamo - rzuciła Peggy.

- Gęś można oskubać na różne sposoby - oznajmiła mama.

Peggy zobaczyła, o czym myśli. Skoro nie mogą zostawić dziecka u Berrych, mogą je zatrzymać w zajeździe i wytłumaczyć, że opiekują się nim, gdyż Berry'owie są tacy biedni. Jeśli rodzina Berrych potwierdzi, nikt się nie zdziwi, że półbiały chłopczyk pojawił się tak nagle. I nikt nie pomyśli, że to bękart Horacego - przecież jego żona nie wzięłaby go do domu.

- Zdajesz sobie sprawę, o co chcesz ich prosić? - spytała Peggy. - Wszyscy pomyślą, że ktoś inny zaorał pole pana Berry'ego.

Mama była tak zaskoczona, że Peggy niemal się roześmiała.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie sądziłam, że Czarni dbają o takie rzeczy.

Peggy pokręciła głową.

- Mamo, Berry'owie to chyba najlepsi chrześcijanie w Hatrack River. Muszą być tacy, żeby wybaczyć Białym to, jak traktują ich i ich dzieci.

Mama zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- A jak ludzie traktują ich dzieci?

To było ważne pytanie i przyszło mamie do głowy w ostatniej chwili. Co innego popatrzeć na to wychudzone, niespokojne czarne dziecko i powiedzieć: "Zaopiekuję się nim i uratuję mu życie", a co innego wyobrazić sobie, jak ma lat pięć, siedem, dziesięć, siedemnaście... młodego chłopca żyjącego w tym samym domu.

- Myślę, że tym nie musisz się martwić - orzekła Peggy. - Raczej tym, jak ty sama chcesz go traktować. Czy wychowasz go na sługę, nisko urodzonego chłopca w twoim pięknym domu? Jeśli tak, ta dziewczyna umiera na darmo. Równie dobrze mogła pozwolić, żeby go sprzedali na południe.

- Nigdy nie chciałam niewolnika - oświadczyła mama. - I nie mów mi, że chciałam.

- To jak? Będziesz go traktować jak własnego, staniesz za nim przeciwko wszystkim, jak byś zrobiła, gdybyś sama kiedyś urodziła syna?

Peggy przyglądała się, co myśli mama, i nagle zobaczyła, jak w płomieniu jej serca otwierają się całkiem nowe ścieżki. Syn... Tym właśnie będzie półbiały chłopiec. A jeśli ludzie będą krzywo na niego patrzeć, bo nie jest całkiem biały, to będą mieli do czynienia z Margaret Guester. O tak. I to będzie dla nich straszny dzień. Jeśli uda im się przeżyć to, co ich czeka, nie zlękną się już nawet piekła.

Mama nie odczuwała takiej posępnej determinacji przez wszystkie lata, kiedy Peggy zaglądała do jej serca. Nadeszła jedna z tych chwil, kiedy cała czyjaś przyszłość zmienia się w oczach. Dawniej wszystkie ścieżki mamy były prawie takie same. Nie czekały jej wybory, które by mogły odmienić życie. Ale teraz konająca dziewczyna stała się przyczyną przeobrażenia. Otworzyły się setki nowych ścieżek, a na wszystkich był ten chłopiec-dziecko - potrzebował jej tak, jak nigdy nie potrzebowała córka. Napadnięty przez obcych, okrutnie potraktowany przez chłopców z miasteczka, raz po raz przychodził do niej, szukając pociechy, nauki, obrony... czego Peggy nigdy nie robiła.

Dlatego cię rozczarowałam, mamo. Prawda? Bo za dużo wiedziałam zbyt wcześnie. Chciałaś, żebym przychodziła do ciebie zmieszana, z pytaniami. Ale ja nigdy nie miałam pytań, mamo, bo wiedziałam już od dzieciństwa. Wiedziałam, co to znaczy być kobietą - z twoich własnych wspomnień. Znałam małżeńską miłość i niczego nie musiałaś mi tłumaczyć.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Nigdy nie przepłakałam nocy na twoim ramieniu z tego powodu, że nie chciał na mnie spojrzeć jakiś chłopak, za którym tęskniłam. Nigdy nie tęskniłam za żadnym chłopcem z okolicy. Nie zrobiłam nic, co sobie wymarzyłaś dla swojej córeczki, bo miałam talent żagwi: wiedziałam wszystko i nie potrzebowałam niczego, co chciałaś mi dać.

Ale temu półczarnemu chłopcu będziesz potrzebna niezależnie od tego, jaki ma dar. Na wszystkich ścieżkach widzę, że jeśli weźmiesz go do siebie, jeśli go wychowasz, bardziej będzie dla ciebie synem, niż ja byłam córką, choć mam połowę twojej krwi.

- Córko - odezwała się mama. - Jeżeli wyjdę przez te drzwi, czy obróci się to na dobre dla chłopca? I dla nas?

- Prosisz, żebym widziała dla ciebie, mamo?

- Tak, mała Peggy. Nigdy o to nie prosiłam, nigdy dla siebie.

- Więc ci powiem. - Peggy nie musiała nawet daleko spoglądać wzdłuż ścieżek życia mamy, by zobaczyć, ile radości da jej chłopiec. - Jeśli weźmiesz go do siebie i będziesz traktować jak syna, nigdy tego nie pożałujesz.

- A co z tatą? Będzie dla niego dobry?

- Czy nie znasz własnego męża? - spytała Peggy.

Mama postąpiła o krok w jej stronę. Zaciskała pięści, choć przecież nigdy nie uderzyła Peggy.

- Nie bądź bezczelna - powiedziała.

- Mówię tak, jak zawsze mówię, kiedy widzę - odparła Peggy. - Poprosiłaś mnie jako żagiew. I mówię do ciebie jak żagiew.

- W takim razie mów, co masz do powiedzenia.

- To proste. Jeśli nie wiesz, jak twój mąż potraktuje tego chłopca, to wcale go nie znasz.

- Może i nie znam - mruknęła mama. - Może wcale nie znam. A może znam i chcę, żebyś mi powiedziała, czy mam rację.

- Masz rację. Będzie dla niego dobry. Dzięki niemu chłopiec będzie się czuł kochany aż do końca swoich dni.

- Ale czy naprawdę go pokocha?

Peggy w żaden sposób nie mogła na to odpowiedzieć. Miłość taty nie mieściła się w granicach możliwości. Owszem, zaopiekuje się chłopcem, ponieważ uzna, że powinien, że to jego święty obowiązek. Ale chłopiec nigdy nie zauważy różnicy. Dla niego to będzie miłość, w dodatku o wiele pewniejsza. Ale tłumaczyć to mamie, oznaczało wyznać, że tato tak wiele robił z powodu swych dawnych grzechów. W życiu mamy nigdy nie nadejdzie właściwa

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

chwila na wysłuchanie tej historii. Dlatego Peggy spojrzała na nią i odpowiedziała jej tak jak innym, kiedy zbyt głęboko zaglądali w sprawy, o których naprawdę nie chcieliby wiedzieć.

- Na to on sam musi odpowiedzieć. Ty pamiętaj tylko, że wybór, jakiego już w głębi serca dokonałaś, jest słuszny. Sama decyzja odmieniła twoje życie.

- Ale ja jeszcze nic nie postanowiłam.

W sercu mamy nie było ani jednej ścieżki, ani jednej, na której nie namówiłaby Berrych, żeby przyznali się do tego dziecka, na której nie zostawiłaby chłopca u siebie.

- Owszem, postanowiłaś - oświadczyła Peggy. - I cieszysz się z tego.

Mama odwróciła się i wyszła. Drzwi zamknęła delikatnie, żeby nie budzić wędrownego kaznodziei w pokoju nad wejściem.

Przez jedną chwilę Peggy poczuła się niepewnie i właściwie nie bardzo wiedziała dlaczego. Gdyby się trochę zastanowiła, zgadłaby, że to dlatego, iż wprawdzie nieświadomie, ale jednak oszukała mamę. Kiedy widziała dla innych, zawsze spoglądała wzdłuż ścieżek ich życia, szukała obszarów ciemności nadciągającej z obszarów, jakich się nawet nie domyślali. Ale była całkiem pewna, że zna swoją mamę i tatę, i nie starała się nawet zajrzeć poza to, co wyraźne. Tak to już bywa w rodzinie. Ludzie wierzą, że znają się doskonale, i wcale nie starają się poznać. Miną lata nim Peggy wróci pamięcią do tego dnia i spróbuje zgadnąć, czemu nie widziała tego, co nadchodzi. Czasem będzie nawet sobie wyobrażać, że to jej dar zawiódł. Ale nie. To ona zawiodła swój dar. Nie ona pierwsza, nie ostatnia, nawet nie ona najbardziej, ale niewielu ludzi bardziej tego żałowało.

Chwilowy niepokój ulotnił się i Peggy zapomniała o nim, wróciła myślami do czarnej dziewczyny na podłodze izby gościnnej. Właśnie obudziła się i otworzyła oczy. Dziecko ciągle popiskiwało. Dziewczyna nie musiała nic mówić - Peggy sama odgadła, że chce nakarmić małego, jeśli tylko w piersiach została choć odrobina pokarmu. Dziewczyna nie miała nawet siły, żeby rozpiąć bawełnianą bluzkę. Peggy musiała usiąść przy niej, ułożyć dziecko na kolanach i wolną ręką rozpinać guziki. Dziewczyna była chuda, sterczały jej żebra i piersi wyglądały jak dwa worki rzucone na sztachety. Ale sutek wezbrał gotowy do ssania i po chwili biała piana wystąpiła dziecku na wargi. Więc coś tam jednak było, nawet teraz, nawet w ostatniej chwili życia jego mamy.

Dziewczyna była za słaba, żeby mówić, ale nie musiała się wysilać - Peggy usłyszała, co chce powiedzieć, i odpowiedziała.

- Moja mama zaopiekuje się twoim chłopcem - oświadczyła. - I nigdy nie pozwoli, żeby ktoś zrobił z niego niewolnika.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Właśnie to dziewczyna najbardziej pragnęła usłyszeć... to i piski swojego chłopca-dziecka, chlipiącego i mlaszczącego przy piersi. Ale Peggy chciała, by usłyszała przed śmiercią jeszcze coś.

- Twój chłopiec-dziecko dowie się o tobie - obiecała dziewczynie. - Dowie się, jak poświęciłaś własne życie, żeby odlecieć z nim do wolności. Nie myśl, że kiedyś o tobie zapomni, bo nie zapomni.

Peggy zajrzała w płomień serca dziecka, szukając tego, co go czeka. To było smutne, bo ciężkie jest życie półbiałego chłopca w mieście Białych, niezależnie od ścieżek, jakie wybierze. A jednak zobaczyła dość, żeby poznać to niemowlę, które teraz obejmowało nagą pierś swojej mamy.

- I będzie mężczyzną, dla którego warto było umrzeć. To ci obiecuję.

Dziewczyna z zadowoleniem słuchała jej słów. Dały jej spokój i znowu mogła zasnąć. Po chwili usnął też najedzony chłopczyk. Peggy podniosła go, owinęła w koc i ułożyła w zgięciu ramienia dziewczyny. Będziesz przy swojej mamie do ostatniej chwili jej życia, szepnęła bezgłośnie. To też ci powiemy: że trzymała cię na ręku, kiedy umierała.

Kiedy umierała. Tato wyszedł z Po Dogglym i kopali dla niej grób. Mama pobiegła do Berrych przekonać ich, żeby pomogli ratować dziecku życie i wolność. A Peggy tutaj myślała tak, jakby dziewczyna już umarła.

Ale ona nie umarła. Jeszcze nie. I nagle pewna myśl wpadła Peggy do głowy, w błysku irytacji na własną głupotę. Jak mogła wcześniej nie pamiętać, że jest jeden człowiek, który ma dar leczenia chorych. Czy nie stał przy Ta-Kumsawie w czasie bitwy pod Detroit, kiedy kule rozrywały ciało tego wielkiego czerwonego człowieka? Czy nie klęczał nad nim i nie leczył go? Gdyby tu był, mógłby uratować tę dziewczynę.

Spojrzała w mrok, szukając płomienia serca, który świeci tak jasno... płomienia, który znała lepiej niż wszystkie inne na świecie, lepiej nawet niż swój własny. I znalazła: biegł przez noc jak Czerwony, jakby spał, a kraina wokół była jego duszą. Zbliżał się szybciej niż potrafiłby Biały nawet na najszybszym koniu i po najlepszej drodze między Wobbish i Hatrack. Ale i tak zjawi się tutaj dopiero jutro w południe, a do tego czasu ta zbiegła niewolnica umrze, będzie już leżała w ziemi na rodzinnym cmentarzu. Jedyny człowiek, który mógłby ocalić jej życie, spóźni się najwyżej o dwanaście godzin.

Czy tak być musi? Alvin potrafiłby ją uratować, ale nie wie, że potrzebuje ratunku. Zaś Peggy, która w niczym nie może pomóc, wie o wszystkim, co się dzieje, o wszystkim, co może się zdarzyć... i o tym jedynym, co zdarzyć się powinno, gdyby świat był dobry. Ale nie jest.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

I to się nie zdarzy.

To straszny dar: być żagwią i wiedzieć, co nadchodzi, nie mając żadnej mocy, żeby to zmienić. Jedyną jej siłą były słowa, które wypowiadała, ale nawet wtedy nie była pewna, co zrobią ludzie. Zawsze mieli jakiś wybór i decyzja mogła skierować ich na ścieżkę jeszcze gorszą od tej, której próbowała im oszczędzić. Tyle razy z powodu swojej złośliwości, kłótliwości czy po prostu pecha dokonywali tego strasznego wyboru i wszystko układało się dla nich gorzej, niż gdyby Peggy nie powiedziała ani słowa. Chciałabym nie wiedzieć. Chciałabym mieć nadzieję, że ta dziewczyna przeżyje. Chciałabym umieć ją uratować.

I wtedy pomyślała, jak wiele razy ratowała życie. Życie Alvina, używając Alvinowego czepka. I iskierka nadziei zapłonęła w jej sercu. Z pewnością ten jeden raz może wykorzystać skrawek czepka, żeby ocalić tę dziewczynę, uleczyć ją.

Poderwała się i niezgrabnie pobiegła do schodów. Nogi tak jej zdrętwiały, że nie czuła prawie własnych stąpnięć na drewnianej podłodze. Na schodach potknęła się i narobiła trochę hałasu, ale nikt z gości się nie obudził, przynajmniej ona tego nie zauważyła. Szybko na górę, potem po starej drabinie, którą niecałe trzy miesiące przed śmiercią Dziadunio przerobił na prawdziwe schody. Omijała kufry i stare meble, aż dotarła do swojego pokoju w zachodnim skrzydle domu. Blask księżyca wpadał przez wychodzące na południe okno i rysował kwadraty na podłodze. Podniosła deskę podłogi i wyjęła pudełko z kryjówki, gdzie je schowała, kiedy wychodziła z pokoju.

Stąpała zbyt ciężko albo ktoś z gości spał zbyt lekko, bo kiedy zeszła z drabiny, stał tam już i czekał. Chude blade nogi wystawały mu spod długiej koszuli. Patrzył na schody, potem do środka pokoju, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma wejść czy wyjść, iść na dół czy na górę. Peggy zajrzała w płomień jego serca, żeby sprawdzić, czy był już w izbie, widział dziewczynę z dzieckiem. Jeśli tak, wszelkie przemyślenia i ostrożność poszły na marne.

Nie widział. Zatem to nadal możliwe.

Delikatnie położyła mu palec na wargach. Żeby go uciszyć - w każdym razie tak rozpoczął się ten gest. Ale od razu zrozumiała, że jest pierwszą kobietą, która dotyka jego twarzy, od czasu gdy wiele lat temu robiła to jego matka. Dostrzegła to w chwili, kiedy jego serce wypełniło się... nie pożądaniem, ale mglistymi pragnieniami samotnego mężczyzny. To ten pastor, który przybył przedwczoraj rano, wędrowny kaznodzieja. Ze Szkocji, powiedział. Nie zwróciła na niego uwagi, pochłonięta myślami o ruszającym w drogę Alvinie. Ale teraz najważniejsze było, żeby jak najszybciej wrócił do pokoju. Znała na to jeden pewny sposób.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Chwyciła go za ramiona, objęła mocno za szyję, pociągnęła głowę w dół i mocno pocałowała w usta. Długi pocałunek, jakiego przez całe życie nie zaznał.

Tak jak się spodziewała, był z powrotem w pokoju, niemal zanim zdążyła go puścić. Mogłaby się roześmiać, ale zaglądając w płomień jego serca dostrzegła, że to nie pocałunek wystraszył kapłana, jak to planowała. To pudełko, które trzymała w ręku i obejmując przycisnęła mu je do karku. Pudełko z czepkiem Alvina.

Gdy tylko go dotknęło, wyczuł, co jest w środku. Nie był to jego dar, chodziło o coś innego - jakby coś, co Alvin mu kiedyś zrobił. Zobaczyła wyrastającą w jego myślach wizję twarzy Alvina, budzącą taki lęk i nienawiść, jakich nigdy jeszcze nie spotkała. Dopiero wtedy zrozumiała, że nie jest to zwyczajny kaznodzieja - to wielebny Philadelphia Thrower, niegdyś pastor w Vigor Kościele. Wielebny Thrower, który kiedyś próbował zabić chłopca, ale ojciec Alvina do tego nie dopuścił.

Strach przed pocałunkiem kobiety był niczym wobec strachu przed Alvinem Juniorem. Na nieszczęście pastor tak się przeraził, że myślał o wyjeździe natychmiast, w tej chwili... byle tylko opuścić ten zajazd. A zatem może zejść na dół i zobaczy wszystko, co chciała przed nim ukryć. Często się to zdarzało: próbowała odsunąć złe wydarzenie, a sprowadzała jeszcze gorsze, tak nieprawdopodobne, że wcześniej wcale go nie dostrzegła. Jak mogła nie poznać tego człowieka? Czy przez tyle lat nie oglądała go oczami Alvina? Ale zmienił się w ciągu ostatniego roku, był chudszy, załamany, starszy. Poza tym nie szukała go tutaj. Zresztą i tak już za późno, żeby odwrócić to, do czego doprowadziła. Za wszelką cenę musi zatrzymać go w pokoju.

Dlatego otworzyła drzwi i weszła za nim do środka. Spojrzała mu prosto w oczy.

- On się tutaj urodził - oznajmiła.

- Kto? - zapytał.

Twarz miał bladą, jakby właśnie zobaczył samego diabła. Wiedział, o kim Peggy mówi.

- I wraca tu. W tej chwili jest w drodze. Będziesz bezpieczny tylko wtedy, jeśli zostaniesz w pokoju przez noc i wyjedziesz z pierwszym świtem.

- Nie wiem... nie wiem, o co ci chodzi.

Czy naprawdę sądzi, że zdoła oszukać żagiew? Może po prostu nie wiedział... Nie, wiedział, wiedział dobrze, tyle że nie wierzył w żagwie, heksy, dary i w ogóle. Był człowiekiem nauki i religii. Patentowanym durniem. Musi mu zatem udowodnić, że prawdą jest to, czego obawia się najbardziej. Że zna go, że poznała jego sekrety.

- Próbowałeś zamordować Alvina rzeźnickim nożem - powiedziała.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

To załatwiło sprawę. Padł na kolana.

- Nie lękam się śmierci - oświadczył. I zaczął mamrotać modlitwę.

- Módl się przez całą noc, jeśli masz ochotę - rzuciła. - Ale módl się w tym pokoju.

Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Była już w połowie schodów, kiedy usłyszała zapadający na miejsce rygiel. Nie miała nawet czasu się zastanowić, czy nie sprowadziła na niego niezasłużonego cierpienia - przecież w głębi serca nie był mordercą. Teraz interesowało ją tylko jedno - wrócić z czepkiem na dół, pomóc uciekinierce, jeśli przypadkiem rzeczywiście może korzystać z mocy Alvina. Ten pastor zabrał jej mnóstwo czasu - tak wiele bezcennych oddechów konającej dziewczyny.

Bo przecież oddycha jeszcze, prawda? Tak. Nie. Dziecko spało przy niej, ale jej pierś nie poruszała się nawet tak jak pierś chłopca. Peggy nie wyczuwała na dłoni tchnienia jej ust. Ale płomień serca wciąż się palił! To Peggy widziała wyraźnie - płonął jasno, bo tak mężne serce miała ta niewolnica. Dlatego Peggy otworzyła pudełko, wyjęła resztkę czepka i między palcami roztarła skrawek na proszek.

- Żyj. Bądź silna - szepnęła.

Spróbowała tego, co zawsze robił Alvin, kiedy uzdrawiał, kiedy wyczuwał te wszystkie ciemne miejsca w ciele, kiedy je naprawiał. Przecież wiele razy mu się przyglądała. Ale robić to samej... to całkiem inna sprawa. Nie znała się na tym, nie miała odpowiedniej wizji, czuła, jak życie wycieka z ciała dziewczyny, jak zwalnia serce, słabną płuca, otwarte oczy nie widzą światła, aż wreszcie płomień serca rozbłysnął niby spadająca gwiazda i zgasł.

Za późno. Gdyby nie zatrzymywała się na górze, nie uciszała tego pastora...

Ale nie, nie mogła przecież siebie winić, i tak nie do niej należała ta moc. Za późno spróbowała. Ciało dziewczyny już umierało. Nawet sam Alvin, gdyby tu był, nawet on by tego nie dokonał.

Teraz, kiedy dziewczyna umarła, Peggy nie mogła zostawić przy niej dziecka. Nie powinno czuć, jak stygnie ramię mamy. Podniosła je. Poruszyło się, ale nie obudziło, jak zwykle niemowlęta. Twoja mama nie żyje, mały półbiały chłopczyku, ale będziesz miał moją mamę. I mojego tatę. Wystarczy im miłości dla takiego maleństwa. Nie będziesz za nią tęsknił, jak niektóre znane mi dzieci. Więc wykorzystaj to, chłopcze-dziecko. Twoja mama zginęła, żeby przynieść cię tutaj. Skorzystaj z tego, a coś z ciebie wyrośnie. Na pewno.

- Będziesz kimś - usłyszała własny szept - Będziesz kimś... i ja też.

Podjęła decyzję, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że może o czymkolwiek decydować. Czuła, jak zmienia się jej przyszłość, chociaż nie widziała dokładnie, jaka ona będzie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Niewolnica odgadła najbardziej prawdopodobną przyszłość - nie trzeba być żagwią, żeby zobaczyć pewne rzeczy. Czekało ją złe życie, utrata dziecka, niewolnicza praca aż do śmierci. A jednak dostrzegła dla dziecka maleńki promyk nadziei, a wtedy nie zawahała się, o nie! Ten promyk wart był dla niej ceny życia.

A teraz popatrzcie na mnie, myślała Peggy. Spoglądam na ścieżki życia Alvina i widzę tam swoje cierpienie - nie tak wielkie jak tej dziewczyny, ale i tak duże. Od czasu do czasu chwytam blask szczęścia, jakąś niezwykłą drogę, na której mogę zdobyć Alvina i gdzie on także mnie pokocha. A kiedy to zobaczę, siedzę z założonymi rękami i pozwalam nadziei umrzeć, bo nie jestem pewna, jak tam dotrzeć.

Jeśli to wymęczone dziecko potrafiło zbudować swoją nadzieję z wosku, popiołu, piór i fragmentów samej siebie, to ja również mogę pokierować swoim życiem. Gdzieś tam jest nitka, która - gdy tylko ją pochwycę - doprowadzi mnie do szczęścia. Jeśli nawet nigdy nie znajdę tej szczególnej nici, wszystko będzie lepsze od rozpaczy, jaka mnie czeka tutaj, gdy zostanę. Jeśli nawet nie stanę się częścią życia Alvina, kiedy osiągnie wiek męski, to przecież ta dziewczyna wyższą cenę zapłaciła za wolność.

Kiedy jutro zjawi się Alvin, mnie tu nie będzie.

Tak postanowiła, całkiem nagle. Nie do wiary, że wcześniej o tym nie pomyślała. Ze wszystkich ludzi w całym Hatrack River właśnie ona powinna najlepiej wiedzieć, że zawsze istnieje wybór. Inni opowiadali, że los zesłał na nich cierpienie i biedę, że nic nie mogą poradzić... ale ta zbiegła niewolnica pokazała, że zawsze jest jakieś wyjście. Trzeba tylko pamiętać, że nawet śmierć jest czasem prostą i gładką drogą.

Nie muszę nawet szukać kruczych piór, żeby odlecieć.

Peggy siedziała z dzieckiem na kolanach, snując śmiałe i straszne plany: jak to odjedzie rankiem, zanim zjawi się tu Alvin. Kiedy tylko ogarniał ją lęk, zerkała na czarną dziewczynę i ten widok uspokajał. Może pewnego dnia skończę jak ty, zbiegła dziewczyno, martwa w obcym domu. Ale lepsza nieznana przyszłość od takiej, którą znałam przez cały czas i nie kiwnęłam palcem, by jej uniknąć.

Czy to zrobię? Czy naprawdę zrobię to rankiem, kiedy nadejdzie czas i nie będę mogła się cofnąć?

Wolną ręką dotknęła czepka, wsunąwszy palce pod wieczko pudełka. To, co zobaczyła w przyszłości Alvina, sprawiło, że miała ochotę śpiewać z radości. Do tej pory większość ścieżek pokazywała, jak spotykają się i rozpoczynają wspólne, smutne życie. Teraz pozostało ich tylko kilka. Teraz na ścieżkach przyszłości Alvin przybywał do Hatrack River,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

szukał żagwi i dowiadywał się, że odeszła. Samo podjęcie decyzji zamknęło prawie wszystkie drogi prowadzące do cierpienia.

Mama wróciła z Berrymi, zanim tato skończył kopać grób. Anga Berry była tęgą kobietą, a na twarzy więcej miała zmarszczek uśmiechu niż bruzd smutku, choć jedne i drugie widać było wyraźnie. Peggy znała ją dobrze i lubiła bardziej niż większość mieszkańców Hatrack River. Anga łatwo się gniewała, ale też była pełna współczucia. Peggy wcale się nie zdziwiła, że kobieta podbiegła do ciała dziewczyny, chwyciła bezwładną dłoń i przycisnęła sobie do piersi. Wymruczała kilka słów głosem tak cichym, słodkim i melodyjnym, że kojarzyły się niemal z kołysanką.

- Nie żyje - stwierdził Mock Berry. - Ale dzieciak, jak widzę, jest silny.

Peggy wstała, żeby Mock mógł obejrzeć niemowlę. Nie lubiła go nawet w połowie tak, jak lubiła jego żonę. Był człowiekiem, który potrafił uderzyć dziecko do krwi, gdy nie spodobało mu się, co zrobiło albo powiedziało. A co chyba jeszcze gorsze, kiedy bił, wcale się nie złościł. W ogóle nic nie czuł; uderzyć kogoś albo nie uderzyć, co za różnica. Ale pracował ciężko, i chociaż był biedny, rodzina nie musiała głodować. A nikt, kto znał Mocka, nie zwracał uwagi na tych paskudnych ludzi, którzy powtarzali, że nie ma takiego kozła, który by nie kradł, ani takiej owieczki, której nie można pokryć.

- Zdrowy - ocenił Mock Berry. - Czy kiedy dorośnie i będzie dużym kozłem, dalej będziecie go nazywać waszym chłopcem? Czy każecie mu spać w oborze, ze zwierzakami?

Peggy przekonała się, że w tej sprawie nie zamierza być delikatny.

- Zamknij gębę, Mock - rzuciła jego żona. - A ty, panienko, daj mi dziecko. Nie wiedziałam, że się zjawi, szkoda. Trzymałabym swojego najmłodszego przy piersi, żeby mieć mleko. Odstawiłam go dwa miesiące temu i od tej pory same z nim kłopoty. Ale z tobą nie będzie żadnych kłopotów, malutki, żadniusieńkich.

Zaszeptała do dziecka tak jak do jego martwej mamy. I chłopiec też się nie obudził.

- Już mówiłam - rzekła mama. - Wychowam go jak swojego.

- Przepraszam, psze pani, ale pierwszy raz słyszę o Białej, co by robiła coś podobnego - oświadczył Mock.

- Co powiedziałam - odparła mama - to zrobię.

Mock zastanawiał się chwilę i kiwnął głową.

- Chyba faktycznie - rzekł. - Chyba nigdy nie słyszałem, żebyście złamali słowo, nawet dane Czarnym. - Wyszczerzył zęby. - Większość Białych uważa, że okłamać kozła to nie to samo, co kłamać.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Zrobimy, o co prosicie - oznajmiła Anga Berry. - Każdemu, kto zapyta, powiem, że to mój chłopak, ale oddaliśmy go wam, bo jesteśmy za biedni.

- Ale nie zapominajcie, że to kłamstwo - dodał Mock. - Nie myślcie, że naprawdę byśmy oddali swojego. I nie myślcie, że moja żona pozwoliłaby jakiemuś Białemu zrobić sobie dziecko, kiedy to ja jestem jej mężem.

Mama obserwowała Mocka przez długą chwilę, oceniała go po swojemu.

- Mocku Berry, mam nadzieję, że odwiedzicie nas. Kiedy tylko zechcecie, póki ten chłopiec jest w moim domu. Sami zobaczycie, jak biała kobieta dotrzymuje słowa.

Mock zaśmiał się.

- Widzę, że z was regularna Mancypacjonistka.

Wszedł tato, brudny i spocony. Przywitał się z Berrymi i pokrótce opowiedzieli mu, co uzgodnili. On również złożył obietnicę, że wychowa chłopca jak własnego syna. Pomyślał nawet o czymś, co mamie nie przyszło do głowy - szepnął Peggy kilka słów. Obiecał, że nie będą chłopca traktować lepiej niż ją. Peggy skinęła głową. Wolała nic nie mówić, bo musiałaby albo kłamać, albo zdradzić swoje plany. Wiedziała, że nawet dnia nie spędzi razem z chłopcem w tym domu.

- Teraz wrócimy do siebie, pani Guester - oznajmiła Anga. Oddała mamie dziecko. - Gdyby któremuś z moich przyśniło się coś strasznego, lepiej żebym przy nim była. Bo usłyszelibyście jego wrzaski aż na drodze.

- Czy żaden pastor nie zmówi modlitwy nad jej grobem? - spytał Mock.

Tato nie pomyślał o tym.

- Mamy na górze kapłana - zauważył.

Ale Peggy nie pozwoliła, by się zastanawiał nad tym choćby przez chwilę.

- Nie - przerwała mu tak stanowczo, jak tylko potrafiła.

Tato spojrzał na nią i zrozumiał, że mówi jako żagiew. Kłótnia nie miała sensu. Kiwnął tylko głową.

- Nie tym razem, Mock - stwierdził. - To niebezpieczne.

Mama odprowadziła Angę do samych drzwi.

- Czy powinnam o czymś wiedzieć? - zapytała. - Czy czarne dzieci czymś się różnią od białych?

- Bardzo się różnią - potwierdziła Anga. - Ale że maluch jest w połowie biały, zaopiekujcie się tylko białą częścią. Ta czarna sama o siebie zadba.

- Krowie mleko w świńskim pęcherzu? - nie ustępowała mama.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Znacie to wszystko - odparła Anga. - Wszystkiego, co wiem, od was się nauczyłam, pani Guester. Jak wszystkie kobiety w okolicy.

I teraz mnie o to pytacie? Nie rozumiecie, że muszę się wyspać?

Kiedy Berry'owie odeszli, tato podniósł ciało dziewczyny i wyniósł je na dwór. Nie było nawet trumny - przykryją chociaż trupa kamieniami, żeby psy się do niego nie dokopały.

- Lekka jak piórko - zauważył, kiedy podnosił ją z podłogi. - Jak polano spalone na popiół.

Peggy musiała przyznać, że ma rację. Tym właśnie była teraz uciekinierka. Popiołem. Wypaliła się bez reszty.

Mama wzięła małego pikanina na ręce, a Peggy poszła na strych i wyszukała kołyskę. Tym razem nikt się nie obudził... oprócz tego pastora. On nie spał, ale za żadne skarby nie wyszedłby na korytarz. Mama i Peggy przygotowały posłanie w pokoju rodziców i ułożyły dziecko w kołysce.

- Powiedz, czy ta biedna sierotka ma jakieś imię - zapytała mama.

- Ona mu nie nadała - odparła Peggy. - W jej plemieniu kobieta nie dostaje imienia, póki nie wyjdzie za mąż, a mężczyzna, dopóki nie upoluje pierwszego zwierza.

- To straszne - stwierdziła mama. - To nie po chrześcijańsku. Ojej! Przecież ona umarła bez chrztu!

- Nie. Ochrzcili ją. Żona jej właściciela tego dopilnowała. Wszyscy Czarni na ich plantacji są ochrzczeni.

Mama skrzywiła się.

- Pewnie myślała sobie, że w ten sposób zrobi z nich chrześcijan. No, to ja znajdę jakieś imię dla tego małego. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Jak myślisz, co zrobi tato, jeśli nazwę tego chłopca Horacy Guester Junior?

- Umrze - stwierdziła Peggy.

- Raczej tak - zgodziła się mama. - A jeszcze nie mam ochoty zostać wdową. A więc na razie nazwiemy go... Oj, sama nie wiem, Peggy. Znasz jakieś imiona dla Czarnych? Czy mam go nazwać jak zwykłe białe dziecko?

- Znam tylko jedno imię Czarnego: Otello.

- Dziwaczne. Jeszcze o takim nie słyszałam. Znalazłaś je pewno w tych książkach doktora Physickera.

Peggy nie odpowiedziała.

- Już wiem - zawołała mama. - Wiem, jak go nazwiemy. Cromwell. Tak się nazywał Lord Protektor.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To już lepiej nazwij go po królu Arturze - poradziła Peggy.

Mama zachichotała, a potem roześmiała się głośno.

- Właśnie tak! Nazwę cię Arthur Stuart, malutki! A jeśli królowi nie spodoba się taki imiennik, niech przyśle tu wojsko. I tak nie zmienię ci imienia. Jego Wysokość będzie musiał zmienić swoje.

Peggy zasnęła bardzo późno, ale rankiem obudziła się wcześnie. Właściwie obudził ją tętent konia. Nie musiała podchodzić do okna. Po płomieniu serca poznała, że to odjechał pastor. Jedź, Thrower, szepnęła do siebie. Nie ty jeden znikniesz stąd dziś rano, uciekając przed jedenastoletnim chłopcem.

Wyjrzała przez okno wychodzące na północ. Między drzewami widać stąd było cmentarz na wzgórku. Próbowała odgadnąć, gdzie tato wykopał wczoraj grób, ale zwyczajny wzrok nie ukazał jej żadnych śladów. A na cmentarzu nie było też płomieni serc, więc nie udało się jej. Za to Alvin wypatrzy grób - tego była pewna. Zajrzy tam od razu, bo tam spoczywa ciało jego najstarszego brata, Vigora, którego porwała rzeka Hatrack, kiedy ratował życie matki w tej ostatniej godzinie, nim urodziła swego siódmego syna. Ale Vigor trzymał się życia wystarczająco długo, chociaż rzeka szarpała go z całej mocy. Tak długo, że Alvin przyszedł na świat jako siódmy z siedmiu żywych synów. Peggy sama widziała, jak płomień serca Vigora zamigotał i zgasł, kiedy tylko urodziło się dziecko. Alvin na pewno z tysiąc razy słyszał tę historię. Dlatego pójdzie na cmentarz i potrafi zajrzeć pod ziemię. Znajdzie ukryty grób i niedawno pochowane wychudzone ciało.

Peggy wyjęła pudełko z czepkiem, wsadziła je głęboko do sukiennej torby, obok zapasowej sukienki, halki i ostatnich książek pożyczonych od Whitleya Physickera. Co prawda nie chciała się spotykać z Alvinem twarzą w twarz, ale to jeszcze nie znaczy, że może o nim zapomnieć. Znowu dotknie czepka wieczorem, czy może dopiero rano, a potem stanie obok niego we wspomnieniach i za pomocą jego zmysłów odszuka grób bezimiennej czarnej dziewczyny.

Ze spakowaną torbą zeszła schodami w dół.

Mama wciągnęła kołyskę do kuchni. Śpiewała cicho, równocześnie ugniatając ciasto na chleb. Huśtała kołyskę nogą, chociaż Arthur Stuart spał jeszcze mocno. Peggy zostawiła torbę pod drzwiami, weszła do kuchni i dotknęła ramienia mamy. W głębi serca miała nadzieję, że zobaczy, jak strasznie zmartwi się mama, kiedy odkryje, że Peggy odjechała. Ale nic z tego. Owszem, na początku okropnie się rozzłości, ale potem mniej będzie tęsknić, niż sama się tego spodziewa. Nowe dziecko zajmie jej myśli, odsunie troskę o córkę. Poza tym

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

mama wie dobrze, że Peggy potrafi o siebie zadbać. Że Peggy nie jest z tych, które trzeba prowadzić za rączkę. Za to Arthur Stuart jej potrzebuje.

Gdyby to po raz pierwszy Peggy się przekonała, jak mało obchodzi własną mamę, byłaby głęboko urażona. Ale przeżyła to już ze sto razy, więc się przyzwyczaiła, znała przyczyny i kochała mamę za to, że ma lepszą duszę niż wielu ludzi... I wybaczała mamie, że nie kocha jej bardziej.

- Kocham cię, mamo - szepnęła Peggy.

- Ja też cię kocham, dziecinko - odpowiedziała mama.

Nie obejrzała się nawet i nie odgadła, co planuje Peggy.

Tato jeszcze spał. W końcu nocą wykopał grób, a nawet go wypełnił.

Peggy napisała list. Czasem starała się wstawiać mnóstwo liter tak elegancko, jak to widziała w książkach, ale tym razem chciała mieć pewność, że tato sam wszystko sobie przeczyta. To znaczyło, że nie należy wpisywać zbędnych liter. Tylko tyle, żeby opisać dźwięk przy głośnym czytaniu.

Kocham was tato i mamo, ale musze iść. Wiem, że to źle zostawić Hatrak bez żagwi, ale byłam żagwio od szesnastu lat. Widziałam mojo pszyszłość i będę bespieczna nie marcie się o mnie.

Wyszła frontowymi drzwiami, postawiła torbę na drodze, a po ledwie dziesięciu minutach nadjechał swoim powozem doktor Whitley Physicker. Wyruszał w pierwszy etap podróży do Filadelfii.

- Nie czekałaś chyba na drodze specjalnie po to, żeby mi oddać tego pożyczonego Miliona - powiedział Whitley Physicker.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie, psze pana. Chcę prosić, żebyście zabrali mnie ze sobą do Dekane. Mam zamiar odwiedzić znajomą taty, ale jeśli nie przeszkadza wam moje towarzystwo, wolałabym raczej nie tracić pieniędzy na dyliżans.

Widziała, że się zastanawia, ale była pewna, że ją zabierze i nie przyjdzie mu do głowy pytać rodziców. Był takim człowiekiem, który dziewczynkę uważa za tyle samo wartą, co chłopak. Co więcej, lubił Peggy i traktował ją jak siostrzenicę. I wiedział, że Peggy nigdy nie kłamie, więc nie trzeba sprawdzać, co mówi.

Zresztą nie okłamała go - nie bardziej niż innych, kiedy nie mówiła im wszystkiego, co wiedziała. W Dekane mieszkała dawna kochanka taty, kobieta, o której marzył i przez

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

którą cierpiał. Owdowiała kilka lat temu, ale okres żałoby już minął, więc nie musi unikać towarzystwa. Peggy znała ją dobrze, od lat już obserwowała z daleka. Kiedy zapukam do niej, myślała, nie muszę nawet mówić, że jestem córką Horacego Guestera. Przyjmie nawet obcą, na pewno, zaopiekuje się mną i nie odmówi pomocy. Ale może jej powiem, kim jestem, skąd wiedziałam, że mogę przyjść, i jak tato wciąż żyje z bolesnym wspomnieniem swojej miłości do niej.

Powóz zaturkotał po zadaszonym moście, który jedenaście lat temu zbudowali ojciec i starsi bracia Alvina, kiedy rzeka porwała najstarszego z nich. Ptaki uwiły gniazda między krokwiami. Śpiewały szaloną, melodyjną, szczęśliwą piosenkę - przynajmniej tak brzmiała w uszach Peggy. Ćwierkot był głośny, jak wielka opera w jej wyobraźni. W Camelocie mieli operę. Może kiedyś pójdzie tam i posłucha, może zobaczy samego króla w jego loży.

A może nie. Bo pewnego dnia może odkryje ścieżkę wiodącą do tego przelotnego, ale pięknego snu. A wtedy będzie miała na głowie ważniejsze rzeczy, niż patrzeć na królów i słuchać melodii austriackiego dworu granej przez strojnych w koronki muzyków w eleganckiej operze w Camelocie. Alvin ważniejszy jest od nich wszystkich, jeśli tylko uwolni całą swoją moc i odgadnie, co powinien z nią uczynić. A Peggy przyszła na świat, by stać się częścią tego dzieła. Oto jak łatwo pogrążała się w marzeniach o nim. Zresztą, dlaczego nie? Marzenia te, choć krótkotrwałe i niełatwe do znalezienia, były prawdziwymi wizjami przyszłości. Największa radość i największy smutek wiązały się z tym chłopcem, który nie był jeszcze nawet mężczyzną i którego nigdy dotąd nie spotkała.

Jednak siedząc na koźle obok doktora Physickera, tłumiła takie wizje. Co będzie, to będzie, myślała. Jeśli znajdę tę ścieżkę, to dobrze, a jeśli nie, to nie. Teraz przynajmniej jestem wolna. Zwolniona ze służby dla Hatrack, zwolniona z budowania planów wokół tego chłopca. A co, jeśli uwolnię się od niego na zawsze? To całkiem możliwe. Dajcie mi tylko dość czasu, a zapomnę nawet o tym strzępku marzenia. Znajdę własną drogę, dobrą drogę do spokojnego końca. Nie muszę się naginać do jego krętej ścieżki.

Wypoczęte konie ciągnęły powóz tak raźnie, że wiatr szarpał i targał jej włosy. Zamknęła oczy i wyobrażała sobie, że leci - uciekinierka, która dopiero uczy się wolności.

Niech teraz beze mnie szuka swojej ścieżki do wielkości. I niech ja znajdę spokojne życie z dala od niego. Niech inna kobieta stanie obok niego w chwale. Niech inna kobieta uklęknie z płaczem na jego grobie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 3 - KŁAMSTWA

Przybywając do Hatrack River, jedenastoletni Alvin utracił swoje imię. W domu, w miasteczku Vigor Kościół, niedaleko miejsca, gdzie Chybotliwe Kanoe wlewa swoje wody do Wobbish, wszyscy wiedzieli, że jego ojcem jest Alvin, młynarz dla miasteczka i całej okolicy. Alvin Miller. Co jego imiennika, jego siódmego syna, czyniło Alvinem Juniorem. Ale teraz miał zamieszkać tam, gdzie nawet sześć osób nie spotkało w życiu jego taty. Nie trzeba imion takich jak Miller i Junior. Będzie po prostu Alvinem, zwykłym Alvinem, ale to samotne słowo budziło uczucie, jakby tylko w połowie pozostał sobą.

Przybył do Hatrack River pieszo, przez setki mil terytoriów Wobbish i Hio. Kiedy wyruszał z domu, miał na nogach parę solidnych rozchodzonych butów i worek zapasów na plecach. Pokonał w ten sposób pięć mil, potem zatrzymał się przed ubogą chatą i oddał żywność jej mieszkańcom. Jakąś milę dalej spotkał biedną rodzinę, wędrującą na zachód, na nowe ziemie w kraju Szumiącej Rzeki. Oddał im swój namiot i koc z worka. A że mieli trzynastoletniego syna mniej więcej wzrostu Alvina, ściągnął te solidne buty i oddał im je także, razem ze skarpetkami. Sobie zatrzymał tylko ubranie i pusty worek na plecach.

Ci ludzie gapili się na niego jak na wariata. Martwili się, że tato Alvina się wścieknie, kiedy się dowie, jak jego syn wszystko rozdaje. Alvin wyjaśnił, że to wszystko należy do niego i może z tym robić, co zechce.

- Jesteś pewien, że twój ojciec nie wyjdzie nam na spotkanie z muszkietem albo nas gdzieś nie zamkną? - zapytał ubogi mężczyzna.

- Na pewno nie, psze pana - odparł młody Alvin. - A to dlatego, że jestem z miasta Vigor Kościół, a ludzie stamtąd nie zechcą was widzieć, chyba że będą zmuszeni.

Prawie dziesięć sekund trwało, zanim sobie przypomnieli, że gdzieś już słyszeli o tym miasteczku.

- To ci od masakry nad Chybotliwym Kanoe - stwierdzili. - Ci, co mają krew na rękach.

Alvin kiwnął głową.

- Sami widzicie, że dadzą wam spokój.

- Czy to prawda, że każdemu podróżnemu każą słuchać tej strasznej, krwawej historii, jak to z zimną krwią wybili wszystkich Czerwonych?

- Ich krew nie była zimna - sprostował Alvin. - I opowiadają o tym tylko podróżnym, którzy zawędrują do samego miasta. Nie schodźcie z gościńca, zostawcie ich w spokoju,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

idźcie dalej. Kiedy przekroczycie Wobbish, znowu będziecie w okolicy, gdzie chętnie powitają osadników. Niecałe dziesięć mil stąd.

Nie protestowali już więcej. Nie pytali nawet, dlaczego on sam nie musi opowiadać tej historii. Wspomnienie masakry nad Chybotliwym Kanoe wystarczało, żeby każdy milkł - jakby usiadł w kościele. Jakby poczuł nabożny, wstydliwy szacunek. Bo chociaż większość Białych potępiała ludzi z rękami we krwi, którzy mordowali Czerwonych nad Chybotliwym Kanoe, wiedzieli, że na ich miejscu postąpiliby tak samo. I to ich ręce ociekałyby krwią, póki nie opowiedzieliby obcemu o swojej zbrodni. Przez tę wstydliwą świadomość niewielu podróżnych miało ochotę zatrzymywać się w Vigor Kościele albo budować chaty w kraju nad górną Wobbish. I ci biedacy też wzięli buty i namiot Alvina, po czym odeszli drogą, zadowoleni z kawałka płótna, który mogą rozciągnąć nad głową, i kawałka skóry na nogach swojego syna.

Wkrótce potem Alvin porzucił gościniec i zagłębił się w lesie, w samym sercu puszczy. Gdyby nosił buty, potykałby się, szeleścił, robił więcej hałasu niż bizon w krzakach... czyli tyle, ile zwykle robili wszyscy Biali. Ale że był boso, że dotykał skórą leśnego poszycia, stał się jakby innym człowiekiem. Kiedyś przebiegł za Ta-Kumsawem całą tę krainę z północy na południe i nauczył się przy nim, jak biegnie czerwony człowiek, słuchając zielonej pieśni żyjącego lasu, poruszając się w doskonałej harmonii z tą bezgłośną i słodką muzyką. Kiedy młody Alvin biegł w ten sposób, nie myśląc, gdzie postawić stopę, ziemia miękła mu pod nogami, puszcza prowadziła do celu, żadne patyki nie łamały się pod palcami, krzaki nie drapały, nie pękały odpychane gałęzie. Za sobą nie zostawiał żadnych śladów, nawet złamanego źdźbła.

Jak Czerwony... tak właśnie biegł. I po chwili ubranie białego człowieka zaczęło go uwierać. Zatrzymał się i rozebrał, wepchnął rzeczy do worka i ruszył nagi jak sójka, czując na ciele muśnięcia liści. Po chwili pochłonął go rytm biegu. Zapomniał o wszystkim prócz własnego ciała, stał się częścią lasu, pędził przed siebie mocniejszy i szybszy, bez picia i bez jedzenia. Jak Czerwony, który potrafi bez końca biec przez puszczę, bez odpoczynku pokonując setki mil w ciągu dnia.

Alvin wiedział, że to właśnie jest naturalny sposób podróży. Nie w skrzypiących, trzeszczących wozach, które turkoczą po suchym gruncie i grzęzną na błotnistych drogach. Nie na koniu, gdy zwierzę dyszy i poci się pod siodłem - niewolnik ludzkiego pośpiechu, nie zmierzający do żadnego własnego celu. Po prostu człowiek wśród lasu, bose stopy na ziemi, naga twarz wystawiona do wiatru. Człowiek śniący podczas biegu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Biegł przez cały dzień i całą noc, aż do rana. Jak znajdował drogę? Wyczuwał cięcie rozjeżdżonego gościńca po lewej stronie - niby zadrapanie czy ukłucie. I chociaż szlak wiódł przez wiele miasteczek i wsi, Alvin wiedział, że znajdzie go przed Hatrack. Przecież tą drogą podążała jego rodzina z nim, nowo narodzonym niemowlęciem, wznosząc mosty na każdej rzece i strumieniu. I chociaż nigdy tej drogi nie przemierzył i teraz też na nią nie patrzył, wiedział przecież, dokąd prowadzi.

Dlatego drugiego ranka przystanął na skraju lasu, na granicy pola zielonej falującej kukurydzy. Zresztą w tej zasiedlonej krainie tyle było farm, że puszcza i tak nie mogła dłużej podtrzymywać jego snu.

Stał tam przez chwilę, zanim sobie przypomniał, kim jest i dokąd zmierza. Muzyka lasu rozbrzmiewała głośno za plecami, przed nim zaś cichła nagle. Jedyne, co wiedział na pewno, to że przed nim leży miasto, a rzeka płynie może z pięć mil dalej. Tyle wyczuwał. Ale odgadł, że ta rzeka to Hatrack River, a zatem i miasto jest właśnie tym, gdzie miał się zjawić.

Planował dobiec lasem do samych jego granic. Teraz jednak nie miał wyboru - musiał przejść te ostatnie mile na nogach Białego albo wcale ich nie pokonać. Coś podobnego nigdy nie przyszłoby mu do głowy: na świecie istnieją miejsca tak gęsto zamieszkane, że jedna farma styka się z drugą i tylko rząd drzew albo płot znaczy granicę między nimi. Farma za farmą. Czy to właśnie zobaczył Prorok w swoich wizjach krainy? Zamordowana puszcza, a na jej miejscu te pola. Czerwony człowiek nie może już biegać, jeleń nie znajdzie kryjówki ani niedźwiedź barłogu na zimę. Jeśli tak, to nic dziwnego, że wszystkich swoich wiernych poprowadził na zachód, za Mizzipy. Tutaj nie było życia dla Czerwonych.

Alvin patrzył na to trochę smutny, a trochę przestraszony. Pozostawił za sobą żywą krainę, którą poznał tak dobrze, jak człowiek zna własne ciało. Ale nie był przecież filozofem. Był jedenastoletnim chłopcem i też chciał zobaczyć miasto, porządne i cywilizowane miasto na wschodzie. Poza tym miał tutaj sprawę, na której załatwienie czekał cały rok - odkąd się dowiedział, że jest taka dziewczyna, żagiew, która zobaczyła, jak zostaje Stwórcą.

Wyjął z worka ubranie i włożył je na siebie. Potem ruszył miedzą, aż dotarł do drogi. W miejscu, gdzie przecinała strumień, znalazł dowód, że to właściwy szlak: zadaszony most wznosił się nad wąskim potoczkiem, który dałoby się pokonać jednym skokiem. To jego ojciec i bracia zbudowali ten most i inne, podobne, na całej trasie z Hatrack do Vigor Kościoła. Zbudowali jedenaście lat temu, kiedy Alvin był niemowlakiem i ssał pierś mamy, a wóz toczył się na zachód.

Podążył tą drogą. Nie było tak znów daleko. Niedawno setki mil pokonał w dziewiczej puszczy, nie męcząc stóp. Ale droga nie miała nic wspólnego z zieloną pieśnią i

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

nie poddawała się jego krokom. Po paru milach bolały go nogi, był brudny, spragniony i głodny. Miał nadzieję, że już niedaleko. Inaczej zacznie żałować, że oddał buty.

Tablica przy drodze głosiła: Miasto Hatrack, Hio.

Miasto było spore w porównaniu z wioskami pogranicza. Oczywiście, nie mogło się równać z francuskim Detroit, ale tamto było cudzoziemskie, a to... no, amerykańskie. Domy i zabudowania wyglądały jak surowe budowle z Vigor Kościoła i innych osad, tyle że były wygładzone i rozrośnięte. Cztery ulice przecinały główną drogę, przy niej stał bank, parę sklepów, kościołów, a nawet sąd okręgowy i kilka domów z szyldami mówiącymi, że mieszka tu Prawnik, Doktor albo Alchemik. Jeżeli żyją tu ludzie wolnych zawodów, to jest to miasto prawdziwe, nie tylko rokujące nadzieje, jak Vigor Kościół przed masakrą.

Niecały rok temu zobaczył wizję miasta Hatrack. Wtedy, kiedy Prorok Lolla-Wossiky zabrał go do trąby powietrznej, którą przywołał nad jeziorem Mizogan. Ściany tornada zmieniły się wtedy w kryształ i Alvin widział w nich wiele rzeczy. Wśród nich właśnie Hatrack w czasach, kiedy się tam urodził. Oczywiście, przez jedenaście lat wiele się zmieniło. Właściwie niczego tu nie rozpoznawał. Miasto było wielkie i nikt chyba nie zauważył, że Alvin jest tu obcy. Nikt go nie powitał.

Minął już prawie połowę centrum, kiedy zrozumiał nagle, że to nie z powodu wielkości miasta ludzie nie zwracają na niego uwagi. Powodem był kurz na jego twarzy, bose nogi, pusty worek na plecach. Zerkali, oceniali go jednym spojrzeniem i odwracali głowy, jakby przestraszeni, że podejdzie i poprosi o chleb albo miejsce na nocleg. Alvin pojął to, choć jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś podobnym. W ciągu ostatnich jedenastu lat miasto Hatrack, Hio, nauczyło się odróżniać biednych od bogatych.

Gęsto zabudowana część miasta już się skończyła. Minął ją, a nigdzie nie zauważył ani jednego warsztatu kowala, którego szukać tu powinien. Nie zauważył też zajazdu, gdzie się urodził i którego szukał naprawdę. Przed sobą widział już tylko kilka świńskich farm, cuchnących jak zwykle świńskie farmy. Dalej droga skręcała trochę na południe i nic więcej nie mógł zobaczyć.

Kuźnia musi tu przecież być... Dopiero półtora roku temu Bajarz zabrał umowę terminatorską, którą tato spisał dla Makepeace'a, kowala z Hatrack River. A niecały rok temu Bajarz osobiście powiedział Alvinowi, że przekazał list i że Makepeace Smith jest przychylny. Takiego właśnie użył słowa - przychylny. Alvin nie zrozumiał tego z początku i myślał, że Makepeace Smith jest zgarbiony. Dopiero potem Bajarz mu wytłumaczył, o co chodzi. W każdym razie kowal mieszkał tu jeszcze rok temu. A żagiew z przydrożnego

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

zajazdu, którą zobaczył w kryształowej wieży Lolli-Wossiky - ona też musi tu być. Czy nie napisała w książce Bajarza "Narodził się Stwórca"? Kiedy spojrzał na te słowa, płonęły ogniem jak wyczarowane, jak wiadomość wypisana boską ręką na ścianie w tej biblijnej opowieści: "Podzielono, zważono, rozdzielono". I to się spełniło. Babilon się rozpadł. Moc proroctwa sprawiała, że litery tak świeciły. Jeśli zatem ów Stwórca to sam Alvin - a wiedział, że tak - to ta dziewczyna z pewnością więcej widziała swoim wzrokiem żagwi. Na pewno wie, czym naprawdę jest Stwórca i jak się nim stać.

Stwórca. Ludzie szeptem wymawiali to imię. Albo z żalem, jakby twierdząc, że świat skończył już ze Stwórcami i więcej ich nie będzie. Owszem, niektórzy uważali, że stary Ben Franklin był Stwórcą, ale on zaprzeczał temu aż do dnia swojej śmierci... i temu, że jest czarodziejem. Bajarz, który znał Bena jak ojca, twierdził, że Ben stworzył w życiu tylko jedno: Konwencję Amerykańską. Kawałek papieru, który związał razem kolonie szwedzkie i holenderskie z angielskimi i niemieckimi osadami z Pensylwanii i Suskwahenny, a co najważniejsze, również z narodem czerwonych Irrakwa. Razem utworzyli Stany Zjednoczone Ameryki, gdzie Czerwony i Biały, Holender, Szwed i Anglik, bogaty i biedny, kupiec i robotnik, wszyscy mogli głosować, wszyscy mogli przemawiać i nikt nie mógł nikomu powiedzieć: "Jestem lepszy od ciebie". Niektórzy uważali, że dzięki temu Ben Franklin jest najwspanialszym ze Stwórców, jacy kiedykolwiek chodzili po świecie. Ale nie, mówił Bajarz. Ben był raczej spoiwem, wiązadłem. Nie Stwórcą.

To ja jestem tym Stwórcą, o którym pisała żagiew. Dotknęła mnie, kiedy się rodziłem, i wiedziała, że mam w sobie materiał na Stwórcę. Muszę znaleźć tę dziewczynę. Urosła już, ma szesnaście lat. Musi mi powiedzieć, co widziała. Bo moc, którą mam w sobie, i wszystkie rzeczy, których mogę dokonać, mają jakiś ważniejszy cel niż cięcie kamieni bez użycia rąk, leczenie chorych i bieganie po lesie tak jak to potrafi każdy Czerwony, ale nikt z Białych. Czeka mnie w życiu praca, wielkie dzieło, a wciąż nie mam pojęcia, jak się do niego zabrać.

Stojąc tak na drodze między dwoma świńskimi farmami, Alvin usłyszał nagle ostre bim bom żelaza, uderzającego w żelazo. To prawie tak, jakby kowal zawołał go po imieniu. Tu jestem, mówił młot. Szukaj mnie przed sobą, przy drodze.

Zanim jednak Alvin dotarł do kuźni, tuż za zakrętem gościńca zobaczył zajazd, gdzie przyszedł na świat - wyraźny jak wizja z kryształowej wieży. Ze świeżo pobielonymi ścianami, błyszczał w słońcu przykurzony tylko pyłem lata. Nie wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, ale jego widok musiał budzić radość w znużonym wędrowcu.

A w nim radość podwójną, ponieważ w środku, przy odrobinie szczęścia, ta żagiew wytłumaczy mu, co powinien robić ze swoim życiem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin zapukał do drzwi, ponieważ sądził, że tak należy. Nigdy jeszcze nie zatrzymywał się w zajeździe i nie miał pojęcia, że istnieje izba dla gości. Zastukał raz, potem drugi, potem zawołał. Wreszcie drzwi się otworzyły. W progu stanęła kobieta z ubielonymi mąką rękami i w kraciastym fartuchu, kobieta tęga i wyraźnie rozzłoszczona nie do pojęcia... Jednak Alvin poznał ją. W wizji z kryształowej wieży właśnie ona wyciągnęła go z łona matki, własnymi palcami obejmując za szyję.

- Co ty sobie myślisz, mały, żeby tak walić do drzwi i wrzeszczeć, jakby się paliło? Czemu zwyczajnie nie wejdziesz i nie usiądziesz jak wszyscy inni? A może jesteś taki ważny, że służący musi drzwi przed tobą otwierać?

- Przepraszam, psze pani - odpowiedział z szacunkiem Alvin.

- A jakąż możesz mieć do nas sprawę? Jeśli jesteś żebrakiem, to muszę ci wyjaśnić, że nie dostaniesz żadnych resztek. Dopiero po kolacji. Ale proszę, możesz poczekać do tego czasu, a jeśli masz poczucie wdzięczności, mógłbyś narąbać nam trochę drewna. Tyle że kiedy tak patrzę na ciebie, jakoś nie wierzę, żebyś miał więcej niż czternaście lat...

- Jedenaście, psze pani.

- No, to duży jesteś jak na swój wiek, ale wciąż nie rozumiem, czego możesz tu szukać. Nie podam ci alkoholu, choćbyś nawet miał pieniądze, w co wątpię. To chrześcijański dom, a właściwie więcej niż chrześcijański, bo jesteśmy szczerymi metodystami. To znaczy, że nie tkniemy i nie podamy nikomu ani kropli. A choćby nawet, to na pewno nie dzieciom. I założę się o dziesięć funtów smalcu, że nie masz pieniędzy na nocleg.

- Nie, psze pani - przyznał Alvin. - Ale...

- No właśnie. Wyciągasz mnie z kuchni znad ciasta na chleb i od dziecka, które lada chwila zacznie płakać o mleko. A pewnie nie staniesz u stołu i nie wytłumaczysz moim gościom, że obiad się spóźnia z powodu pewnego chłopaka, który sam sobie drzwi nie potrafi otworzyć, o nie! Sama będę musiała przepraszać jak umiem najlepiej. To bardzo niegrzecznie z twojej strony, jeśli wolno mi tak powiedzieć, a nawet jeśli nie wolno.

- Psze pani - przerwał jej Alvin. - Nie chcę jedzenia i nie chcę noclegu.

Znał się na grzeczności wystarczająco, by nie dodawać, że wędrowców zawsze witano serdecznie w domu jego ojca, mieli pieniądze czy nie. A człowiek głodny nie dostawał resztek, o nie; siadał przy stole taty i jadł z całą rodziną. Alvin zaczynał rozumieć, że w cywilizowanym kraju wygląda to inaczej.

- Oferujemy tu tylko jedzenie i pokoje - oświadczyła oberży s tka.

- Przyszedłem tu, psze pani, bo w tym właśnie domu się urodziłem już prawie dwanaście lat temu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Kobieta zmieniła się natychmiast. Nie była już gospodynią w zajeździe. Była położną.

- Urodziłeś się w tym domu?

- W dniu, kiedy mój najstarszy brat Vigor zginął w wodach Hatrack River. Pomyślałem, że pamiętacie może ten dzień i pokażecie mi grób brata.

Jej twarz zmieniła się znowu.

- To ty - szepnęła. - Ty jesteś tym chłopcem, który się wtedy urodził... Siódmy syn...

- Siódmego syna - dokończył Alvin.

- Ależ wyrosłeś! Tak, co to był za dzień! Moja córka stała obok, patrzyła daleko i zobaczyła, że twój duży brat żyje jeszcze, kiedy ja wyciągałam cię z łona...

- Wasza córka. - Alvin zapomniał się i przerwał kobiecie w pół zdania. - Jest żagwią.

- Już nie jest - odpowiedziała lodowatym tonem.

Jednak Alvin prawie nie zauważył zmiany w jej głosie.

- To znaczy, że straciła talent? Ale jeśli tu jest, chciałbym z nią porozmawiać.

- Nie ma jej - oświadczyła gospodyni.

Alvin zrozumiał wreszcie, że nie chce mówić o córce. - Nie mamy już żagwi w Hatrack River. Dzieci przychodzą na świat i nikt ich nie dotyka, żeby sprawdzić, jak leżą w brzuchu matki. I tyle. Nie powiem ani słowa więcej o tej dziewczynie, która uciekła, zwyczajnie uciekła i...

Kobieta zająknęła się i odwróciła plecami do Alvina.

- Muszę wyrobić chleb - powiedziała. - Cmentarz jest tam, na wzgórku.

Odwróciła się ponownie, a na jej twarzy nie pozostał nawet ślad żalu, gniewu czy co tam czuła jeszcze przed sekundą.

- Gdyby tu był mój Horacy, pokazałby ci drogę. Ale sam trafisz. Jest ścieżka. To tylko rodzinny cmentarz z parkanem dookoła. - Złagodniała nagle. - Kiedy już skończysz, wróć tutaj. Podam ci coś lepszego niż resztki.

Szybkim krokiem wróciła do kuchni. Alvin podążył za nią.

Obok kuchennego stołu stała kołyska, a w niej leżało dziecko. Spało, chociaż wierciło się trochę. Było w nim coś dziwnego, chociaż Alvin nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

- Dziękuję za zaproszenie, psze pani, ale nie proszę o jałmużnę. Odpracuję wszystko, co zjem.

- Pięknie powiedziane... Jak prawdziwy mężczyzna. Twój ojciec był taki sam, a ten most, co go zbudował na Hatrack, ciągle tam stoi. Mocny jak wtedy. A teraz już idź, odwiedź cmentarz, a potem zaraz wracaj.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Pochyliła się nad wielką bułą ciasta na stolnicy. Alvin miał wrażenie, że przez chwilę płakała i może widział, a może i nie, łzy kapiące jej z oczu prosto do ciasta. To jasne, że chciała zostać sama.

Spojrzał na dziecko i zrozumiał, co w nim jest niezwykłego.

- To pikanińskie dziecko? - zapytał.

Przerwała ugniatanie, ale ręce miała do przegubów zagłębione w cieście.

- To dziecko - oznajmiła. - I to moje dziecko. Adoptowałam go i jest mój, a jeśli nazwiesz go pikaninem, ugniotę ci gębę jak to ciasto.

- Przepraszam, psze pani. Nie chciałem pani urazić. On ma taki odcień skóry, że wydawało mi się...

- Oczywiście, że jest półczarny. Ale to tę białą połowę wychowuję, jakby był moim własnym synem. Nazwaliśmy go Arthurem Stuartem.

Alvin natychmiast zrozumiał dowcip.

- A nikt nie może króla nazwać pikaninem, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Raczej nie. A teraz biegnij, mały. Jesteś coś winien swojemu bratu i lepiej spłać ten dług od razu.

Alvin bez trudu znalazł cmentarz i z satysfakcją przekonał się, że Vigor ma porządny nagrobek, a jego grób jest zadbany nie gorzej od pozostałych. Nie było ich wiele. Dwie płyty z tym samym imieniem: "Mała Missy", i datami mówiącymi o dzieciach, które umarły młodo. Na sąsiednim nagrobku było napisane "Dziadunio", pod spodem prawdziwe imię i daty mówiące o długim życiu.

I Vigor.

Alvin ukląkł przy grobie i spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądał Vigor. Wydawał mu się podobny do Measure'a, ukochanego brata, którego Czerwoni pojmali wraz z nim, Alvinem. Vigor musiał przypominać Measure'a. A może to Measure przypominał Vigora. Obaj gotowi na śmierć, gdyby zaszła potrzeba. Dla rodziny. Vigor ginąc, ocalił mi życie, myślał Alvin, zanim jeszcze się urodziłem. I walczył do ostatniego tchu, tak że przyszedłem na świat jako siódmy syn siódmego syna, a wszyscy moi starsi bracia wciąż żyli. Tyle samo poświęcenia, odwagi i siły okazał Measure, który przecież nie zabił ani jednego Czerwonego i który o mało co nie zginął, próbując zapobiec masakrze nad Chybotliwym Kanoe, a przecież wziął na siebie tę samą klątwę co jego ojciec i bracia: miał krew na rękach, jeśli obcemu przybyszowi nie opowiedział prawdziwej historii o rzezi wszystkich tych niewinnych

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Czerwonych. Dlatego kiedy Alvin klęczał przy grobie Vigora, miał wrażenie, że to Measure tu leży, choć Measure wcale nie umarł.

W każdym razie nie całkiem umarł. Ale jak pozostali mieszkańcy, nigdy już nie opuści Vigor Kościoła. Będzie żył do śmierci tam, gdzie nie musi spotykać obcych. Pod koniec na całe dni będzie mógł zapominać o zbrodni popełnionej zeszłego lata. Cała rodzina już tam pozostanie i wszyscy sąsiedzi; dożyją końca swych dni, aż umrą wszyscy nieszczęśni, dzieląc swą hańbę i samotność, jakby byli jedną rodziną. Wszyscy.

Wszyscy oprócz mnie. Na mnie klątwa nie ciąży. Pozostawiłem ich za sobą.

Klęcząc na małym cmentarzu, Alvin czuł się jak sierota. Mógłby nim być. Wysłany tutaj do terminu wiedział, że cokolwiek zrobi, cokolwiek uczyni, nikt z rodziny nie przybędzie go zobaczyć. Może od czasu do czasu wracać do domu, do tego posępnego miasteczka, ale ono bardziej przypominało cmentarz niż ta zielona łąka. Bo chociaż tutaj spoczywali umarli, w niedalekim mieście kwitło życie i nadzieja, ludzie patrzyli w przyszłość zamiast oglądać się za siebie.

Alvin także powinien spoglądać w przyszłość. Musiał odkryć drogę do celu, dla którego przyszedł na świat. Zginąłeś za mnie, Vigorze, bracie, którego nigdy nie spotkałem. A ja jeszcze nie wiem, dlaczego to takie ważne, abym żył. Odkryję to kiedyś i mam nadzieję, że będziesz ze mnie dumny. Przekonasz się, mam nadzieję, że warto było za mnie umierać.

Kiedy przemyślał już sobie wszystkie te sprawy, kiedy serce wypełniło się żalem i opróżniło ponownie, Alvin zrobił coś, czego jeszcze nigdy nie próbował. Zajrzał pod ziemię.

Niczego nie rozkopywał. Taki miał dar, że nie patrząc, mógł wyczuć, co jest pod ziemią. Jak wtedy, gdy zaglądał do wnętrza kamienia. Teraz chciał zobaczyć, gdzie spoczywa ciało brata. Niektórzy mogliby wziąć to za coś w rodzaju okradania grobów, ale przecież w żaden inny sposób nie mógł popatrzeć na człowieka, który zginął, aby go ocalić.

Dlatego zamknął oczy, spojrzał pod ziemię i znalazł zwłoki w przegniłej drewnianej trumnie. Przekonał się, że Vigor był dużym chłopcem - inaczej nie zdołałby odepchnąć i przekręcić drzewa w rwącym strumieniu wody. Ale duszy Vigora tam nie było. I chociaż Al z góry o tym wiedział, był trochę rozczarowany.

Potem tajemne spojrzenie powędrowało do maleńkich ciał, ledwie się trzymających własnych prochów, i do zwłok Dziadunia, kimkolwiek był, świeżo - najwyżej rok temu - złożonych w ziemi.

Jednak nie tak świeżo jak to drugie ciało. Ciało bez nagrobka. Martwe najwyżej od wczoraj. Mięso wciąż trzymało się kości dziewczyny, a robaki nie zaczęły jej jeszcze pożerać.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin krzyknął zaskoczony i przerażony oczywistym domysłem. Czy to możliwe, że leży tu pogrzebana dziewczyna-żagiew? Jej matka twierdziła, że uciekła, ale kiedy ludzie uciekają, często się zdarza, że wracają martwi. Inaczej czemu by matka była zrozpaczona? Córka oberżysty pochowana bez nagrobka... To świadczyło o rzeczach strasznych. Czyżby uciekła i taką okryła się hańbą, że rodzice nie zaznaczyli jej grobu? No bo niby dlaczego?

- Co z tobą, chłopcze?

Alvin wstał i odwrócił się. Przed nim stał tęgi mężczyzna, z takich, co to od pierwszego wejrzenia budzą przyjazne uczucia. Choć w tej chwili minę miał niezbyt przyjazną.

- Co robisz na tym cmentarzu?

- Proszę pana - odparł Alvin. - Tutaj jest pochowany mój brat. Mężczyzna zastanowił się i uspokoił.

- Pochodzisz z tej rodziny... Ale przecież już wtedy wszyscy ich chłopcy byli starsi niż ty teraz...

- Jestem tym, który się urodził tamtej nocy.

Mężczyzna chwycił Alvina w ramiona.

- Dali ci na imię Alvin, prawda? - zapytał. - Jak twojemu ojcu. Tutaj nazywamy go Alvinem Budowniczym Mostów. Jest legendą. Niech popatrzę, jaki wyrosłeś. Siódmy syn siódmego syna wraca zobaczyć miejsce swych narodzin i grób brata. Oczywiście, zostaniesz w moim zajeździe. Jestem Horacy Guester, jak już pewnie zgadłeś. Cieszę się, że cię poznałem. Ale czy nie jesteś trochę duży jak na... ile? Dziesięć, jedenaście lat?

- Prawie dwanaście. Wszyscy mówią, że jestem wysoki.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z tego nagrobka, co go postawiliśmy twojemu bratu. Podziwialiśmy go tutaj, choć poznaliśmy dopiero po śmierci, nigdy za życia.

- Jestem zadowolony - potwierdził Alvin. - To dobry kamień. - A potem, ponieważ nie mógł się powstrzymać, chociaż wiedział, że to niemądre, zadał pytanie, które najbardziej go męczyło: - Ale nie rozumiem, psze pana, dlaczego pochowaliście tu wczoraj dziewczynę, a jej grobu nie znaczy żaden kamień ani krzyż.

Horacy Guester pobladł nagle.

- Oczywiście, że to widzisz - szepnął. - Przenikacz albo co. Siódmy syn. Boże, ratuj nas wszystkich.

- Czy postąpiła haniebnie, że nie ma nagrobka?

- Nie haniebnie - zapewnił go Horacy. - Bóg mi świadkiem, chłopcze, że ta dziewczyna żyła szlachetnie i umarła bez grzechu. Nie zaznaczyliśmy jej grobu, żeby ten dom

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

nadal mógł być schronieniem dla innych takich jak ona. Ale proszę cię, chłopcze, nie mów nikomu, że znalazłeś ją tutaj. Skazałbyś na cierpienie dziesiątki i setki zagubionych dusz podążających drogą z niewoli ku wolności. Czy uwierzysz mi, zaufasz i zostaniesz mi przyjacielem w tej sprawie? Zbyt wielkie byłoby to cierpienie, jednego dnia stracić córkę i dopuścić do wydania tego sekretu. A że przed tobą nie mogę zachować tajemnicy, ty musisz dochowywać jej ze mną, Alvinie. Powiedz, że tak.

- Dochowam, jeśli to honorowy sekret - obiecał Alvin. - Ale jaki honorowy sekret każe człowiekowi własną córkę grzebać bez kamienia?

Horacy szeroko otworzył oczy, a potem roześmiał się głośno, jakby wzywał do siebie oszalałe ptaki. Po chwili uspokoił się i klepnął Alvina po ramieniu.

- To nie moja córka spoczywa tu w ziemi, chłopcze. Skąd ci to przyszło do głowy? To czarna dziewczyna, zbiegła niewolnica, która umarła zeszłej nocy w drodze na północ.

Dopiero teraz Alvin uświadomił sobie, że ciało było za małe na szesnastolatkę. To było ciało dziecka.

- Ten maluch w waszej kuchni to jej brat?

- Jej syn - odparł Horacy.

- Przecież jest taka mała...

- To nie powstrzymało jej białego pana. Nie wiem, co sądzisz o niewolnictwie, ale proszę, żebyś się teraz zastanowił. Pomyśl o tym, co pozwala Białemu pozbawić dziewczynę cnoty i nadal chodzić w niedzielę do kościoła, gdy ona jęczy ze wstydu i rodzi dziecko-bękarta.

- Jesteście Mancypacjonistą, prawda? - domyślił się Alvin.

- Pewnie jestem - przyznał oberżysta. - Ale pewnie wszyscy dobrzy chrześcijanie są w głębi serca Mancypacjonistami.

- Pewnie tak.

- Mam nadzieję, że ty jesteś. Bo gdyby się rozeszło, że pomagaliśmy niewolnicy uciec do Kanady, będą mnie szpiegować odszukiwacze i łapacze od Appalachee po Kolonie Korony. Nikomu nie zdołam już pomóc.

Alvin zerknął na grób i pomyślał o dziecku w kuchni.

- Powiecie temu małemu, gdzie leży jego matka?

- Kiedy będzie dość duży, żeby wiedzieć i nie powtórzyć - odparł mężczyzna.

- W takim razie dochowam waszego sekretu, jeśli wy dochowacie mojego.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Jaki możesz mieć sekret, Alvinie? Taki chłopiec jak ty...

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie mam ochoty, żeby wszyscy tu wydziwiali, jak to jestem siódmym synem. Przyszedłem terminować u Makepeace'a Smitha. To chyba jego słyszałem, kuł w kuźni niedaleko stąd.

- I wolałbyś, żeby ludzie nie wiedzieli, że umiesz wypatrzeć ciało leżące w nie oznaczonym grobie.

- Dokładnie zrozumieliście. Nie zdradzę waszego sekretu, a wy nie zdradzicie mojego.

- Masz moje słowo - oświadczył mężczyzna. I wyciągnął rękę. Alvin ujął jego dłoń i uścisnął mocno. Większość dorosłych nie pomyślałaby nawet, żeby dobijać targu z takim dzieciakiem. Ale ten człowiek podał mu rękę, jakby byli sobie równi.

- Zobaczycie, że umiem dotrzymać słowa - zapewnił Alvin.

- A w tej okolicy wszyscy ci powiedzą, że Horacy Guester nie łamie obietnic.

Po czym Horacy opowiedział mu, jak to mówią dookoła, że malec to najmłodszy dzieciak Berrych i że oddali go na wychowanie starej Peg, bo sami mają dość, a ona zawsze chciała mieć syna.

- To akurat szczera prawda - dodał Horacy Guester. - Zwłaszcza teraz, kiedy Peggy uciekła.

- Wasza córka - domyślił się Alvin.

I nagle oczy Horacego wypełniły się łzami. Barki mu zadrżały od szlochu. Alvin jeszcze nie widział, żeby dorosły tak płakał.

- Odeszła dziś rano - szepnął Horacy.

- Może chciała tylko odwiedzić kogoś w mieście albo co...

Horacy pokręcił głową.

- Wybacz, że tak się popłakałem. Przepraszam. Jestem okropnie zmęczony, prawdę mówiąc, a na dodatek rano dowiaduję się, że jej nie ma. Zostawiła nam list. Odeszła, to pewne.

- Znacie tego człowieka, z którym uciekła? Może się pobiorą? To już się zdarzało, na przykład tej szwedzkiej dziewczynie w kraju Szumiącej Rzeki...

Horacy poczerwieniał lekko ze złości.

- Jesteś młody, więc nie wiesz, że lepiej nie mówić takich rzeczy. Powiem ci od razu, że nie uciekła z żadnym mężczyzną. To dziewczyna cnotliwa i nikt nie śmiałby twierdzić inaczej. Nie, mój chłopcze. Uciekła samotnie.

Alvin pomyślał, że widział wiele niezwykłych rzeczy: trąbę powietrzną zmienioną w kryształową wieżę, pas płótna z wplecionymi w nie duszami wszystkich mężczyzn i kobiet, morderstwami i torturami, opowieściami i cudami. Znał życie lepiej niż większość

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

jedenastoletnich chłopców. Ale to było najdziwniejsze ze wszystkiego: dziewczyna porzucająca dom ojca bez męża ani nikogo. Nigdy jeszcze nie widział kobiety, która samotnie wyrusza gdziekolwiek poza własne podwórko.

- Czy ona... czy jest bezpieczna?

Horacy zaśmiał się gorzko.

- Bezpieczna? Oczywiście. Jest żagwią, Alvinie, najlepszą, o jakiej słyszałem. Widzi ludzi na całe mile, zna ich serca. Nie urodził się jeszcze taki, co mógłby podejść do niej ze złością w duszy, a ona by nie wiedziała od razu, co zamierza. Nie, to nie o nią się martwię. Lepiej o siebie zadba niż niejeden mężczyzna. Tylko że...

- Tęsknicie za nią - podpowiedział chłopiec.

- Nie trzeba chyba żagwi, żeby to zgadnąć. Dobrze mówię, chłopcze? I trochę mnie zraniła, że tak zwyczajnie wstała rano i odeszła. Nikogo nie uprzedziła. Mógłbym ją pobłogosławić na drogę. Jej mama wyrysowałaby jakiś dobry heks. Co prawda małej Peggy to niepotrzebne, ale przynajmniej zapakowałaby jej jedzenie na drogę. Ale nic z tego. Żadnego bądźcie-zdrowi ani zostańcie-z-Bogiem. Zupełnie jakby uciekła przed jakimś potworem i miała tylko tyle czasu, żeby do węzełka zabrać zapasową sukienkę i wybiec za drzwi.

Uciekła przed potworem. Te słowa ukłuły Alvina w samo serce. Była taką żagwią, że mogła zobaczyć, jak przybywa Alvin. I uciekła tego dnia, kiedy dotarł do celu. Gdyby nie była żagwią, mógłby to być przypadek, że zniknęła akurat dzisiaj. Ale była. Zobaczyła go. Wiedziała, że nadchodzi z nadzieją, że ją spotka i będzie błagał, by mu pomogła stać się tym, kim się urodził. Zobaczyła to wszystko i uciekła.

- Bardzo mi przykro, że jej nie ma.

- Dziękuję ci za współczucie, przyjacielu. To ładnie z twojej strony. Mam tylko nadzieję, że to nie na długo. Że zrobi, co sobie zaplanowała, i wróci. Może za parę dni, może tygodni. - Zaśmiał się znowu czy może załkał, co brzmiało prawie tak samo. - Nie mogę nawet zapytać żagwi w Hatrack River o jej przyszłość, bo to właśnie żagiew odeszła.

Horacy znów się rozpłakał. Potem chwycił Alvina za ramiona i spojrzał mu w oczy, nie próbując nawet ukrywać łez.

- Alvinie, zapamiętaj, że widziałeś mnie, jak płaczę nie po męsku. I wiedz, że tak czują się ojcowie, kiedy odchodzą ich dzieci. Twój tato tak czuje się teraz, kiedy ty jesteś daleko.

- Wiem - odparł Alvin.

- A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym zostać tu sam.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin położył mu dłoń na ramieniu, tylko na chwilę, i odszedł. Nie w dół, do zajazdu, na obiad obiecany przez Peg Guester. Był zbyt poruszony, żeby siąść z nimi do stołu. Jak mógłby wyjaśnić, że jemu także ucieczka żagwi złamała serce? Nie, musiał to zmilczeć. Odpowiedzi, jakich szukał w Hatrack River, zniknęły wraz z szesnastoletnią dziewczyną, która nie chciała się z nim spotkać.

Może poznała moją przyszłość i teraz mnie nienawidzi? Może jestem paskudnym potworem, o jakim nikomu się nie śniło?

Podążył za głosem kowalskiego młota. Doprowadził go do źródlanej szopy łączącej brzegi strumienia wypływającego ze zbocza. Ruszył z prądem po łące, aż doszedł do kuźni. Gorący dym unosił się z paleniska. Alvin zaszedł od frontu i zobaczył kowala za szerokimi, rozsuwanymi drzwiami: przekuwał gorący żelazny pręt w zakrzywioną podkowę.

Alvin przyglądał mu się z ciekawością. Nawet tutaj wyczuwał żar ognia; w środku musi być gorąco jak w piekle. Mięśnie kowala przypominały pięćdziesiąt różnych okrytych skórą powrozów trzymających ramię. Przemieszczały się i przesuwały względem siebie, kiedy młot wznosił się w górę, potem napinały równocześnie, kiedy opadał. Stojąc blisko, Alvin z trudem wytrzymywał straszny huk żelaza o żelazo, kowadło niby kamerton podtrzymywało dźwięk. Pot ściekał z ciała kowala. Rozebrany do pasa, białą skórę miał zaczerwienioną od żaru, poznaczoną sadzami z paleniska i strużkami potu. Przysłali mnie na naukę do diabła, pomyślał Alvin.

Ale od razu wiedział, że to głupia myśl. Miał przed sobą ciężko pracującego człowieka, nic więcej. Zarabiającego na życie sztuką potrzebną każdej osadzie, jeśli miała się rozwijać. Sądząc po wielkości zagród dla koni czekających na nowe podkowy i po stosach prętów czekających na przekucie w pługi, sierpy, topory i tasaki, ten człowiek nie narzekał na brak zleceń. Jeśli nauczę się tego fachu, myślał Alvin, nigdy nie zaznam głodu, a ludzie będą mnie witać z radością.

I jeszcze coś. Coś związanego z gorącym ogniem i czerwonym żelazem. To, co działo się w tym miejscu, było jakoś zbliżone do tworzenia. Alvin pamiętał, jak pracował z granitową skałą, kiedy ciosał młyński kamień do ojcowskiego młyna. Potrafiłby pewnie sięgnąć do wnętrza żelaza i skłonić je, by ukształtowało się wedle jego woli. Jednak powinien się czegoś nauczyć przy kowadle i młocie, miechach i palenisku, wodzie w wiadrach... czegoś, co pomoże mu wypełnić przeznaczenie.

Dlatego patrzył teraz na kowala nie jak na potężną obcą istotę, ale jak na samego siebie w przyszłości. Widział, jak ukształtowały się mięśnie na grzbiecie i ramionach kowala. Sam był silny. Rąbał drwa, stawiał płoty, dźwigał i przenosił na farmach sąsiadów, żeby

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

zarobić kilka miedziaków. Jednak przy takiej pracy całe ciało włączało się w każdy ruch. Człowiek wznosił siekierę, a potem opuszczał ją tak, jakby było częścią styliska. Nogi, biodra i grzbiet wspomagały uderzenie. Ale kowal trzymał w kleszczach rozżarzone żelazo, trzymał równo i nieruchomo na kowadle, a kiedy prawa ręka uderzała młotem, reszta ciała nie mogła nawet drgnąć, lewe ramię pozostawało niewzruszone jak skała. Taka praca inaczej formowała mięśnie, ramiona stawały się silniejsze, mięśnie zaczepione na barkach i mostku sterczały tak, jak nigdy u parobka na farmie.

Alvin zbadał siebie. Sprawdził, jak rosną mięśnie, i od razu pojął, jakich potrzeba im zmian. To był element jego daru: w żywym ciele znajdował drogę prawie tak łatwo, jak widział ją w wewnętrznych strukturach żywej skały. I już teraz skupił się, ucząc ciało, jak się przemienić i przystosować do nowej pracy.

- Chłopcze - zawołał kowal.

- Tak, psze pana - odpowiedział Alvin.

- Masz do mnie jakiś interes? Nie znam cię, prawda?

Alvin podszedł i wyciągnął list od taty.

- Przeczytaj mi, chłopcze. Oczy mam już nie najlepsze.

Alvin rozłożył papier.

Od Alvina Millera z Vigor Kościola. Do Makepeace'a, kowala w Hatrack River. Oto mój chłopak, Alvin, co o nim mówiliście, że może u was terminować, póki nie skończy siedemnastego. Będzie pracował ciężko i robił, co mu każecie, a wy nauczycie go być dobrym kowalem, jak w tej umowie, co ją podpisałem. To dobry chłopak.

Kowal sięgnął po list i przyjrzał mu się z bliska. Poruszał wargami, odczytując niektóre zdania. Potem z rozmachem położył papier na kowadle.

- No, ładnie - mruknął. - Nie wiesz, chłopcze, że spóźniłeś się o rok? Miałeś się zjawić zeszłej wiosny. Odrzuciłem trzy propozycje terminowania, bo miałem słowo twojego taty, że przyjedziesz. I tak przez cały rok zostałem bez pomocy, bo on tego słowa nie dotrzymał. A teraz mam cię przyjąć na jeden rok krócej niż w kontrakcie, i to nawet bez "jeśli się zgodzicie" albo "za przeproszeniem".

- Przykro mi, psze pana - powiedział Alvin. - Ale w zeszłym roku mieliśmy wojnę. Jechałem tutaj, kiedy porwali mnie Choc-Ta-wowie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Porwali cię... Daj spokój, mały, nie opowiadaj mi takich głupot. Gdyby Choc-Tawowie cię złapali, nie miałbyś teraz takich eleganckich włosów na głowie. I na pewno brakowałoby ci paru palców.

- Ta-Kumsaw mnie uratował - wyjaśnił Alvin.

- I pewnie spotkałeś samego Proroka i chodziłeś z nim po wodzie?

Alvin to właśnie robił. Ale z tonu głosu kowala zorientował się, że lepiej o tym nie wspominać. Dlatego milczał.

- Gdzie twój koń?

- Nie mam konia.

- Twój ojciec wpisał datę na tym liście. Dwa dni temu! Musiałeś przyjechać konno.

- Biegłem.

Ledwie Alvin to powiedział, zrozumiał, że popełnił błąd.

- Biegłeś? - powtórzył kowal. - Boso? Z Wobbish tutaj musi być prawie czterysta mil! Stopy miałbyś porozrywane na strzępy, aż po kolana. Nie gadaj takich rzeczy, chłopcze! Nie chcę kłamców w moim domu!

Alvin stanął przed wyborem. Mógł wytłumaczyć, że potrafi biegać jak Czerwony. Makepeace Smith by nie uwierzył, więc Alvin musiałby mu pokazać, do czego jest zdolny. To nietrudne. Pogłaskać żelazny pręt i zgiąć go. Złożyć razem dwa kamienie, żeby połączyły się w jeden. Jednak Alvin postanowił nie ujawniać tutaj swego daru. Jak mógłby być dobrym uczniem, gdyby ludzie wciąż przychodzili prosić, żeby wyciosał im kominki, naprawił złamane koło albo robił to wszystko, do czego miał talent? Poza tym nigdy jeszcze się nie przechwalał, co potrafi. W domu wykorzystywał swój dar tylko wtedy, kiedy powinien.

Dlatego wolał nie mówić, do czego jest zdolny. Uczyć się jak zwyczajny chłopak, obrabiać żelazo sposobem kowala, pozwolić mięśniom rozwijać się powoli na ramionach, barkach i grzbiecie.

- Żartowałem - oświadczył. - Jakiś człowiek zabrał mnie na luzaka.

- Nie podobają mi się takie żarty - stwierdził kowal. - I nie podoba mi się, że tak łatwo przychodzi ci kłamstwo.

Co Alvin mógł na to odpowiedzieć? Nie mógł nawet protestować, że wcale nie kłamał - bo przecież skłamał mówiąc, że ktoś go tu podwiózł. Czyli był takim właśnie kłamcą, za jakiego wziął go kowal. Pomylił się tylko co do tego, które zdanie było kłamstwem.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie wezmę cię, chłopcze. I tak nie muszę cię przyjmować po roku spóźnienia. A w dodatku przychodzisz i od razu kłamiesz. Nic z tego.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Przepraszam pana - powtórzył Alvin. - To się więcej nie zdarzy. W domu nie uważają mnie za kłamczucha i przekona się pan, że i tutaj poznają moją uczciwość. Proszę mi tylko dać szansę. Jeśli złapiecie mnie na oszustwie albo zobaczycie, że nie przykładam się do pracy jak należy, bez żadnego gadania możecie mnie wyrzucić.

- Nie wyglądasz na jedenaście lat, mały.

- Ale mam tyle, psze pana. Wiecie o tym. Wy sami, własnoręcznie wyciągaliście z rzeki ciało mojego brata Vigora tamtej nocy, kiedy przyszedłem na świat. Przynajmniej tato tak mówi.

Oczy kowala zaszły mgłą, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

- Tak, prawdę powiedział. To ja go wyciągnąłem. Nawet po śmierci ściskał korzenie tego drzewa. Myślałem już, że będę go musiał wycinać. Podejdź tu, chłopcze.

Alvin zbliżył się. Kowal zbadał mu muskuły.

- Widzę, że nie jesteś leniwy. Lenie są słabi, a ty jesteś silny jak ciężko pracujący farmer. Co do tego nie możesz chyba kłamać. Ale i tak nie widziałeś jeszcze, co to jest prawdziwa praca.

- Jestem gotów się uczyć.

- W to nie wątpię. Wielu chłopców chętnie by się ode mnie uczyło. Inna praca trafi się albo i nie, ale kowal zawsze jest potrzebny. To się nie zmienia. Owszem, masz dość siły. Zobaczymy, czy także dość rozsądku. Popatrz na kowadło. To tutaj na końcu to dwuróg, rozumiesz? Powtórz.

- Dwuróg.

- A to gardziel. To stół... Nie jest pokryty stalą tyglową, żeby dłuto się nie stępiło, kiedy w nią uderzy. Tu mamy karb w stole, gdzie można pracować z gorącym żelazem. To otwór na przecinak, gdzie wkładamy koniec wydłużaka, gładzika i foremnika. A to otwór punktaka, bo kiedy wybijam dziury w żelaznej taśmie, właśnie tutaj trafia punktak. Zapamiętałeś to wszystko?

- Chyba tak, psze pana.

- W takim razie pokaż mi części kowadła.

Alvin wymienił je jak najlepiej potrafił. Nie pamiętał ich funkcji, ale poszło mu chyba nieźle, bo kowal z uśmiechem pokiwał głową.

- Chyba nie jesteś przygłupkiem. Uczysz się szybko. To dobrze, że jesteś duży jak na swój wiek. Nie muszę przez pierwsze cztery lata trzymać cię przy miotle i miechach, jak mniejszych chłopców. Ale twój wiek... to kłopot. Normalnie uczniowie terminują u mnie siedem lat, ale twój tata pisze w umowie, że póki nie skończysz siedemnastu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Mam już prawie dwanaście, psze pana.

- Dlatego słuchaj uważnie. W razie potrzeby chcę cię tu zatrzymać na pełne siedem lat. Nie życzyłbym sobie, żebyś wyprysnął gdzieś, kiedy tylko dość się nauczysz, żeby się na coś przydać.

- Siedem lat, psze pana. Na wiosnę, kiedy będę miał prawie dziewiętnaście, wtedy skończy się termin.

- Siedem lat to kawał czasu, mój chłopcze, a nie zapomnę, co mi dziś obiecałeś. Większość moich uczniów zaczyna, kiedy mają po dziewięć czy dziesięć lat. W wieku szesnastu czy siedemnastu mogą zarobić na życie i zacząć się rozglądać za żoną. Ty nawet o tym nie myśl. Spodziewam się, że będziesz tu żył po chrześcijańsku. Żadnego uganiania się za dziewczętami z miasta. Jasne?

- Tak, psze pana.

- No, to w porządku. Moi terminatorzy sypiają na stryszku nad kuchnią. Jeść będziesz przy stole, z moją żoną, dziećmi i ze mną. Chociaż byłbym wdzięczny, gdybyś w domu nie odzywał się nie pytany. Nie życzę sobie, żeby moi terminatorzy myśleli, że mają takie same prawa jak moje dzieci. Bo nie mają.

- Tak, psze pana.

- A na razie muszę na nowo rozgrzać tę taśmę. Zatem bierz się do miechów.

Alvin podszedł do uchwytu miecha. Miał kształt litery T, żeby można było pompować oburącz. Lecz Alvin przekręcił ją, aż miała taki sam kąt jak trzonek młota, kiedy kowal unosił go w górę. A potem zaczął dmuchać w miechy jedną ręką.

- Co ty wyprawiasz, mały! - wykrzyknął jego nowy mistrz. - Nawet dziesięciu minut nie wytrzymasz z jedną ręką.

- W takim razie za dziesięć minut zmienię na lewą - odparł Alvin. - Ale nie przygotuję się do pracy młotem, jeśli ciągle będę się zginał przy miechach.

Kowal spojrzał gniewnie. A potem wybuchnął śmiechem.

- Masz niewyparzoną gębę, mój mały, ale masz też zdrowy rozum. Rób po swojemu, jak długo dasz radę, ale pilnuj, żeby równo dmuchać. Potrzebny mi gorący ogień, a to ważniejsze, niż żebyś tak od razu wyrabiał sobie siłę w ramionach.

Alvin zaczął pompować. Po chwili czuł ból od wysiłku, do jakiego nie był przyzwyczajony - ból kąsający w szyję, pierś i grzbiet. Ale pracował dalej, nie zmieniając rytmu. Uczył ciało wytrwałości. Mógłby od razu rozwinąć właściwe mięśnie, skorzystać ze swej ukrytej mocy i nakazać im wzrost. Ale nie po to zjawił się tutaj - tego był prawie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

pewien. Dlatego pozwolił, żeby ból nadszedł, kiedy zechce, żeby ciało przekształciło się, jak zechce, żeby każdy nowy mięsień rozrastał się własnym wysiłkiem.

Wytrzymał piętnaście minut z prawą ręką, dziesięć minut z lewą. Czuł obolałe mięśnie i podobało mu się to uczucie. Makepeace Smith wydawał się zadowolony. Alvin wiedział, że zmieni się tutaj, że praca uczyni go silnym i sprawnym mężczyzną.

Mężczyzną, ale nie Stwórcą. Jeszcze nie całkiem stanął na ścieżce do celu, dla którego przyszedł na świat. Ale przecież na świecie już tysiąc lat albo i więcej nie było żadnego Stwórcy. Do kogo miał pójść do terminu, żeby nauczyć się tego fachu?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 4 - MODESTY

Whitley Physicker pomógł Peggy wysiąść z powozu przed pięknym domem w jednej z najlepszych dzielnic Dekane.

- Wolałbym odprowadzić cię do drzwi, Peggy Guester - oświadczył. - Upewnić się, że są w domu, aby cię przywitać.

Nie spodziewał się jednak, że mu na to pozwoli, i ona o tym wiedziała. Jeśli już ktoś zdawał sobie sprawę, jak bardzo Peggy nie lubi, żeby robić wokół niej zamieszanie, to właśnie doktor Whitley Physicker. Podziękowała mu więc uprzejmie i pożegnała się.

Pukając do drzwi, słyszała odjeżdżający powóz i stuk końskich kopyt na bruku. Otworzyła jej pokojówka, niemiecka dziewczyna, która niedawno zeszła ze statku i nie znała nawet tyle angielskiego, żeby zapytać Peggy o nazwisko. Zaprosiła ją gestem, usadziła na ławie w holu, po czym podsunęła srebrną tacę.

Po co ta taca? Peggy nie mogła zrozumieć tego, co widziała w myślach cudzoziemskiej dziewczyny. Czekała... na co? Małą kartkę papieru... Ale Peggy nie miała pojęcia, dlaczego. Dziewczyna przysunęła tacę bliżej, nalegając. Peggy mogła najwyżej wzruszyć ramionami.

Wreszcie Niemka zrezygnowała i odeszła. Peggy siedziała na ławie i czekała. Rozejrzała się za płomieniami serc i znalazła ten, którego szukała. Dopiero wtedy pojęła, po co była ta taca: na jej wizytówkę. Ludzie z miasta, przynajmniej ci bogaci, mieli małe kartoniki, na których wypisywali swoje nazwisko. W ten sposób się zapowiadali, kiedy przychodzili z wizytą. Peggy przypomniała sobie nawet, że czytała o tym w książce z Kolonii Korony. Nie przypuszczała, że mieszkańcy wolnych krajów podtrzymują takie obyczaje.

Po chwili zjawiła się pani domu. Młoda Niemka podążała za nią jak cień, zerkając zza pięknej sukni. Po płomieniu serca damy Peggy poznała, że ta nie uważa swojego stroju za wyjątkowo wspaniały. Jednak dla Peggy była jak sama królowa.

Peggy zajrzała w jej płomień serca i znalazła to, na co liczyła: dama wcale się nie rozzłościła, widząc ją w holu. Była tylko zaciekawiona. Oczywiście, oceniała ją - Peggy nie spotkała jeszcze żywej duszy, która nie wydawałaby jakiegoś sądu o napotkanym człowieku - ale tutaj osąd był łagodny. Patrząc na prostą sukienkę Peggy, dama widziała wiejską dziewczynę, nie nędzarkę. Patrząc na jej surową, chłodną twarz, dama widziała dziecko, które poznało ból, nie brzydką dziewczynę. A kiedy dama wyobraziła sobie cierpienie Peggy, jej

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

pierwszą myślą było pocieszyć ją. W ogóle dama była dobrą kobietą. Peggy nie pomyliła się, przychodząc tutaj.

- Nie sądzę, żebym miała już przyjemność cię poznać - powiedziała dama. Głos miała słodki, łagodny i piękny.

- Raczej nie, pani Modesty - odparła Peggy. - Mam na imię Peggy. Myślę, że znała się pani z moim tatą. Wiele lat temu.

- Może gdybyś zdradziła mi jego imię...

- Horacy. Horacy Guester z Hatrack w Hio.

Peggy widziała chaos, jaki zapanował w płomieniu serca damy na samo wspomnienie taty - szczęśliwe wspomnienie, ale i mgnienie lęku przed tym, do czego może zmierzać ta niezwykła dziewczyna. Lecz lęk zgasł szybko - jej mąż umarł parę lat temu i nic już nie mogło go zranić. Żadna z tych emocji nie ujawniła się na twarzy, z idealną gracją zachowującej wyraz przyjazny i pełen słodyczy. Pani Modesty zerknęła na pokojówkę i płynnie rzuciła kilka słów po niemiecku. Pokojówka dygnęła i odeszła.

- Czy przysłał cię tu ojciec? - spytała dama.

Nie wypowiedziane głośno pytanie brzmiało raczej: "Czy ojciec powiedział ci, co dla niego znaczyłam, a on dla mnie?" - Nie - zapewniła ją Peggy. - On nie wie, że tu przyszłam. Umarłby chyba, gdyby odgadł, że panią znam. Widzi pani, pani Modesty, jestem żagwią. Tato nie ma przede mną żadnych tajemnic. Ani nikt inny.

Peggy wcale nie zdziwiło, jak pani Modesty przyjęła tę wiadomość. Prawie wszyscy natychmiast pomyśleliby o swoich sekretach z nadzieją, że ich nie odkryje. Lecz ta dama myślała, jakie to straszne dla Peggy: wiedzieć o sprawach, o których wiedzieć się nie powinno.

- Jak długo to trwa? - spytała cicho. - Chyba nie od czasu, kiedy byłaś małą dziewczynką? Pan nasz zbyt jest łaskawy, by pozwolił takiej wiedzy wypełnić umysł dziecka.

- Nasz Pan chyba nie bardzo się mną przejmował.

Pani Modesty dotknęła policzka Peggy. Zauważyła - Peggy wiedziała o tym - że jej gość jest trochę brudny i zakurzony. Ale nie zwracała uwagi na czystość ani odzienie. Żagiew, myślała. Dlatego ta młoda dziewczyna ma twarz tak zimną i surową. Wiedza odebrała jej radość.

- Dlaczego tu przyszłaś? - zapytała pani Modesty. - Z pewnością nie zamierzasz wyrządzić krzywdy mnie ani swojemu ojcu za występek tak dawny.

- Nie, psze pani. - Jeszcze nigdy w życiu własny głos nie wydawał się Peggy tak szorstki. W porównaniu z tą damą skrzeczała jak wrona. - Jeśli jestem żagwią i poznałam

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

waszą tajemnicę, to przekonałam się też, że było w tym coś dobrego. Nie tylko grzech. Tato wciąż za niego płaci, płaci podwójnie i potrójnie każdym rokiem swojego życia.

Łzy błysnęły w oczach pani Modesty.

- Miałam nadzieję... - szepnęła. - Miałam nadzieję, że czas złagodzi wstyd i że w końcu wspomnienie będzie mu sprawiać radość. Jak jeden z tych starych gobelinów w Anglii, których kolory już wyblakły, ale obraz na nich jest cieniem czystego piękna.

Peggy mogła wyjaśnić, że tato odczuwa więcej niż radość, że przeżywa swoje uczucia na nowo, jakby to zdarzyło się ledwie wczoraj. Ale to był sekret taty i nie wolno było o tym wspominać.

Pani Modesty przetarła chusteczką oczy, osuszyła błyszczące łzy.

- Przez wszystkie te lata z nikim o tym nie rozmawiałam. Panu naszemu tylko otworzyłam swe serce, a On mi wybaczył. A jednak cieszę się, że mogę mówić z kimś, czyją twarz widzę na własne oczy, nie tylko oczami wyobraźni. Powiedz mi, dziecko: jeśli nie przybywasz tu jako anioł zemsty, to może jako anioł wybaczenia?

Pani Modesty przemawiała tak elegancko, że Peggy wolała sięgnąć do języka znanego z książek. Nie ufała własnym umiejętnościom.

- Przybywam... z prośbą - powiedziała. - Przybywam po pomoc. Przybywam zmienić swoje życie i myślałam, że jeśli tak kochała pani mojego ojca, może zechce pani wyświadczyć uprzejmość jego córce.

Dama uśmiechnęła się do niej.

- Jeśli jesteś żagwią choć w połowie tak dobrą, jak twierdzisz, to znasz już moją odpowiedź. Jakiej pomocy ci trzeba? Mój mąż zostawił mi spory majątek, ale nie sądzę, żeby właśnie o pieniądze ci chodziło.

- Nie, psze pani - odparła Peggy. Ale czego właściwie chciała teraz, kiedy już dotarła do celu? - Nie podobało mi się życie, jakie widziałam dla siebie w Hatrack. Chciałam...

- Uciec?

- Coś w tym rodzaju... chyba... ale nie całkiem.

- Chcesz stać się kimś innym, niż jesteś.

- Tak, pani Modesty.

- A kim chciałabyś zostać?

Peggy nigdy nie próbowała słowami opisać swoich marzeń. Ale teraz, widząc przed sobą panią Modesty, zrozumiała, jak proste mogą to być słowa.

- Panią, psze pani.

Dama uśmiechnęła się lekko, musnęła palcami własną twarz, pogładziła włosy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Och, moje dziecko, z pewnością masz wyższe cele. Wielką część tego, co we mnie najlepsze, ofiarował mi twój ojciec. To, jak mnie kochał, pokazało mi, że może... nie, nie "może"... że jestem warta miłości. Od tego czasu lepiej rozumiem, czym jest i czym powinna być kobieta. Cóż to za piękna symetria, że mogę zwrócić jego córce tę mądrość, którą mam od niego. - Zaśmiała się łagodnie. - Nie sądziłam, że będę miała uczennicę.

- Bardziej studentkę, pani Modesty.

- Ani uczennicę, ani studentkę. Czy zostaniesz ze mną jako gość tego domu? Czy zechcesz być moją przyjaciółką?

I chociaż Peggy nie widziała dokładnie ścieżek własnego życia, czuła, jak otwierają się przed nią. Wszystkie przyszłości, o jakich mogła zamarzyć, czekały na nią w tym domu.

- Och, psze pani - szepnęła. - Jeśli tylko pani pozwoli...

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 5 - RÓŻDŻKARZ

Hank Dowser wielu już widział w życiu terminatorów, ale takiego bezczelnego jeszcze nigdy. Tu Makepeace Smith pochyla się nad lewym przednim kopytem starego Picklewinga, gotów wbić hufnal, a ten młodzik dyskutuje.

- Nie taki gwóźdź - oświadczył uczeń kowala. - Nie tutaj.

Według Hanka, była to idealna chwila, żeby mistrz solidnie przyłożył uczniowi w ucho i odesłał go do domu. Ale Makepeace Smith tylko kiwnął głową i obejrzał się na chłopaka.

- Dasz radę przybić tę podkowę, Alvin? - zapytał. - Duża ta kobyła, ale i tobie przybyło ostatnio parę cali.

- Dam radę - odparł chłopak.

- Przyhamujcie trochę - wtrącił Hank Dowser. - Picklewing to mój jedyny koń i nie stać mnie na drugiego. Nie życzę sobie, żeby wasz chłopak uczył się kowalstwa kosztem mojej chabety. - I kiedy zaczął już mówić, co o tym myśli, paplał dalej jak zwykły dureń. - A w ogóle to kto tu rządzi?

To był błąd i Hank zrozumiał to, ledwo padły słowa. W obecności terminatora nie wolno pytać, kto rządzi w kuźni. I rzeczywiście. Uszy Makepeace'a Smitha pokryły się czerwienią, a kowal wyprostował się na pełne sześć stóp - ramiona jak zad wołu i ręce zdolne zgnieść łeb niedźwiedzia.

- Ja tu rządzę. I kiedy mówię, że mój uczeń poradzi sobie z robotą, to sobie poradzi. A jak się wam nie podoba, możecie szukać innego kowala.

- Przyhamujcie trochę - powtórzył Hank.

- Właśnie hamuję waszą kobyłę - burknął Makepeace Smith. - A przynajmniej tę nogę. Szczerze mówiąc, wasz koń dość ciężko się o mnie opiera. A wy zaczynacie pytać, czy to ja rządzę we własnej kuźni.

Kto ma w głowie trochę rozumu, musi wiedzieć, że rozzłościć kowala, który akurat podkuwa twojego konia, to jak rozzłościć pszczoły w drodze do miodu. Hank miał tylko nadzieję, że Makepeace da się jakoś łatwiej ułagodzić.

- Oczywiście, że wy - zapewnił. - Nie chciałem powiedzieć nic złego. Tyle że się zdziwiłem, kiedy chłopak zaczął tak pyskować.

- To dlatego, że ma talent - wyjaśnił Makepeace Smith. - Ten chłopak, Alvin, widzi, co jest w końskim kopycie: gdzie hufnal będzie mocno trzymał, gdzie trafi w miękkie ciało i

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

takie rzeczy. To urodzony kowal. I kiedy mi mówi: "Nie wbijajcie tego gwoździa", to już wiem, że lepiej go nie wbijać, bo koń od tego zacznie szaleć albo okuleje.

Hank Dowser poddał się z uśmiechem. Dzień był upalny i pewnie dlatego tak łatwo się rozzłościł.

- Szanuję cudze talenty. Tak jak się spodziewam, że inni będą szanowali mój.

- W takim razie dość już trzymania waszego konia - stwierdził kowal. - Alvin, przybijaj.

Gdyby chłopak zadzierał nosa, patrzył albo uśmiechał się bezczelnie, Hank Dowser miałby powód, żeby tak się wściekać. Jednak Alvin pochylił się tylko z gwoździami w ustach i złapał lewe przednie kopyto zwierzęcia. Picklewing oparł się na nim, ale młodzik był wysoki, choć na twarzy nie miał jeszcze śladu zarostu. A jeśli chodzi o widoczne pod skórą mięśnie, mógłby być bliźniakiem swojego mistrza. Zresztą nie minęła nawet minuta, a podkowa tkwiła już na miejscu. Zwierzę nie drgnęło, nie zatańczyło jak zwykle, kiedy gwoździe wbijały się w kopyto. Teraz, kiedy Hank chwilę się zastanowił, rzeczywiście sobie przypomniał, że Picklewing zawsze trochę oszczędzał tę nogę. Jakby coś go uwierało pod kopytem. Ale tak było zawsze, więc przestał zwracać na to uwagę.

Terminator odsunął się i wcale nie był zarozumiały. W ogóle nie robił nic choćby odrobinę denerwującego, a jednak Hank Dowser czuł niewytłumaczalny gniew.

- Ile ma lat? - zapytał.

- Czternaście - odparł Makepeace Smith. - Zaczął naukę, kiedy miał jedenaście.

- Trochę za duży do terminu, nie sądzicie?

- Przyszedł spóźniony o rok. To przez tę wojnę z Francuzami i Czerwonymi. Pochodzi z Wobbish.

- To były ciężkie lata - mruknął Hank. - Miałem szczęście, że przez cały czas byłem w Irrakwa. Szukałem studni pod wiatraki na drodze kolei, co ją wtedy budowali. Czternaście, aha. Jest wysoki. Pewnie i tak nakłamał co do swoich lat.

Jeśli chłopcu nie spodobało się, że go nazywają kłamcą, nic nie dał po sobie poznać. A to rozzłościło Hanka jeszcze bardziej. Chłopak był niby oset pod siodłem: drażnił.

- Nie - wyjaśnił kowal. - To wiemy. Urodził się w Hatrack River, akurat czternaście lat temu, kiedy jego rodzina przejeżdżała tędy w drodze na zachód. Na wzgórzu pochowaliśmy jego najstarszego brata. Ale trzeba przyznać, że jak na swój wiek jest duży.

Mogliby dyskutować o koniu, nie o człowieku. Ale Alvinowi wyraźnie to nie przeszkadzało. Stał obojętnie i patrzył przez nich na wylot, jakby byli ze szkła.

- Czyli zostało mu jeszcze cztery lata terminu? - upewnił się Hank.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Trochę dłużej. Aż będzie miał prawie dziewiętnaście.

- No, ale skoro już tyle umie, pewnie wykupi się wcześniej i zostanie czeladnikiem.

Hank zerknął na chłopaka, ale ten nie zareagował.

- Raczej nie - burknął Makepeace Smith. - Radzi sobie z końmi, ale przy kowadle jest marny. Każdy umie przybić podkowę, ale tylko prawdziwy kowal wykuje ostrze pługa albo obręcz na koło. Talent do koni w czymś takim nie pomaga. Ja na swój majstersztyk robiłem kotwicę. Fakt, byłem wtedy w Netticut. Tutaj raczej nie potrzebują kotwic.

Picklewing parsknął i zatupał - ale nie zatańczył jak zawsze konie, kiedy nowe podkowy gdzieś uwierają. To były dobre podkowy i dobrze przybite. Nawet to budziło w Hanku złość na terminatora. I nie potrafił tego zrozumieć. Chłopak przybił ostatnią podkowę Picklewinga na nodze, którą inny kowal mógłby okulawić. Wyświadczył mu przysługę. Skąd więc ta wściekłość, płonąca coraz mocniej, cokolwiek zrobił czy powiedział ten mały?

Hank wzruszył ramionami, próbując o tym nie myśleć.

- Dobra robota - oświadczył. - Pora, żebym i ja wykonał swoją.

- Obaj wiemy, że szukanie wody więcej jest warte niż podkucie konia - odparł kowal. - Gdybyście jeszcze czego potrzebowali, zrobię to dla was uczciwie i za darmo.

- Wrócę tu, Makepeasie Smith, kiedy tylko moja chabeta znów będzie potrzebować nowych podków. - A że Hank Dowser był dobrym chrześcijaninem, trochę mu było wstyd, że tak nie znosi chłopaka. Dodał więc pochwałę i dla niego: - I postaram się wrócić, kiedy wasz uczeń będzie jeszcze u was terminował. Ma talent.

Chłopak jakby nie słyszał, a mistrz parsknął śmiechem.

- Nie wy jedni na to wpadliście - oświadczył.

W tym momencie Hank Dowser zrozumiał coś, co w innej sytuacji mógłby przeoczyć. Talent chłopaka pomagał w interesach. A Makepeace Smith był człowiekiem, który zatrzyma ucznia do ostatniego dnia kontraktu, żeby zarobić na tym, że podkuwa konie czysto i żaden jeszcze nie okulał. Chciwy mistrz musi tylko powtarzać, że uczeń nie radzi sobie przy kowadle czy coś w tym rodzaju, i pod tym pretekstem nie puszczać go od siebie. Tymczasem kuźnia zyska sławę jako najlepsza we wschodnim Hio. Pieniądze do kieszeni Makepeace'a Smitha, a dla chłopca nic: ani pieniędzy, ani wolności.

Kontrakt to kontrakt i Smith go nie naruszał. Miał prawo do każdego dnia pracy Alvina. Jednak zwyczaj nakazywał, by wyzwalać terminatora, gdy tylko nauczy się fachu i ma dość rozumu, żeby nie zginąć w świecie. Bo przecież kiedy chłopak nie liczy na wcześniejszą swobodę, po co ma się starać, żeby się uczyć jak najszybciej? Po co pracować

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

jak najciężej? Podobno nawet plantatorzy w Koloniach Korony pozwalają swoim niewolnikom zarabiać trochę na boku, żeby przed śmiercią mogli się wykupić.

Nie, Makepeace Smith nie łamał prawa. Nie przestrzegał tylko tradycji obowiązującej mistrzów i uczniów. Hank miał mu to za złe. Zły z niego mistrz, jeżeli zatrzymuje chłopaka, który opanował już wszystko, czego mógł go nauczyć.

A jednak nawet wiedząc, że to nie mistrz, lecz uczeń ma rację, Hank spoglądał na chłopaka i czuł w sercu zimną, wilgotną nienawiść. Zadrżał, próbując stłumić to uczucie.

- Mówiliście, że trzeba wam studni - rzekł. - Chcecie wody do picia, do mycia czy do kuźni?

- A czy to jakaś różnica?

- Raczej tak. Do picia trzeba wam czystej wody, a do mycia takiej, co nie ma w sobie żadnej zarazy. Ale przy robocie w kuźni... chyba żelazu wszystko jedno, czy stygnie w wodzie czystej, czy mętnej. Dobrze mówię?

- Źródło na wzgórzu wysycha. Z każdym rokiem daje mniej wody - stwierdził kowal. - Potrzebna mi studnia, której mogę być pewien. Głęboka, przejrzysta i czysta.

- Sami wiecie, dlaczego potok wysycha. Wszyscy dookoła kopią studnie i wysysają wodę, zanim wyleje się ze źródła. Wasza studnia będzie chyba ostatnią kroplą.

- Wcale się nie zdziwię. Ale nie mogę zasypać ich studni, a też potrzebuję wody. Osiedliłem się tu, bo strumień płynął blisko, a teraz mi go wysuszyli. Pewnie, mógłbym się wynieść, ale mam w domu żonę i trójkę dzieciaków. Zresztą podoba mi się tu, całkiem mi się podoba. Dlatego wolę raczej ciągnąć wodę niż wyjeżdżać.

Hank podszedł do kępy wierzb nad potokiem, niedaleko miejsca, gdzie wypływał spod starej źródlanej szopy, która z wolna zmieniała się w ruinę.

- Wasza? - zapytał.

- Nie. To starego Horacego Guestera. Tego, co ma zajazd przy drodze.

Hank wyszukał cienką wierzbową gałązkę, która rozwidlała się akurat tak jak trzeba. Zaczął wycinać ją nożem.

- Widzę, że rzadko używają tej źródlanej szopy.

- Potok ginie, jak wam mówiłem. Przez połowę lata nie starcza wody, żeby wstawić dzbany ze śmietaną. Źródlana szopa niewiele jest warta, jeśli nie można na nią liczyć przez całe lato.

Hank ostatni raz ciął nożem i oderwał wierzbową witkę. Zestrugał grubszy koniec i ściął liście, żeby była jak najgładsza. Niektórzy różdżkarze nie dbali o to, po prostu zrywali liście i zostawiali postrzępione końce. Ale Hank wiedział, że woda nie zawsze chce, żeby ją

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

znaleźć. A wtedy potrzebna jest dobra, gładka różdżka. Inni używali dobrej różdżki, ale zawsze tej samej, przez wszystkie lata, we wszystkich miejscach. To też niedobrze. Hank wiedział, że różdżka musi być z wierzby, czasem leszczyny, co rosła pijąc wodę, której się szuka. Większość różdżkarzy to szarlatani, chociaż nie należy mówić o tym głośno. Prawie zawsze znajdują wodę, bo prawie wszędzie, jeśli tylko człowiek kopie dostatecznie głęboko, musi w końcu na nią trafić. Ale Hank pracował uczciwie. Hank miał prawdziwy talent. Czuł, jak drży mu w dłoniach wierzbowa różdżka, jak woda śpiewa do niego spod ziemi. I nie szukał pierwszego śladu. Szukał czystej wody, wysokiej wody, łatwej do czerpania. Był dumny ze swojej pracy.

Ale to nie to samo co u tego chłopca... jak mu jest... Alvina. Albo ktoś umie przybijać podkowy tak, żeby nigdy nie ochwacić konia, albo nie umie. Jeśli choć raz mu się nie uda, ludzie dwa razy się zastanowią, zanim znów pójdą do tego samego kowala. A u różdżkarzy to właściwie bez różnicy, znajdą wodę czy nie. Każdy może się nazwać różdżkarzem i wyciąć sobie gdzieś rozwidloną gałąź, a będą mu płacić za szukanie studni. Nie zainteresują się nawet, czy naprawdę ma talent.

Hank zastanowił się, czy może właśnie dlatego tak nie cierpi tego chłopaka: bo on był już znany ze swojej pracy. A Hank nie zdobył sławy, chociaż był pewnie jedynym prawdziwym różdżkarzem, jaki zjawi się w tej okolicy przez nie wiadomo jak długo.

Przysiadł na trawiastym brzegu potoku i ściągnął buty. Kiedy się pochylił, żeby odstawić je na suchy kamień, gdzie nie nawłazi do środka robactwa, zobaczył parę oczu mrugających w gąszczu krzaków. Przestraszył się z początku, że spotkał niedźwiedzia... albo Czerwonego, który poluje na skalp różdżkarza, chociaż niedźwiedzi ani Czerwonych od lat nikt już nie widział w tych stronach. Ale nie... Za krzakiem krył się tylko mały jasnoskóry pikanin. Chłopiec był mieszańcem, pół biały i pół czarny. Hank dostrzegł to, kiedy tylko otrząsnął się z zaskoczenia.

- Co się tak przyglądasz? - zapytał.

Oczy zamknęły się i buzia zniknęła. Krzaki zakołysały się tylko i zaszeleściły, kiedy coś szybko odpełzło między nimi.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - powiedział Makepeace Smith. - To tylko Arthur Stuart.

Arthur Stuart! W Nowej Anglii i w Stanach Zjednoczonych nie było nikogo, kto nie znałby tego imienia tak dobrze, jakby żył w Koloniach Korony.

- W takim razie chętnie się dowiecie, że jestem Lordem Protektorem - oświadczył Hank Dowser. - Gdybym wiedział, że król ma taki odcień skóry, aż do śmierci codziennie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

karmiliby mnie za darmo w każdym mieście w Hio i Suskwahenny. Makepeace roześmiał się głośno.

- Nie, to taki żart Horacego Guestera. On go tak nazwał. On i stara Peg Guester. Zajęli się małym, bo jego naturalna matka była za biedna, żeby go wychowywać. Chociaż to chyba nie jedyny powód. Ma jasną skórę, więc trudno mieć pretensje do jej męża, Mocka Berry'ego, że nie chce oglądać dzieciaka przy stole ze swoimi, czarnymi jak węgiel.

Hank Dowser zaczął ściągać pończochy.

- Nie myślicie chyba, że stary Horacy przyjął chłopaka, bo jest częściowo odpowiedzialny za tę jego jasną skórę?

- Wsadźcie sobie dynię w gębę, Hank, zanim zaczniecie wygadywać takie rzeczy. Horacy nie jest z takich.

- Zdziwilibyście się, kto okazał się właśnie z takich, i ja o tym wiem. Ale oczywiście, nie podejrzewam o to Horacego Guestera.

- Myślicie, że Peg Guester wzięłaby do domu półczarnego bękarta swojego męża?

- A gdyby nie wiedziała?

- Niemożliwe. Jej córka, Peggy, była żagwią w Hatrack River. I wszyscy wiedzą, że mała Peggy Guester nigdy nie skłamała.

- Sporo słyszałem o żagwi z Hatrack River, zanim jeszcze tu dojechałem. Dlaczego jej nie spotkałem?

- Bo uciekła. Dlatego - wyjaśnił Makepeace. - Wyjechała trzy lata temu. Uciekła i tyle. I rozsądnie zrobicie nie pytając o nią w zajeździe Guesterów. Są trochę przeczuleni na jej punkcie.

Bosy Hank Dowser stanął na brzegu. Przypadkiem podniósł głowę i między drzewami znów dostrzegł Arthura Stuarta. Dzieciak mu się przyglądał. Ale co może zaszkodzić taki mały pikanin? Nic a nic.

Hank wszedł do strumienia, a lodowata woda oblała mu stopy. Przemówił do niej bezgłośnie: "Nie chcę hamować twojego prądu ani ci przeszkadzać. Ta studnia nie zrobi ci krzywdy. Da ci jeszcze jedno miejsce, przez które wypłyniesz. To jakbyś dostała nową twarz, więcej rąk, następne oko. Więc nie chowaj się przede mną, Wodo. Pokaż, gdzie przesz do góry, gdzie próbujesz dosięgnąć nieba, a ja każę im tam kopać, uwolnić cię, żebyś spływała po ziemi. Przekonasz się".

- Ta woda jest dość czysta? - zwrócił się do kowala.

- Lepszej nie trzeba - potwierdził Makepeace. - Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś po niej chorował.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Hank zanurzył ostry koniec różdżki powyżej swoich stóp. Posmakuj jej, nakazał różdżce. Poznaj jej zapach, zapamiętaj go i znajdź mi więcej takiej słodkiej.

Różdżka poruszyła mu się w dłoniach. Była gotowa. Wyjął koniec z wody; uspokoiła się, ale wciąż drżała leciutko - dawała mu znać, że żyje. Żyje i szuka.

Koniec rozmów, koniec rozmyślań. Hank po prostu szedł przymykając oczy, gdyż nie chciał, żeby wzrok odwracał uwagę od mrowienia w dłoniach. Różdżka nigdy go nie zawiodła. Gdyby patrzył, dokąd zmierza, to jakby przyznawał, że różdżka nie ma mocy odnajdywania.

Trwało to prawie pół godziny. Jasne, od razu znalazł parę miejsc, ale nie dość dobrych. Nie dla Hanka Dowsera. Z tego, jak wyginała się i opadała różdżka, zgadywał, czy woda jest dość blisko powierzchni. Tak doskonale sobie radził, że większość klientów nie potrafiła go odróżnić od przenikacza, a to najlepsze, co można powiedzieć o różdżkarzu. A że przenikacze trafiali się bardzo rzadko, głównie wśród siódmych synów albo trzynastych dzieci, Hank już prawie nie marzył, żeby być przenikaczem zamiast różdżkarzem. W każdym razie nieczęsto.

Różdżka opadła z taką siłą, że zaryła się na trzy cale w ziemię. Lepiej już chyba się nie da. Hank z uśmiechem otworzył oczy. Stał najwyżej o trzydzieści stóp od kuźni. Nawet z otwartymi oczami nie mógłby znaleźć lepszego miejsca. Żaden przenikacz nie załatwiłby tego sprawniej.

Kowal też tak uważał.

- No, no... Gdybyście mnie spytali, gdzie chciałbym wykopać studnię, to wybrałbym właśnie to miejsce.

Hank skinął głową. Bez uśmiechu przyjął wyrazy uznania. Oczy miał przymknięte, skóra wciąż go mrowiła mocą wołania wody.

- Wolę nie podnosić różdżki - powiedział - dopóki nie wykopiecie rowka dookoła, żeby zaznaczyć pozycję.

- Przynieś łopatę! - krzyknął kowal.

Uczeń pobiegł szukać narzędzia. Hank zauważył, że Arthur Stuart pędzi za nim, przebierając tymi swoimi krótkimi nóżkami tak niezgrabnie, że musiał się w końcu przewrócić. I rzeczywiście, upadł na trawę, a że biegł szybko, przejechał jeszcze co najmniej jard na brzuchu i wstał całkiem przemoczony od rosy. To go nie zniechęciło. Pomaszerował za kuźnię, gdzie zniknął Alvin.

Hank zerknął na Makepeace'a Smitha i kopnął nogą w ziemię.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie mam pewności, bo przecież nie jestem przenikaczem - oświadczył skromnie. - Moim zdaniem, traficie na wodę, zanim wykopiecie dół na dziesięć stóp. Świeżą i czystą, jakiej jeszcze nie widziałem.

- Wszystko jedno. Nie mój grzbiet na tym ucierpi - odparł Makepeace. - Nie ja zamierzam tu kopać.

- Ten wasz uczeń wygląda na silnego. Sam da radę ją wykopać, jeśli tylko nie będzie się lenił i nie pójdzie spać, kiedy tylko odwrócicie głowę.

- On nie z tych leniwych. A wy pewnie zatrzymacie się w zajeździe?

- Raczej nie. Sześć mil stąd na zachód są ludzie, dla których mam znaleźć kawałek suchej ziemi. Chcą tam wykopać piwnicę.

- Czy to nie takie antyróżdżkarstwo?

- W samej rzeczy, Makepeace. I to o wiele trudniejsze, zwłaszcza na podmokłym terenie.

- W takim razie przynajmniej wracajcie tędy. Zachowam dla was łyk z pierwszej wody z tej studni.

- Tak uczynię - zapewnił go Hank. - I to z radością.

Łyk z pierwszej wody... nieczęsto spotykał go taki zaszczyt. To dawało moc, ale tylko ofiarowane z własnej woli. Hank nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Wrócę za parę dni - obiecał. - To pewne jak strzała.

Terminator wrócił właśnie z łopatą i natychmiast wziął się do kopania. Zwykły płytki dół, ale Hank zauważył, że chłopak wyrównał go nawet nie mierząc, każdy bok taki sam jak pozostałe. O ile Hank mógł się zorientować, zgadzały się też z punktami kompasu. Stojąc tak z wbitą w ziemię różdżką, poczuł nagły ucisk w żołądku. To przez to, że chłopak znalazł się blisko. Ale nie był to taki ucisk, jak wtedy, kiedy człowiek chce wyrzucić z siebie wszystko, co jadł na śniadanie. To był ucisk, który zmienia się w ból, wiedzie do przemocy. Hank czuł, że pragnie wyrwać Alvinowi z rąk łopatę i ciąć go krawędzią w głowę.

I kiedy stał tak z wibrującą różdżką, nareszcie zrozumiał: to nie on, nie Hank Dowser, tak nienawidzi chłopaka. O nie. To woda, której Hank tak dobrze służył. Woda chciała jego śmierci.

Natychmiast stłumił tę myśl, opanował mdłości. W życiu nic głupszego nie przyszło mu do głowy. Woda to woda. Pragnie tylko wytrysnąć z ziemi albo spaść z chmur i mknąć po powierzchni. Nie ma w tym złości. Nie ma chęci zabójstwa. Zresztą i tak Hank Dowser był chrześcijaninem, w dodatku baptystą - to najbardziej odpowiednie wyznanie dla różdżkarzy. Kiedy zanurzał ludzi w wodzie, to żeby ich ochrzcić, doprowadzić do Jezusa, nie utopić.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Hank nie miał w sercu mordu, miał swego Zbawcę, który uczył go kochać nieprzyjaciół swoich, który uczył, że nawet w myślach nienawiść jest zbrodnią.

Pomodlił się do Chrystusa, aby uciszył wściekłość w jego sercu i ugasił pragnienie śmierci tego niewinnego chłopca.

Jakby w odpowiedzi, różdżka wyskoczyła z ziemi, wyrwała mu się z rąk i wylądowała w krzakach o prawie trzydzieści stóp dalej.

Przez całe życie nic takiego się Hankowi nie zdarzyło. Żeby różdżka tak pofrunęła! Toż to prawie jakby woda go skarciła, jak elegancka dama karci mężczyznę, który przeklina.

- Rów wykopany - oznajmił chłopak.

Hank spojrzał na niego surowo, by sprawdzić, czy nie zauważył czegoś zabawnego w dziwnym zachowaniu różdżki. Ale chłopak nawet na niego nie patrzył. Gapił się w ziemię wewnątrz wykopanego przed chwilą kwadratu.

- Dobra robota - pochwalił Hank. Starał się, by w głosie nie odbiła się odraza.

- Nie warto tutaj kopać - stwierdził chłopak.

Hank z trudem uwierzył własnym uszom. To fatalnie, kiedy uczeń poprawia mistrza w swoim fachu, ale przynajmniej zna się na tym. Ale, do licha, co ten mały może wiedzieć o różdżkarstwie?

- Co powiedziałeś, chłopcze? - zapytał.

Alvin musiał dostrzec groźbę na twarzy różdżkarza albo dosłyszał wściekłość w jego głosie, bo wycofał się od razu.

- Nic, proszę pana - odparł. - Zresztą, to i tak nie moja sprawa.

Jednak gniew nabrał już mocy i Hank nie mógł tak łatwo chłopcu odpuścić.

- Wydaje ci się, że możesz wykonywać mój fach, co? Może twój mistrz pozwala ci wierzyć, że jesteś równie dobry jak on, bo masz ten talent do podków. Ale zapamiętaj sobie, mój chłopcze, że jestem prawdziwym różdżkarzem i różdżka mi mówi, że jest tu woda!

- To prawda - przyznał chłopiec.

Mówił cicho, więc Hank jakoś nie zauważył, że Alvin ma nad nim cztery cale przewagi wzrostu. Nie był tak potężny, żeby go nazwać olbrzymem, ale karłem też na pewno nie.

- To prawda? Nie do ciebie należy tłumaczyć mi, czy moja różdżka mówi mi prawdę, czy kłamie!

- Wiem, psze pana. Byłem niegrzeczny.

Wrócił kowal z taczkami, kilofem i dwoma solidnymi żelaznymi lewarami.

- O co chodzi? - zapytał.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Wasz chłopak zachowuje się bezczelnie - wyjaśnił Hank. Wiedział, że nie jest sprawiedliwy - przecież chłopiec przeprosił, prawda?

Teraz wreszcie dłoń Makepeace'a wystrzeliła nagle i z siłą niedźwiedziej łapy trafiła ucznia w ucho. Alvin zachwiał się, ale nie upadł.

- Przepraszam pana - powiedział.

- Mówił, że nie ma wody w miejscu, które wybrałem na studnię. - Hank nie mógł się pohamować. - Ja okazałem szacunek dla jego talentu. Mam prawo oczekiwać, żeby on okazał to samo dla mojego.

- Talent czy nie - burknął gniewnie kowal - ma okazywać szacunek moim klientom. Inaczej przekona się, jak długo trwa nauka kowalstwa. Oj, przekona się!

Złapał jeden z żelaznych lewarów, jakby chciał przyłożyć chłopakowi po grzbiecie. To byłoby zwyczajne morderstwo, a na to Hank nie chciał pozwolić.

- Nie, Makepeace, zaczekajcie. Już w porządku. Przeprosił mnie.

- I to wam wystarczy?

- To, i pewność, że posłuchacie mnie, a nie jego. Nie jestem jeszcze taki stary, żeby dzieciaki z talentem do podków tłumaczyły mi, że nie powinienem dłużej pracować z różdżką.

- Daję głowę, że studnia powstanie właśnie tutaj. I ten chłopak sam ją wykopie. Nie dostanie ani kęsa, dopóki nie dotrze do wody.

Hank uśmiechnął się.

- W takim razie z radością się przekona, że znam swój fach. Na pewno nie będzie musiał kopać głęboko.

Makepeace obejrzał się na swego ucznia. Młodzik stał niedaleko. Ręce zwisały mu po bokach, a na twarzy nie miał gniewu. Właściwie jego twarz nie miała żadnego wyrazu.

- Odprowadzę pana Dowsera do jego konia, Alvinie. I nie chcę cię widzieć, póki nie przyniesiesz mi wiadra czystej wody z tej studni. Nie będziesz jadł ani pił, póki się stąd nie napijesz.

- Bez przesady - zaprotestował Hank. - Miejcie serce. Wiecie przecież, że czasem trzeba paru dni, zanim woda w studni się ustoi.

- W każdym razie przyniesiesz wiadro wody z nowej studni - przykazał Makepeace. - Choćbyś miał tu pracować całą noc.

Po czym odeszli w stronę kuźni, do zagrody, gdzie czekał Picklewing. Pogadali jeszcze chwilę, wspólnie osiodłali konia, i wreszcie Hank ruszył w drogę. Zwierzę stąpało równo i spokojnie, zadowolone jak nigdy. Hank minął terminatora przy pracy. Ziemia nie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

sypała się dookoła, widział tylko metodyczne nabieranie i odrzucanie, nabieranie i odrzucanie. Chłopak nie odpoczywał wcale, gdyż rytmiczny dźwięk ani na chwilę nie ustawał. Wyraźne szu łopaty wbijającej się w grunt, potem ss-łup, gdy ziemia spadała na stos.

Hank nie uspokoił się do chwili, kiedy przestał słyszeć te odgłosy, a nawet zapomniał, jak brzmiały. Nieważne, jaką miał moc jako różdżkarz - ten chłopak był wrogiem jego talentu. To Hank wiedział na pewno. Z początku sądził, że ogarnia go gniew bez powodu, ale teraz chłopak się odsłonił i Hank poczuł, że od samego początku miał rację. Ten mały myśli, że jest mistrzem wody, może nawet przenikaczem. A to czyni go nieprzyjacielem Hanka.

Jezus nakazał oddać nieprzyjacielowi własny płaszcz, nadstawić drugi policzek. Ale jeśli ten nieprzyjaciel zamierza odebrać człowiekowi środki do życia? Ma pozwolić mu się zrujnować? Aż tak chrześcijański nie jestem, pomyślał Hank. Dzisiaj dałem mu lekcję, a jeśli nie zrozumiał, kiedyś dam mu następną.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 6 - BAL MASKOWY

Peggy nie była główną ozdobą balu u gubernatora, ale wcale nie czuła się zawiedziona. Pani Modesty już dawno jej wytłumaczyła, że kobiety nie powinny ze sobą konkurować. "Nie istnieje jedna nagroda do zdobycia, która - pochwycona przez jedną z kobiet - staje się nieosiągalna dla pozostałych".

Jednak nikt chyba tego nie pojmował. Kobiety na ogół zerkały na siebie z zazdrością, oceniając koszt sukni i zgadując cenę amuletów urody, jakie nosiły inne. Pilnowały, kto z kim tańczy i ilu mężczyzn stara się, by ich przedstawiono.

Niewiele dziewcząt spojrzało zazdrośnie na Peggy - przynajmniej nie wtedy, kiedy późnym popołudniem wkroczyła na salę. Zamiast eleganckiej koafiury miała włosy wyszczotkowane i lśniące, ściągnięte we fryzurę wprawdzie zadbaną, ale ulegającą nieposłusznym pasemkom. Suknię nosiła niewyszukaną, niemal prostą, ale był to skalkulowany efekt. "Masz słodkie, młode ciało, zatem suknia nie powinna skrywać naturalnej gibkości". Co więcej, suknia była niezwykle skromna i ukazywała mniej nagiej skóry niż suknie większości dziewcząt na balu. Za to bardziej niż u większości podkreślała swobodne ruchy właścicielki.

Peggy słyszała niemal głos pani Modesty: "Tak wiele dziewcząt nie może tego pojąć. Gorset nie jest celem samym w sobie. Służy temu, by dać kobietom starym i niezbyt szczupłym tę postać, jaką kobieta młoda i zdrowa posiada z natury. Twój gorset musi być zasznurowany, ale lekko, dla wygody tylko. Wtedy twoje ciało może swobodnie się poruszać, możesz bez trudu oddychać. Inne dziewczęta będą zdumione, że odważyłaś się publicznie pokazać swoją naturalną sylwetkę. Ale mężczyźni nie mierzą wcięcia damskich sukni. Przyjemność sprawia im obecność damy, która jest swobodna i dobrze się bawi tego dnia, w tym miejscu, w ich towarzystwie".

Najważniejsze jednak było to, że nie nosiła biżuterii. Inne damy zawsze w towarzystwie polegały na urokach. Jeśli dziewczyna sama nie miała daru uroku, musiała kupować - lub musieli kupować jej rodzice albo mąż - heks grawerowany, na pierścieniu albo amulet. Preferowano amulety, ponieważ nosiło się je bliżej twarzy, mogły więc być słabsze, a zatem tańsze. Takie uroki nie działały z odległości, ale im bardziej ktoś się zbliżał do kobiety z urokiem piękna, tym mocniej odczuwał, że jej twarz odznacza się wyjątkową urodą. Rysy nie ulegały zmianie: nadal widziało się je takie, jakie były w rzeczywistości. To osąd się

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

zmieniał. Pani Modesty śmiała się z takich heksów. "Po co oszukiwać kogoś, kto wie, że jest oszukiwany?" Dlatego Peggy nic takiego nie miała.

Bal był maskaradą. Wszystkie kobiety przyszły w przebraniu, choć żadna nie kryła twarzy pod dominem. Jedynie Peggy i pani Modesty nie nosiły kostiumów, nie udawały jakiegoś nierzeczywistego ideału.

Peggy domyślała się, co myślą dziewczęta patrząc, jak wkracza na salę. Biedactwo. Jaka pospolita. Żadna konkurencja. Te oceny były słuszne - przynajmniej z początku. Nikt nie zwrócił na Peggy szczególnej uwagi.

Jednak pani Modesty starannie wybrała kilku mężczyzn, którzy zbliżyli się do niej.

- Chcę wam przedstawić moją przyjaciółkę, Margaret - mówiła, a wtedy Peggy obdarzała ich szczerym, otwartym uśmiechem. Wcale nie sztucznym. Był to jej naturalny uśmiech i sygnalizował tylko zadowolenie z poznania przyjaciela pani Modesty.

Ujmowali wtedy jej dłoń i kłaniali się, a jej lekkie dygnięcie było pełne gracji: szczery gest. Ściskała im rękę w przyjaznym odruchu, tak jak się wita oczekiwanego przyjaciela. "Sztuka piękna jest sztuką prawdy", mawiała pani Modesty. "Inne kobiety udają, że są kimś innym; ty pozostań przy własnej urodzie, przy naturalnym wdzięku, jaki ma skaczący jeleń albo jastrząb krążący pod niebem".

Mężczyzna prowadził Peggy na środek sali i tańczyła, nie myśląc o prawidłowych krokach, rytmie ani demonstrowaniu sukni. Cieszyła się tańcem, symetrią poruszeń, muzyką płynącą przez dwa ciała.

Mężczyzna, który ją poznał i który z nią zatańczył, pamiętał. Potem inne dziewczęta wydawały mu się sztywne, niezręczne i sztuczne. Wielu mężczyzn, równie sztucznych jak kobiety, nie znało samych siebie dostatecznie dobrze, by zrozumieć, że większą przyjemność sprawiłoby im towarzystwo Peggy niż jakiejkolwiek innej damy. Ale takim mężczyznom pani Modesty Peggy nie przedstawiała. Pozwalała swej podopiecznej tańczyć z tymi, którzy reagowali na jej urok. Pani Modesty dobrze ich znała, gdyż oni szczerze lubili panią Modesty.

I tak mijały godziny balu. Przymglone popołudnie ustąpiło przed jasnym wieczorem, a Peggy otaczało coraz więcej kawalerów. Wypełniali jej karnecik, rozmawiali z zapałem podczas przerw, przynosili kanapki i napoje, które przyjmowała, jeśli była głodna lub spragniona, a odmawiała uprzejmie, jeśli nie. W końcu zwróciła na siebie uwagę innych dziewcząt. Oczywiście, bardzo wielu mężczyzn w ogóle na Peggy nie zważało; żadnej z dziewcząt nie zabrakło tego, co Peggy miała w obfitości. Ale one nie myślały w ten sposób. Dostrzegały tylko, że Peggy zawsze jest otoczona.

Zgadywała, o czym szepczą między sobą.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Jaki ma czar?

- Pod stanikiem nosi amulet. Widziałam, jak napina ten tani materiał.

- Dlaczego nie widzą, że jest gruba w talii?

- Patrzcie, włosy ma rozczochrane, jakby przyszła tu prosto z podwórka.

- Musi im strasznie pochlebiać.

- Pociąga tylko pewien szczególny typ mężczyzn. Zauważyłyście chyba?

Biedactwa... Peggy nie miała żadnej mocy, z którą te dziewczęta by się nie urodziły. Nie korzystała z żadnych upiększaczy, które musiałyby kupować.

A najważniejsze dla niej było to, że tutaj nie wykorzystywała własnego daru. Przez te lata wszystkie nauki pani Modesty przychodziły jej bez wysiłku, były bowiem jedynie rozwinięciem jej naturalnej szczerości. Jedyną trudną przeszkodą okazał się dar Peggy. Kiedy tylko kogoś spotkała, z przyzwyczajenia spoglądała w płomień jego serca, żeby sprawdzić, kim jest. A wiedząc o nim więcej, niż wiedziała o sobie, musiała ukrywać znajomość jego najmroczniejszych sekretów. I to czyniło ją tak chłodną, z pozoru nawet arogancką.

Pani Modesty i Peggy zgodziły się co do tego, że Peggy w żadnych okolicznościach nie wolno zdradzać innym ludziom, ile o nich wie. A jednak pani Modesty stwierdziła, że ukrywając rzecz tak ważną, Peggy nie potrafi zaprezentować swej wewnętrznej urody. Nie stanie się kobietą, którą Alvin mógłby pokochać dla niej samej, a nie z litości.

Rozwiązanie było proste. Skoro Peggy nie może powiedzieć, co wie, musi się postarać, żeby tego nie wiedzieć. To był prawdziwy wysiłek i trwał prawie całe minione trzy lata - nauczyć się nie patrzeć w otaczające ją płomienie serc. A jednak ciężką pracą, po wielu przelanych łzach rozczarowania, po tysiącach sztuczek, by oszukać samą siebie, Peggy pokonała trudności, zwyciężyła. Mogła wejść na salę balową i nie zważać na płomienie serc. Oczywiście, widziała je - nie mogła się przecież oślepić - ale nie zwracała na nie uwagi. Nie przyglądała się im z bliska, nie zaglądała w ich głębie. Nabrała wprawy i nie musiała się nawet starać, by nie patrzeć. Potrafiła stać obok, rozmawiać, uważać na wypowiadane słowa, a przy tym widzieć tylko tyle, ile widzi każda inna osoba.

Oczywiście, długie lata z talentem żagwi dały jej wiedzę o ludzkiej naturze, o tym, jakie myśli kryją się za pewnymi słowami, tonem głosu, wyrazem twarzy czy gestem. Umiała zgadywać te myśli. Ale uczciwym ludziom nie przeszkadzało, że wie, co ich zajmuje w danej chwili. Tej wiedzy nie musiała skrywać. Tylko ich najgłębszych tajemnic nie powinna poznawać. A te były teraz przed nią bezpieczne, jeśli nie chciała ich odkryć.

Nie chciała. Ponieważ w tym oddaleniu znalazła swobodę, jakiej nie znała przez całe życie. Teraz mogła przyjmować ludzi takimi, jakimi się wydawali. Mogła cieszyć się ich

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

towarzystwem, nie widząc, a zatem nie czując się odpowiedzialna za ich tajemne pragnienia albo - co gorsza - za ich mroczną przyszłość. Odczuwała rodzaj radosnego szaleństwa w tańcu, śmiechu, w rozmowach. Nikt inny na balu nie był tak swobodny jak Margaret, młoda przyjaciółka pani Modesty, gdyż nikt nie poznał tak rozpaczliwego więzienia jak to, w którym ona żyła aż do teraz.

I dlatego tak wspaniale czuła się na balu u gubernatora. Ten wieczór nie był właściwie tryumfem Peggy, ponieważ nikogo nie pokonała. Gdy któryś z mężczyzn zyskiwał jej przyjaźń, nie był pokonany, ale wyzwolony, nawet zwycięski. Cieszyła się po prostu i dlatego ci, którzy jej towarzyszyli, także się cieszyli. Takich uczuć nie da się zamknąć w sobie. Nawet te kobiety, które obgadywały ją ukryte za wachlarzami, również odczuwały nastrój tego wieczoru. Wiele osób zapewniało potem żonę gubernatora, że od lat nie było balu bardziej udanego w Dekane, ani zresztą w całym stanie Suskwahenny.

Niektórzy domyślali się nawet, kto wzbudził ten radosny nastrój. Wśród nich była żona gubernatora i pani Modesty. Wirując z gracją, Peggy zauważyła, że rozmawiają ze sobą. Spojrzała na swego partnera z uśmiechem, a on zaśmiał się z radości, że może z nią tańczyć. Żona gubernatora także się uśmiechała i kiwała głową, wskazując wachlarzem na parkiet. Na chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia. Peggy pozdrowiła ją ciepłym uśmiechem, żona gubernatora skinęła jej. Ten gest został dostrzeżony. Peggy będzie serdecznie witana na każdym przyjęciu.

Peggy nie była dumna z tego zwycięstwa, pojmowała bowiem, jak mało się ono liczy. Zyskała wstęp na najwspanialsze bale w Dekane - ale Dekane było zaledwie stolicą stanu na amerykańskiej granicy. Gdyby pragnęła towarzyskich sukcesów, musiałaby dostać się do Camelotu, zdobyć uznanie u dworu... a stamtąd do Europy, na bale Wiednia, Paryża, Warszawy czy Madrytu. Ale nawet wtedy, nawet gdyby tańczyła ze wszystkimi koronowanymi głowami Europy, i tak nie miałoby to znaczenia. W końcu umrze i oni umrą. Czy świat stałby się lepszy dzięki jej tańcowi?

Czternaście lat temu zobaczyła prawdziwą wielkość w płomieniu serca nowo narodzonego dziecka. Chroniła to dziecko, gdyż pokochała jego przyszłość. Pokochała też chłopca, ponieważ wiedziała, jaki jest i jaką ma duszę. Ale najważniejsza - ważniejsza od jej uczuć dla ucznia Alvina - była jej miłość do pracy, która go czekała. Królowie i królowe budowali państwa lub je tracili; kupcy robili majątki albo je przegrywali; artyści tworzyli dzieła, które z czasem blakły i ginęły w zapomnieniu. Jedynie uczeń Alvin miał w sobie ziarno Stworzenia, które przetrwa upływ lat, przetrwa nie kończące się działania Niszczyciela. Dlatego tańcząc dzisiaj, tańczyła dla niego. Wiedziała, że jeśli potrafi zdobyć

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

miłość tych obcych ludzi, zdobędzie też miłość Alvina, miejsce przy jego boku w drodze do Kryształowego Miasta, w którym wszyscy mieszkańcy potrafią widzieć jak żagwie, budować jak Stwórcy i kochać czysto jak Chrystus.

Kiedy przyszedł jej na myśl Alvin, zwróciła uwagę na odległy płomień jego serca. Choć nauczyła się nie spoglądać w bliskie płomienie, nigdy nie zrezygnowała z patrzenia na ten jeden. Może z tego powodu było jej trudniej zapanować nad swoim darem, ale po co miałaby się uczyć czegokolwiek, gdyby przez to straciła kontakt z chłopcem? Nie musiała go szukać. W głębi duszy zawsze wiedziała, gdzie błyszczy jego płomień serca. Przez te lata nauczyła się dostrzegać go natychmiast. Tak jak teraz.

Kopał ziemię niedaleko kuźni. Lecz Peggy prawie nie zauważyła tej pracy, gdyż on też jej nie zauważał. W płomieniu jego serca najjaśniej gorzał gniew. Ktoś potraktował go niesprawiedliwie... ale to przecież nic nowego. Makepeace, kiedyś najuczciwszy z mistrzów, coraz bardziej zazdrościł Alvinowi jego umiejętności, a zazdrość uczyniła go niesprawiedliwym. Im bardziej przewyższał go terminator, tym gorliwiej kowal zaprzeczał, że uczeń jest coś wart. Niesprawiedliwość spotykała Alvina codziennie, a przecież jeszcze nigdy Peggy nie dostrzegła w nim takiej pasji.

- Coś się stało, panno Margaret?

Jej partner w tańcu był zatroskany. Peggy zatrzymała się na środku sali. Muzyka wciąż grała, pary wciąż sunęły dookoła, jednak najbliżsi tancerze stanęli i obserwowali ich.

- Nie mogę... dłużej - szepnęła.

Zdumiona przekonała się, że strach tamuje jej oddech. Czego się bała?

- Czy chce pani wyjść z sali? - zapytał.

Jak miał na imię? Mogła teraz myśleć tylko o jednym imieniu: Alvin.

- Proszę. - Wsparła się na nim i razem ruszyli do otwartych drzwi prowadzących na taras. Tłum rozstąpił się przed nimi. Peggy nie widziała nikogo.

To było tak, jakby teraz wylewał się cały gniew wzbierający przez lata pracy u Makepeace'a Smitha. Jakby każde pchnięcie szpadla było ciosem zemsty. Różdżkarz, wędrowny poszukiwacz wody... to on rozzłościł Alvina, to jego Alvin chciał zranić. Ale nie o różdżkarza martwiła się teraz Peggy. Jego prowokacja, jakkolwiek złośliwa czy straszna, nie stanowiła problemu. Chodziło o Alvina. Czy nie rozumie, że kiedy kopie tak głęboko w gniewie, popełnia akt zniszczenia? Czy nie wie, że kiedy pracuje, aby niszczyć, przywołuje Niszczyciela? Kiedy twe dzieło jest zniszczeniem, Niszczyciel może po ciebie sięgnąć.

Powietrze na dworze było chłodniejsze, słońce rdzawym blaskiem oświetlało trawniki rezydencji gubernatora.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Panno Margaret, mam nadzieję, że nie uczyniłem nic, co wywołało to zasłabnięcie.

- Nie, zresztą wcale nie zasłabłam. Wybaczy mi pan? Przyszła mi do głowy pewna myśl, to wszystko. Taka, którą trzeba rozważyć.

Spojrzał na nią niepewnie. Kiedy kobieta chce rozstać się z mężczyzną, zawsze twierdzi, że zaraz zemdleje. Ale nie panna Margaret. Peggy zdawała sobie sprawę, że jest zdziwiony i zakłopotany. Etykieta omdlenia była całkiem jasna. Ale jak powinien się zachować dżentelmen wobec kobiety, której "przyszła do głowy pewna myśl"?

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zapewniam pana, przyjacielu, że czuję się dobrze, a taniec z panem sprawił mi prawdziwą rozkosz. Mam nadzieję, że wkrótce znów razem zatańczymy. Ale teraz, w tej chwili, chciałabym zostać sama.

Zauważyła, że te słowa uspokoiły go nieco. Nazwanie go przyjacielem było obietnicą, że będzie o nim pamiętać; nadzieja na ponowny taniec wydawała się tak szczera, że musiał uwierzyć. Przyjął jej słowa za dobrą monetę i skłonił się z uśmiechem. Nie zauważyła nawet, jak odchodzi.

Widziała tylko dalekie miasteczko Hatrack River, gdzie uczeń Alvin przyzywał Niszczyciela, nie domyślając się nawet, co czyni. Peggy badała, studiowała jego płomień serca, szukając czegoś, czym mogłaby go ochronić. Nie znalazła nic. Teraz, gdy Alvina popychała złość, wszystkie jego ścieżki prowadziły w jedno tylko miejsce, a to miejsce ją przerażało, ponieważ nie widziała, co się tam znajduje. I żadna ścieżka z niego nie wychodziła.

Co robiłam na tym głupim balu, kiedy Alvin mnie potrzebował? Gdybym tylko uważała, wiedziałabym, że coś mu grozi, znalazłabym jakiś sposób, żeby mu pomóc. A ja tańczyłam z tymi ludźmi, którzy dla przyszłości świata znaczą mniej niż nic. Owszem, są mną zachwyceni. Ale co mi z tego przyjdzie, jeśli Alvin zawiedzie, jeśli uczeń Alvin zostanie zniszczony, a Kryształowe Miasto zginie, zanim jeszcze Stwórca zacznie je budować?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 7 - STUDNIE

Alvin nie musiał podnosić głowy, by wiedzieć, że różdżkarz odjechał. Wyczuwał, gdzie znajduje się ten człowiek: jego gniew był niby czarny szum wśród słodkiej, zielonej muzyki lasu. To właśnie jest przekleństwo bycia jedynym Białym - chłopcem czy mężczyzną - który słyszał życie wśród drzew, a więc i jedynym Białym, który wie, że kraina umiera.

To nie znaczy, że gleba nie była tu żyzna. Puszcza szumiała na niej przez lata i ludzie mówili teraz, że nawet cień nasienia może zapuścić korzenie i wyrosnąć. Życie rozkwitało na polach, a nawet w miastach. Ale nie należało do pieśni krainy, do życia czerwonego człowieka, zwierzęcia i rośliny, samej ziemi trwającej w harmonii ze wszystkim. Ta pieśń rozbrzmiewała teraz cicho, gasnąca i smutna. Alvin słyszał, jak ginie, i rozpaczał po niej.

Zarozumiały, głupi różdżkarz. Dlaczego tak się rozzłościł? Alvin nie mógł zrozumieć. Ale nie naciskał, nie kłócił się... Bo kiedy tylko zjawił się różdżkarz, Al zobaczył Niszczyciela przesłaniającego obrzeża pola widzenia. Jakby to Hank Dowser go sprowadził.

Po raz pierwszy Al zobaczył Niszczyciela, kiedy był jeszcze dzieckiem, w sennych koszmarach: ogromna nicość toczyła się ku niemu, próbowała go zmiażdżyć, dostać się do wnętrza, przemielić na strzępy. Dopiero stary Bajarz pomógł Alvinowi nazwać tego niewidzialnego wroga. Niszczyciel, który pragnie unicestwić wszechświat, rozbić go, aż wszystko stanie się płaskie, zimne, gładkie i martwe.

Kiedy tylko nadał mu imię i pojął, czym jest, Alvin zaczął widywać Niszczyciela na jawie, w jasny dzień. Nie przed sobą, naturalnie. Kiedy się patrzy na Niszczyciela, zwykle nic nie można zobaczyć. Tkwi niewidoczny za wszelkim życiem i wzrostem, za strukturą świata. Ale Alvin go dostrzegał na krawędzi pola widzenia, jakby zakradał się od tyłu...

Jeszcze jako chłopiec odkrył, jak zmusić Niszczyciela, żeby odstąpił i zostawił go w spokoju. Wystarczyło zbudować coś własnymi rękami. Nawet coś tak prostego jak koszyk upleciony z trawy. Wtedy nadchodziła chwila wytchnienia. Dlatego, kiedy wkrótce po Alvinie Niszczyciel zjawił się w pobliżu kuźni, chłopiec nie przejął się specjalnie. W kuźni nietrudno znaleźć okazję, żeby coś zbudować. Poza tym w kuźni był ogień... ogień i żelazo, najtwardszy kamień. Alvin od dawna wiedział, że Niszczyciel szuka wody. Woda była jego sługą, wykonywała jego dzieła, rozbijała. Nic dziwnego, że kiedy przybył człowiek tak związany z wodą jak Hank Dowser, Niszczyciel ocknął się i ożywił.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ale teraz Hank Dowser odjechał, zabierając swoją złość i niesprawiedliwość. A Niszczyciel pozostał, ukryty na łące, w krzakach, przyczajony w długich wieczornych cieniach.

Wbić łopatę, podważyć ziemię, unieść do krawędzi studni, odrzucić na bok. Równy rytm, staranne sypanie na stos, kształtowanie ścian studni. Pierwsze trzy stopy dołu wykopać w kwadrat, dopasowane do kształtu budki. Potem zaokrąglić i stopniowo zwężać do dołu, żeby łatwiej było obmurować gotową studnię. Chociaż człowiek wie, że ta studnia nigdy nie wypełni się wodą, musi kopać porządnie, jakby wierzył, że przetrwa lata. Równo, najlepiej jak potrafi. To wystarczy, żeby przepłoszyć starego drania.

Więc czemu Alvin nie był choć odrobinę pewniejszy siebie?

Wiedział, że zbliża się wieczór. Był tego tak pewien, jakby miał w kieszeni zegarek, ponieważ zjawił się Arthur Stuart z buzią wymytą po kolacji. Żuł miętę i nie odzywał się ani słowem. Alvin zdążył się już do niego przyzwyczaić. Odkąd malec nauczył się chodzić, stał się małym cieniem Alvina. Przychodził codziennie, gdy tylko nie padał deszcz. Nigdy nie miał nic do powiedzenia, a jeśli nawet, niełatwo było zrozumieć jego dziecięcy szczebiot - miał problemy z "r" i "s". To nieważne. Arthur niczego nie chciał, w niczym nie przeszkadzał i Alvin niemal zapominał, że chłopiec mu towarzyszy.

Kopiąc studnię wśród wieczornych much, latających mu koło twarzy, Alvin nie miał dla mózgu innego zajęcia jak tylko rozmyślać. Od trzech lat już mieszkał w Hatrack i ani o cal nie zbliżył się do zrozumienia, czemu ma służyć jego dar. Prawie go nie wykorzystywał... Najwyżej przy koniach, a to dlatego, że nie mógł patrzeć, jak cierpią, kiedy tak łatwo odpowiednio przybić podkowę. To dobry uczynek, ale nie pomagał w budowie świata, zwłaszcza wobec niszczenia krainy dookoła.

Na tych leśnych obszarach człowiek biały stał się narzędziem Niszczyciela. Alvin wiedział to dobrze. Ludzie rozbijali wszystko lepiej nawet niż woda. Każde padające drzewo, każdy borsuk, szop, jeleń i bóbr zabity bez zgody, wszystko to był mord dokonywany na krainie. Kiedyś równowagę utrzymywali Czerwoni, ale teraz ich zabrakło, zginęli albo odeszli na zachód od Mizzipy. Niektórzy, jak Irrakwa i Cherriky, w głębi serca stali się biali i z podwiniętymi rękawami pracowali ciężko, by niszczyć krainę szybciej nawet niż Biali. Nie pozostał nikt, kto by się starał utrzymać ją przy życiu.

Alvin miał czasem wrażenie, że jest jedynym człowiekiem, który nienawidzi Niszczyciela i chce budować przeciwko niemu. A nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, jaki powinien być jego następny krok. Pewnie żagiew, która dotknęła go przy porodzie, mogłaby go nauczyć, jak stać się prawdziwym Stwórcą. Ale odjechała, uciekła tego ranka, kiedy on

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

przybył. To nie był przypadek. Zwyczajnie nie chciała go niczego uczyć. Los przeznaczył mu wielkie dzieło i nie dał nikogo do pomocy.

Chcę tego dokonać, myślał Alvin. Mam wolę, by stać się tym, kim powinienem, i mam w sobie moc... jeśli tylko zrozumiem, jak jej używać. Ale ktoś musi mnie tego nauczyć.

Nie kowal. To pewne. Chciwy staruch. Alvin wiedział, że Makepeace Smith próbuje uczyć go jak najmniej. Nie zdawał sobie chyba sprawy, jak wiele Alvin nauczył się sam, podpatrując mistrza, gdy ten niczego się nie domyślał. Stary Makepeace nie miał zamiaru wypuścić swego ucznia. Czeka mnie wielka praca, dzieło do wykonania, jak tych ludzi z Biblii albo Ulissesa czy Hektora, a za nauczyciela mam tylko kowala tak chciwego, że muszę wykradać mu wiedzę, choć ta prawnie mi się należy.

Czasem gniew aż gorzał w Alvinie. Czasem chłopiec marzył, żeby zrobić coś niezwykłego, co pokaże Makepeace'owi Smithowi, że jego terminator nie jest już małym dzieckiem, które nie wie, że jest oszukiwane. Co by zrobił Makepeace Smith widząc, jak Alvin palcami rozbija żelazo? Albo jak prostuje hufnal, żeby był tak samo mocny jak przed skrzywieniem? Albo leczy kruche żelazo, które pękło pod młotem? Gdyby zobaczył, że Alvin może rozkuć blachę tak cienko, że przeświturją przez nią promienie słońca, a tak mocną, że nie można jej złamać?

Ale to było głupie myślenie i Alvin wiedział to dobrze. Za pierwszym razem Makepeace Smith mógłby rozdziawić gębę ze zdumienia, mógłby nawet zemdleć, ale dziesięć minut później zacząłby kombinować, jak na tym zarobić. I Alvin już na pewno nie wyrwałby się na wolność przed terminem. Jego sława by rosła, to pewne, i zanim skończyłby dziewiętnaście lat i Smith musiałby go puścić, byłby już zbyt znany. Ludzie nie daliby mu spokoju. Musiałby leczyć, przenikać, naprawiać, kształtować skały... robić to, co ani o krok nie zbliży go do celu, dla którego się narodził. Jeśli zaczną mu przyprowadzać chorych i kaleki, jak znajdzie czas, by zostać kimś innym niż tylko doktorem? Kiedy się już dowie, jak zostać Stwórcą, dość będzie czasu na leczenie.

Zaledwie tydzień przed masakrą nad Chybotliwym Kanoe Prorok Lolla-Wossiky ukazał mu wizję Kryształowego Miasta. Ałvin wiedział, że kiedyś, w przyszłości, do niego będzie należała budowa tych wież z lodu i światła. To przeznaczył mu los, nie pracę wiejskiego uzdrawiacza. I póki nie zakończy służby u Makepeace'a Smitha, musi swój prawdziwy dar zachować w sekrecie.

Dlatego nie planował ucieczki, choć był już dość duży i nikt nie poznałby w nim zbiegłego terminatora. Co by mu przyszło z wolności? Najpierw musi się dowiedzieć, jak być Stwórcą. Inaczej wszystko jedno czy odejdzie, czy zostanie tutaj.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Dlatego nigdy nie zdradzał, co potrafi, i rzadko korzystał ze swego daru. Tylko przy podkuwaniu koni i kiedy wyczuwał śmierć krainy wokół siebie. Ale przez cały czas w głębi serca pamiętał, kim jest w istocie. Stwórcą. Cokolwiek to oznacza, nim właśnie jestem. Dlatego Niszczyciel próbował mnie zabić, jeszcze zanim przyszedłem na świat, a potem w setce wypadków czy prawie morderstw, kiedy byłem dzieckiem w Vigor Kościele. Dlatego czai się teraz w pobliżu, obserwuje mnie, czeka na okazję, żeby mnie dostać. Wyczekuje może na taką chwilę jak dzisiaj, kiedy jestem sam w mroku - tylko ja, łopata i gniew, że muszę wykonywać pracę, która pójdzie na marne.

Hank Dowser. Co to za człowiek, który nie chce wysłuchać dobrej rady? Jasne, różdżka mocno uderzyła o ziemię. W tym miejscu woda chciała wyrwać się na powierzchnię. Ale się nie wyrwała - z powodu skalnej płyty, leżącej tu najwyżej cztery stopy pod ziemią. Niby dlaczego powstała tu naturalna łąka? Wielkie drzewa nie mogły zapuścić korzeni, bo woda spływała po kamieniu, a korzenie nie mogły przebić skały, żeby sięgnąć do wody poniżej. Hank Dowser umiał znaleźć wodę, ale nie wiedział, co się znajduje pomiędzy wodą a powierzchnią. To nie jego wina, oczywiście. Ale jego wina, że nie chce się nawet zastanowić, co może się tam znaleźć.

I oto Alvin kopał elegancką studnię. I oczywiście ledwie zdążył zaokrąglić ściany wykopu, klang klang kling łopata zadzwoniła o skałę.

Ten nowy dźwięk przywołał na krawędź wykopu Arthura Stuarta. Malec zajrzał do środka.

- Donk donk - powiedział. I klasnął w dłonie.

- Słusznie: donk donk - zgodził się Alvin. - Będę tu donkował o solidne skały na całym obwodzie tej dziury. I możesz się założyć, że nie powiem tego Makepeace'owi Smithowi. Mówił, że nie dostanę jeść ani pić, dopóki nie znajdę wody. Nie mam zamiaru wracać do domu przed zmrokiem i skamleć o kolację tylko dlatego, że trafiłem na skałę. Nic z tego.

- Donk - odpowiedział chłopiec.

- Wykopię stąd wszystko, aż zostanie goły kamień.

Zbierał ziemię, skrobiąc łopatą nierówną powierzchnię skały. Ale wciąż była brunatna i brudna. Alvin nie był zadowolony. Chciał, żeby kamień lśnił bielą. Nikt go nie widział oprócz Arthura Stuarta, a to przecież jeszcze dziecko. Dlatego Alvin użył swojego daru... jak jeszcze nigdy, odkąd opuścił Vigor Kościół. Sprawił, że ziemia spłynęła z kamienia, zsunęła się na boki, pod ściany studni.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

I natychmiast kamień stał się tak biały i błyszczący, że przypominał jeziorko odbijające ostatnie blaski dnia. Ptaki wieczoru śpiewały wśród drzew. Pot ściekał Alvinowi z czoła tak obficie, że krople pozostawiały na skale małe ciemne plamki.

Arthur stał na krawędzi otworu.

- Woda - powiedział.

- Lepiej się cofnij, Arthurze Stuarcie. Nie jest głęboko, ale lepiej trzymaj się z daleka od takich dołów. Spadniesz i możesz się zabić.

Przeleciał jakiś ptak, głośno trzepocząc skrzydłami. Jakiś inny zakrzyczał gorączkowo.

- Śnieg - powiedział Arthur Stuart.

- To nie śnieg. To kamień - wyjaśnił Alvin. Potem wylazł z dziury i stanął nad nią, śmiejąc się do siebie. - Masz swoją studnię, Hanku Dowserze - mruknął. - Wrócisz tu i zobaczysz, gdzie twoja różdżka trafiła w ziemię.

Przykro mu będzie, że przez niego Al dostał od swojego mistrza po głowie. To nie żarty, kiedy kowal człowieka uderzy, zwłaszcza mistrz Alvina, który nawet nad małym chłopcem nie miał litości, a co dopiero nad wysokim jak dorosły terminatorem.

Mógłby teraz wrócić do domu i zawiadomić Makepeace'a Smitha, że studnia gotowa. Potem przyprowadziłby go tutaj i pokazał tę dziurę i skałę wyglądającą z samego dna, twardą jak samo serce świata. Słyszał prawie swój głos: "Pokażcie mi, jak to pić, to się napiję". Z czystą rozkoszą przyglądałby się, jak na ten widok Makepeace sinieje ze złości.

Tyle że teraz, kiedy mógł już pokazać, jak niesprawiedliwie go potraktowali, Alvin wiedział, że to właściwie nieważne, czy nauczy ich czegoś, czy nie. Ważne, że Makepeace Smith naprawdę potrzebował studni. Potrzebował tak bardzo, że zapłacił różdżkarzowi darmową usługą. Alvin doszedł do wniosku, że czy wykopie ją tu, gdzie wskazał Dowser, czy w innym miejscu, i tak musi ją wykopać.

Jeśli się nad tym zastanowić, to nawet lepiej. Wróci do domu z wiadrem wody, tak jak przykazał mu Makepeace... Ale ze studni, którą sam znalazł.

Rozejrzał się w czerwonym wieczornym półmroku. Myślał, gdzie znaleźć najlepsze miejsce. Słyszał, jak Arthur Stuart wyrywa źdźbła trawy, słyszał ptaki tak dzisiaj głośne jak próba kościelnego chóru.

A może są zwyczajnie przestraszone? Bo kiedy Alvin się rozejrzał, dostrzegł, że Niszczyciel się dzisiaj ożywił. Normalnie wykopanie tej nieudanej studni powinno odpędzić go na kilka dni. Tymczasem Niszczyciel podążał za nim krok w krok, gdy szukał miejsca na kopanie prawdziwej studni. Coraz bardziej przypominało to jeden z dawnych koszmarów, w

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

których nic nie mogło odstraszyć Niszczyciela. Alvina przeszył dreszcz lęku. Zadrżał w ciepłym wieczornym powietrzu.

Wzruszeniem ramion strząsnął z siebie ten strach. Wiedział, że Niszczyciel go nie tknie. Przez całe życie Niszczyciel usiłował go zabić, powodując wypadki. Jak wtedy, kiedy grunt pokrył się lodem tam, gdzie miał stąpnąć, albo woda podmyła brzeg, żeby się pośliznął. Od czasu do czasu Niszczyciel zmuszał nawet jakiegoś człowieka, żeby Alvina zaatakował... jak choćby wielebny Thrower albo ci czerwoni Choc-Tawowie. Ale nigdy, poza snami, Niszczyciel nie uderzył bezpośrednio.

Nie uderzy i teraz, przekonywał sam siebie Alvin. Nie przejmuj się. Szukaj, gdzie można wykopać prawdziwą studnię. Fałszywa nie odpędziła tego oszusta, ale prawdziwa na pewno odpędzi. Przez długie miesiące nie pojawi się, migocząc na krawędzi pola widzenia.

Z tą myślą Alvin opadł na kolana i skupił się na znalezieniu otworu w niewidocznej skalnej płycie.

To, jak Alvin szukał, nie przypominało widzenia. Było raczej tak, jakby miał dodatkową rękę, która szperała pod ziemią i kamieniami - szybko, niby kropla wody na gorącej blasze. Wprawdzie nigdy nie spotkał przenikacza, ale domyślał się, że oni działają podobnie, kiedy posyłają swoje zmysły w głąb i wyczuwają wszystko po drodze. Ciekawe, czy to prawda, co mówią ludzie, że to sama dusza przenikacza sunie pod powierzchnią ziemi. Krążyły opowieści o przenikaczach, których dusza tam się zagubiła. Taki nie odzywał się ani słowem, nie poruszał się, nawet nie drgnął, aż w końcu umierał.

Jednak Alvin nie pozwalał, by takie historie go przestraszyły. Nie zrezygnuje z tego, co powinien zrobić. Jeśli trzeba kamienia, poszuka naturalnych pęknięć, żeby prawie bez ociosywania nabrał właściwego kształtu. Jeśli potrzeba wody, znajdzie sposób, żeby się do niej dokopać.

Wreszcie odszukał miejsce, gdzie skalna płyta była cienka i pokruszona. Grunt leżał tu wyżej, więc kopać trzeba było głębiej, ale najważniejsze, że przedostanie się do niej przez kamień.

Nowe miejsce leżało w połowie drogi między kuźnią a domem. To trochę mniej wygodne dla Makepeace'a, ale lepsze dla jego żony Gertie, która przecież ma korzystać z tej samej wody. Alvin żwawo wziął się do pracy, gdyż zapadał już wieczór, a postanowił nie odpoczywać, dopóki nie skończy. Bez wahania podjął decyzję, że skorzysta ze swojej mocy tak, jak korzystał w domu u ojca. Ani razu nie trafił łopatą w kamień; miał wrażenie, że ziemia zmieniła się w mąkę i sama wyskakuje w górę, nie czekając, aż ją wyniesie. Gdyby teraz zobaczył go ktoś dorosły, pomyślałby, że się upił albo dostał szału, tak szybko kopał.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jednak nie widział go nikt oprócz Arthura Stuarta. No i zbliżała się noc, Al nie miał latarni, więc nikt go nawet nie zauważy. Dzisiaj mógł wykorzystać swój dar bez obawy, że ktoś go odkryje.

Od strony domu dobiegły jakieś krzyki - głośne, ale nie tak wyraźne, by Alvin zrozumiał słowa.

- Zła - powiedział Arthur Stuart. Patrzył na dom, nieruchomo, jak pies wystawiający zwierzynę.

- Słyszysz, co mówią? - spytał Alvin. - Peg Guester zawsze powtarza, że masz uszy jak pies. Łapiesz wszystko.

Arthur Stuart zamknął oczy.

- Nie masz prawa głodzić tego chłopaka - oświadczył.

Alvin zdusił śmiech. Nikt tak jak Arthur Stuart nie naśladował głosu Gertie Smith.

- Jest za duży, żeby mu spuścić lanie, a muszę mu dać nauczkę - powiedział Arthur Stuart.

Tym razem odezwał się głosem mistrza Smitha.

- A niech mnie... - mruknął Al. Mały Arthur mówił dalej:

- Albo Alvin dostanie ten talerz na kolację, Makepeasie Smith, albo ty go będziesz nosił na głowie. Spróbuj tylko, stara wiedźmo, to łapska ci połamię.

Alvin nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

- Niech cię licho, Arthurze Stuarcie! - zawołał. - Przecież z ciebie istny drozd przedrzeźniacz!

Chłopiec spojrzał na Alvina i uśmiech przemknął mu po twarzy. Z domu doleciał głos tłuczonych naczyń. Arthur Stuart zaśmiał się i zaczął biegać w kółko.

- Stłukła talerz, stłukła talerz, stłukła talerz! - wołał.

- Niesamowity jesteś - stwierdził Alvin. - Ale powiedz, Arthurze, tak naprawdę to chyba nie rozumiesz, co mówisz? To znaczy, powtarzasz tylko, co słyszysz, tak?

- Stłukła mu talerz na głowie! - Arthur zaniósł się śmiechem i upadł na trawę.

Alvin również się zaśmiał, ale nie odrywał wzroku od malca. Jest w nim coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Albo jest całkiem zwariowany.

Z przeciwnej strony rozległ się inny kobiecy głos, głośne wołanie niosło się w wilgotnym, mrocznym powietrzu.

- Arthur! Arthurze Stuarcie! Arthur usiadł natychmiast.

- Mama - powiedział.

- Zgadza się, to Peg Guester - potwierdził Alvin.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Idę do łóżka - wyjaśnił Arthur.

- Uważaj tylko, żeby najpierw nie urządziła ci kąpieli. Trochę się pobrudziłeś.

Arthur wstał i pobiegł przez łąkę ku ścieżce od źródlanej szopy do zajazdu, gdzie mieszkał. Alvin obserwował go, póki nie zniknął. Chłopiec machał w biegu rękami, jakby leciał. Jakiś ptak, pewnie sowa, frunęła obok niego od środka łąki, szybując ponad ziemią, jakby chciała dotrzymać mu towarzystwa. Dopiero kiedy Arthur skrył się za źródlaną szopą, Alvin wrócił do pracy.

Po kilku minutach zapadła całkowita ciemność, a wkrótce potem nadeszła absolutna cisza nocy. Nawet psy ucichły w miasteczku. Minie jeszcze kilka godzin, zanim wzejdzie księżyc. Alvin nie przerywał pracy. Nie musiał patrzeć; wyczuwał ściany studni, ziemię pod nogami... I nie było to widzenie czerwonego człowieka, dar odbierania pieśni lasu. Korzystał z własnego daru, który pomagał mu znaleźć drogę w głąb.

Wiedział, że tym razem trafi na skałę dwa razy głębiej niż poprzednio. Ale kiedy łopata zaczęła wybierać kamienie, nie było pod nią gładkiej płyty, jak w miejscu wskazanym przez Hanka Dowsera. Kamienie kruszyły się łatwo i pękały. Al, ze swym talentem, nie musiał ich prawie podważać. Wyskakiwały lekko i wyrzucał je na zewnątrz jak bryły ziemi.

Gdy jednak przebił się przez warstwę skały, natrafił na rozmokły grunt. Gdyby Al był kimś innym, musiałby przerwać pracę i poszukać pomocy, żeby wybrać muł. Ale dla Alvina sprawa okazała się prosta. Wzmocnił ziemię wokół ścian wykopu, żeby woda nie sączyła się do środka za szybko. Odrzucił łopatę i czerpakiem nabierał błoto. Nie potrzebował nikogo do wyciągania go na górę. Machał tylko mocno i kolejne porcje mułu zbijały się w grudy i lądowały równiutko obok studni - jakby wyrzucał z nory króliki.

Alvin był tu panem, to pewne. W swojej dziurze w ziemi czynił cuda. Powiedziałeś, że nie dostanę jeść ani pić, dopóki nie wykopię studni. Myślałeś, że będę żebrał o kubek wody, błagał, żeby się móc położyć spać. Nic z tego. Dostaniesz swoją studnię ze ścianami tak solidnymi, że ludzie będą z niej ciągnąć wodę jeszcze długo po tym, jak twój dom i kuźnia rozpadną się w proch.

Ale nawet czując słodki smak zwycięstwa, Alvin widział, że Niszczyciel zbliżył się do niego bardziej niż kiedykolwiek. Migotał i tańczył już nie tylko na brzegach pola widzenia. Widział go wprost przed sobą, w ciemności wyraźniej jeszcze niż w blasku dnia, ponieważ nic rzeczywistego nie odwracało jego uwagi.

Było to tak przerażające i niespodziewane jak dziecięce koszmary. Przez chwilę Alvin stał w wykopie znieruchomiały ze strachu, a woda sączyła się od dołu i zmieniała w błoto ziemię pod nogami. Gęste błoto, głębokie na sto stóp. Tonął w nim, a ściany studni także

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

traciły twardość. Zwalą się i zasypią go. Utonie, zachłystując się mułem. Czuł jego zimny, wilgotny dotyk na udach, w kroczu; zacisnął pięści, a muł przelewał się między palcami, jak ta nicość w koszmarnych snach...

Wtedy odzyskał spokój, opanował się. Owszem, do pasa zapadł się w błoto. Każdy inny chłopiec w tej sytuacji zacząłby się wyrywać i pogrążył jeszcze głębiej, zatonął bez śladu. Ale to był Alvin, nie jakiś zwykły chłopak. Nic mu nie groziło, póki nie da się porazić strachowi jak małe dziecko, któremu przyśniło się coś złego. Alvin utwardził muł pod nogami tak, żeby utrzymał jego ciężar. Potem tej twardej platformie kazał wznieść się wyżej, aż stanął na mokrym, śliskim dnie studni.

Łatwe jak przetrącić grzbiet szczurowi. Jeśli Niszczyciela nie stać na nic więcej, to od razu może się pakować. Alvin potrafi mu dorównać, jak dorówna Makepeace'owi Smithowi i Hankowi Dowserowi. Zaczerpnął błota, uniósł w górę, wyrzucił na zewnątrz, schylił się, żeby nabrać znowu...

Dotarł już chyba dostatecznie głęboko, dobre sześć stóp poniżej skalnej płyty. Gdyby nie wzmocnił ścian, woda zakryłaby go już razem z głową. Alvin chwycił linę z węzłami, którą umocował na powierzchni, i z jej pomocą wspiął się po ścianie na górę.

Księżyc już wschodził, ale wykop był tak głęboki, że dopiero w środku nocy promienie sięgną dna. Nie szkodzi. Alvin wrzucił do dziury taczkę kamieni, które wykopał ledwie przed godziną. A potem zsunął się za nimi.

Wykorzystywał swój talent przy obróbce kamieni odkąd był małym chłopcem. I nigdy jeszcze nie działał sprawniej niż dzisiejszej nocy. Gołymi rękami formował kamienie jak glinę, przerabiał na gładkie, prostokątne bloki, które układał na ścianach studni od dna w górę, dopasowywał starannie, żeby nie ustąpiły pod naciskiem ziemi i wody. Ziemia się nie przeciśnie, a woda bez trudu będzie się sączyć szczelinami i studnia prawie od samego początku będzie czysta.

Oczywiście, kamienie z wykopu nie wystarczały. Alvin trzy razy wyprawiał się nad strumień, by załadować taczki wygładzonymi przez wodę otoczakami. Przy pracy wykorzystywał swój dar, była już jednak późna noc i ogarniało go zmęczenie. Postanowił je zignorować. Czy nie nauczył się od Czerwonych, że można biec bardzo długo, chociaż zmęczenie powinno już człowieka zwyciężyć? Chłopiec, który za Ta-Kumsawem bez odpoczynku przebiegł drogę z Detroit do Ośmiościennego Kopca, nie przestraszy się jednej nocy kopania studni, nie będzie zważał na pragnienie, obolały grzbiet, uda i ramiona, otarte łokcie i kolana.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

I wreszcie, wreszcie studnia była gotowa. Księżyc minął zenit, Alvin czuł w ustach smak końskiej derki, ale skończył. Wydostał się na powierzchnię, zapierając nogami o kamienne ściany, które właśnie zbudował. A wspinając się rozluźnił, odpieczętował ziemię wokół studni. Woda, teraz okiełznana, sączyła się hałaśliwie do szerokiej, kamiennej misy, którą dla niej przeznaczył.

A jednak Alvin wciąż nie wracał do domu, nie pobiegł nawet nad strumyk, żeby ugasić pragnienie. Pierwszy łyk wody wypije z tej studni, dokładnie tak, jak powiedział Makepeace Smith. Zostanie tu i poczeka, aż woda sięgnie normalnego poziomu, potem oczyści ją, nabierze pełne wiadro i zaniesie do domu. Na oczach mistrza wypije z niego kubek. A później wyprowadzi Makepeace'a Smitha na dwór i pokaże studnię w miejscu wskazanym przez Hanka Dowsera - tę, za którą oberwał. I tę drugą, w której wiadro zachlupocze, nie zastuka.

Stał na brzegu studni i wyobrażał sobie, jak Makepeace Smith będzie się wściekał i przeklinał. A potem usiadł, żeby dać stopom odpocząć. Widział przed sobą twarz Hanka Dowsera, kiedy zobaczy, czego Al dokonał. Położył się, żeby ulżyć obolałym plecom, i tylko na chwilkę zamknął oczy, żeby nie widzieć migotliwych cieni zniszczenia, które prześladowały go na skraju pola widzenia.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 8 - NISZCZYCIEL

Pani Modesty poruszyła się. Zmienił się rytm jej oddechu. Potem usiadła nagle na posłaniu. I natychmiast w mroku pokoju rozejrzała się za Peggy.

- Tu jestem - szepnęła Peggy.

- Co się stało, kochanie? Czyżbyś wcale nie spała?

- Nie śmiem zasnąć.

Pani Modesty wyszła do niej na taras. Bryza od południowego zachodu wydymała adamaszkowe zasłony. Księżyc flirtował na niebie z chmurami, a miasto Dekane w dole było zmienną mozaiką dachów.

- Widzisz go? - spytała pani Modesty.

- Nie jego - wyjaśniła Peggy. - Widzę jego płomień serca. Widzę przez jego oczy to, na co on patrzy. Ale jego samego nie. Jego nie widzę.

- Biedactwo... Żebyś w tak piękną moc musiała opuścić bal u gubernatora i czuwać z daleka nad tym dzieckiem, któremu grozi straszne niebezpieczeństwo...

W taki sposób pani Modesty, nie pytając wprost, pytała jednak, co to za niebezpieczeństwo. A Peggy mogła odpowiedzieć lub nie, nie urażając jej.

- Chciałabym umieć to wytłumaczyć - rzekła Peggy. - To jego wróg, ten, który nie ma twarzy...

Pani Modesty zadrżała.

- Nie ma twarzy? To potworne.

- Och, ma twarz dla innych. Był kiedyś taki pastor, który uważał się za uczonego. Widział Niszczyciela, ale nie potrafił zobaczyć go takim, jakim jest rzeczywiście. Nie tak jak Alvin. Pastor wyobraził go sobie w ludzkiej postaci, dał mu imię... nazywał go Przybyszem i wierzył, że to anioł.

- Anioł!

- Myślę, że kiedy ktoś z nas spotyka Niszczyciela, nie potrafi go pojąć. Nasze umysły są na to zbyt słabe. Widzimy tylko postać, która symbolizuje nagą, niszczącą moc, straszliwą i nieodpartą siłę. Ci, którzy kochają taką moc, dostrzegają w Niszczycielu piękno. Inni, którzy jej nienawidzą i się jej lękają, widzą w nim to, co najgorsze w świecie.

- A co widzi twój Alvin?

- Nie mogłam sama tego zobaczyć, tak jest subtelne. Nawet przez oczy Alvina nic bym nie zauważyła, gdyby on nie zauważył. Zrozumiałam, że coś widzi, i dopiero wtedy

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

pojęłam, co to jest. Wyobraźcie sobie to uczucie... zdaje się wam, że dostrzegacie kątem oka jakiś ruch, odwracacie się, a tam niczego nie ma.

- Jak gdyby ktoś skradał się do ciebie - domyśliła się pani Modesty.

- Tak, właśnie tak.

- I teraz skrada się do Alvina?

- Biedny chłopak. Nie zdaje sobie sprawy, że go przywołuje. Wygrzebał w swoim sercu głęboką czarną jamę. Właśnie takie miejsce, gdzie może wpłynąć Niszczyciel.

Pani Modesty westchnęła.

- Niestety, moje dziecko, takie sprawy mnie przerastają. Nigdy nie miałam żadnego daru. Ledwie rozumiem to, co robisz.

- Wy? Żadnego daru? - Peggy była zdumiona.

- Wiem... Mało kto się do tego przyznaje, ale z pewnością nie ja jedna...

- Źle mnie zrozumieliście, pani Modesty - odpowiedziała Peggy. - Zdziwiłam się nie dlatego, że nie macie żadnego daru, ale że myślicie, że nie macie. Ponieważ macie, oczywiście.

- Ależ kochanie, naprawdę mi na tym nie zależy...

- Macie dar patrzenia na potencjalne piękno, jakby ono już istniało. A patrząc, sprawiacie, że ono się staje.

- Cóż za śliczna idea - westchnęła pani Modesty.

- Czy wątpicie w moje słowa?

- Nie wątpię, że wierzysz w to, co mówisz.

Nie warto było się spierać. Pani Modesty bała się uwierzyć. Zresztą, to mało ważne. Ważny jest Alvin, który kończy właśnie drugą studnię. Raz już się uratował i myślał, że niebezpieczeństwo minęło. A teraz usiadł na krawędzi wykopu, żeby chwilę odpocząć. Teraz się położył. Czy nie widzi, że Niszczyciel się zbliża? Czy nie pojmuje, że ta senność otwiera Niszczycielowi drogę do jego serca?

- Nie! - szepnęła Peggy. - Nie śpij.

- Rozumiem - stwierdziła pani Modesty. - Mówisz do niego. Czy może cię usłyszeć?

- Nigdy. Ani słowa.

- Więc co możesz zrobić?

- Nic. Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Opowiadałaś mi, że używałaś jego czepka...

PDF-XChange Click to buy NOW! www.docu-track.com
PDF-XChange Click to buy NOW! www.docu-track.com

- To część jego mocy i z niej korzystałam. Ale nawet jego dar nie zdoła odegnać tego, co przyszło na jego wezwanie. Zresztą, i tak nie potrafiłabym odepchnąć samego Niszczyciela, choćbym nawet miała cały jard tego czepka, nie tylko strzępek.

Peggy w rozpaczy obserwowała, jak Alvin zamyka oczy.

- Śpi.

- Czy Alvin zginie, jeśli Niszczyciel zwycięży?

- Nie wiem. Możliwe. Może zniknie, pożarty przez nicość. A może Niszczyciel nim zawładnie.

- Nie widzisz przyszłości, żagwio?

- Wszystkie ścieżki prowadzą w ciemność i żadna się nie wynurza.

- A więc to koniec - wyszeptała pani Modesty.

Peggy poczuła chłód na policzku. Ach, oczywiście: to jej własne łzy schną w chłodnym wietrze.

- Ale gdyby Alvin nie spał, mógłby odeprzeć tego niewidzialnego wroga? - spytała pani Modesty. - Wybacz, że męczę cię pytaniami, ale gdybym wiedziała, o co chodzi, mogłabym może pomóc.

- Nie. To ponad nasze siły. Możemy się tylko przyglądać.

Ale choć Peggy odrzuciła sugestię pani Modesty, jej umysł bezwiednie szukał sposobów jej wykorzystania. Trzeba go obudzić. Nie muszę walczyć z Niszczycielem. Wystarczy, że obudzę Alvina, a on sam stoczy walkę. I choć jest zmęczony i słaby, z pewnością będzie umiał zwyciężyć.

Peggy odwróciła się szybko i pobiegła do pokoju. Przeszukała górną szufladę i znalazła rzeźbione pudełko z czepkiem.

- Mam wyjść? - Pani Modesty przyszła za nią.

- Zostańcie ze mną. Proszę. Dla towarzystwa. Dla pocieszenia, jeśli zawiodę.

- Nie zawiedziesz. I on nie zawiedzie, jeśli jest takim człowiekiem, o jakim mi opowiadałaś.

Peggy prawie jej nie słyszała. Usiadła na brzegu łóżka i wpatrując się w płomień serca Alvina szukała jakiegoś sposobu, żeby go przebudzić. Zwykle nawet gdy spał, umiała korzystać z jego zmysłów, słyszała to, co on przez sen słyszał, widział i pamiętał. Ale teraz, kiedy sączył się weń Niszczyciel, te zmysły gasły. Nie mogła im ufać. Rozpaczliwie usiłowała znaleźć inne wyjście. Jakiś hałas? Skorzystała z resztki tego, co pozostało Alvinowi ze świadomości okolicy... Trafiła na drzewo, roztarła skrawek czepka i spróbowała - widziała, jak robi to Alvin - wyobrazić sobie, że pęka konar. Wszystko działo się straszliwie wolno -

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin radził sobie tak szybko! - ale w końcu gałąź upadła. Za późno. Ledwie coś usłyszał. Niszczyciel unicestwił tyle powietrza wokół niego, że drżenie dźwięku nie zdołało się przebić. Może Alvin coś zauważył, może zbliżył się odrobinę do świadomości. A może nie.

Jak mogę go obudzić, skoro jest taki niewrażliwy? Już raz trzymałam ten czepek, gdy kalenica spadała prosto na niego; wypaliłam w niej dziurę wielkości dziecka i nawet włos mu z głowy nie spadł. Raz młyński kamień przewracał mu się na nogę; rozbiłam go na połowy. Raz jego własny ojciec stał na poddaszu z widłami w ręku i opętany szaleństwem Niszczyciela chciał zamordować swego najukochańszego syna; sprowadziłam wtedy Bajarza, odciągnęłam ojca od strasznego zamiaru i odepchnęłam Niszczyciela.

Jak? Jak przybycie Bajarza odpędziło Niszczyciela? Ponieważ Bajarz zobaczyłby straszną bestię i krzyknąłby. Dlatego Niszczyciel odszedł przed jego pojawieniem. Bajarza nie ma w okolicy, ale z pewnością jest tam ktoś, kogo mogę obudzić i sprowadzić na miejsce. Ktoś pełen miłości i dobra, przed kim Niszczyciel będzie musiał uciec.

Przerażona wycofała się od Alvinowego płomienia serca, choć czerń Niszczyciela groziła, że go pochłonie. I wśród nocy zaczęła szukać innego płomienia. Kogoś, kogo mogłaby obudzić i sprowadzić na czas. Ale nawet wtedy wyczuwała w płomieniu Alvina pewne rozjaśnienie, sugestię światła wśród cieni... Już nie tę absolutną nicość, którą oglądała wcześniej tam, gdzie powinna widzieć jego przyszłość. Jeżeli Alvin miał jakąś szansę, to tylko dzięki jej poszukiwaniom. Lecz gdyby nawet kogoś znalazła, nie wiedziała, jak go obudzić... To nic. Znajdzie sposób. Inaczej Kryształowe Miasto zginie w powodzi wywołanej głupim, dziecinnym gniewem Alvina.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 9 - DROZD

Alvin przebudził się po kilku godzinach, gdy księżyc wisiał nisko nad zachodnim niebem, a na wschodzie jaśniały pierwsze promienie świtu. Nie miał zamiaru zasypiać. Ale przecież był zmęczony, zakończył pracę... Jak mógł liczyć na to, że po prostu zamknie oczy i nie uśnie choćby na chwilę. Czas, żeby nabrać wiadro wody i zanieść je do domu.

Tylko czy teraz miał oczy otwarte? Widział niebo, jasnoszare po lewej stronie i jasnoszare po prawej. Gdzie się podziały drzewa? Czy nie powinny kołysać się łagodnie w porannym wietrze, na skraju pola widzenia? Zresztą wiatru też nie było. Jeśli nie liczyć widoku w oczach i dotyku na skórze, prawie nic nie odczuwał. Nie słyszał zielonej muzyki żyjącego lasu. Ucichła; żadnego szmeru owadów w trawie, żadnego bijącego serca jelenia o świcie. Ani ptaków na gałęziach, czekających aż ciepło słońca rozbudzi owady.

Martwe wszystko. Unicestwione. Las zniknął.

Alvin otworzył oczy.

Czyżby nie otwierał ich wcześniej?

Alvin otworzył oczy znowu, ale wciąż nic nie widział. Nie zamykając, otworzył je raz jeszcze. I za każdym razem niebo wydawało się ciemniejsze. Nie, nie ciemniejsze, po prostu bardziej odległe, sunące w górę, jakby spadał w otchłań tak głęboką, że nawet niebo ginęło.

Alvin krzyknął z przerażenia. Otworzył otwarte już oczy i zobaczył:

Migotanie Niszczyciela w powietrzu, oblewające go ze wszystkich stron, wciskające się w nozdrza, między palce, do uszu.

Nic nie czuł, całkiem nic, ale wiedział, czego nie ma: zewnętrznych warstw skóry, miejsc, których dotknął Niszczyciel. Całe ciało Alvina rozpadało się; maleńkie fragmenty umierały, schły, złuszczały się.

- Nie! - otworzył usta w krzyku.

Ale nie wydał z siebie głosu. Tylko Niszczyciel wdarł mu się do ust, w płuca. Nie mógł dość mocno zagryźć zębów, dość mocno zacisnąć warg, by powstrzymać tego śliskiego wroga, obronić się przed nim.

Próbował się uleczyć jak wtedy, kiedy młyński kamień złamał mu nogę. Ale działo się jak w tej historii, którą opowiedział Bajarz: nie mógł budować tak prędko, jak prędko rujnował Niszczyciel. Na każde uzdrowione miejsce przypadały tysiące umarłych i straconych. Miał umrzeć, już był na wpół martwy. I to nie będzie zwykła śmierć, strata ciała i przeistoczenie się w ducha. Niszczyciel chciał pożreć jego ciało i duszę, mięśnie i umysł.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Plusk. Rozległo się pluśnięcie. Wspanialszego nie słyszał w życiu. I wspaniałe było to, że w ogóle słyszał. A więc istnieje coś poza otaczającym go i wypełniającym Niszczycielem.

Alvin słyszał, jak odgłos odbija się echem i rozbrzmiewa w jego pamięci. Mógł go pochwycić. I trzymając się tej odrobiny realnego świata, otworzył oczy.

Tym razem otworzył naprawdę, wiedział o tym, bo znów zobaczył niebo w obramowaniu drzew. A Gertie Smith, żona jego mistrza, stała obok z wiadrem w ręku.

- To pewnie pierwsza woda z tej studni - oświadczyła.

Alvin otworzył usta i wciągnął do płuc chłodne, wilgotne powietrze.

- Chyba tak - wyszeptał.

- Nigdy bym nie pomyślała, że dasz radę wykopać studnię i obłożyć jak należy kamieniami. A wszystko to w ciągu jednej nocy - stwierdziła. - Kiedy robiłam śniadanie, ten mieszaniec, Arthur Stuart, przyszedł do mnie do kuchni. Powiedział, że studnia już gotowa. Musiałam to zobaczyć.

- Wcześnie wstaje - zauważył Alvin.

- A ty późno się kładziesz. Gdybym była takim chłopem jak ty, Al, terminator czy nie, spuściłabym swojemu staremu solidne baty.

- Zrobiłem tylko to, co mi kazał.

- Tego jestem pewna. I jeszcze tego, że kazał ci odkopać ten krąg skały przy kuźni. Zgadłam? - zaśmiała się z satysfakcją. - Będzie miał nauczkę, stary dureń. Tak liczył na tego różdżkarza, a tu jego własny uczeń lepiej się zna na różdżkarstwie niż tamten oszust.

Alvin teraz dopiero sobie uświadomił: ten dół, wykopany w gniewie, jest jak szyld głoszący wszystkim, że ma talent nie tylko do podkuwania koni.

- Proszę, psze pani... - zaczął.

- No, co?

- Mój dar to nie różdżkarstwo. I jeśli zaczniecie o tym opowiadać, nie dadzą mi już spokoju.

Przyglądała mu się spokojnie i chłodno.

- Skoro nie masz talentu do różdżki, powiedz mi, skąd się wzięła czysta woda w tej studni?

Alvin przemyślał kłamstwo.

- Kijek różdżkarza tutaj też uderzył o ziemię. Widziałem to. I kiedy w pierwszym wykopie trafiłem na skałę, spróbowałem tu.

Gertie była z natury podejrzliwa.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- A gdyby Jezus tu stał i osądzał twoją duszę nieśmiertelną według tego, czy powiesz prawdę, czy skłamiesz, powiedziałbyś to samo?

- Psze pani, gdyby był tu Jezus, to raczej prosiłbym o odpuszczenie moich grzechów, niż myślał o jakiejś studni.

Zaśmiała się i klepnęła go lekko w ramię.

- Podoba mi się twoja historyjka o różdżkarzu. Tak akurat przypadkiem przyglądałeś się Hankowi Dowserowi. A to dobre. Powtórzę ją wszystkim, bądź pewien.

- Dziękuję pani.

- Masz. Napij się. Zasłużyłeś na pierwszy łyk z pierwszego wiadra z nowej studni.

Al wiedział, że zwyczaj oddaje pierwszy łyk właścicielowi. Jednak kobieta sama mu zaproponowała, a on był tak wysuszony, że nie potrafiłby splunąć, choćby mu płacili. Dlatego uniósł wiadro do ust i pił, zalewając wodą koszulę.

- Założę się, że jesteś też głodny - powiedziała.

- Chyba bardziej zmęczony, niż głodny.

- To wracaj do domu i kładź się.

Wiedział, że powinien, ale wciąż widział w pobliżu Niszczyciela. I bał się zasnąć.

- Dziękuję pani bardzo, ale wolałbym się przejść.

- Jak chcesz. - Zawróciła do domu.

Poranny wiatr ochłodził go i wysuszył koszulę zalaną wodą. Czyżby atak Niszczyciela był tylko snem? Alvin tak nie sądził. Przebudził się i to wszystko działo się naprawdę. Zostałby unicestwiony, gdyby nie przyszła Gertie Smith i nie wrzuciła wiadra do studni. Niszczyciel przestał się ukrywać. Nie podkradał się już od tyłu ani nie krążył. Gdzie tylko Alvin spojrzał, on tam był, drżący w szarym blasku świtu.

Z jakichś powodów Niszczyciel wybrał ten ranek na bezpośrednie starcie. Tyle że Alvin nie wiedział, jak powinien z nim walczyć. Skoro budowa studni i wyłożenie jej pięknie kamieniami nie odpędziło przeciwnika, nie miał pojęcia, co może tego dokonać. Niszczyciel nie przypominał chłopców, z którymi siłował się w miasteczku. Niszczyciel nie miał niczego, co można by pochwycić.

Jedno jest pewne. Alvin nie zaśnie już spokojnie, dopóki nie powali Niszczyciela i nie rozciągnie go na ziemi.

Mam nad tobą zapanować, zwrócił się Alvin do Niszczyciela. Powiedz mi, jak mam cię zniszczyć, skoro ty sam jesteś Zniszczeniem? Kto mnie nauczy, jak zwyciężyć w tej bitwie, skoro możesz zaatakować mnie we śnie, a ja nie mam pojęcia, jak się bronić?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Rozmawiając tak ze sobą, Alvin dotarł na skraj lasu. Niszczyciel cofał się przed nim, zawsze nieuchwytny. Nie patrząc nawet, Al wiedział, że podąża tuż za nim. Otaczał go ze wszystkich stron.

Środek lasu. Tu właśnie powinienem czuć się jak w domu. Ale zielona pieśń ucichła, a zewsząd okrąża mnie mój wróg. A ja nie mam żadnego planu.

Za to Niszczyciel miał plan. Nie marnował czasu na dumanie, co należy zrobić. Alvin przekonał się o tym natychmiast.

Bo kiedy stał tam w chłodnej porannej bryzie, powietrze oziębiło się nagle, a co gorsza, zaczął padać śnieg. Płatki osiadały na zielonych liściach drzew, na trawie. Gęste i zimne, pokrywały wszystko - nie wilgotne, ciężkie płatki mokrego śniegu, ale maleńkie, lodowe kryształki zimowej zamieci. Alvin zadygotał.

- Nie możesz tego zrobić - oświadczył.

Ale oczy miał teraz otwarte. To nie jakiś sen z pogranicza jawy, tego był pewien. To prawdziwy śnieg, tak gęsty i zimny, że zielone gałęzie drzew łamały się, a liście spadały na ziemię wśród brzęku pękającego lodu. Alvin też wkrótce zamarznie na śmierć, jeśli szybko się stąd nie wydostanie.

Ruszył w kierunku, z którego przyszedł, ale śnieg padał gęsto, i widział drogę tylko na pięć, sześć stóp przed sobą. Nie wyczuwał jej, gdyż Niszczyciel uciszył zieloną pieśń lasu. Po chwili Alvin nie szedł już, ale biegł. Lecz nie tak pewnie, jak nauczył go Ta-Kumsaw; biegł hałasując bez sensu, jak mógłby biec każdy Biały, tępy niczym wół... jak biegała większość Białych. Pośliznął się na oblodzonym kamieniu i jak długi rozciągnął na śniegu.

Śniegu, co wciskał mu się do ust, nosa i uszu, oblepiał palce jak ta oślizła maź w nocy, jak Niszczyciel we śnie. Alvin zakrztusił się, zakaszlał i krzyknął...

- Wiem, że to kłamstwo! Śnieżny mur stłumił jego wołanie. - Jest lato!

Broda szczypała go z zimna. Wiedział, że go zaboli, jeśli znów spróbuje się odezwać, ale wrzeszczał przez odrętwiałe wargi:

- Nie pozwolę ci!

I wtedy zrozumiał, że niczego nie może Niszczycielowi zabronić, nie może go zmusić, żeby zrobił cokolwiek albo stał się czymkolwiek, ponieważ jest on tylko Unicestwieniem i Niebytem. Nie do Niszczyciela powinien wołać, ale do wszystkiego co żywe dookoła, do drzew, trawy, ziemi, samego powietrza. Musiał odtworzyć zieloną pieśń.

Chwycił się tej myśli i przemówił znowu - ledwie słyszalnym głosem, ale przemówił. I to nie w gniewie.

- Lato - wyszeptał.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Ciepło - powiedział.

- Zielone liście! - zawołał. - Ciepły wiatr od południowego zachodu! Burza po południu, rosa o świcie i słońce, co ją rozgrzewa i rozpędza mgły!

Czyżby coś się zmieniło? Troszeczkę? Czy śnieg przestaje padać? Czy zaspy topnieją od dołu, spadają z gałęzi śnieżne czapy, odsłaniając więcej liści?

- Jest gorący, suchy ranek! - krzyknął. - Deszcz przyjdzie może później, jak dar trzech króli, przypłynie z bardzo daleka, ale na razie przygrzewa słońce, budzi was, rośniecie, wypuszczacie liście, tak! Dobrze!

Śnieg zmienił się w rzadki deszcz, zaspy stopniały, pozostawiając tylko tu i ówdzie białe łaty, opadłe liście na nowo pojawiały się na gałęziach - szybko, jak straż obywatelska podczas alarmu.

I w ciszy po swym ostatnim krzyku usłyszał śpiew ptaka.

Takiej pieśni nie słyszał jeszcze nigdy w życiu. Nie znał takiego ptaka. Słodka melodia zmieniała się z każdym gwizdnięciem, ani jeden takt się nie powtarzał. Ptak tkał tę pieśń według nieznanego wzoru, tak że nie można było zaśpiewać jej po raz wtóry, ale też nie można jej było rozpleść, rozwinąć, rozszczepić. Była jedną całością, jednym Stworzeniem. Alvin wiedział, że byłby bezpieczny, gdyby tylko znalazł ptaka, co śpiewa taką pieśń.

Pobiegł, a teraz towarzyszyła mu zielona muzyka lasu. Stopy same odnajdywały właściwe miejsca. Podążał za pieśnią, aż dotarł na polanę, skąd dobiegał trel.

Wędrowny drozd przysiadł na starym pniu, w którego cieniu leżało jeszcze trochę śniegu. A przed nim, niemal nos w nos, siedział zasłuchany Arthur Stuart.

Alvin powoli okrążył tę parę. Zatoczył prawie pełne koło, zanim się do nich zbliżył. Arthur Stuart jakby go nie zauważył - ani na moment nie odrywał oczu od ptaka. Świeciło na nich słońce, ale ani ptak, ani chłopiec nawet nie mrugnęli. Alvin milczał. Podobnie jak Arthura Stuarta, jego także pochwyciła pieśń ptaka.

Niczym nie różnił się od innych drozdów, tysiąca czerwono-piórych ptaszków, które widywał, odkąd sięgał pamięcią. Tyle że z małego gardziołka wylatywała muzyka, jakiej jeszcze żaden ptak nie wyśpiewał. To nie był zwyczajny drozd. To był Drozd. Nie ptak, który przypadkiem posiadł wyjątkową cechę. Nie; to po prostu Drozd, wybrany, by w tej chwili przemawiać głosem wszystkich ptaków, śpiewać pieśń wszystkich muzyków, żeby usłyszał ją ten chłopiec.

Alvin przyklęknął na świeżej trawie, niecałe trzy stopy od Drozda, i słuchał. Lolla-Wossiky powiedział mu kiedyś, że w pieśni drozda są wszystkie opowieści ludzi, wszystko, czego kiedykolwiek dokonali, co warte było wysiłku. Alvin miał skrytą nadzieję, że zrozumie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

tę pradawną historię, a przynajmniej usłyszy, jak Drozd opowiada o tym, co on sam widział. O Proroku Lolli-Wossiky idącym po wodzie; o Chybotliwym Kanoe szkarłatnym od krwi Czerwonych; o Ta-Kumsawie z ciałem podziurawionym kulami muszkietów, wciąż zagrzewającym ludzi do walki, do oporu, do przepędzenia białych rabusiów.

Ale znaczenie pieśni umykało mu jakoś, choć przecież słuchał uważnie. Mogą go nosić przez puszczę nogi czerwonego człowieka, może uszami czerwonego człowieka słyszeć zieloną muzykę, ale pieśń czerwonego Drozda nie była przeznaczona dla niego. Prawdę mówiło stare przysłowie: żadna dziewczyna nie pochwyci wszystkich zalotników, żaden chłopiec nie otrzyma wszystkich darów. Alvin wiele już potrafił i wiele miał się jeszcze nauczyć, ale zawsze więcej pozostanie poza jego zasięgiem. A pieśń Drozda była jedną z tych rzeczy.

Alvin już miał się odezwać, chciał zadać pytanie, które jarzyło się w jego umyśle, odkąd się dowiedział, jakie może być jego przeznaczenie. Ale to nie jego głos przerwał śpiew Drozda.

- Nie znam dni, które nadejdą - odezwał się nagle Arthur Stuart. Głos chłopca również brzmiał jak muzyka, a tak wyraźnych słów Alvin nigdy nie słyszał z ust trzylatka. - Znam tylko dni minione.

Alvin dopiero po chwili zrozumiał, co to znaczy. Arthur odpowiedział na jego pytanie. Czy zostanę Stwórcą, jak przepowiedziała żagiew? O to chciał spytać Alvin, a Arthur mu odpowiedział.

Ale nie sam z siebie, to jasne. Chłopiec nie bardziej rozumiał, co mówi, niż wtedy, gdy zeszłej nocy naśladował kłócących się Makepeace'a i Gertie. Przekazywał tylko odpowiedź Drozda. Tłumaczył śpiew ptaka na język, któiy Alvin mógł zrozumieć.

I Alvin pojął, że zadał niewłaściwe pytanie. Nie potrzebował Drozda, by wiedzieć, że ma zostać Stwórcą. Był tego świadom, wciąż w to wierzył mimo wszelkich wątpliwości. Prawdziwy problem polegał na tym, jak nim zostać.

Powiedz mi - jak?

Drozd zmienił pieśń. Przeszedł do prostej, delikatnej melodii, przypominającej normalną ptasią piosenkę, całkiem inną od tysiącletniej historii czerwonego człowieka, jaką wyśpiewywał do tej pory.

Alvin nie rozumiał jej, ale wiedział, o czym mówi. To była pieśń Tworzenia. Raz po raz powtarzał się ten sam fragment, ledwie kilka taktów - ale oślepiały jasnością. Pieśń była tak prawdziwa, że Alvin widział ją, wyczuwał od warg po lędźwie, smakował i czuł jej zapach. Pieśń Tworzenia... jego własna pieśń. Poznał to po uczuciu słodyczy na języku.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

A kiedy Drozd wziął najwyższą nutę, Arthur Stuart przemówił znowu głosem tak ostrym i czystym, że prawie nieludzkim.

- Stwórcą jest ten, kto staje się częścią tego, co tworzy - oświadczył chłopiec.

Alvin zapisał te słowa w sercu, chociaż ich nie rozumiał. Wiedział jednak, że pewnego dnia zrozumie, a wtedy zyska moc dawnych Stwórców, którzy zbudowali Kryształowe Miasto. Zrozumie i użyje tej potęgi, odnajdzie Kryształowe Miasto i wzniesie je na nowo.

Stwórcą jest ten, kto staje się częścią tego, co tworzy.

Drozd umilkł. Znieruchomiał, przechylił głowę i wtedy był już nie Drozdem, ale zwyczajnym ptakiem o szkarłatnych piórkach. I odleciał.

Arthur Stuart odprowadził go wzrokiem i zawołał własnym, dziecięcym głosem:

- Ptak! Ptak leci!

Alvin uklęknął obok chłopca, słaby po trudach nocy, po lęku poranka i po ptasiej pieśni jasnego dnia.

- Leciałem - oświadczył Arthur Stuart.

Zdawało się, że dopiero teraz zauważył Alvina. Spojrzał na niego.

- Naprawdę? - szepnął Alvin.

Nie chciał niszczyć dziecięcych marzeń tłumaczeniem, że ludzie nie latają.

- Czarny ptak mnie niesie - powiedział Arthur. - Lecę i lecę. - A potem wyciągnął ręce i przycisnął dłonie do policzków Alvina. - Stwórca - zawołał.

I zaśmiał się radośnie.

A więc Arthur nie tylko naśladował. Naprawdę zrozumiał pieśń Drozda, a przynajmniej jej część. Dość, by poznać przeznaczenie Alvina.

- Nie mów nikomu - poprosił Alvin. - Jak nie powiesz, że jestem Stwórcą, to ja nie powiem, że umiesz rozmawiać z ptakami. Obiecujesz?

Arthur spoważniał nagle.

- Nie rozmawiam z ptakami - oznajmił. - Ptaki rozmawiają ze mną. - I dodał: - Fruwałem.

- Wierzę ci.

- Wiiie ci - odparł chłopiec i wybuchnął śmiechem.

Alvin powstał i Arthur również. Al wziął go za rękę.

- Wracajmy do domu.

Zaprowadził Arthura do zajazdu. Peggy Guester gniewała się, że mały biega nie wiadomo gdzie i o świcie przeszkadza ludziom spać. Ale był to gniew pełen miłości, a Arthur uśmiechał się jak głupek, słysząc głos kobiety, którą nazywał "mamą". Kiedy zamknęły się za

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

nim drzwi, Alvin pomyślał: muszę powiedzieć temu chłopcu, jak wiele dla mnie zrobił. Któregoś dnia wytłumaczę mu, co to wszystko znaczyło.

Wrócił do domu ścieżką obok źródlanej szopy. Makepeace z pewnością się wściekał, że terminator nie jest jeszcze gotów do pracy, choć przecież całą noc kopał studnię.

Studnia... Alvin zatrzymał się przy jamie, którą wykopał jako pomnik dla Hanka Dowsera. Skała w słońcu lśniła bielą, jasna i okrutna niczym pogardliwy śmiech.

I w tej właśnie chwili Alvin zrozumiał, czemu Niszczyciel zaatakował go w nocy. Nie dlatego, że użył swego daru, by zatrzymać wodę, ani że zmiękczył kamienie i nagiął je do swych potrzeb. To dlatego, że wykopał tę pierwszą dziurę, aż do skały, tylko z jednego powodu: żeby Hank Dowser wyszedł na durnia.

Chciał go ukarać? O tak. Żeby naśmiewali się z niego wszyscy, którzy zobaczą kamienne dno studni wykopanej w miejscu wskazanym przez Hanka Dowsera. Straciłby dobre imię, byłby skończony - niesłusznie, ponieważ naprawdę był dobrym fachowcem i tylko dał się oszukać skalnej płycie. Hank popełnił błąd, zaś Al postanowił go ukarać, jakby różdżkarz był głupcem, którym z całą pewnością nie był.

I choć Alvin był teraz zmęczony, osłabły po pracy i po walce z Niszczycielem, nie tracił ani chwili. Chwycił łopatę leżącą obok czynnej studni, ściągnął koszulę i wziął się do pracy. Źle zrobił, kopiąc fałszywą studnię. Ze złośliwości chciał pognębić uczciwego człowieka. Ale jej zasypanie będzie dziełem Stwórcy. Trwał dzień, więc Alvin nie korzystał ze swego daru - pracował ile sił, aż umierał ze zmęczenia.

Było już południe, a on nie jadł kolacji ani śniadania, ale zakopał studnię i ułożył murawę, żeby trawa porosła ziemię. Jeśli ktoś nie przyjrzy się z bliska, nigdy nie zgadnie, że w ogóle był tu kiedyś wykop. Oczywiście, Alvin skorzystał ze swego daru, ale tylko trochę: splótł korzenie traw, utkał je w ziemi, żeby nie pozostały żadne plamy martwej murawy.

A przez cały czas bardziej niż słońce nagi grzbiet czy głód w pustym brzuchu, palił go wstyd. Taki był wściekły ostatniej nocy, taki chętny, żeby ośmieszyć różdżkarza. Ani razu nie pomyślał, co naprawdę należy zrobić: użyć daru i przebić się przez tę skalną płytę dokładnie tam, gdzie wskazał Hank Dowser. Oprócz Alvina nikt by nie wiedział, że w tym miejscu nie wszystko było w porządku. To byłby chrześcijański uczynek, miłosierny uczynek. Kiedy ktoś uderzy cię w twarz, podaj mu rękę - tak nakazywał Jezus, tyle że Alvin zwyczajnie nie słuchał, Alvin był pyszny.

Tym właśnie przywołałem Niszczyciela, myślał. Mogłem wykorzystać swój talent, żeby budować, a użyłem go, żeby niszczyć. Ale już nigdy, nigdy, nigdy więcej. Obiecał to

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

sobie po trzykroć, a chociaż uczynił to w myślach i nikt go nie słyszał, wiedział, że dotrzyma przysięgi lepiej niż każdej, jaką przyszłoby mu złożyć przed sędzią czy choćby kapłanem.

Ale zrobił to poniewczasie. Gdyby pomyślał o tym, zanim Gertie zobaczyła fałszywą studnię i nabrała wody z prawdziwej, mógłby zasypać tamtą i dokończyć tej. Teraz widziała już skałę i gdyby ją przebił, wyszłyby na jaw wszystkie jego tajemnice. A kiedy człowiek napije się wody z dobrej nowej studni, już nie wolno jej zasypać, póki sama nie wyschnie. Zakopać żyjącą studnię to jakby prosić, żeby susza i cholera prześladowały człowieka do końca życia.

Naprawił, ile mógł. Możesz żałować i możesz otrzymać wybaczenie, ale nie przywołasz na powrót przyszłości, którą zniszczyła twoja błędna decyzja. Nie potrzebował żadnych filozofów, żeby mu to tłumaczyli.

Z kuźni nie dochodził dźwięk młota Makepeace'a i siwy dym nie unosił się z komina. Kowal z pewnością miał coś innego do roboty, domyślił się Alvin. Odniósł łopatę do kuźni i ruszył w stronę domu.

W połowie drogi, nad dobrą studnią, Makepeace Smith siedział na niskim murku, postawionym przez Alvina jako fundament zadaszenia.

- Dzień dobry, Alvinie - zawołał mistrz.

- Dzień dobry panu.

- Opuściłem wiadro aż na sam dół. Musiałeś harować jak szatan, mój chłopcze, żeby wykopać taką głęboką studnię.

- Nie chciałem, żeby wyschła.

- I już wyłożona kamieniami. Istny cud, moim zdaniem.

- Pracowałem ciężko i szybko.

- Widzę, że kopałeś w odpowiednim miejscu.

Alvin nabrał tchu.

- Kopałem dokładnie tam, gdzie różdżkarz kazał kopać, psze pana.

- Kawałek stąd zauważyłem drugą dziurę - oświadczył Makepeace Smith. - Na całym dnie kamień gruby i twardy jak diabelskie kopyto. Wolisz, żeby ludzie nie wiedzieli, jak tam kopałeś?

- Zasypałem tamtą studnię - odparł Alvin. - I żałuję, że ją wykopałem. Nie chcę, żeby ludzie naśmiewali się z Hanka Dowsera. Była tam woda, całkiem płytko. I żaden różdżkarz na świecie nie potrafiłby odkryć tej skały.

- Oprócz ciebie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie jestem różdżkarzem, psze pana - zapewnił Alvin. I powtórzył swoje kłamstwo: - Zauważyłem, że tutaj różdżka też opadła.

Makepeace Smith potrząsnął głową. Uśmiech rozciągnął mu wargi.

- Żona już mi o tym mówiła. Myślałem, że umrę ze śmiechu. Przyłożyłem ci w ucho za gadanie, że się pomylił. A teraz chcesz, żeby to jego chwalili?

- To prawdziwy różdżkarz, psze pana. A ja nie. Więc ponieważ on nim jest, to moim zdaniem jemu powinna przypaść zasługa.

Makepeace Smith podniósł miedziane wiadro, przytknął do ust i wypił kilka łyków. Potem odchylił głowę i resztę wylał sobie na twarz. Zaśmiał się głośno.

- Przysięgam, że w życiu nie piłem jeszcze takiej wody.

Nie była to obietnica, że uzna wersję Alvina i pozwoli Hankowi Dowserowi wierzyć, że to jego studnia. Jednak na nic więcej Al nie mógł liczyć.

- Jeśli wam to nie przeszkadza - powiedział - to poszedłbym coś zjeść.

- Tak, idź. Zasłużyłeś.

Alvin wyminął mistrza. Od studni niósł się zapach świeżej wody. Makepeace Smith znów się odezwał.

- Gertie powiedziała, że wypiłeś pierwszy łyk wody z tej studni.

Alvin odwrócił się, przeczuwając kłopoty.

- Tak, psze pana, ale pani sama mi zaproponowała.

Makepeace zastanawiał się nad tym przez chwilę, jakby decydował, czy jest to powód do ukarania ucznia.

- No dobrze - rzekł w końcu. - To całkiem do niej podobne. Ale nie gniewam się. W drewnianym wiadrze zostało jeszcze dość z tego pierwszego nabrania, żeby starczyło dla Hanka Dowsera. Obiecałem mu łyk z pierwszego wiadra i dotrzymam słowa, kiedy znów się tu zjawi.

- Kiedy przyjedzie, psze pana... - zaczął Alvin. - Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, ale wolałbym... i on pewnie też... żeby akurat nie było mnie w domu. Chyba nie bardzo mu się spodobałem.

Kowal przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

- Jeżeli w ten sposób chcesz dostać parę godzin wolnego to... - Uśmiechnął się szeroko. - To chyba sobie na nie zasłużyłeś po ostatniej nocy.

- Dziękuję panu.

- Wracasz do domu?

- Tak.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Zbiorę narzędzia, a ty weź wiadro i zanieś je do pani. Czeka na wodę. Wygodniej stąd nosić niż z potoku. Muszę specjalnie podziękować Hankowi Dowserowi, że wybrał akurat to miejsce.

Kiedy Alvin dotarł do domu, Makepeace wciąż śmiał się pod nosem, dumny ze swojego dowcipu.

Gertie Smith odebrała wiadro i prawie po dziurki w nosie napchała Alvina smażonym bekonem i dobrymi, ociekającymi tłuszczem grzankami. Jedzenia było tyle, że chłopak niemal błagał, by nie podsuwała mu więcej.

- Wykończyliśmy jedną świnkę - oświadczył. - Nie warto z mojego powodu zabijać drugiej.

- Świnie to tylko kukurydza z racicami - odpowiedziała Gertie. - A według mnie, dziś w nocy zapracowałeś na co najmniej dwa wieprzki.

Z pełnym brzuchem Alvin wspiął się po drabinie na stryszek nad kuchnią, zrzucił ubranie i zagrzebał się pod kocem.

Stwórcą jest ten, kto staje się częścią tego, co tworzy.

Zasypiając, raz za razem powtarzał szeptem te słowa. Nic mu się nie śniło, nie dręczył go żaden koszmar, i spał aż do kolacji. A potem znowu, aż do rana.

Obudził się przed świtem. Szarzało już, ale było niewiele jaśniej niż przy księżycu świecącym przez okna. Na stryszek, gdzie spał Alvin, światło prawie nie dochodziło. Wciąż czuł się ociężały ze snu i trochę obolały po ciężkiej pracy. Przepadła gdzieś jego zwykła rześkość. Dlatego leżał w ciszy i słyszał w głowie śpiew ptaka. Nie zastanawiał się nad zdaniem, które Arthur przetłumaczył mu z pieśni Drozda. Rozmyślał za to o wszystkim, co się wczoraj zdarzyło. Dlaczego ostra zima od jego krzyków znów zmieniła się w lato?

- Lato - szepnął. - Ciepło, zielone liście.

Co takiego w nim było, że kiedy powiedział "lato", ono nadeszło? Nie zawsze tak się działo, to pewne. Nigdy, gdy obrabiał żelazo albo sięgał w głąb kamienia, żeby zespolić go czy rozbić. Wtedy musiał wyobrażać sobie jego wizerunek, rozumieć, jak wszystko się wewnątrz układa, szukać naturalnych pęknięć i szczelin, włókien metalu czy cząstek skały. A kiedy leczył, musiał się skupić bez reszty, żeby wykryć, jak powinno wyglądać ciało, a potem je naprawić. Wszystko tam było takie małe, takie trudne do zobaczenia... nie, "zobaczenia" tego, co tam właściwie robił. Czasem ciężko musiał się napracować, żeby pojąć, jak działa... A najgłębsze tajemnice zawsze umykały niczym karaluchy, kiedy ktoś wniesie do pokoju lampę. Czy istniała najmniejsza cząsteczka? Jakieś miejsce w samym sercu rzeczy, gdzie to,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

co widział, było rzeczywiste, nie zbudowane z mniejszych kawałątków, a te z jeszcze mniejszych?

Ale przecież nie zrozumiał, jak Niszczyciel sprowadził zimę. Więc w jaki sposób jego rozpaczliwe wrzaski przywołały lato?

Jak mogę zostać Stwórcą, kiedy nawet nie rozumiem, jak robię to, co robię?

Na dworze jaśniało, blask dnia wpadał przez mętne szyby w oknach. I przez chwilę Alvin wyobraził sobie światło jako maleńkie kulki, lecące tak prędko, jakby ktoś odbił je kijem albo wystrzelił, tyle że jeszcze szybciej. Fruwały wokół, a większość utykała gdzieś w drobnych szczelinach ścian i sufitu, tak że ledwie niewielka część docierała na stryszek, by chwytały ją oczy Alvina.

Ogień słońca... tego Niszczyciel najbardziej nienawidzi. Życie, które dzięki niemu powstaje. Zgaś ten ogień - to sobie powtarza. Zgaś wszystkie ognie, zamień całą wodę w lód, cały świat pokryj gładkim lodem, całe niebo uczyń czarnym i zimnym jak noc. A planom Niszczyciela miał się przeciwstawić samotny Stwórca.

Stwórcą jest ten, kto staje się częścią tego... czego? Co mam tworzyć? Jak mam być tego częścią? Kiedy pracuję z żelazem, czy jestem częścią żelaza? Kiedy ociosuję kamień, czy jestem częścią kamienia? To przecież nie ma sensu, a muszę jakiś sens znaleźć, bo przegram wojnę z Niszczycielem. Mogę go zwalczać do końca życia, na wszelkie znane mi sposoby, ale kiedy umrę, świat znajdzie się na drodze do przepaści dalej, niż był w dniu moich urodzin. Na pewno istnieje jakiś sekret, klucz do wszystkiego... Żebym mógł zbudować wszystko naraz. I ten klucz muszę znaleźć, ten sekret odkryć. Wtedy powiem słowo, a Niszczyciel cofnie się, odstąpi, podda się i odejdzie. Może nawet umrze, żeby światło i życie mogły trwać wiecznie, nigdy nie gasnąć.

Alvin usłyszał, jak w sypialni porusza się Gertie Smith, jak krzyknęło cicho jedno z dzieci - ostatni głos przed przebudzeniem. Alvin wyprostował się i przeciągnął, czując słodki ból budzących się zmęczonych mięśni. Czekał go dzień w kuźni, dzień przy ogniu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 10 - KOBIETA

Peggy nie spała tak dobrze jak Alvin. On wygrał swoją bitwę i mógł zasnąć snem zwycięzcy. Dla niej jednak był to koniec spokojnego życia.

Kiedy Peggy przebudziła się z niespokojnego snu w gładkiej pościeli łóżka w domu pani Modesty, było już popołudnie. Czuła się wyczerpana; bolała ją głowa. Miała na sobie tylko koszulę, choć nie pamiętała, żeby się rozbierała. Pamiętała, że słuchała pieśni Drozda, obserwowała, jak Arthur Stuart ją tłumaczy. Pamiętała, że spoglądała w płomień serca Alvina, widziała jego odrodzone przyszłości... ale wciąż w żadnej z nich nie znajdowała siebie. Na tym jej wspomnienia się urywały. Pani Modesty musiała ją rozebrać i położyć do łóżka.

Odwróciła się. Pościel kleiła się do skóry, marzły mokre od potu plecy. Alvin zwyciężył i opanował tę lekcję; więcej nie da Niszczycielowi takiej szansy. Na ścieżkach przyszłości Alvina nie widziała żadnych zagrożeń, w każdym razie nie wkrótce. Niszczyciel z pewnością będzie wypatrywał następnej okazji albo znów zacznie działać za pośrednictwem swych ludzkich sług. Może Przybysz powróci do wielebnego Throwera lub inna dusza, pragnąca w sekrecie zła, znajdzie w Niszczycielu oczekiwanego mistrza. Ale to nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia. I Peggy o tym wiedziała.

Dopóki Alvin nie ma pojęcia, jak zostać Stwórcą, ani co począć ze swoją mocą, nie ma znaczenia, że opiera się Niszczycielowi. Kryształowe Miasto nigdy nie powstanie. A powstać musi, inaczej życie Alvina - i życie Peggy, poświęcone udzielaniu mu pomocy - pójdą na marne.

Przebudzona z gorączkowego, męczącego snu, Peggy widziała to jasno. Alvin miał za zadanie przygotować się, opanować swe ludzkie słabości. Jeśli gdzieś w świecie istniało źródło wiedzy o sztuce Stworzenia, Alvin nie zyska szansy, by z niego czerpać. Kuźnia była jego szkołą, palenisko nauczycielem. Uczyły go... czego? Zmieniać innych drogą perswazji i długich wysiłków, łagodnością i pokorą, szczerą miłością i dobrocią. A zatem ktoś inny musi posiąść tę czystą wiedzę, która wyniesie Alvina do wielkości.

Skończyłam już naukę w Dekane.

Tyle było lekcji, ale opanowałam je wszystkie, pani Modesty. I będę gotowa przyjąć tytuł, najwspanialszy, jaki może uzyskać dama.

Tytuł kobiety.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jej matkę od zawsze nazywano panią Guester, inne kobiety również: pani ta, pani tamta. Każda mogła uzyskać to miano. Ale niewiele na nie zasługiwało. Wobec nielicznych stosowano je zawsze bez skrótów - na przykład do pani Modesty nikt nigdy nie mówił "psze pani". Byłaby to obraza.

Peggy usiadła na łóżku. Przez moment kręciło się jej w głowie. Odczekała chwilę, wstała i ruszyła boso po drewnianej podłodze. Szła cicho, ale wiedziała, że będzie słyszana. Że pani Modesty wchodzi już po schodach na górę.

Peggy zatrzymała się przed lustrem i spojrzała na siebie. Włosy miała splątane, sklejone potem. Na twarzy czerwienią i bielą odbiły się fałdy poduszki. A mimo to zobaczyła przed sobą oblicze, które pani Modesty nauczyła ją widzieć.

- Nasze dzieło - powiedziała pani Modesty.

Peggy nie odwróciła się. Wiedziała, że nadeszła jej mentorka.

- Kobieta powinna wiedzieć, że jest piękna - oświadczyła pani Modesty. - Bóg na pewno dał Ewie kawałek szkła, płaskie wypolerowane srebro albo przynajmniej nieruchomy staw, żeby zobaczyła, co widzi Adam.

Peggy podeszła do pani Modesty i pocałowała ją w nadstawiony policzek.

- Kocham to, co pani ze mnie uczyniła - wyznała.

Pani Modesty ucałowała ją także, ale kiedy się odsunęła, miała łzy w oczach.

- A teraz mam stracić twoje towarzystwo.

Peggy nie była przyzwyczajona, żeby inni zgadywali jej myśli. Zwłaszcza gdy sama nie zdawała sobie sprawy, że podjęła już decyzję.

- Stracić? - powtórzyła.

- Nauczyłam cię wszystkiego, co sama umiem - odparła pani Modesty. - Ale po ostatniej nocy zrozumiałam, że potrzebujesz tego, o czym mnie nawet się nie śni. Ponieważ masz do wykonania ważną pracę. Nie przypuszczałam, że ktokolwiek zdołają wykonać.

- Chcę tylko być kobietą przy Alvinie.

- Dla mnie był to początek i koniec.

Peggy dobrała słowa tak, żeby były prawdziwe, a zatem piękne, a zatem dobre:

- Być może wszystko, czego chcą od kobiety niektórzy mężczyźni, to żeby była kochająca, mądra i czuła. Niczym pole kwiatów, gdzie mogą fruwać jak motyle i ssać słodycz z jej płatków.

Pani Modesty uśmiechnęła się. - Jak ładnie mnie opisałaś.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Ale na Alvina czeka trudniejsze zadanie. Potrzebuje nie tylko pięknej kobiety, która obdaruje go miłością, kiedy wykona swe dzieło. Potrzebuje kobiety, która poniesie część jego brzemienia.

- Dokąd pójdziesz?

Peggy odpowiedziała, zanim jeszcze uświadomiła sobie, że zna odpowiedź.

- Chyba do Filadelfii.

Pani Modesty spojrzała na nią zaskoczona, jakby chciała powiedzieć: "Już postanowiłaś?" Łzy zakręciły się jej w oczach. Peggy pospiesznie jęła tłumaczyć.

- Tam są najlepsze uniwersytety. I w dodatku darmowe. To nie te mało warte szkoły religijne w Nowej Anglii ani lekcje etykiety dla młodych paniczyków z południa.

- Planowałaś to od dawna - stwierdziła pani Modesty. - Sprawdziłaś, gdzie należy jechać.

- Decyzja jest nagła, ale może rzeczywiście planowałam to nieświadomie. Słuchałam, co mówią ludzie, a teraz wszystko mam już w pamięci, wszystko uporządkowałam i podjęłam decyzję. Jest tam szkoła dla kobiet, ale najważniejsze, że są biblioteki. Nie mam formalnej edukacji, ale jakoś ich przekonam, żeby mnie przyjęli.

- Nie będziesz ich musiała długo przekonywać - zapewniła pani Modesty. - Jeśli pojawisz się z listem od gubernatora Suskwahenny. I listami innych osób, które liczą się z moją opinią.

Peggy nie zdziwiła się, że pani Modesty nadal chce jej pomagać, mimo że tak nagle, tak niewdzięcznie postanowiła wyjechać. A Peggy nie była tak niemądrze dumna, by próbować radzić sobie bez pomocy.

- Dziękuję, pani Modesty!

- Nie znałam jeszcze kobiety... mężczyzny zresztą też nie... z takimi zdolnościami jak twoje. Nie chodzi o twój dar, choć istotnie jest niezwykły. To nie wpłynęło na moją opinię. Ale martwi mnie, że się marnujesz, myśląc wciąż o tym chłopcu z Hatrack River. Czy jakikolwiek mężczyzna zasługuje na to, co ty dla niego poświęcasz?

- Jego dzieło na to zasługuje. A ja mam posiadać wiedzę, kiedy on będzie gotów, by ją przyjąć.

Pani Modesty płakała teraz otwarcie. Uśmiechała się ciągle, gdyż przekonała się, że miłość nawet w cierpieniu musi się uśmiechać. Ale łzy spływały jej po policzkach.

- Och, Peggy, jak mogłaś tak dobrze się uczyć, a jednak popełnić taki błąd?

Błąd? Czy pani Modesty nawet teraz nie ufała jej osądowi?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- "Mądrość kobiety jest jej darem dla kobiet" - zacytowała. - "Uroda jest jej darem dla mężczyzn. A miłość jej darem dla Boga".

Pani Modesty pokręciła głową, słysząc swą własną maksymę.

- Dlaczego zatem chcesz swoją mądrość oddać temu nieszczęśnikowi, którego pokochałaś?

- Ponieważ niektórzy mężczyźni są tak wielcy, że potrafią kochać całą kobietę, nie tylko jej część.

- Czy on jest takim mężczyzną? Jak Peggy mogła odpowiedzieć?

- Będzie nim albo mnie nie dostanie.

Pani Modesty zamilkła na moment, jakby szukając pięknych słów do wyrażenia bolesnej prawdy.

- Uczyłam cię zawsze, żebyś stała się sobą całkowicie i w sposób doskonały. Wtedy będziesz przyciągać dobrych ludzi. Pokochają cię. Musisz przyznać, Peggy, że ten człowiek ma wielkie potrzeby. Ale jeśli dla ich zaspokojenia masz stać się kimś innym, nie będziesz sobą w sposób doskonały i on cię nie pokocha. Czy nie po to opuściłaś Hatrack River? Żeby pokochał cię dla ciebie samej, nie za to, co dla niego zrobiłaś?

- Tak, pani Modesty, pragnę, żeby mnie kochał. Ale bardziej jeszcze kocham pracę, która go czeka. To, czym jestem dzisiaj, wystarczy dla mężczyzny. To, gdzie pójdę i co uczynię jutro, będzie nie dla niego, ale dla jego dzieła.

- Ale... - zaczęła pani Modesty.

Peggy uniosła brew i uśmiechnęła się lekko. Pani Modesty nie dokończyła zdania.

- Jeśli bardziej od mężczyzny kocham jego pracę, to aby stać się doskonale sobą, muszę wykonać wszystko, czego ta praca ode mnie wymaga. Czy wtedy nie będę jeszcze piękniejsza?

- Dla mnie może tak. Niewielu mężczyzn potrafi dostrzec tak subtelne piękno.

- On kocha swoje dzieło bardziej niż życie. Czy zatem nie pokocha bardziej kobiety, która w tym dziele uczestniczy, niż takiej, która jest tylko piękna?

- Możesz mieć rację - przyznała pani Modesty. - Ja nigdy bardziej nie kochałam pracy niż osoby, która ją wykonuje. I nigdy nie znałam mężczyzny, który kochałby swoją pracę bardziej niż własne życie. Wszystko, czego cię uczyłam, jest słuszne w znanym mi świecie. Jeśli opuścisz go i przejdziesz do innego, już niczego więcej nie zdołam cię nauczyć.

- Może nie stanę się kobietą doskonałą, a jednak uda mi się przeżyć życie tak, jak powinnam.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- A może, panno Margaret, nawet najlepsi z tego świata nie potrafią rozpoznać kobiety doskonałej i dlatego mnie uznają za niezłą imitację, podczas gdy ty przechodzisz nie zauważona.

Tego Peggy nie potrafiła już znieść. Zapominając o manierach, objęła i ucałowała panią Modesty. Płacząc zapewniała, że nie ma w niej ani odrobiny udawania. Ale kiedy łzy już obeschły, nic się nie zmieniło. Pobyt Peggy w Dekane dobiegł końca i następnego ranka była już spakowana.

Wszystko, co miała na tym świecie, otrzymała od pani Modesty - oprócz pudełka, które wiele lat temu dał jej Dziadunio. Ale to, co niosła w tym pudełku, było brzemieniem o wiele cięższym niż cały bagaż, który zabierała ze sobą.

Siedziała w pociągu mknącym na północ i obserwowała, jak za oknem, na wschodzie, przesuwają się góry. Nie tak dawno Whitley Physicker przywiózł ją do Dekane swoim powozem. Wtedy miasto wydawało się jej wspaniałe. Wtedy miała wrażenie, że przybywając tutaj, odkrywa wielki nowy świat. Dziś wiedziała już, że świat jest zbyt wielki, by go mogła odkryć jedna osoba. Porzucała jedno maleńkie miejsce, by wyruszyć do innego maleńkiego miejsca, a stamtąd może do kolejnych. W każdym mieście jarzyły się takie same płomienie serc, wcale nie jaśniejsze, mimo licznej kompanii.

Porzuciłam Hatrack River, żeby uwolnić się od ciebie, uczniu Alvinie. I znalazłam tylko szerszą, mocniejszą sieć. Twoja praca ważniejsza jest od ciebie i ode mnie, a że wiem o tym, muszę ci pomóc. Gdybym tego nie zrobiła, we własnych oczach stałabym się kimś podłym.

Zatem, czy w końcu pokochasz mnie czy nie, to przecież nie takie ważne. Owszem, ważne dla mnie, ale nie zmieni biegu świata. Musimy oboje przygotować cię do wykonania tej pracy. Jeśli wtedy nadejdzie miłość, jeśli staniesz się mężem, uznamy to za niespodziewane błogosławieństwo i będziemy cieszyć się nim, jak długo zdołamy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 11 - RÓŻDŻKA

Minął tydzień, nim Hank Dowser powrócił do Hatrack River. Nędzny tydzień bez żadnych zysków, bo chociaż starał się jak mógł, nie zdołał wyszukać porządnego, suchego gruntu, żeby ci ludzie na zachód od miasteczka mogli wykopać piwnicę.

- Wszędzie jest wilgotno - powiedział im. - Nic nie poradzę, że pełno tu wody.

Ale i tak mieli do niego pretensje. Ludzie już tacy są. Zachowują się, jakby różdżkarz sprowadzał wodę, a nie tylko ją wskazywał. Tak samo jest z żagwiami - ciągle mają im za złe, że sprowadzają wydarzenia, a przecież żagwie tylko to widzą. Ludzie nie potrafią okazać wdzięczności ani nawet zwykłego zrozumienia.

Dlatego Hank z ulgą wracał do kogoś mniej więcej porządnego, jak Makepeace Smith. Nawet jeśli niezbyt mu się podobało, jak kowal traktuje swojego ucznia. Czy zresztą mógł go za to ganić? Przecież sam nie zachował się lepiej. Teraz naprawdę było mu przykro, że tak się rozzłościł i że chłopak przez niego oberwał. I to właściwie za nic, za urażoną dumę Hanka Dowsera. Jezus w milczeniu znosił biczowanie i cierniową koronę na skroniach, a ja się rzucam, kiedy jakiś terminator palnie coś głupiego. Takie myśli psuły Hankowi nastrój i nie mógł się już doczekać, żeby chłopaka przeprosić.

Ale nie było go w obejściu, a Hanka wcale to nie zastanowiło. Gertie Smith zaprosiła go do domu i niemal siłą wpychała mu jedzenie do gardła, jakby za wszelką cenę chciała tam zmieścić jeszcze pół bochenka chleba.

- Ledwie mogę się ruszyć - poskarżył się Hank.

To była prawda, ale prawdą też było, że Gertie Smith gotowała tak dobrze, jak jej mąż kuł, terminator podkuwał, a Hank szukał wody. Inaczej mówiąc, miała prawdziwy talent. Każdy ma jakiś. To dary od Boga. I żyjemy, dzieląc się swymi darami z innymi ludźmi. Tak już jest na tym świecie i tak być powinno.

Dlatego z radością i dumą wypił łyk z pierwszego wiadra czystej wody ze studni. To była dobra woda, słodka woda i podobało mu się, że dziękują mu z serca. Dopiero kiedy wsiadał już na starego Picklewinga, przyszło mu do głowy, że przecież nie widział studni. A chyba powinien ją obejrzeć...

Konno okrążył kuźnię i spojrzał w miejsce, które - tak mu się wydawało - wskazał. Ale wyglądało, jakby nikt od lat nie ruszał tu ziemi. Nie było nawet tego rowka, który wykopał uczeń. Prawie minutę zajęło Hankowi odszukanie studni - mniej więcej w połowie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

drogi między kuźnią a domem. Miała daszek nad kołowrotem i była wyłożona gładkimi kamieniami. Dziwne... Z pewnością nie stał tak blisko domu, kiedy różdżka opadła do ziemi...

- O, Hank! - krzyknął Makepeace Smith. - Hank, cieszę się, żeście jeszcze nie wyjechali.

Gdzie on się podział? A tak, stoi na łące tuż nad kuźnią, w pobliżu miejsca, które wtedy wskazał Hank. A teraz macha jakimś patykiem... rozdwojonym patykiem.

- Wasza różdżka - wyjaśnił kowal. - Ta, z którą szukaliście studni. Chcecie ją zabrać?

- Nie, Makepeace. Dziękuję. Nigdy nie używam dwa razy tej samej różdżki. Nie działa właściwie, jeśli nie jest świeża.

Makepeace Smith odrzucił różdżkę za siebie, zszedł po zboczu w dół i stanął dokładnie w tym miejscu, gdzie zdaniem Hanka Dowsera powinna być studnia.

- Co myślicie o tym daszku, co go zbudowaliśmy?

Hank obejrzał się na studnię.

- Dobra murarka. Jeśli rzucicie kiedyś kuźnię, bez trudu zarobicie na życie kamieniarstwem.

- No, no... Dziękuję wam, Hank. Ale to mój uczeń wszystko zrobił.

- Niezłego macie chłopaka - przyznał Hank. Ale słowa pozostawiły mu niesmak w ustach. Coś go niepokoiło w tej rozmowie. Makepeace Smith planował jakąś złośliwą sztuczkę, a Hank nie wiedział, o co mu właściwie chodzi. Zresztą, to nieważne. Pora jechać.

- Do zobaczenia, Makepeace! - rzucił, zawracając koniem w stronę drogi. - Pamiętajcie, wrócę tu po podkowy.

Makepeace roześmiał się i pomachał mu ręką.

- Z przyjemnością znowu zobaczę tu waszą gębę!

Hank ponaglił starego Picklewinga i dziarskim kłusem ruszył ku drodze. Prowadziła do mostu nad rzeką. To było chyba najprzyjemniejsze w gościńcu na zachód z Hatrack River. Stąd aż do Wobbish szlak był łatwy, z zadaszonymi mostami nad każdą rzeką i strumieniem, każdym potokiem i strugą. Podobno wędrowcy nawet nocowali na mostach, tak były szczelne i suche.

Pod dachem Hank dostrzegł przynajmniej trzydzieści gniazd drozdów. Ptaki robiły taki hałas, że chyba tylko cudem nie budziły umarłych. Szkoda, że są zbyt żylaste do jedzenia. Można by wydać bankiet na tym moście.

- Prr, Picklewing, staruszku - powiedział Hank.

Siedział na grzbiecie konia stojącego pośrodku mostu i słuchał pieśni drozdów. Teraz przypomniał sobie dokładnie, jak różdżka wyskoczyła mu z rąk i poleciała na trawę. Poleciała

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

na północny wschód od miejsca, które wskazał. I właśnie stamtąd podniósł ją Makepeace Smith, kiedy przyszedł się pożegnać.

Ta ich piękna nowa studnia wcale nie znajdowała się tam, gdzie wskazał Hank. Ci ludzie przez cały czas go okłamywali, udawali, że znalazł im miejsce na studnię. A pili wodę z całkiem innej.

Hank wiedział, dobrze wiedział, kto wskazał im miejsce. Sama różdżka mu to powiedziała, wylatując z rąk. Odleciała, bo odezwał się ten chłopak, ten bezczelny terminator. A teraz drwią z Hanka za plecami, ale oczywiście w oczy nie powiedzą ani słowa. Ale Hank i tak wiedział, że Makepeace Smith śmieje się z niego. I myśli, że różdżkarz nie ma dość rozumu, żeby zauważyć zmianę.

Ale ja to widzę. Zrobiliście ze mnie durnia, Makepeace Smith, wy i ten wasz uczeń. Ale ja zauważyłem. Człowiek może wybaczyć siedem razy albo siedem razy po siedem. Jednak w końcu przychodzi pięćdziesiąty raz i nawet dobry chrześcijanin nie potrafi zapomnieć.

- Wio! - burknął gniewnie. Picklewing zastrzygł uszami i ruszył powoli, stukając podkowami o deski mostu. Dźwięk odbijał się echem od ścian i dachu. - Alvin - szepnął Hank Dowser. - Uczeń Alvin! Nie ma szacunku dla talentów innych. Tylko dla swojego.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 12 - RADA SZKOLNA

Stara Peg Guester była na pięterku, kiedy przed gospodę zajechała bryczka. Wietrzyła na parapetach materace, więc zobaczyła ich od razu. Poznała zaprząg Whitleya Physickera, nowomodny zamknięty powóz, chroniący przed kurzem i deszczem. Physicker mógł sobie używać czegoś takiego, skoro teraz już stać go było na wynajęcie woźnicy. Między innymi dzięki tej bryczce ludzie nazywali go teraz doktorem Physickerem, zamiast po prostu Whitleyem.

Woźnicą był Po Doggly, który miał kiedyś własną farmę, póki nie rozpił się po śmierci żony. To ładnie, że Physicker go zatrudnił, kiedy wszyscy uważali już starego Po za moczymordę. Dlatego prości ludzie szanowali doktora Physickera, chociaż chwalił się swoim majątkiem bardziej niż wypada wśród chrześcijan.

Po zeskoczył z kozła i podbiegł otworzyć drzwiczki powozu. Jednak to nie Whitley Physicker wysiadł pierwszy, ale Paul Wiseman, szeryf. Jeśli ktokolwiek zasłużył sobie na swoje nazwisko, to właśnie Paul Wiseman - mądrala. Peg trzęsła się ze złości na sam jego widok. Dobrze mówił Horacy: człowiek, który chce objąć stanowisko szeryfa, nigdy się do tego nie nadaje. Pauley Wiseman chciał dostać tę robotę - pragnął jej bardziej, niż inni ludzie pragną oddychać.

Można to poznać po tym, jak zawsze nosi tę głupią srebrną gwiazdę na wierzchu, na marynarce. Jeszcze ktoś by zapomniał, że rozmawia z człowiekiem, który trzyma klucze do miejskiego więzienia. Jakby w Hatrack River potrzebne było więzienie!

Potem z powozu wysiadł Whitley Physicker i Peg od razu wiedziała, po co tu przyjechali. Rada szkolna podjęła decyzję i ci dwaj zjawili się, żeby ją przekabacić i żeby publicznie nie robiła już hałasu w tej sprawie. Peg rzuciła materac na okno - rzuciła tak mocno, że niewiele brakło, a wypadłby na podwórze. Złapała go za róg i wciągnęła z powrotem, ułożyła jak należy; niech się dobrze wywietrzy. Potem zbiegła po schodach. Nie jest jeszcze taka stara, żeby biegiem nie dać rady schodom. Przynajmniej na dół.

Rozejrzała się za Arthurem Stuartem, ale oczywiście nie było go w domu. Urósł już i mógł pomagać w gospodarstwie, co zresztą czynił bez gadania, ale zawsze potem gdzieś znikał. Czasem biegł do miasta, kiedy indziej kręcił się przy tym chłopaku od kowala, Alvinie. "Po co tam chodzisz, synku?" spytała go kiedyś Peg. "Po co zawracasz głowę uczniowi Alvinowi?" Arthur tylko wyszczerzył zęby, wysunął ręce jak zapaśnik gotów do walki i odpowiedział: "Muszę się nauczyć, jak przewrócić kogoś dwa razy większego ode

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

mnie". Zabawne, powiedział to dokładnie głosem Alvina, zupełnie jak Alvin - żartobliwie, tak że człowiek wiedział, że nie jest do końca poważny. Arthur miał taki talent: naśladował innych, jakby ich poznał aż do głębi. Czasem zastanawiała się nawet, czy nie ma odrobiny daru żagwi, jak zbiegła córka, mała Peggy. Ale nie, Arthur chyba nie całkiem rozumiał, co właściwie robi. Po prostu umiał naśladować. Ale był bystry. Stara Peg wiedziała, że zasługuje na pójście do szkoły. Prawdopodobnie bardziej niż każde inne dziecko w Hatrack River.

Zastukali. Peg stała nieruchomo przy frontowych drzwiach, lekko zdyszana po biegu. Czekała z otwarciem, choć widziała już ich cienie przez koronkową firankę. Przestępowali z nogi na nogę, jakby się denerwowali. I bardzo dobrze. Niech się pocą.

To do nich podobne, do tych z rady szkolnej, żeby wysłać tu akurat Whitleya Physickera. Peg Guester rozzłościła się. Przecież to on sześć lat temu zabrał ze sobą małą Peggy, a potem zawiadomił Peg, że córka wyjechała. Dekane, tyle tylko powiedział. Do jakichś ludzi, których chyba znała. A potem Horacy raz po raz czytał list i powtarzał: Jeśli żagiew nie widzi w przyszłości żadnych niebezpieczeństw, to żadne z nas nie mogłoby lepiej o nią zadbać". Gdyby Arthur Stuart jej nie potrzebował, Peg też spakowałaby rzeczy i wyjechała. Zwyczajnie wyjechała, i ciekawe, czyby im się to spodobało. Zabrać jej córkę i przekonywać, że to dla jej dobra! Jak można wmawiać matce coś podobnego. Ciekawe, co by zrobili, gdybym to ja uciekła. Gdyby nie musiała się opiekować Arthurem, zniknęłaby tak prędko, że własny cień by przycięła drzwiami.

A teraz wysyłają Whitleya Physickera, żeby jeszcze raz zrobił jej to samo i żeby martwiła się o następne dziecko, tak jak wtedy. A nawet gorzej, bo przecież mała Peggy naprawdę potrafi zatroszczyć się o siebie, a Arthur Stuart nie potrafi. Ma dopiero sześć lat i żadnej przyszłości, jeśli Peg nie wywalczy jej zębami i pazurami.

Zapukali jeszcze raz. Otworzyła drzwi. Za progiem stał Whitley Physicker z miną uprzejmą i godną, a za nim Pauley Wiseman z miną ważną i godną. Jak dwa maszty na tym samym okręcie z nadętymi żaglami. Zarozumiali i napuszeni. Chcą mi tłumaczyć, co się należy, tak? Zobaczymy.

- Pani Guester - zaczął Whitley Physicker.

Zdjął kapelusz, jak prawdziwy dżentelmen. Dlatego właśnie w Hatrack River ostatnio źle się dzieje, pomyślała Peg. Za wielu tu uważa się za dżentelmenów i damy. Zapomnieli, że to Hio? Cały elegancki świat mieszka w Koloniach Korony obok Jego Wysokości, tego drugiego Arthura Stuarta. Długowłosy biały król, całkiem inny niż jej krótko ostrzyżony czarny chłopak. A kto w Hio uważa się za dżentelmena, oszukuje siebie i innych, takich samych durniów jak on.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Pewnie chcecie wejść - mruknęła.

- Miałem nadzieję, że nas zaprosicie - odparł Physicker. - Przychodzimy w imieniu rady szkolnej.

- Możecie odmówić mi na ganku tak samo dobrze jak w moim domu.

- Chwileczkę - wtrącił szeryf Pauley.

Nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś każe mu czekać przed drzwiami.

- Nie przyszliśmy wam odmawiać, pani Guester - zapewnił doktor.

Peg nie uwierzyła mu ani na moment.

- Chcecie powiedzieć, że ta zarozumiała banda hipokrytów w eleganckich koszulach wpuści czarne dziecko do nowej szkoły?

Szeryf Pauley wybuchnął jak wiadro prochu.

- Jeśli z góry znacie odpowiedź, Peg Guester, to po co w ogóle pytacie?

- Bo chcę, żeby wszyscy zapamiętali, jak to w głębi serca nienawidzicie Czarnych i popieracie niewolnictwo! I kiedy pewnego dnia zwyciężą Mancypacjoniści, a Czarni wszędzie dostaną te same prawa, będziecie swoją hańbę obnosić publicznie, jak na to zasługujecie.

Peg krzyczała tak głośno, że nie usłyszała z tyłu kroków męża.

- Margaret - odezwał się Horacy Guester. - Zapraszamy tu każdego, kto stanie na naszym progu.

- To sam ich zaproś - burknęła.

Odwróciła się plecami do Physickera i Pauleya, po czym ruszyła do kuchni.

- Ja umywam ręce! - zawołała jeszcze przez ramię.

Ledwie znalazła się w kuchni, przypomniała sobie, że dzisiaj nie zaczęła jeszcze gotować. Sprzątała przecież pokoje na górze. I gdy przez chwilę stała zdezorientowana, uświadomiła sobie nagle, że to Poncjusz Piłat po raz pierwszy umył ręce. Własnymi słowami przyznała, że nie postępuje słusznie. Bóg nie zechce spojrzeć łaskawie na człowieka, który powtarza słowa kogoś, kto zabił Pana Jezusa, jak ten Piłat.

Zawróciła do izby gościnnej i usiadła przy kominku. Teraz, w sierpniu, kiedy ogień się nie palił, było tu dość chłodno. Nie to, co palenisko w kuchni, w letnie dni gorące jak diabelski wychodek. Dlaczego niby ma się zalewać potem, kiedy ci dwaj w najchłodniejszym miejscu w całym domu będą decydować o losie Arthura Stuarta?

Mąż i obaj goście spojrzeli na nią, ale nie powiedzieli ani słowa o tym, że najpierw wybiega wściekła, a potem wściekła przybiega z powrotem. Peg wiedziała, co gadają ludzie:

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

że lepiej chwytać trąby powietrzne, niż stanąć na drodze starej Peg Guester. Ale nie szkodzi, niech taki Whitley Physicker i Pauley Wiseman trochę się poboją.

Odczekali sekundę czy dwie, aż usiądzie wygodnie, po czym wrócili do rozmowy.

- Jak już mówiłem, Horacy, poważnie rozważyliśmy waszą propozycję - rzekł Physicker. - Bardzo by nam odpowiadało, aby nauczycielka zamieszkała w tym zajeździe, zamiast błąkać się tu i tam, jak to zwykle bywa. Ale nie chcemy was prosić, żebyście przyjęli ją za darmo. Zapisało się dość uczniów i dość spływa pieniędzy z podatków. Możemy ofiarować wam za tę usługę skromne stypendium.

- Ile pieniędzy warte jest takie sto pendium? - spytał Horacy.

- Szczegóły pozostają jeszcze do omówienia, ale wspomniano o dwudziestu dolarach rocznie.

- Hmm... Niezbyt wiele, jeśli sądzicie, że ma mi to zwrócić koszty...

- Wręcz przeciwnie. Wiemy, że płacimy o wiele za mało. Ale że proponowaliście gościnę za darmo, to znaczna poprawa.

Horacy już miał się zgodzić, ale Peg nie mogła wytrzymać tej przewrotności.

- Sami wiecie, doktorze Physicker, co to takiego. Na pewno nie poprawa. Nie chcieliśmy gościć tu za darmo nauczycielki. Chcieliśmy za darmo gościć nauczycielkę Arthura Stuarta. A jeżeli się wam wydaje, że dwadzieścia dolarów mnie przekona, to lepiej wracajcie do siebie i wymyślcie coś lepszego.

Physicker zrobił zbolałą minę.

- Spokojnie, pani Guester. Proszę się nie denerwować. W radzie szkolnej nie znalazł się ani jeden człowiek, który osobiście miałby coś przeciwko przyjęciu Arthura Stuarta.

Kiedy Physicker to powiedział, Peg spojrzała surowo na Pauleya Wisemana. Oczywiście, zaczął się wiercić na stołku, jakby zaswędziało go nagle w miejscu, gdzie dżentelmen się nie drapie. Zgadza się, Wiseman. Whitley Physicker może sobie mówić, co mu się podoba, ale ja wiem swoje. Był tam przynajmniej jeden człowiek, który miał bardzo wiele przeciwko Arthurowi.

Whitley Physicker mówił dalej. Nie mógł przecież zauważyć zakłopotanej miny szeryfa, ponieważ udawał, że wszyscy bardzo kochają Arthura Stuarta.

- Wiemy, że Arthur Stuart został wychowany przez parę najstarszych osadników i najczcigodniejszych obywateli Hatrack River. Całe miasto lubi tego chłopca. Po prostu nie sądzimy, żeby edukacja szkolna przyniosła mu jakąś korzyść.

- Przyniesie takie same korzyści, jak wszystkim innym chłopcom i dziewczętom.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Doprawdy? Czy umiejętność czytania i pisania zapewni mu posadę w kantorze? Czy wyobrażacie sobie, że przyjmą go do palestry i ława przysięgłych zechce słuchać przemowy czarnego adwokata? Społeczeństwo uznało, że czarne dziecko wyrasta na czarnego mężczyznę, a czarny mężczyzna, jak biblijny Adam, zdobywać będzie swój chleb powszedni w pocie czoła, a nie pracą umysłu.

- Arthur Stuart jest mądrzejszy od wszystkich dzieci, jakie trafią do tej szkoły. I wiecie o tym dobrze.

- Tym bardziej nie powinniśmy rozbudzać w nim nadziei tylko po to, by potem jej go pozbawić. Mówię o rzeczywistym świecie, pani Guester, nie o naszych pragnieniach.

- A niby dlaczego ci wszyscy mędrcy z rady szkolnej nie powiedzieli: do diabla ze światem, zrobimy to, co słuszne! Nie zmuszę was do zmiany zdania, ale przynajmniej nie udawajcie, że to dla dobra Arthura!

Horacy skrzywił się. Nie lubił, kiedy Peg przeklinała Zaczęła całkiem niedawno, kiedy zrobiła publiczną awanturę Millicent Mercher. Millicent życzyła sobie, żeby zwracać się do niej "pani Mercher" zamiast zwyczajnie, "moja Millicent". Horacy nie był zadowolony, że Peg używa takich słów. Ale Peg doszła do wniosku, że jeśli nie można zrobić awantury kłamliwemu hipokrycie, to po co w ogóle ludzie wymyślili awantury?

Pauley Wiseman zaczerwienił się i z trudem powstrzymał wiązankę własnych ulubionych brzydkich słów. A Whitley Physicker był teraz dżentelmenem, więc tylko na moment pochylił głowę, jakby się modlił. Peg Guester odgadła jednak, że raczej czeka, aż ona się uspokoi, gdyż odezwał się bardzo uprzejmie.

- Racja, pani Guester. Dopiero po podjęciu decyzji wymyśliliśmy tę historię, że to dla dobra samego Arthura.

Ta szczerość odebrała jej mowę. Nawet szeryf Pauley tylko stęknął. Whitley Physicker nie trzymał się uzgodnionej wcześniej wersji, a to, co mówił, było nieprzyjemnie bliskie prawdy. A szeryf Pauley nie lubił, kiedy ludzie zaczynają na prawo i lewo opowiadać o prawdzie, wolnej i niebezpiecznej. Peg bawiła się świetnie patrząc, jak szeryf wychodzi na durnia, do czego zresztą miał wyjątkowy talent.

- Chcielibyśmy, żeby ta szkoła działała jak należy. Naprawdę byśmy chcieli - mówił dalej Physicker. - Sama idea szkół publicznych jest nieco niezwykła. Szkoły w Koloniach Korony tak są zorganizowane, że uczęszczają do nich ludzie z tytułami i pieniędzmi, więc biedni nie mają żadnej możliwości awansu. W Nowej Anglii wszystkie szkoły są kościelne, więc nie wypuszczają bystrych umysłów, lecz doskonałych małych purytan, którzy już zawsze pozostaną na miejscach, które Bóg im przeznaczył. Ale szkoły publiczne w stanach

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

holenderskich i w Pensylwanii dowodzą, że w Ameryce możemy postąpić inaczej. Każde dziecko z każdej leśnej chaty możemy nauczyć pisać i czytać, aby całe społeczeństwo zyskało dostateczne wykształcenie, mogło głosować, obejmować urzędy i sprawować rządy.

- Wszystko to bardzo dobrze - przerwała mu Peg. - Pamiętam, jak żeście niecałe trzy miesiące temu taką samą mowę wygłaszali w naszej sali gościnnej. Nie mogę tylko zrozumieć, Whitleyu Physicker: dlaczego waszym zdaniem mój syn ma być wyjątkiem?

W tym momencie szeryf uznał, że pora się wtrącić. A że tak beztrosko używano tu prawdy, przestał nad sobą panować i także przemówił prawdziwie. Było to nowe doświadczenie i trochę uderzyło mu do głowy.

- Proszę o wybaczenie, Peg, ale przecież ten chłopak nie ma ani kropelki waszej krwi. A więc w żaden sposób nie może być Waszym synem. A jeśli nawet Horacy miał swój udział w jego narodzinach, to nie wystarczy, żeby dzieciaka zrobić białym.

Horacy podniósł się wolno, jakby zamierzał poprosić szeryfa Pauleya na zewnątrz i tam wbić mu do głowy trochę rozsądku. Pauley Wiseman musiał wiedzieć, że ściąga na siebie kłopoty, kiedy sugerował, że Horacy może być ojcem tego czarnego mieszańca. A gdy Horacy wstał, szeryf przypomniał sobie, że nie jest dla niego przeciwnikiem. Horacy Guester nie był drobnym człowieczkiem, a Pauley nie był wielkoludem. Dlatego zrobił to co zawsze, kiedy tracił kontrolę nad sytuacją: wypiął pierś, żeby wyraźnie pokazać swoją odznakę. Spróbuj mnie uderzyć, a czeka cię proces o obrazę urzędnika.

Peg i tak wiedziała, że Horacy nie uderzy człowieka z powodu kilku słów. Nie powalił nawet tego rzecznego szczura, który zarzucał mu niewymowne występki ze zwierzętami. Po prostu Horacy nie należał do tych, co tracą nad sobą panowanie. Peg widziała, że jej mąż zapomniał już o przyczynie swego gniewu i że myśli o czymś innym.

I rzeczywiście. Horacy zwrócił się do Peg, jakby szeryf Pauley w ogóle nie istniał.

- Może naprawdę powinniśmy zrezygnować, Margaret? Wszystko w porządku, póki Arthur jest małym chłopcem, ale...

Horacy patrzył prosto w twarz żony. Dlatego od razu zrozumiał, że lepiej nie kończyć tego zdania. Szeryf Pauley nie był tak rozsądny.

- On się robi coraz czarniejszy.

I co można na coś takiego odpowiedzieć? Przynajmniej było jasne, o co chodzi: to kolor skóry, nic innego, nie pozwalał Arthurowi Stuartowi uczęszczać do szkoły publicznej w Hatrack River.

Whitley Physicker westchnął. W obecności szeryfa Pauleya nic nigdy nie szło zgodnie z planem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie rozumiecie? - spytał Physicker. Przemawiał łagodnie i rozsądnie. W tym był dobry. - Są ludzie ciemni i zacofani... - Tu zerknął zimno na szeryfa. - Nie mogą znieść myśli, że czarny chłopiec otrzyma takie samo wykształcenie, jak ich własne dzieci. Jaka korzyść z wiedzy, myślą sobie, skoro Czarny będzie miał taką samą jak Biały? Ani się człowiek obejrzy, a Czarni zechcą głosować albo obejmować urzędy.

O tym Peg nie pomyślała. Jakoś nie przyszło jej to do głowy. Spróbowała wyobrazić sobie Mocka Berry'ego jako gubernatora, wydającego rozkazy milicji. W całym Hio nie było chyba żołnierza, który posłuchałby Czarnego. To wbrew naturze. Jakby ryba wyskoczyła z potoku, żeby zabić niedźwiedzia.

Ale Peg nie zamierzała łatwo się poddawać tylko dlatego, że Whitley Physicker przytoczył rozsądny argument.

- Arthur Stuart to dobry chłopak - oświadczyła. - Nie zechce głosować. Nie bardziej niż ja.

- Wiem o tym - zapewnił Physicker. - Cała rada szkolna o tym wie. Ale są ludzie zacofani, którzy nie wiedzą. I kiedy usłyszą, że czarne dziecko chodzi do szkoły, wtedy swoje dzieci zostawią w domu. W rezultacie będziemy płacić za szkołę, która nie spełnia funkcji kształcenia obywateli naszej republiki. Prosimy, żeby Arthur zrezygnował z edukacji, która i tak na nic mu się nie przyda, by dzięki temu inni otrzymali wykształcenie, które im samym i naszemu narodowi wyświadczy dużo dobrego.

Wszystko to brzmiało logicznie. W końcu Physicker był doktorem, prawda? Uczęszczał do college'u w Filadelfii i lepiej znał się na takich sprawach niż Peg. Jak mogła nawet przez chwilę wierzyć, że racja nie jest po jego stronie?

Ale choć nie potrafiła przytoczyć żadnego argumentu, nie mogła się pozbyć uczucia, że jeśli powie Whitleyowi Physickerowi "tak", wbije nóż prosto w serce małego Arthura. Już słyszała jego pytanie: "Mamo, dlaczego nie chodzę do szkoły, jak wszyscy moi koledzy?" A wtedy te piękne słowa Physickera odlecą, wtedy siądzie tylko i powie: "Bo jesteś czarny, Arthurze Stuarcie Guester".

Whitley Physicker uznał chyba jej milczenie za kapitulację, którą właściwie było.

- Zobaczycie, Arthur nie będzie żałował, że nie chodzi do szkoły. Więcej: biali chłopcy będą mu zazdrościć, że może sobie biegać, gdy oni muszą siedzieć w klasie.

Peg Guester wiedziała, że coś tu jest nie w porządkuje cały ten wywód nie jest taki rozsądny, jak się wydaje. Ale nie umiała dojść, w czym rzecz.

- A pewnego dnia sytuacja może się zmienić - dodał Physicker. - Pewnego dnia zmieni się społeczeństwo. Może w Appalachee i Koloniach Korony przestaną trzymać

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Czarnych w niewoli. Przyjdzie czas, że... - Umilkł. Potem otrząsnął się. - Czasem tak sobie marzę. To głupstwa. Świat jest, jaki jest. To nienaturalne, żeby Czarny wychowywał się tak jak Biały.

Te słowa wzbudziły w Peg gorzką nienawiść. Nie gorącą pasję, pragnienie krzyku. Raczej chłodną, rozpaczliwą nienawiść, która powtarzała: "Może i postępuję wbrew naturze, ale Arthur Stuart to mój syn i nie zdradzę go. O nie!" I znowu jej milczenie uznano za zgodę. Mężczyźni wstali; wyraźnie im ulżyło. A najbardziej Horacemu. Nie wierzyli chyba, że Peg Guester tak prędko wysłucha argumentów rozsądku. Goście mieli się z czego cieszyć, ale czemu Horacy był taki zadowolony? Peg zaczęła coś podejrzewać i od razu zrozumiała, że tak właśnie musiało być: Horacy Guester, doktor Physicker i szeryf Pauley omówili wszystko między sobą, zanim jeszcze przyjechali tu ci dwaj. Cała rozmowa była z góry ukartowana. Zwykła gra, żeby zadowolić starą Peg Guester.

Horacy nie chciał, żeby Arthur chodził do szkoły, tak samo jak Whitley Physicker i wszyscy inni w Hatrack River.

Peg rozzłościła się, ale było już za późno. Physicker i Pauley wychodzili, Horacy odprowadzał ich na zewnątrz. Kiedy znikną Peg z oczu, na pewno poklepią się po ramionach, uśmiechając się z zadowoleniem. Ale Peg się nie uśmiechała. Aż nazbyt dobrze pamiętała, jak mała Peggy widziała dla niej tej ostatniej nocy przed ucieczką. Widziała przyszłość Arthura. Peg zapytała ją wtedy, czy Horacy pokocha małego Arthura, a dziewczyna nie chciała odpowiedzieć. Ale to też była odpowiedź, jasne. Horacy może się zachowywać, jakby traktował Arthura niczym własnego syna, ale tak naprawdę uważał go tylko za czarnego chłopaka, którego żona wychowuje dla własnej zachcianki. Horacy nie jest tatusiem dla Arthura Stuarta.

A zatem Arthur znów został sierotą. Stracił ojca. A dokładniej mówiąc, nigdy ojca nie miał. Niech tak będzie. Ma za to dwie matki: jedną, która umarła, kiedy się urodził, i mnie. Nie mogę go posłać do szkoły. Od początku wiedziałam, że mi się to nie uda. Ale wykształcę go i tak.

Nowy plan pojawił się w jej głowie. Wszystko zależało od tej nauczycielki, którą sprowadzali tu z samej Filadelfii. Przy odrobinie szczęścia okaże się kwakierką, nie będzie nienawidziła Czarnych i wszystko pójdzie jak z płatka. Ale nawet gdyby nauczycielka nienawidziła Czarnych tak bardzo jak odszukiwacz, co widzi niewolnika stojącego swobodnie na kanadyjskim brzegu, to też nie ma żadnego znaczenia. Peg znajdzie jakiś sposób. Z całej rodziny pozostał jej tylko Arthur Stuart - jedyna osoba, którą kochała, a która nie okłamywała

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

jej i nie oszukiwała, nie robiła nic za jej plecami. Nie pozwoli, by odebrano mu cokolwiek, co może się przydać w życiu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 13 - ŹRÓDLANA SZOPA

Alvin zrozumiał, że coś się dzieje, kiedy usłyszał, jak Horacy i Peg Guester wrzeszczą na siebie w starej źródlanej szopie. Przez chwilę krzyczeli tak głośno, że słyszał ich mimo trzasku ognia w palenisku i uderzeń o kowadło. Potem przycichli trochę, ale Alvin tymczasem tak się zainteresował, że przestał machać młotem. Właściwie nawet odłożył go na bok i wyszedł na dwór.

Nie, nie, wcale nie podsłuchiwał. Po prostu szedł do studni, żeby przynieść wody: trochę do studzenia, a trochę do picia. Jeśli przypadkiem coś usłyszał, to przecież nie można mieć do niego pretensji, prawda?

- Ludzie powiedzą, że marny ze mnie oberżysta, jeśli każę nauczycielce mieszkać w źródlanej szopie, zamiast urządzić ją jak należy.

- To tylko pusta chata, Horacy. Możemy ją wykorzystać. A dzięki temu pokoje w zajeździe zostaną dla klientów, którzy płacą.

- Nie pozwolę, żeby nauczycielka mieszkała tu całkiem sama. To nie wypada!

- A to czemu, Horacy? Zamierzasz do niej uderzyć?

Alvin nie mógł uwierzyć własnym uszom. Małżonkowie przecież nie mówią do siebie takich rzeczy. Spodziewał się niemal, że usłyszy odgłos uderzenia. Ale Horacy musiał to przyjąć w pokorze. Wszyscy mówili, że jest pantoflarzem, i oto dowód. Żona oskarża go, że planuje cudzołóstwo, a on nawet jej nie przyłoży... W ogóle nie mówi ani słowa.

- Zresztą to nieważne - stwierdziła Peg. - Może będzie po twojemu i ona odmówi. Ale i tak tu wszystko naprawimy, a potem jej zaproponujemy.

Horacy wymruczał coś, czego Alvin nie dosłyszał.

- Nie obchodzi mnie to, choćby nawet mała Peggy sama zbudowała tę szopę. Odeszła z własnej woli i nie zostawiła dla mnie nawet słówka. I nie będę teraz trzymać tej szopy jak jej pomnika tylko dlatego, że kiedy była mała, lubiła tu przychodzić. Słyszałeś?

I znowu Alvin nie zrozumiał odpowiedzi Horacego. Za to Peg usłyszał całkiem wyraźnie. Jej głos popłynął z szopy niczym trzask gromu.

- Ty mi będziesz tłumaczył, kto kogo kochał? No to ci powiem, Horacy Guesterze, że cała ta twoja miłość nie zatrzymała tu Peggy. Ale moja miłość do Arthura Stuarta zapewni mu wykształcenie, zrozumiałeś? A kiedy już będzie po wszystkim, Horacy Guesterze, zobaczymy, kto bardziej kocha swoje dzieci.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Nie było żadnego uderzenia ani nic, tylko trzaśniecie, które pewnie wyrwało z zawiasów drzwi źródlanej szopy. Alvin nie mógł się powstrzymać: wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, kto to zrobił. Oczywiście, to stara Peg maszerowała do domu.

Po minucie Alvin z trudem zauważył przez krzaki i liście, że drzwi otworzyły się znowu, powolutku. A jeszcze wolniej wyszedł na zewnątrz Horacy Guester, całkiem załamany. Alvin jeszcze go takim nie widział. Stał przez chwilę nieruchomo, z ręką na drzwiach. Potem zamknął je tak delikatnie, jakby okrywał niemowlę w kołysce. Alvin zawsze się zastanawiał, dlaczego nie rozebrali tej szopy przed laty, kiedy wykopał studnię, która ostatecznie zabiła strumień. Albo dlaczego nie wykorzystali jej do czegoś innego. Ale teraz już wiedział, że miało to jakiś związek z Peggy, tą żagwią, która odeszła, zanim on sam zjawił się w Hatrack River. To, w jaki sposób Horacy zamykał drzwi, po raz pierwszy uświadomiło Alvinowł, że ten człowiek kocha swoją córkę, chociaż go porzuciła. Miejsca, które kochała, są dla niego jak święte. I po raz pierwszy Alvin zastanowił się, czy on sam będzie kiedyś tak kochał swoje dziecko. A potem pomyślał, kim mogłaby być matka tego dziecka i czy będzie na niego krzyczeć tak jak stara Peg na Horacego, i czy on sam będzie się do niej odnosił jak Makepeace Smith do swojej Gertie, machając pasem, gdy ona rzuca garnkami.

- Alvin - powiedział Horacy.

Alvin miał ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, że ktoś go przyłapał na tym, jak się gapi.

- Przepraszam bardzo - wystękał. - Nie powinienem tak podsłuchiwać.

Horacy uśmiechnął się blado.

- Musiałbyś chyba być całkiem głuchy, żeby nie słyszeć.

- Faktycznie - przyznał Alvin. - Ale nie starałem się szczególnie, żeby nie słyszeć.

- Wiem, że dobry z ciebie chłopak i nigdy nie roznosisz plotek. Ten "dobry chłopak" trochę Alvina uraził. Miał już osiemnaście lat, za niecały rok skończy dziewiętnaście. Od dawna jest gotów, żeby zostać kowalskim czeladnikiem. A to, że Makepeace Smith nie chce wcześniej wyzwolić go z terminu, nie daje jeszcze Horacemu Guesterowi prawa, żeby nazywać go chłopakiem. Może i jestem uczniem Alvinem, oficjalnie jeszcze nie dorosłym, ale na mnie żadna kobieta tak nie wrzeszczy.

- Alvinie - rzekł Horacy. - Przekaż swojemu mistrzowi, że będą nam potrzebne nowe zawiasy do drzwi źródlanej szopy. Musimy ją przygotować, bo pewnie zamieszka tu nowa nauczycielka. Jeśli zechce.

A zatem tak się to skończyło... Horacy przegrał bitwę z Peg. Poddał się. Czy na tym polega małżeństwo? Mężczyzna albo musi bić żonę, jak Makepeace Smith, albo ona będzie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

go rozstawiać po kątach, jak Peg Guester biednego Horacego. Jeśli tylko taki jest wybór, pomyślał Alvin, to ja dziękuję.

Oczywiście, Alvin często zerkał na miejskie dziewczęta. Widział, jak spacerują po ulicy z piersiami wypchniętymi w górę przez gorsety i fiszbiny, z taliami tak wąskimi, że mógłby je objąć swymi wielkimi, silnymi dłońmi. Tyle że nigdy nie myślał o obejmowaniu. Patrząc na dziewczyny, tracił śmiałość i rumienił się. A kiedy one przypadkiem spojrzały w jego stronę, spuszczał głowę albo zajmował się załadunkiem, wyładunkiem lub czymkolwiek, co sprowadziło go do miasta.

Alvin wiedział dobrze, co widzą, kiedy na niego patrzą... te miejskie dziewczęta. Widziały człowieka bez marynarki, w samej koszuli, brudnej i przepoconej. Widziały człowieka ubogiego, który nigdy nie ofiaruje im ślicznego drewnianego domu, jaki ma ich tatuś, pewnie prawnik, sędzia albo kupiec. Widziały człowieka niskiego stanu, wciąż jeszcze zwykłego terminatora, chociaż skończył osiemnaście lat. Gdyby jakimś cudem poślubił kiedyś taką dziewczynę zawsze patrzyłaby na niego z góry, zawsze oczekiwała, że jej ustąpi, bo ona jest damą.

A gdyby ożenił się z dziewczyną prostą, jak on sam, byłaby jak Gertie Smith albo Peg Guester - dobra kucharka albo pracowita gospodyni, ale prawdziwa diablica, jeśli coś by poszło nie po jej myśli. Nie, w życiu Alvina Kowala nie będzie żadnej kobiety, to pewne. Nie pozwoli tak sobą pomiatać jak Horacy Guester.

- Słyszałeś, Alvinie?

- Tak, panie Horacy. Powiem Makepeace'owi Smithowi, jak tylko go zobaczę. Wszystko, co trzeba, do źródlanej szopy.

- I niech to będzie eleganckie - dodał Horacy. - Nauczycielka ma tu mieszkać. - Peg nie pokonała go jednak do końca, bo wykrzywił wargę i dodał złośliwie: - Żeby mogła udzielać prywatnych lekcji.

Powiedział "prywatnych lekcji" takim tonem, jakby chodziło mu o zamtuz czy coś w tym rodzaju. Jednak Alvin potrafił dodać dwa do dwóch i od razu wiedział, kto będzie z tych lekcji korzystał. Wszyscy przecież słyszeli, że Peg Guester prosiła o przyjęcie Arthura Stuarta do szkoły.

- No to na razie - rzucił jeszcze Horacy.

Alvin pomachał mu, a oberżysta poczłapał ścieżką do zajazdu.

Makepeace Smith nie zjawił się tego dnia. Teraz, kiedy Alvin był już prawie dorosły, mógł sam wykonywać wszystkie prace w kuźni, w dodatku szybciej i lepiej niż Makepeace. Nikt o tym nie wspominał, jednak w zeszłym roku Alvin zauważył, że ludzie jakoś częściej

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

zaglądają, kiedy nie ma mistrza. Prosili, żeby wykonać ich zlecenie szybko, najlepiej na poczekaniu. "To tylko drobnostka", mówili, tyle że czasem to wcale nie była drobnostka. I Alvin wkrótce zrozumiał, że nie przypadek ich sprowadza. Po prostu chcieli, żeby to on dla nich pracował.

I nie dlatego, że Alvin robił z żelazem coś szczególnego. Najwyżej heks czy dwa, jeśli był potrzebny, ale to przecież potrafił każdy kowal. Wiedział, że pokonać mistrza z pomocą jakiegoś sekretnego daru... to jakby użyć noża w zapaśniczej walce. Zresztą, gdyby korzystał ze swojego talentu, żeby jakoś szczególnie wzmocnić kute żelazo, ściągnąłby na siebie kłopoty. Dlatego pracował, używając tylko siły ramienia i bystrego wzroku. Uczciwie zasłużył na każdy cal mięśni grzbietu, ramion i rąk. A jeśli ludzie woleli go od Makepeace'a Smitha, to po prostu dlatego, że Alvin był lepszym kowalem, nie dlatego, że talent dawał mu jakąś przewagę.

W każdym razie Makepeace musiał zauważyć, co się dzieje. Pewnie dlatego coraz rzadziej pokazywał się w kuźni. Może wiedział, że dzięki temu lepiej idą interesy, a był dostatecznie uczciwy, żeby uznać zdolności ucznia... Jednak Alvin w to nie wierzył. Już raczej Makepeace trzymał się z daleka, żeby ludzie nie widzieli, jak czasem zerka uczniowi przez ramię i próbuje rozgryźć, co też Al robi lepiej. Albo był zwyczajnie zazdrosny i nie mógł znieść widoku swojego terminatora przy pracy. A całkiem możliwe, że Makepeace zwyczajnie się rozleniwił. Jeśli uczeń sam sobie radzi, to niby czemu mistrz nie miałby iść się upić z rzecznymi szczurami w Ujściu Hatrack?

A może jakimś przedziwnym trafem Makepeace wstydził się, że trzyma ucznia aż do końca kontraktu, choć uczeń spokojnie mógłby już ruszyć w świat jako czeladnik. To paskudne, jeśli mistrz nie chce wyzwolić wyuczonego już terminatora - tylko po to, żeby zarabiać na jego pracy i nie płacić mu wynagrodzenia. Alvin zarabiał dla Makepeace'a Smitha niezłe pieniądze, wszyscy to wiedzieli. A przez cały czas był nędzarzem, sypiał na stryszku i nie miał nawet dwóch miedziaków, co by mu zabrzęczały w kieszeni, kiedy szedł do miasta. Pewnie, Gertie karmiła go jak należy. Najlepsze jedzenie w mieście - Alvin wiedział o tym, gdyż od czasu do czasu przegryzał coś w towarzystwie chłopców z miasta. Ale dobre jedzenie to przecież nie to samo, co dobra zapłata. Jedzenie człowiek zjada i nie ma po nim śladu. Za pieniądze można kupić różne rzeczy, robić różne rzeczy... mieć swobodę. Ten kontrakt, który ojciec Alvina podpisał, a Makepeace Smith trzymał w kredensie, czynił Alvina takim samym niewolnikiem, jakimi byli Czarni w Koloniach Korony.

Coś ich jednak różniło. Alvin mógł liczyć dni do wyzwolenia. Był sierpień. Jeszcze niecały rok. Na wiosnę będzie wolny. Żaden Czarny na południu nie mógł czegoś takiego

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

powiedzieć; do głowy by mu to nie przyszło. Alvin często myślał o tym przez ostatnie lata, kiedy czuł się szczególnie przybity. Jeśli oni żyją i pracują, myślał, bez żadnej nadziei na wolność, to i ja wytrzymam jeszcze pięć lat, trzy lata, rok, wiedząc, że wszystko to się kiedyś skończy.

W każdym razie Makepeace Smith się nie pokazał, a kiedy Alvin wykonał naznaczoną pracę, nie zabrał się za sprzątanie ani nie próbował zrobić czegoś na zapas. Poszedł do źródlanej szopy i wymierzył drzwi. Szopę zbudowano, żeby zatrzymywała wewnątrz chłód strumienia, więc okna się nie otwierały, ale przecież nauczycielka się nie zgodzi... Nigdy nie zaczerpnąć świeżego powietrza? Dlatego Alvin pomierzył również okna. Nie żeby postanowił samodzielnie wykonać futryny, bo w końcu nie był żadnym cieślą i znał się na stolarce tak jak każdy. Po prostu mierzył wszystko dokładnie, a kiedy dotarł do okien, z nich także wziął miarę.

Zmierzył zresztą wiele rzeczy. Na przykład, gdzie powinien stanąć niewielki pękaty piecyk, jeśli zimą w chacie ma być ciepło. A kiedy o tym pomyślał, od razu wiedział, jak trzeba ułożyć porządny fundament pod ciężki piecyk i jak uszczelnić komin i wszystko co trzeba, żeby zamienić źródlaną szopę w miłą, przytulną chatę, odpowiednią na mieszkanie dla damy.

Alvin nie notował pomiarów. Nigdy tego nie robił. Kiedy już przyłożył wszędzie palce, dłonie i ramiona, po prostu pamiętał. A gdyby zapomniał albo coś pomylił, wiedział, że bez trudu wszystko dopasuje. Zdawał sobie sprawę, że to rodzaj lenistwa, ale tak rzadko wykorzystywał ostatnio swój dar, że nie musiał się wstydzić drobnego ułatwienia sobie pracy.

Arthur Stuart przyszedł, kiedy Alvin już prawie kończył. Alvin nie odezwał się ani słowem, Arthur także nie. Człowiek nie wita się z kimś, kto jest zawsze przy nim. Właściwie prawie wcale takiego kogoś nie zauważa. Ale kiedy Alvin chciał zmierzyć dach, zwyczajnie to powiedział, a potem podrzucił Arthura tak łatwo, jak Peg Guester rzuca na parapety materace z łóżek w zajeździe.

Arthur jak kot chodził po dachu i wcale mu nie przeszkadzała wysokość. Przeszedł wzdłuż i wszerz, zapamiętując wymiary, a kiedy skończył, nie sprawdził nawet, czy Alvin czeka na dole. Zwyczajnie skoczył w dół, zupełnie jakby wierzył, że umie latać. A że Alvin był gotów go złapać, równie dobrze mogła to być prawda.

Potem Al i Arthur wrócili razem do kuźni. Alvin wybrał ze stosu kilka żelaznych prętów, rozgrzał palenisko i wziął się do pracy. Arthur pompował miechami i podawał narzędzia - robili to już od tak dawna, że Arthur był jakby uczniem Alvina. I nigdy nie

przyszło im do głowy, że to coś niewłaściwego. Po prostu działali w takiej harmonii, jakoby tańczyli, nie pracowali.

Kilka godzin później Alvin miał już wszystko co trzeba. Mógł skończyć dwa razy szybciej, ale wbił sobie do głowy, że powinien zrobić zamek do drzwi. A potem, że powinien to być prawdziwy zamek, taki jakie co bogatsi mieszkańcy miasta zamawiali na wschodzie, w Filadelfii - zamek z kluczem i zapadką, która sama zaskakuje, kiedy się trzaśnie drzwiami, tak że człowiek nigdy nie zapomni za sobą zamknąć.

Co więcej, na wszystkim umieścił ukryte heksy, doskonałe sześcioboczne figury zapewniające bezpieczeństwo. Nikt ze złym zamiarem w sercu nie otworzy zamka. Kiedy już zostanie zamontowany w drzwiach, nikt tych heksów nie zobaczy. Ale będą spełniać swoje zadanie. Ponieważ kiedy Alvin tworzył heks, wyznaczał jego miarę tak dokładnie, że powstawała cała ich sieć - niczym mur sięgający na wiele jardów we wszystkich kierunkach.

Alvin zastanowił się, dlaczego właściwie działają heksy. Oczywiście wiedział, że jest to kształt magiczny, będący podwójną trójką. Wiedział, że można heksy ułożyć na stole i będą pasować do siebie równie dobrze jak kwadraty, a nawet lepiej, bo splecione nie tylko wątkiem i osnową, ale jeszcze skosem. Kwadraty w ogóle rzadko występowały w naturze, jako zbyt proste i słabe. Heksy pojawiały się w śnieżnych płatkach, kryształach i plastrach miodu. Stworzenie jednego heksa było jak wykreślenie całej ich siatki. Dlatego ukryte w zamku idealne heksy obejmą cały dom i osłonią go przed zewnętrznym zagrożeniem - zupełnie jak gdyby wykuł żelazną kratę i wplótł ją w ściany.

Ale to nie wyjaśniało, dlaczego działają. Dlaczego ukryty heks powstrzyma rękę złoczyńcy? Dlaczego heks powiela się niewidzialnie tym dalej, im jest doskonalszy? Po tylu latach rozwiązywania zagadek wciąż tak niewiele wiedział. Tak mało, że nagle ogarnęła go rozpacz. I trzymając w ręku zawiasy i zamek, zaczął myśleć, czy nie powinien ograniczyć się do kowalstwa i puścić w niepamięć te wszystkie bajki o Stwarzaniu.

Ale mimo wszystkich przemyśleń i wątpliwości Alvin nie zadał sobie pytania najbardziej oczywistego: po co nauczycielce taki chroniony heksami, mocny zamek? Nie próbował nawet zgadywać. Nie zastanawiał się nad tym. Wiedział tylko, że taki zamek jest rzeczą piękną, a on powinien jak najbardziej upiększyć ten domek. Później sobie o tym przypomni, później pomyśli, czy już wtedy wiedział, jak wiele będzie dla niego znaczyła nauczycielka. Może już wtedy gdzieś w głębi duszy powziął plan, tak jak stara Peg Guester. Ale teraz z pewnością nie miał o tym pojęcia. Kiedy wykuwał te zawiasy z wyciętymi wzorkami, żeby drzwi ładnie wyglądały, robił to chyba dla Arthura Stuarta. Wydawało mu się

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

może, że jeśli nauczycielka zamieszka w ładnym domu, bardziej będzie skłonna udzielać Arthurowi prywatnych lekcji.

Nadeszła pora, żeby zakończyć pracę na ten dzień. Jednak Alvin nie kończył. Na taczkach zawiózł do szopy wszystkie zawiasy, zamek i kilka narzędzi, o których sądził, że mogą mu się przydać, i zbędne ścinki blachy, żeby uszczelnić komin. Pracował szybko i właściwie nieświadomie zaczął wykorzystywać swój dar. Wszystko pasowało za pierwszym razem: drzwi wisiały równiutko, zamek tkwił po ich wewnętrznej stronie, przybity tak mocno, że nikt by go nie wyrwał. Żaden człowiek nie pokonałby tych drzwi; już łatwiej wyrąbać otwór w ścianie z belek. A wobec ukrytych heksów, napastnik nie ośmieli się podnieść siekiery przeciw temu domowi... a gdyby podniósł, będzie zbyt słaby, żeby wymierzyć mocne uderzenie. Takich heksów i Czerwony nie mógłby zlekceważyć.

Al wrócił jeszcze do szopy obok kuźni i wybrał najlepszy ze starych, popękanych piecyków, które Makepeace kupował do przetopu. Przenieść taki ciężar nie było łatwym zadaniem nawet dla kogoś silnego jak kowal, ale taczki nie wytrzymałyby takiego ładunku. Dlatego Alvin sam wytaszczył piecyk na górę i ustawił obok domku. Potem naniósł kamieni z dawnego koryta potoku, żeby ułożyć fundament w miejscu, gdzie stanie piecyk. Podłoga leżała na belkach biegnących wzdłuż źródlanej szopy, jednak deski nie pokrywały pasa nad dawnym strumieniem - przecież nie można było blokować dostępu do zimnej wody. W każdym razie Alvin ułożył kamienie w górnym rogu, gdzie podłoga leżała niezbyt wysoko nad ziemią. Potem przybił do desek cienkie arkusze żelaza, aby chronić ją od ognia. Następnie ustawił na miejscu piecyk i przeciągnął rurę do otworu, który wyciął w dachu.

Arthurowi wręczył tarnik i kazał zdzierać stary mech z wewnętrznych powierzchni ścian. Schodził bez trudu, ale dzięki temu chłopiec miał zajęcie i nie widział, że Al naprawia pęknięty piecyk tak, jak nie potrafiłby zwyczajny człowiek. Będzie jak nowy, szczelny i cały.

- Głodny jestem - oświadczył Arthur Stuart.

- To biegnij do Gertie. Powiedz, że jeszcze pracuję, i poproś, żeby przysłała kolację dla nas obu, bo mi pomagasz.

Arthur Stuart ruszył co sił w nogach. Al wiedział, że przekaże wiadomość słowo w słowo, w dodatku głosem Ala. Gertie zaśmieje się i da mu solidną kolację w koszyku. Pewnie tak solidną, że Arthur zatrzyma się po drodze ze dwa albo trzy razy, aby odpocząć. Taka będzie ciężka.

A przez cały ten czas Makepeace Smith nawet nosa nie pokazał.

Kiedy Arthur w końcu wrócił, Alvin na dachu kończył pracę przy kominie. Przy okazji poprawił kilka dachówek. Komin był szczelny i ani kropla wody nie pocieknie do

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

wnętrza. Dopilnował tego. Arthur Stuart stał na dole, czekał i patrzył. Nie pytał, czy sam może zacząć jeść ani nawet jak długo Alvin będzie jeszcze zajęty. Nie był dzieckiem, które skarży się albo narzeka. Wreszcie Al skończył, zsunął się z dachu, złapał za krawędź i zeskoczył na ziemię.

- Zimne kurczaki są najlepsze po pracy w taki gorący dzień - powiedział Arthur Stuart głosem Gertie Smith, tyle że po dziecinnemu piskliwym.

Alvin uśmiechnął się szeroko i otworzył kosz.

Jedli jak marynarze, którzy przez połowę rejsu żyją na głodowych racjach. Niebawem obaj leżeli na plecach z pełnymi brzuchami. Odbijało im się co chwilę. Obserwowali białe obłoki, wędrujące po niebie niczym krowy po łące.

Słońce opadało już ku zachodowi. Pora skończyć robotę na dzisiaj. Jednak Alvinowi to się nie podobało.

- Lepiej wracaj do domu - powiedział. - Może jeśli odniesiesz Gertie Smith ten pusty koszyk, i już teraz wrócisz do domu, mama nie będzie się na ciebie gniewać.

- A co ty będziesz robił?

- Muszę oprawić okna i zawiesić je porządnie.

- A ja mam jeszcze ściany do czyszczenia - oświadczył Arthur Stuart.

Alvin uśmiechnął się. Wolał jednak bez świadków zrobić przy oknach to, co sobie zaplanował. Nie miał zamiaru zajmować się stolarką, zresztą nigdy jeszcze nikomu nie pozwolił patrzeć, jak korzysta ze swojego talentu tak jawnie.

- Lepiej już wracaj do domu.

Arthur westchnął.

- Bardzo mi pomogłeś, ale nie chcę, żebyś miał kłopoty.

Ku zdziwieniu Alvina, chłopiec powtórzył jego własnym głosem.

- Bardzo mi pomogłeś, ale nie chcę, żebyś miał kłopoty.

- Mówię poważnie - rzekł Al.

Arthur przekręcił się, wstał, podszedł i usiadł Alvinowi okrakiem na brzuchu. Często tak robił, chociaż w tej chwili nie był to najlepszy pomysł, skoro w tym brzuchu tkwiło półtora kurczaka.

- Daj spokój, Arthurze Stuarcie - jęknął Alvin.

- Nigdy nikomu nie powiedziałem o droździe - oznajmił chłopiec.

Dreszcz przeszył Alvina. Dotąd wierzył, że tamtego dnia, już ponad trzy lata temu, chłopak był zwyczajnie za mały, żeby pamiętać, co się wydarzyło. Chociaż powinien

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

wiedzieć, że jeśli Arthur o czymś nie mówi, to jeszcze nie znaczy, że zapomniał. Arthur nigdy niczego nie zapominał, nawet pełznącej po liściu gąsienicy.

Jeśli pamiętał drozda, to na pewno pamiętał ten dzień, kiedy zima nadeszła w niewłaściwym czasie, kiedy Al użył swego daru, żeby wykopać studnię i oczyścić kamień z ziemi, nie dotykając go rękami. A skoro Arthur Stuart wiedział o darze Ala, czy warto się przed nim ukrywać?

- No dobrze. Pomożesz mi zawiesić okna. Alvin chciał jeszcze dodać: "tylko nikomu nie mów, co zobaczysz". Ale przecież Arthur Stuart już to wiedział. To była jedna z tych rzeczy, które rozumiał bez słów.

Skończyli przed zmrokiem. Alvin gołymi palcami kształtował okienne ramy. To, co było drewnem przybitym do drewna, zamieniał w okna, które można swobodnie przesuwać w górę i w dół. Po bokach zrobił małe otworki i zastrugał kołki, żeby umocować ramę, gdyby ktoś zechciał. Oczywiście, nie strugał jak zwyczajni ludzie. Każde pociągnięcie noża ścinało doskonały łuk. Cały kołek był gotów w sześciu ruchach.

Tymczasem Arthur Stuart oczyścił ściany, a potem razem zamietli podłogę. Zamietli miotłą, oczywiście, jednak Alvin pomógł trochę, żeby najmniejszy nawet wiórek, opiłek żelaza, skrawek mchu i drobinka kurzu znalazły się na zewnątrz. Jedyne, czego nie zrobili, to nie próbowali pokryć pasa odkrytej ziemi pośrodku izby, gdzie kiedyś płynął strumień. Musieliby zrąbać drzewo na deski. Zresztą Alvin był już trochę przestraszony, widząc, jak szybko i jak wiele dokonał. A gdyby jeszcze dziś ktoś się tu zjawił i odkrył, że wszystko to stało się w jedno popołudnie? Ludzie zaczęliby pytać. Zaczęliby się domyślać.

- Nie mów nikomu, że zrobiliśmy to w jeden dzień - poprosił Alvin.

Arthur Stuart uśmiechnął się tylko. Ostatnio wypadł mu przedni ząb, więc w jednym miejscu widać było spory kawałek różowego dziąsła. Różowego jak dziąsła białego dziecka, pomyślał AIvin. A potem przyszedł mu do głowy zwariowany pomysł, że Bóg bierze wszystkich ludzi na świecie, którzy kiedyś umarli, obdziera ze skóry i wiesza ciała jak świńskie tusze u rzeźnika - tylko mięso i kości wiszą sobie za pięty, bez wnętrzności i głów, samo mięso. A potem Bóg pyta takich jak ci z rady szkolnej w Hatrack River, żeby wskazali, który z tych ludzi jest czarny, który czerwony, a który biały. A oni nie potrafią. I wtedy Bóg mówi: "To dlaczego, do diabła, uważaliście, że ten i ten nie mogą chodzić do szkoły, a ten i ten mogą?" Co Mu wtedy odpowiedzą? Nic. A Bóg powie: "Wy, ludzie, wszyscy macie pod skórą takie samo surowe mięso. Ale szczerze mówiąc, nie podoba mi się wasz zapach. Wasze befsztyki rzucę psom".

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

To był śmieszny pomysł i Alvin po prostu musiał o nim opowiedzieć Arthurowi Stuartowi. A Arthur Stuart śmiał się równie głośno jak Alvin. I kiedy już się naśmiali, Alvin przypomniał sobie, że może nikt nie mówił Arthurowi Stuartowi, jak to jego mama chciała go zapisać do szkoły, a rada szkolna odmówiła.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Arthur Stuart nie zrozumiał pytania, a może zrozumiał je lepiej niż Alvin. W każdym razie odpowiedział:

- Mama chce, żeby tutaj, w źródlanej szopie, pani nauczycielka pokazała mi, jak się pisze i czyta.

- Zgadza się.

Nie warto tłumaczyć chłopcu, jak to było ze szkołą. Albo Arthur Stuart już wie, co niektórzy Biali myślą o Czarnych, albo niedługo sam to odkryje, bez pomocy Alvina.

- Jesteśmy takim samym mięsem - oświadczył Arthur Stuart. Mówił dziwnym głosem, jakiego Alvin jeszcze nie słyszał.

- Czyj to głos? - spytał.

- Boga, ma się rozumieć - odparł Arthur.

- Dobra imitacja - pochwalił Alvin. Żartował.

- Pewno - zgodził się Arthur Stuart. Wcale nie żartował.

Tak się złożyło, że jeszcze przez kilka dni nikt nie przyszedł do źródlanej szopy. Dopiero w poniedziałek przywędrował do kuźni Horacy. Zjawił się wczesnym rankiem, żeby zastać Makepeace'a. Mistrz bywał zwykle o tej porze, ostentacyjnie "ucząc" Alvina czegoś, co Alvin i tak już umiał.

- Na majstersztyk zrobiłem okrętową kotwicę - mówił Makepeace. - Jasne, to było jeszcze w Newport, zanim ruszyłem na zachód. Te statki, te wielorybnicze kutry, to coś zupełnie innego niż tutejsze domki i wozy. Tam potrzebowali solidnej roboty. Taki chłopak jak ty... Tutaj nieźle sobie radzisz, bo ludziska nie znają się na kowalstwie, ale tam nigdy by ci się nie udało. Tam kowal musiał być mężczyzną.

Alvin przyzwyczaił się do takiego gadania. Spływało po nim jak woda po gęsi. Ale i tak z wdzięcznością powitał Horacego, którego przybycie zakończyło przechwałki Makepeace'a.

Po normalnych "dzień dobry" i jak się macie", Horacy przeszedł do interesów.

- Wpadłem zapytać, kiedy znajdziecie czas, żeby zacząć robotę w źródlanej szopie.

Makepeace uniósł brew i zerknął na Alvina. Dopiero wtedy chłopak uświadomił sobie, że nawet nie wspomniał mistrzowi o zleceniu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To już zrobione, psze pana - oświadczył, jakby nie wypowiedziane na głos pytanie brzmiało "Skończyłeś już?", a nie "O co chodzi z tą źródlaną szopą?" - Zrobione? - zdziwił się Horacy.

- Myślałem, że zauważyliście. Zdawało mi się, że chodzi o pośpiech, więc zabrałem się do tego od razu. W wolnych chwilach.

- No, to chodźmy popatrzeć - rzekł Horacy. - Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby tam zajrzeć po drodze.

- Ja też nie mogę się doczekać - dodał kowal.

- Zostanę tutaj. Mam jeszcze trochę roboty - zaproponował Alvin.

- Nie - oświadczył Makepeace. - Pójdziesz z nami i pokażesz, co zrobiłeś w wolnych chwilach...

Alvin tak się przejął, że prawie nie zauważył, jak Makepeace zaakcentował ostatnie dwa słowa. W ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby wrzucić do kieszeni klucze od zamka.

We trójkę ruszyli ścieżką pod górę, do źródlanej szopy. Horacy był człowiekiem, który potrafił docenić uczciwą pracę i nie wahał się powiedzieć tego głośno. Przesuwał palcami po nowych zawiasach i podziwiał zamek, zanim jeszcze wsunął klucz do dziurki. Alvin z dumą stwierdził, że klucz obraca się gładko i bez trudu. Drzwi uchyliły się cicho, niczym liść opadający jesienią z drzewa. Jeśli nawet Horacy zauważył heksy, nic nie powiedział. Inne rzeczy zwróciły jego uwagę.

- No, no... oczyściłeś ściany.

- To Arthur Stuart - wyjaśnił Alvin. - Wyskrobał je do czysta.

- A ten piecyk... Powiem wam szczerze, Makepeace, nie liczyłem się z zapłatą za nowy piecyk.

- Nie jest nowy - uspokoił go Alvin. - To znaczy, jeśli pozwolicie... To był pęknięty piecyk, który kupiliśmy jako złom. Ale kiedy mu się przyjrzałem, zobaczyłem, że można go jeszcze naprawić. Więc dlaczego by go nie ustawić w szopie?

Makepeace zmierzył Alvina lodowatym wzrokiem.

- To nie znaczy, że jest za darmo, ma się rozumieć - rzekł, zwracając się do Horacego.

- Oczywiście. Ale skoro zapłaciliście za niego jak za złom... - Jasne, że cena nie będzie za wysoka.

Horacy przyglądał się wyprowadzeniu komina.

- Piękna robota - mruknął. Odwrócił się. Alvin pomyślał, że jest trochę smutny, a może tylko zrezygnowany. - Oczywiście, musimy pokryć resztę podłogi.

- To już nie nasza specjalność - zauważył Makepeace Smith.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie przejmujcie się, mówiłem do siebie.

Horacy podszedł do wschodniego okna, przycisnął palce do ramy i uniósł je. Znalazł kołki na parapecie, wsunął do trzecich otworów po obu stronach i opuścił na nie okno. Spojrzał na kołki, na okno, potem znowu na kołki... Alvin bał się, że będzie musiał tłumaczyć, w jaki sposób - nie będąc przecież stolarzem - zdołał wykonać coś takiego. Jeszcze gorzej, gdyby Horacy się domyślił, że to stare okno, nie nowe. To można by wyjaśnić jedynie talentem Alvina. Żaden cieśla nie potrafi przeniknąć do drewna, żeby wyciąć takie przesuwane okno.

Ale Horacy stwierdził tylko:

- Trochę zrobiłeś dodatkowo.

- Pomyślałem, że się przyda - odparł Alvin.

Jeśli Horacy nie miał zamiaru pytać, w jaki sposób Alvin to zrobił, to Alvin sam nie spieszył się z tłumaczeniem.

- Nie liczyłem, że to pójdzie tak szybko - mruknął Horacy. - Ani że tyle się narobisz. Zamek wygląda na kosztowny, a piecyk... Mam nadzieję, że nie muszę płacić wszystkiego od razu.

Alvin już miał powiedzieć, że oberżysta w ogóle nie musi płacić, ale oczywiście ugryzł się w język. To Makepeace Smith decydował o takich sprawach.

Lecz kiedy Horacy obejrzał się, czekając na odpowiedź, nie patrzył na mistrza. Stanął przed Alvinem.

- Makepeace Smith bierze za twoją pracę pełną cenę, zatem i ja nie powinienem ci płacić mniej.

Dopiero wtedy Alvin zrozumiał, że popełnił błąd. Powiedział, że zrobił to wszystko w wolnych chwilach, a za pracę, którą uczeń wykonuje w czasie oficjalnie wolnym, płaci się bezpośrednio uczniowi, nie mistrzowi. Makepeace Smith nigdy nie dawał Alvinowi wolnego czasu. Jeśli ktoś miał robotę, kowal wynajmował swojego ucznia, do czego miał prawo, zgodnie z kontraktem terminatorskim. Mówiąc o wolnych chwilach, Alvin sugerował, że Makepeace dał mu wolne, żeby mógł coś zarobić dla siebie.

- Psze pana, ja...

Makepeace przemówił, zanim Alvin zdążył wyjaśnić pomyłkę.

- Nie, pełna cena nie wchodzi w grę. Zbliża się już koniec kontraktu i pomyślałem, że Alvin powinien spróbować czegoś na własną rękę. Żeby sprawdzić, jak sobie radzi z pieniędzmi. Ale chociaż wam ta robota wydaje się jak należy, dla mnie wygląda dość

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

kiepsko. Dlatego uważam, że uczciwe będzie pół ceny. Moim zdaniem poświęcił na to wszystko przynajmniej dwadzieścia godzin. Zgadza się, Alvinie?

Alvin poświęcił raczej dziesięć, jednak kiwnął tylko głową. Nie wiedział, co powiedzieć, jako że mistrz wyraźnie nie chciał uczciwie ocenić jego pracy. Zresztą, kowalowi bez talentu Alvina robota zajęłaby co najmniej dwadzieścia godzin.

- Czyli - mówił dalej Makepeace - sumując pracę Alvina za pół ceny, koszt piecyka, żelaza, i w ogóle, razem to będzie piętnaście dolarów.

Horacy gwizdnął i zakołysał się na piętach.

- Moją pracę możecie mieć za darmo. I tak muszę ćwiczyć - wtrącił Alvin.

Makepeace spojrzał na niego gniewnie.

- Nawet mi się to nie śni - odparł Horacy. - Zbawca powiedział, że zasługuje robotnik na swoją zapłatę. To raczej nagły wzrost ceny żelaza, budzi moje wątpliwości.

- To jest piecyk - przypomniał Makepeace Smith.

Nie był, dopóki go nie naprawiłem, pomyślał Alvin.

- Kupiliście go jako złom - stwierdził Horacy. - I sami mówiliście o pracy Ala, że nie można za nią brać pełnej ceny.

Makepeace westchnął.

- Przez pamięć starych czasów, Horacy, bo to wyście mnie tu sprowadzili i pomogli na początku, kiedy osiemnaście lat temu przyjechałem na zachód... Dziewięć dolarów.

Horacy nie uśmiechnął się, ale skinął głową.

- Niech będzie. A że zwykle za wynajęcie Alvina bierzecie cztery dolary za dzień, to za jego dwadzieścia godzin za pół ceny wyjdzie jakieś cztery dolary. Zajrzyj do nas po południu, Alvinie, przygotuję pieniądze. A wam, Makepeace, zapłacę resztę, kiedy zajazd się wypełni w porze zbiorów.

- Zgoda..

- Cieszę się, że dajecie Alvinowi trochę wolnego - dodał Horacy. - Ludzie krytykowali was, że tak krótko trzymacie dobrego ucznia. Ale ja stale im powtarzałem: Makepeace czeka na odpowiednią chwilę. Zobaczycie.

- Zgadza się - przyznał Makepeace. - Czekałem na właściwą chwilę.

- Nie przeszkadza wam, jeśli powiem ludziom, że czekanie już się skończyło?

- Alvin wciąż musi pracować dla mnie - przypomniał Makepeace.

Horacy z mądrą miną pokiwał głową.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- No pewnie - stwierdził. - Pracuje dla was uczciwie całymi rankami, a po południu dla siebie. Zgadłem? Tak to ustala większość uczciwych mistrzów, kiedy terminator bliski już jest wyzwolenia.

Makepeace się zaczerwienił. Alvin nie był zdziwiony. Widział, co się dzieje: Horacy Guester zachowywał się jak adwokat. Wykorzystywał okazję, by zawstydzić kowala i zmusić, żeby przyzwoicie potraktował ucznia - po raz pierwszy od sześciu długich lat terminu. Kiedy Makepeace postanowił udawać, że Alvin rzeczywiście dostaje wolne, uchylił jakby drzwi i przez tę szczelinę Horacy wpychał się do środka. Naciskał, żeby Makepeace dał Alvinowi całe pół dnia! Tego Makepeace z pewnością nie zniesie.

Ale zniósł.

- Pół dnia mi wystarczy. Już od dawna chciałem tak zrobić.

- Czyli popołudniami sami teraz będziecie pracować, Makepeace?

Alvin spojrzał na Horacego z niekłamanym podziwem. Oberżysta nie pozwoli, żeby kowal lenił się całymi dniami i zmuszał ucznia do wykonywania wszystkich zamówień w kuźni.

- To moja sprawa, Horacy, kiedy pracuję.

- Chciałem tylko powiedzieć ludziom, żeby wiedzieli, kiedy zastaną w kuźni mistrza, a kiedy ucznia.

- Będę tam cały dzień.

- Miło to słyszeć - oświadczył Horacy. - No cóż, Alvinie, popisałeś się. Twój mistrz dobrze cię wyszkolił, a tu byłeś staranniejszy niż kiedykolwiek. Zajrzyj dziś wieczorem po swoje cztery dolary.

- Tak, psze pana. Dziękuję, psze pana.

- Teraz pewnie musicie wracać do pracy - stwierdził Horacy. - Czy do tego zamka są tylko dwa klucze?

- Tak, psze pana - potwierdził Alvin. - Naoliwiłem je, żeby nie rdzewiały.

- Będę tego pilnował. Dzięki za przypomnienie.

Horacy wymownie otworzył przed nimi drzwi i odczekał, aż wyjdą na zewnątrz. Potem starannie zamknął je na zamek. Uśmiechnął się do Alvina.

- Może i ja zamówię u ciebie zamek do swoich drzwi. - Potrząsnął głową i roześmiał się. - Nie, lepiej nie. Jestem oberżystą. Moja praca to wpuszczać ludzi do środka, a nie trzymać ich na dworze. Ale są inni w tym mieście, którym ten zamek bardzo się spodoba.

- Mam nadzieję. Dziękuję.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Horacy jeszcze raz pokiwał głową, po czym z powagą spojrzał na Makepeace'a, jakby chciał powiedzieć: "Nie zapomnij o wszystkim, co dzisiaj obiecałeś". I wreszcie ruszył ścieżką w stronę zajazdu.

Alvin pomaszerował w dół, do kuźni. Słyszał za sobą kroki Makepeace'a, ale nie marzył w tej chwili o rozmowie. Póki kowal milczał, Alvin był zadowolony.

Trwało to tylko do chwili, kiedy weszli do kuźni.

- Ten piecyk był rozbity jak diabli - oświadczył Makepeace.

Tych słów Alvin się nie spodziewał. I najbardziej się ich obawiał. Żadnego marudzenia o wolnym czasie, żadnych prób odwołania obietnicy podziału dnia. Makepeace najlepiej zapamiętał ten piecyk.

- Faktycznie, nie wyglądał dobrze - przyznał Alvin.

- Nie do naprawy. Trzeba by odlewać na nowo. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, sam bym to zrobił.

- Z początkują też tak myślałem. Ale przyjrzałem się i... Umilkł na widok twarzy kowala. On wiedział. Alvin nie mógł w to wątpić. Mistrz wiedział, co potrafi jego uczeń. Alvina ogarnął lęk; przeniknął go do szpiku kości. Znów było tak, jak w Vigor Kościele, kiedy bawił się z rodzeństwem w chowanego. Najgorzej, kiedy zostawał ostatnim wciąż nie odnalezionym, kiedy czekał i czekał, aż wreszcie słyszał kroki i czuł dreszcze, jakby jego ciało samo chciało się ruszyć. Nie mógł wytrzymać, miał ochotę wyskoczyć z krzykiem "Tu jestem! Tu jestem!", a potem biec jak zając nie do umówionego drzewa, ale gdziekolwiek, po prostu biec, aż wszystkie mięśnie odmówią posłuszeństwa i upadnie na ziemię bez sił. To było szaleństwo i nie mogło prowadzić do niczego dobrego. Ale tak właśnie się czuł, grając z braćmi i siostrami, i tak się czuł teraz, na granicy odkrycia swego sekretu.

Ku zdumieniu Alvina, na twarzy mistrza pojawił się uśmiech.

- Więc to dlatego - mruknął Makepeace. - To jest powód. Jesteś pełen niespodzianek, Alvinie. Teraz to widzę. Kiedy się rodziłeś, twój tato mówił, że jesteś siódmym synem siódmego syna. Z końmi sobie radziłeś, pewnie, wiedziałem o tym. I tę studnię znalazłeś, wyczułeś ją niby przenikacz... Pewnie, to też zauważyłem. Ale teraz... - Makepeace wyszczerzył zęby. - Myślałem, że z ciebie kowal, jaki się jeszcze nie urodził, a przez cały czas bawiłeś się jak alchemik.

- Nie, psze pana - zaprotestował Alvin.

- Nie zdradzę twojej tajemnicy - zapewnił Makepeace. - Nikomu nie powiem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ale śmiał się przy tym i Alvin wiedział, że chociaż nie powie wprost, będzie napomykał, sugerował, rzucał uwagi wszędzie - stąd aż do Hio. Jednak nie to najbardziej Alvina niepokoiło.

- Całą pracę, jaką dla was wykonywałem, robiłem uczciwie, własnymi rękami i własnym rozumem.

Makepeace przytaknął z mądrą miną, jakby odgadł ukryte znaczenie tych słów.

- Rozumiem - rzekł. - Twój sekret jest bezpieczny. Ale domyślałem się od początku. Wiedziałem, że nie możesz być takim świetnym kowalem.

Makepeace Smith nie miał pojęcia, że w tej chwili otarł się o śmierć. Alvin nie miał duszy mordercy. Wszelkiej żądzy krwi - gdyby ją kiedyś odczuwał - pozbyłby się po spędzeniu pewnego dnia na Ośmiościennym Kopcu, już prawie siedem lat temu. Ale przez wszystkie lata swojego terminu nie usłyszał od tego człowieka ani jednego słowa pochwały. Nic, tylko skargi, jakim leniwym jest uczniem i jak kiepsko pracuje. I przez cały czas Makepeace kłamał, przez cały czas wiedział, że to nieprawda. Dopiero gdy uznał, że Alvin wykorzystuje w kuźni swój dar, przyznał, że jego uczeń w istocie jest dobrym kowalem. Lepszym niż dobrym. Alvin sam to wiedział, oczywiście. Wiedział, że jest urodzonym kowalem. Ale nigdy tego nie usłyszał, a to bolało go bardziej, niż przypuszczał. Czyjego mistrz nie zdawał sobie sprawy, jak wiele znaczy czasem słowo, jak wiele znaczyłoby nawet pół godziny temu. Jedno zdanie, choćby "Nieźle to zrobiłeś, chłopcze" albo "Masz dobrą rękę do takiej roboty". Ale Makepeace nie potrafił powiedzieć nic dobrego; musiał kłamać, że Alvin do niczego się nie nadaje. Aż do teraz, kiedy uwierzył, że jego uczeń nie zna się jednak na kowalstwie.

Alvin miał ochotę złapać Makepeace'a za głowę i walnąć nią o kowadło, mocno, żeby wbić mu prawdę przez czaszkę aż do mózgu. Nigdy nie użyłem przy pracy swojego daru Stwórcy... Nigdy, odkąd byłem dość silny, żeby korzystać tylko z własnych muskułów i umiejętności...

Więc nie uśmiechaj się drwiąco, jakbym był oszustem, a nie prawdziwym kowalem. Zresztą, gdybym nawet używał swojego talentu, czy myślisz, że to takie łatwe? Myślisz, że za to nie płacę?

Cała wściekłość, cała pamięć długich lat niewolniczej pracy, lat gniewu na niesprawiedliwość, lat tajemnic i ukrywania się, rozpaczliwej tęsknoty za wiedzą, co robić z własnym życiem, kiedy nie ma kogo zapytać... wszystko to rozgorzało teraz w myślach Alvina mocniej niż ogień na palenisku. Teraz nie pragnął już uciekać. Chciał zetrzeć uśmiech z twarzy Makepeace'a Smitha, zetrzeć na zawsze na dziobie kowadła.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Mimo to potrafił jakoś stać bez drgnienia, bez słowa, nieruchomy jak zwierzę, które stara się być niewidoczne, być gdzie indziej, niż jest naprawdę. I w tym bezruchu słyszał wokół siebie zieloną pieśń. Pozwolił, by ogarnęło go życie lasu, by wypełniło jego serce i sprowadziło spokój. Zielona pieśń nie była tak głośna jak kiedyś, dalej na zachodzie, w dzikich czasach, kiedy czerwony człowiek wciąż śpiewał w rytm muzyki puszczy. Była cicha, czasem zagłuszał ją hałas życia miasta czy monotonne głosy pól uprawnych. Jednak Alvin wciąż potrafił ją odnaleźć, zatonąć w niej i ukoić swoje serce.

Czy Makepeace Smith zdawał sobie sprawę, że otarł się o śmierć? Ponieważ nie byłby żadnym przeciwnikiem dla Ala, młodego i z ogniem słusznego gniewu w sercu. Domyślił się tego czy nie, w każdym razie uśmiech znikł z jego twarzy. Z powagą kiwnął głową.

- Dotrzymam wszystkiego, co ci obiecałem, kiedy Horacy tak mnie przycisnął. Wiem, że pewnie ty go namówiłeś, ale jestem sprawiedliwy. Dlatego wybaczę ci, jeśli tylko będziesz się przykładał do pracy dla mnie, póki nie wygaśnie kontrakt.

Oskarżenie, że spiskował z Horacym, powinno rozgniewać Alvina jeszcze bardziej. Ale teraz objęła go zielona pieśń i tylko ciałem przebywał w kuźni. Wprowadził się w trans, poznany w czasie, kiedy biegł z Czerwonymi Ta-Kumsawa. Zapominał wtedy, kim jest i gdzie, a ciało stawało się obcym stworzeniem przemierzającym las.

Makepeace na próżno czekał na odpowiedź. W końcu tylko pokiwał głową i odwrócił się.

- Mam interesy w mieście - oznajmił. - Pilnuj kuźni. Zatrzymał się jeszcze w bramie.

- A skoro już o tym mowa, możesz przy okazji naprawić te popękane piecyki w szopie.

I odszedł.

Alvin stał tam bardzo długo. Nie wiedział nawet, że ma ciało, którym może poruszać. Świecił już księżyc, kiedy oprzytomniał i zrobił pierwszy krok. W sercu miał spokój; nie pozostała ani odrobina gniewu. Gdyby się nad tym zastanowił, wiedziałby, że gniew powróci, że nie został uleczony, lecz tylko przycichł. Ale w tej chwili to wystarczało. Kontrakt dopełni się wiosną, a wtedy odejdzie stąd, nareszcie wolny.

I jeszcze jedno. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby spełnić polecenie Makepeace'a Smitha i naprawić te wszystkie piece. A Makepeace Smith nigdy już o tym nie wspominał. Dar Alvina nie był ujęty w kontrakcie. W głębi duszy kowal musiał zdawać sobie sprawę, że nie ma prawa mówić młodemu Alowi, co powinien robić, kiedy Stwarza.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Kilka dni później Alvin wraz z grupą mężczyzn pomagał kłaść nową podłogę w źródlanej szopie. Horacy wziął go na stronę i zapytał, dlaczego nie przyszedł po swoje cztery dolary.

Alvin nie bardzo mógł wyznać mu prawdę: że nigdy nie wziąłby pieniędzy za pracę, którą wykonał jako Stwórca.

- Niech to będzie mój udział w pensji dla nauczycielki - powiedział.

- Nie masz majątku, żebyś musiał płacić podatek - odparł Horacy. - Ani dzieci, które byś posyłał do szkoły.

- No to powiedzmy, że płacę wam za tę ziemię przy zajeździe, w której spoczywa mój brat.

Horacy z powagą skinął głową.

- Ten dług, jeśli to był dług, twój ojciec i bracia z nawiązką spłacili swoją pracą już siedemnaście lat temu, Alvinie. Jeśli jednak chcesz mieć w tym swój udział, uszanuję twoją wolę. Dlatego tym razem uznam, że zostałeś wynagrodzony. Ale za każdą inną pracę, którą dla mnie wykonasz, dostaniesz pełną zapłatę. Słyszysz?

- Dobrze, psze pana. Dziękuję.

- Nazywaj mnie Horacy, chłopcze. Kiedy dorosły mężczyzna zwraca się do mnie "psze pana", czuję się staro.

Potem wrócili do pracy i nie wspominali już, co Alvin zrobił w źródlanej szopie. Jednak coś w tej rozmowie uderzyło Alvina: to, co powiedział Horacy, kiedy Alvin zaproponował swoją zapłatę jako udział w pensji nauczycielki. "Nie masz majątku ani dzieci, które byś posyłał do szkoły". To właśnie dlatego, chociaż był już wysoki, chociaż Horacy nazwał go dorosłym, wciąż jeszcze nie był mężczyzną - nawet we własnych oczach. Ponieważ nie miał rodziny. Nie miał majątku. I póki ich nie zdobędzie, pozostanie tylko dużym chłopcem. Dzieckiem, jak Arthur Stuart, tylko wyższym, któremu wąs się sypie, jeśli zapomni się ogolić.

I jak Arthur Stuart, nie pójdzie do szkoły. Jest za stary. Nie dla takich jak on ją zbudowano. Więc dlaczego niecierpliwie wyczekuje przyjazdu nauczycielki? Dlaczego myśli o niej z nadzieją? Nie dla niego przybywa. A jednak to dla niej pracował w źródlanej szopie, jakby chciał ją uczynić swoją dłużniczką, a może raczej z góry się odwdzięczyć za to, czego tak rozpaczliwie od niej pragnął.

Naucz mnie, powiedział sobie w myślach. Mam dzieło do wykonania na tym świecie, ale nikt nie wie, na czym ono polega ani jak się do niego zabrać. Naucz mnie. Tego chcę, pani: abyś pomogła mi odnaleźć drogę do korzeni świata albo do moich korzeni, do boskiego

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

tronu albo serca Niszczyciela, gdziekolwiek kryje się tajemnica Tworzenia. Żebym mógł budować przeciwko śniegom zimy albo sprawić, by światło jaśniało w ciemności nocy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 14 - RZECZNY SZCZUR

Tego dnia, kiedy przybyła nauczycielka, Alvin był w Ujściu Hatrack. Makepeace wysłał go wozem po ładunek żelaza z Hio. Ujście Hatrack było kiedyś pojedynczym nabrzeżem, przystankiem łodzi, z których wyładowywano towary dla miasta Hatrack River. Teraz, kiedy ruch na rzece się zwiększył i coraz więcej ludzi osiedlało się w zachodnich krainach na obu brzegach Hio, zbudowano tu kilka sklepów i zajazdów, gdzie farmerzy sprzedawali prowiant dla łodzi, a rzeczni wędrowcy mogli zatrzymać się na noc. Ujście Hatrack i miasto Hatrack River zyskiwały na znaczeniu, jako że było to ostatnie miejsce, gdzie Hio zbliżała się do wielkiego Traktu Wobbish - tej samej drogi, którą ojciec i bracia Alvina wycinali w dziczy, wędrując na zachód do Vigor Kościoła. Osadnicy przybywali tu na statkach, wyokrętowywali swoje wozy i konie, po czym ruszali dalej lądem.

Były tu również pewne miejsca, których mieszkańcy Hatrack River nie tolerowali u siebie. Domy hazardu, gdzie grano w pokera i inne gry, a pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Prawo niechętnie wkraczało do tych legowisk rzecznych szczurów i szumowin. A na piętrach takich domów przebywały podobno kobiety nie będące damami i wykonujące zawód, o którym ludzie przyzwoici nie mówili nawet szeptem, zaś chłopcy w wieku Alvina rozmawiali ściszonymi głosami, śmiejąc się nerwowo.

Jednak to nie myśl o uniesionych spódnicach i obnażonych udach sprawiała, że Alvin niecierpliwie wyczekiwał wypraw do Ujścia Hatrack. Prawie nie zauważał tych domów; nie miał tam nic do roboty. To nabrzeże go kusiło, budynek portowy, sama rzeka, po której bez przerwy sunęły łodzie i tratwy, dziesięć z prądem na każdą płynącą pod prąd. Alvin szczególnie lubił parowce, które świszcząc i dymiąc, pędziły z nienaturalną prędkością. Szerokie i długie, z wielkimi motorami zbudowanymi w Irrakwa, mknęły w górę rzeki szybciej niż tratwy spływały w dół. Osiem takich statków kursowało po Hio od Dekane do Sphinx i z powrotem. Jednak nie dalej niż Sphinx, ponieważ gęste mgły skrywały Mizzipy i mało która łódź ośmielała się tam płynąć.

Pewnego dnia, myślał Alvin, pewnego dnia człowiek może wsiąść na taki statek jak "Duma Hio" i zwyczajnie odpłynąć. Daleko na zachód, do dzikich krain, skąd może uda się dostrzec te miejsca, gdzie żyją teraz Ta-Kumsaw i Tenska-Tawa. Albo w górę rzeki, do Dekane, a stamtąd nowym parowym pociągiem po szynach aż do Irrakwa i kanału. Stamtąd można zjeździć cały świat, pokonać wszystkie oceany. Albo stanąć na brzegu, a kiedyś może cały świat przepłynie obok.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin nie był leniem. Nie tkwił długo na brzegu, choć pewnie miałby na to ochotę. Po chwili ruszył do składu portowego, gdzie oddał kwit Makepeace'a Smitha i mógł odebrać żelazo czekające w dziewięciu skrzyniach w magazynie.

- Wolałbym, żebyś nie używał moich wózków do transportu tych skrzyń - powiedział portomistrz.

Alvin skinął głową. Zawsze to samo. Żelazo było ludziom potrzebne, portomistrzowi też, i z pewnością wkrótce zjawi się w kuźni, prosząc o to czy tamto. Jednak póki co, woli, żeby Alvin sam je dźwigał, bo ciężki ładunek mógłby uszkodzić wózki. Makepeace nie dawał Alvinowi pieniędzy, żeby wynajął do pomocy któregoś z rzecznych szczurów. Szczerze mówiąc, Alvin był z tego zadowolony. Nie podobali mu się ci ludzie rzeki. Wprawdzie przeminęły już dni piratów i brygandów - zbyt wielki był ruch na rzece, by coś mogło się na niej dziać po kryjomu. Jednak wciąż wiele zdarzało się kradzieży i oszustw, zaś Alvin nie lubił tych, co robili podobne rzeczy. Według niego, ci łajdacy wykorzystywali zaufanie uczciwych ludzi, a potem ich zdradzali. A do czego mogło to doprowadzić, jeśli nie do tego, że ludzie w ogóle przestaną sobie ufać? Wolałbym raczej stanąć naprzeciw człowieka, który chce walczyć, i z nim się zmierzyć, niż spotkać takiego, co pełen jest kłamstw.

I kto by pomyślał, że w tej samej godzinie Alvin spotka nową nauczycielkę i zmierzy się z rzecznym szczurem.

Szczur, z którym miał walczyć, był jednym z całej ich grupy wylegującej się pod okapem magazynu portowego. Czekali pewnie, aż otworzą dom gry. Za każdym razem, kiedy Alvin wychodził ze skrzynią żelaznych sztab, wołali do niego drwiąco. Z początku były to dobroduszne kpiny w stylu "Dlaczego tak biegasz tam i z powrotem, chłopcze? Lepiej od razu wsadź sobie dwie takie skrzynie pod pachy!" Alvin uśmiechał się tylko. Wiedzieli, jak ciężkie jest to żelazo. Kiedy wyładowywali je wczoraj, marynarze na pewno po dwóch nosili jedną skrzynię. Czyli, w pewnym sensie, te kpiny, że jest słaby albo leniwy, były rodzajem komplementu, żartu - bo żelazo było ciężkie, a Alvin naprawdę bardzo silny.

Potem Alvin zajrzał do sklepu, żeby kupić dla Gertie przyprawy i jakieś kuchenne narzędzia z Irrakwa i Nowej Anglii, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać.

Kiedy wrócił z zakupami, rzeczne szczury nadal tkwiły w cieniu pod dachem, ale pojawił się nowy cel ich docinków, te zaś stały się bardziej nieprzyjemne. Tym razem zaczepiali kobietę w średnim wieku, pewnie koło czterdziestki, z włosami ciasno związanymi w kok pod kapeluszem i w sukni zapiętej pod szyję, z ciasnymi mankietami, jakby

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

właścicielka bała się, że padające na skórę promienie słońca mogą ją zabić. Z kamiennym wyrazem twarzy patrzyła przed siebie, a rzeczne szczury nie żałowały języków.

- Jak myślicie, chłopcy, zaszyła na sobie tę kieckę?

Myśleli, że owszem.

- Pewnie nigdy jej nie zdejmuje, dla żadnego faceta.

- Pewno, że nie. Bo pod tą spódnicą nic nie ma. To tylko głowa lalki i ręce przyszyte do wypchanej kiecki.

- Przecież nie może być prawdziwą kobietą.

- Ja tam umiem poznać prawdziwą kobietę. Kiedy tylko mnie zobaczy, zaraz zadziera spódnicę i rozkłada nogi.

- Może gdybyś jej trochę pomógł mógłbyś z niej zrobić prawdziwą kobietę.

- Tą? Przecież ona jest wyciosana z drzewa. Miałbym pełno drzazg w swoim wiośle, gdybym próbował pływać na takich wodach.

Tego już Alvin nie mógł wytrzymać. Nieładnie, jeśli mężczyzna myśli tak o kobiecie, nawet jeśli ona sama się o to prosi - jak te dziewczyny z domów gry, które noszą dekolty tak głębokie, że można im policzyć piersi tak łatwo, jak wymiona u krowy, a idąc po ulicy unoszą spódnice, że aż pokazują kolana. Ale ta kobieta była najwyraźniej damą i naprawdę nie powinna słuchać takich rzeczy. Alvin domyślał się, że czeka, aż ktoś po nią przyjedzie, jako że dyliżans do Hatrack River odjeżdżał dopiero za parę godzin. Nie wyglądała na przestraszoną. Pewnie wiedziała, że tacy ludzie są zwykle mocni tylko w gębie, a więc jej honor nie jest zagrożony. A z jej twarzy nie mógł nawet poznać, czy w ogóle słyszy zaczepki, taka była zimna i obojętna. Ale odzywki rzecznych szczurów samego Alvina zawstydziły tak bardzo, że nie mógł słuchać spokojnie. I nie czułby się dobrze, gdyby zwyczajnie wsiadł na wóz i zostawił ją tutaj. Dlatego załadował pakunki ze sklepu, a potem podszedł do rzecznych szczurów i stanął przed najgłośniejszym, najbardziej paskudnym z nich wszystkich.

- Może lepiej zaczniesz się do niej zwracać jak do damy - powiedział. - Albo w ogóle przestaniesz się odzywać.

Nie zdziwił się, widząc nagłe błyski w ich oczach. Zaczepianie damy było rodzajem zabawy, wiedział jednak, że teraz mierzą go wzrokiem. Zawsze byli chętni, żeby udzielić lekcji któremuś z miejskich chłopaków, nawet tak potężnie zbudowanemu jak Alvin, w końcu przecież kowalowi.

- A może lepiej ty się do nas nie odzywaj - odparł ten pyskaty. - Może już powiedziałeś za dużo.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jeden ze szczurów nie zrozumiał, co się dzieje, i nadal myślał, że zabawa polega na zaczepianiu damy.

- On jest zazdrosny. Sam chce powiosłować w tej mętnej wodzie.

- Jeszcze nie powiedziałem dosyć - rzekł Alvin. - Bo wciąż nie potraficie się zachować wobec damy.

Dopiero wtedy kobieta odezwała się po raz pierwszy.

- Nie potrzebuję obrońcy, młody człowieku - powiedziała. - Idź swoją drogą.

Jej głos brzmiał dziwnie. Kulturalnie, jak głos wielebnego Throwera. I wszystkie słowa wyraźne. Jak u ludzi, którzy kończyli szkoły na wschodzie.

Lepiej by było, gdyby nic nie mówiła, ponieważ jej głos tylko zachęcił rzeczne szczury.

- Patrzcie, robi do niego słodkie oczy!

- Ma na niego ochotę!

- On chce popłynąć naszą łodzią!

- Pokażmy jej, kto tu jest prawdziwym mężczyzną!

- Jeśli ma chęć na jego maszcik, odetniemy go i damy jej!

Pojawił się nóż, potem drugi. Czy nie zorientowała się, że powinna trzymać buzię zamkniętą? Gdyby mieli do czynienia z samym Alvinem, wystarczyłaby im walka jeden na jednego. Ale jeśli zechcą się przed nią popisać, z radością zaatakują go razem i pokaleczą, może zabiją, a z pewnością pozbawią ucha albo nosa. Albo, jak zagrozili, wykastrują.

Alvin patrzył na nią przez chwilę, błagając w myślach, żeby już się nie odzywała. Zrozumiała to spojrzenie, a może sama się domyśliła albo zwyczajnie była przestraszona, w każdym razie nie wtrącała się więcej. Alvin spróbował pokierować sytuacją tak, żeby mógł sobie z nią poradzić.

- Noże - rzucił tonem tak pogardliwym, na jaki tylko było go stać. - Boicie się z gołymi rękami zmierzyć z kowalem?

- Kowal to nic w porównaniu z muskułami, jakie mamy od popychania łodzi na rzece - kpili, ale noże zniknęły.

- Wy już nie popychacie łodzi, chłopcy, i wszyscy o tym wiedzą - odpowiedział Alvin. - Siedzicie tylko, obrastacie tłuszczem i patrzycie, jak koło łopatkowe samo pcha statek.

Najbardziej pyskaty ze szczurów wstał i wyszedł naprzód, ściągając przez głowę brudną koszulę. Miał potężne muskuły, to prawda, a także sporo blizn znaczących na biało i czerwono ramiona i pierś. Brakowało mu też jednego ucha.

- Sądząc po wyglądzie - stwierdził Alvin - często walczyłeś.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Diabelna racja.

- I sądząc po wyglądzie, większość przeciwników była lepsza od ciebie.

Mężczyzna zaczerwienił się, zarumienił pod opalenizną od czoła po pierś.

- Czy nie ma tam kogoś, z kim warto się pomocować? - prowokował Alvin. - Kogoś, kto zwykle wygrywa?

- Ja wygrywam! - wrzasnął tamten.

Wściekał się, więc łatwiej go będzie pokonać, dokładnie tak jak Alvin to zaplanował. Ale inni zaczęli go odciągać.

- Ma rację ten chłopak od kowala. Nie jesteś za dobry w zapasach.

- Dajcie mu to, czego chce.

- Mike, ty go załatw. - Jest twój, Mike.

Gdzieś z tyłu - z najbardziej zacienionego miejsca, gdzie siedział na jedynym krześle z oparciem -jakiś mężczyzna wstał i wystąpił przed grupę.

- Ja się zajmę tym chłopcem.

Pyskacz natychmiast przycichł i ustąpił z drogi. Nie tak zaplanował to sobie Alvin. Mężczyzna nazywany Mikiem był wyższy i silniejszy od pozostałych. Kiedy zdjął koszulę, Alvin zauważył jedną czy dwie blizny, ale niewiele. Mężczyzna miał też dwoje uszu, co było oczywistym znakiem, że jeśli nawet kiedyś przegrał, to nigdy nie przegrał bardzo.

I miał mięśnie jak bawół.

- Nazywam się Mike Fink! - ryknął. - Jestem najwredniejszym, najtwardszym sukinsynem, jaki chodził po wodzie! Gołymi rękami mogę osierocić małe aligatory! Mogę żywego bizona wrzucić na wóz i trzasnąć go w łeb, aż padnie trupem! A kiedy mi się nie podoba zakręt na rzece, łapię jeden koniec i potrząsam, żeby się wyprostował! Każda kobieta, jaką miałem pod sobą, wyszła z trojaczkami, jeśli w ogóle chciała spode mnie wychodzić! Kiedy z tobą skończę, mały, włosy będą ci zwisały prosto po obu stronach głowy, bo nie będziesz miał uszu! Będziesz siadał, żeby się wysikać i już nigdy nie będziesz się musiał golić!

A kiedy Mike Fink tak się popisywał, Alvin spokojnie zdejmował koszulę, odpinał pas z nożem i wszystko to układał na koźle wozu. Potem zaznaczył na ziemi duże koło. Cały czas starał się wyglądać spokojnie i obojętnie, jakby Mike Fink był zarozumiałym siedmiolatkiem, a nie mężczyzną z żądzą mordu w oczach.

Kiedy Fink skończył swoje przechwałki, koło było już wyrysowane. Fink podszedł i starł je nogą, unosząc chmurę kurzu. Przemaszerował dookoła, wymazując linię.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie wiem, kto cię uczył, chłopcze - powiedział. - Ale jak ze mną się bijesz, nie ma takich karkulacji. Żadnych kółek i żadnych reguł.

Dama przemówiła znowu.

- To oczywiste, że nie ma też żadnych reguł w pańskich wypowiedziach. Inaczej wiedziałby pan, że słowo "karkulacja" to pewny dowód głupoty i ignorancji.

Fink odwrócił się do niej, ale chyba zrozumiał, że nie ma nic do powiedzenia, albo domyślił się, że cokolwiek powie, wyda się jeszcze większym ignorantem. Pogarda w jej głosie rozwścieczyła go, ale też sprawiła, że zwątpił w siebie. Z początku Alvin uznał, że wtrącając się znowu, dama tylko pogarsza jego sytuację. Ale zaraz pojął, że stara się zrobić z Finkiem to, czego Alvin próbował z pyskatym - tak go rozzłościć, żeby walczył głupio. Problem w tym - jak podejrzewał - że wściekły Fink pewnie wcale nie walczy głupio. Walczy bardziej zażarcie. Walczy na śmierć. Zechce zrealizować swoje przechwałki o pozbawieniu Alvina niektórych części ciała. To nie będą takie przyjacielskie zapasy, jakie zdarzały się Alvinowi w mieście, kiedy chodziło tylko o to, żeby rzucić przeciwnika na ziemię. Albo - jeśli walka toczyła się na trawie - żeby położyć go na łopatkach.

- Nie jesteś taki mocny - powiedział Alvin. - I wiesz o tym. Inaczej nie chowałbyś w bucie noża.

Fink zdziwił się, ale podciągnął nogawkę i wyjął zza cholewy długi nóż. Rzucił go za siebie.

- Nie potrzebuję noża, żeby z tobą wygrać - oświadczył.

- To dlaczego nie wyjmiesz tego w drugim bucie?

Fink zmarszczył brwi i podwinął drugą nogawkę.

- Nie mam tu żadnego noża.

Alvin wiedział swoje, ale był zadowolony, że Fink obawia się tego pojedynku. Dlatego nie chce się rozstawać z ukrytym nożem. Poza tym nikt pewnie o tym nożu nie wiedział - oprócz Alvina, który potrafił zobaczyć to, czego inni nie widzą. Fink nie chciał zdradzić, że ma taki nóż, bo wieść o tym szybko by się rozniosła wzdłuż rzeki i straciłby przewagę.

Mimo wszystko Alvin nie mógł dopuścić, żeby Fink walczył z nim uzbrojony.

- W takim razie zdejmij buty. Będziemy walczyli na bosaka - zaproponował.

To był dobry pomysł, niezależnie od noża. Alvin wiedział, że w bójkach rzeczne szczury kopią ciężkimi butami jak muły. Walka na bosaka może odebrać Finkowi trochę śmiałości.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jeśli nawet tak się stało, Fink nic po sobie nie pokazał. Zwyczajnie usiadł w pyle drogi i ściągnął buty. Alvin zrobił to samo. Zdjął też skarpety - Fink ich nie nosił. I teraz obaj mieli na sobie tylko spodnie. Stanęli w słońcu, już teraz spoceni i zakurzeni.

Jednak nie do tego stopnia, żeby Alvin nie wyczuł heksa chroniącego całe ciało Mike'a Finka. Jak to możliwe? Czyżby miał jakiś amulet z heksem w kieszeni? Sieć była najmocniejsza z tyłu, ale kiedy Alvin przeniknął i zbadał jego kieszenie, trafił tylko na szorstkie płótno spodni. Fink nie miał tam nawet monety.

Tymczasem wokół zebrała się już grupka gapiów. Nie tylko rzeczne szczury, które siedziały w cieniu składu, ale cała banda innych. I najwyraźniej wszyscy liczyli na zwycięstwo Mike'a Finka. Alvin uświadomił sobie, że ten człowiek jest nad rzeką czymś w rodzaju legendy. I nic dziwnego, z tym jego tajemniczym heksem. Al wyobraził sobie, jak ktoś próbuje uderzyć Finka nożem i w ostatniej chwili ostrze zbacza albo atakujący upuszcza broń, albo nagle hamuje cios, żeby nie wyrządzić krzywdy. O wiele łatwiej jest zwyciężać w bójkach, kiedy pięść w człowieka nie uderza mocno, a nóż najwyżej lekko kaleczy.

Oczywiście, na początku Fink próbował wszystkich najprostszych chwytów, ponieważ były najbardziej efektowne: ryk, szarża w stylu wściekłego byka, pochwycenie Ala w niedźwiedzim uścisku, złapanie go i zakręcenie jak kamieniem na sznurku. Jednak Alvin w porę odskakiwał. Nie wykorzystywał żadnych sztuczek. Był młodszy i szybszy od Finka, i rzeczny szczur właściwie nawet go nie dotknął, tak zgrabnie Al się odsuwał. Początkowo cały tłumek gwizdał i wykrzykiwał, że Alvin jest tchórzem. Ale po chwili zaczęli się śmiać, gdyż Fink wyglądał głupio, wrzeszcząc tak i atakując, i za każdym razem łapiąc powietrze.

Tymczasem Al poszukiwał ukrytego heksu. Nie mógł wygrać walki, póki się nie pozbędzie tej mocnej sieci ochronnej. I rzeczywiście znalazł - figurę wykreśloną atramentem głęboko pod skórą na pośladku przeciwnika. Nie był to już doskonały heks, ponieważ skóra zmieniała kształt, gdy Fink rósł przez długie lata, ale był to sprytny wzór, z mocnymi powiązaniami i złączami. Nawet zniekształcony wystarczył, by go osłaniać.

Gdyby akurat nie walczyli, Alvin działałby bardziej subtelnie. Pewnie by tylko osłabił trochę heks. Nie chciał całkiem go usuwać. Fink mógł przez to stracić życie, zwłaszcza jeśli stałby się nieostrożny, licząc na magiczną osłonę. Ale czy Alvin miał wybór? Dlatego sprawił, że farba pod skórą zaczęła spływać, przesączać się do krwi, zanikać. Nie wymagało to pełnego skupienia - po prostu zapoczątkował proces, a potem wszystko działo się samo, gdy tymczasem Al odskakiwał i usuwał się Finkowi z drogi.

Po chwili wyczuł, że heks słabnie, znika, wreszcie rozpływa się bez śladu. Fink jeszcze nie wiedział, że teraz można go zranić jak każdego innego człowieka.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Tymczasem zaprzestał bezsensownych szarż. Teraz krążył, próbował chwytów, dążył do zwarcia, w którym mógłby wykorzystać swoją większą masę i rzucić Alvinem o ziemię. Jednak Al mógł sięgnąć dalej i bez wątpienia miał silniejsze ramiona. Za każdym razem, gdy Fink próbował go pochwycić, zbijał mu ręce na bok.

Kiedy wszakże heks zniknął, zaprzestał uników. Sięgnął między rękami Finka, tak że ten złapał go za ramiona, a sam splótł mu dłonie na karku. Szarpnął mocno i ściągnął głowę Finka do swojej piersi. Nie było to trudne - Fink pozwolił mu na to i Alvin domyślał się, dlaczego. I rzeczywiście: Fink przysunął się bliżej ł gwałtownie wyprostował. Liczył, że głową trafi przeciwnika w szczękę. Był tak silny... mógłby nawet złamać Alowi kark... tyle że brody Ala nie było już tam, gdzie się jej spodziewał. Alvin odchylił głowę do tyłu i kiedy Fink wyprostował się nagle z rozpędem, Al pochylił się szybko i zaatakował własnym czołem. Słyszał, jak pod ciosem zachrzęścił Finkowi nos. Trysnęła krew, zalewając im twarze.

To nic niezwykłego, że w takiej bójce komuś łamie się nos. Naturalnie, boli to jak wszyscy diabli. Z pewnością taki wypadek zakończyłby przyjacielskie zapasy - chociaż w przyjacielskim starciu nikt by nie uderzał głową. Każdy rzeczny szczur otrząsnąłby się tylko, wrzasnął parę razy i znowu ruszył do walki.

Fink jednak cofnął się, wyraźnie zdumiony. Sięgnął rękami do nosa i zawył jak zbity pies.

Wszyscy wokół umilkli. To śmieszne, że taki rzeczny szczur jak Mike Fink wyje z powodu rozbitego nosa. Nie, to właściwie wcale nie śmieszne, ale dziwne. Rzeczny szczur nie powinien się tak zachowywać, - No już, Mike - powiedział ktoś.

- Dasz mu radę, Mike.

Ale te głosy zachęty nie brzmiały zbyt pewnie. Nigdy nie widzieli, żeby Mike Fink okazywał strach czy ból. W dodatku nie potrafił tego ukryć. I tylko Al wiedział, dlaczego. Tylko Al był świadom, że Fink w życiu nie czuł takiego bólu, że nigdy w bójce nie uronił kropli własnej krwi. Tyle już razy łamał nosy przeciwnikom i śmiał się z ich cierpień - łatwo mu było się śmiać, bo nie wiedział, co to za uczucie. Teraz je poznał. Problem w tym, że uczył się teraz tego, co inni poznali w wieku sześciu lat. Dlatego zachowywał się jak sześciolatek. Nie tyle płakał, ile wył.

Przez chwilę Al miał nadzieję, że pojedynek się skończył. Ale strach i ból Finka szybko przemieniły się we wściekłość. Chwiejąc się, znowu ruszył do walki. Może i poznał ból, ale nie nauczył się przez to ostrożności.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Dlatego trzeba było jeszcze kilku chwytów, kilku dźwigni i wykręceń, zanim Alvin wreszcie przycisnął go do ziemi. Nawet przestraszony i zaskoczony, Fink był chyba najsilniejszym człowiekiem, z jakim przyszło mu walczyć. Przed tym pojedynkiem nigdy nie miał okazji się przekonać, jaki naprawdę jest mocny; nigdy nie musiał używać wszystkich swoich sił. Teraz musiał: przetaczał się po ziemi, z trudem łapiąc oddech w gęstym kurzu. Gorący dech Finka czuł to nad sobą, to pod sobą; uderzały kolana, ręce biły i ściskały, stopy drapały ziemię, szukając oparcia.

W końcu na wyniku zaważył brak doświadczenia Finka w słabości. Ponieważ nikt jeszcze niczego mu nie złamał, nie nauczył się podkurczać nóg, nie wyciągać ich tam, gdzie przeciwnik może je przygnieść. Teraz przetoczył się szybko i przez chwilę, leżąc na ziemi, przełożył jedną nogę nad drugą, jakby zapraszając. Alvin nie zastanawiał się nawet. Skoczył do góry i obiema stopami, całym ciężarem wylądował na górnej nodze Finka. Wygięła się, a cios był tak potężny, że strzaskał kości w obu. Fink wrzasnął jak dziecko w ogniu.

Dopiero teraz Alvin zdał sobie sprawę, co właściwie uczynił. O tak, to kończyło starcie. Nie ma takiego człowieka, który potrafiłby walczyć, mając połamane obie nogi. Jednak Alvin od razu wiedział, nawet nie patrząc - a przynajmniej nie patrząc oczami - że nie były to czyste pęknięcia, które łatwo się goją. Poza tym Fink nie był już młodym człowiekiem, nie był chłopcem. Jeśli te nogi w ogóle się zrosną, Fink w najlepszym razie będzie kulał, w najgorszym zostanie kaleką. Straci środki do życia. W dodatku przez lata na pewno narobił sobie wielu wrogów. Co zrobią teraz, kiedy będzie niesprawnym inwalidą? Jak długo pożyje?

Dlatego Alvin uklęknął przy wijącym się Finku - a raczej przy Finku wijącym się tylko górną połową ciała, bo starał się w ogóle nie poruszać nogami. Dotknął łydek. Kiedy miał kontakt z ciałem rannego - nawet przez gruby materiał spodni - łatwiej znajdował drogę, pracował szybciej. Po kilku chwilach poskładał kości. Tyle tylko chciał zrobić, nic więcej - siniaki, naderwane mięśnie, krwotoki, wszystko to musiał zostawić. Inaczej Fink mógłby znów go zaatakować.

Cofnął ręce i odstąpił. Rzeczne szczury natychmiast otoczyły swego powalonego bohatera.

- Ma połamane nogi? - zapytał pyskaty.

- Nie - odpowiedział Alvin.

- Połamane na kawałki! - ryknął Fink.

Ktoś rozciął mu nożem nogawkę. Oczywiście, znalazł sińce, ale kiedy pomacał kość, Fink wrzasnął i odsunął się.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie dotykaj!

- Nie wyglądają na połamane - stwierdził mężczyzna.

- Patrzcie, jak nimi wierzga! Nic nie złamał.

Rzeczywiście. Fink poruszał już nie tylko górną połową tułowia; machał nogami tak samo jak resztą ciała.

Ktoś pomógł mu wstać. Fink zachwiał się, prawie upadł, w końcu oparł się na pyskatym, krwią z nosa plamiąc mu koszulę. Inni się odsunęli.

- Jak smarkacz - mruknął jeden.

- Wyje jak szczeniak. - Wielki dzieciak.

- Sławny Mike Fink.

I chichot.

Alvin podszedł do wozu, wciągnął koszulę, usiadł na koźle, żeby włożyć skarpety i buty. Podniósł głowę. Dama obserwowała go. Stała najwyżej sześć stóp od niego, ponieważ zatrzymał wóz tuż przy rampie ładunkowej. Na twarzy miała wyraz głębokiego niesmaku. Alvin pomyślał, że pewnie czuje obrzydzenie do takiego brudasa. Może nie powinien wkładać koszuli, ale to przecież niegrzecznie chodzić półnago przy kobiecie. Więcej nawet, ludzie z miasta, zwłaszcza doktorzy i prawnicy, wstydzili się pokazywać publicznie bez marynarki, kamizelki i krawata. Biedniejsi zwykle nie mieli takich ubrań, a terminator zadzierałby nosa, gdyby chodził tak wystrojony. Ale koszula... musiał mieć na sobie koszulę, nieważne, czy była brudna i zakurzona, czy nie.

- Przepraszam panią - powiedział. - Umyję się, jak wrócę do domu.

- Umyjesz? - powtórzyła. - Czy wtedy spłynie też z wodą twoja brutalność?

- Myślę, że nie wiem, psze pani, bo pierwszy raz w życiu słyszę to słowo.

- Tak właśnie myślałam. Brutalność pochodzi od francuskiego brute, co oznacza człowieka nieokrzesanego, grubianina pozbawionego uczuć. Bestię.

Alvin poczuł, że czerwieni się ze złości.

- Może i tak. Może powinienem im pozwolić przemawiać do was tak, jak mieli ochotę.

- Nie zwracałam na nich uwagi. Nie przeszkadzali mi. Nie musiałeś mnie bronić, a już na pewno nie w taki sposób. Żeby tak się obnażać i tarzać po ziemi. Cały jesteś zalany krwią.

Alvin nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Ta kobieta była zarozumiała i niemądra.

- Nie byłem nagi - oświadczył i uśmiechnął się. - I to jego krew.

- Jesteś z tego dumny?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Owszem, był. Ale wiedział, że straci w jej oczach, jeśli się przyzna. No i co z tego? Co go obchodzi, co ona sobie pomyśli. Mimo to milczał.

W tej ciszy usłyszał rzeczne szczury:

- Miejski chłopak myśli, że z niego twardziel.

- Może mu pokazać, jak wygląda prawdziwa walka.

- A potem sprawdzimy, jaka naprawdę jest ta jego przyjaciółka.

Alvin nie umiał przepowiadać przyszłości, ale nie trzeba było żagwi, żeby zgadnąć, co się wydarzy. Buty miał już na nogach, koń był zaprzężony, czas się stąd wynosić. Wiedział, że teraz celem ataku stanie się kobieta. Co prawda sądziła, że nie potrzebuje ochrony. Ale ci ludzie przed chwilą widzieli, jak z jej powodu najlepszy z nich został pobity i ośmieszony. To oznaczało, że niedługo będzie leżała w kurzu, a cały jej bagaż popłynie z prądem. Jeśli nie gorzej.

- Lepiej wsiadajcie - rzucił w jej stronę.

- Nie rozumiem, jak śmiesz wydawać mi polecenia niczym zwykłej... Co ty wyprawiasz?

Alvin wrzucił na wóz jej kuferek i torby. Wydawało mu się to tak oczywiste, że nawet nie próbował odpowiadać.

- Mam wrażenie, że mnie okradasz!

- Owszem, jeżeli nie wsiądziecie.

Rzeczne szczury otoczyły już wóz. Któryś złapał konia za uprząż. Kobieta rozejrzała się i gniewny wyraz jej twarzy zmienił się nieco. Zeszła z rampy wprost na kozioł. Alvin podał jej rękę i pomógł się usadowić. Pyskaty szczur stał obok, opierał się o wóz i uśmiechał groźnie.

- Wygrałeś z jednym, kowalu. Myślisz, że dasz radę wszystkim?

Alvin przyglądał mu się bez słowa. Skoncentrował myśli na człowieku trzymającym uprząż. Sprawił, że nagle zabolała go ręka, zamrowiła jak ukłuta setką igieł. Mężczyzna krzyknął i puścił konia. Pyskaty odwrócił się w jego stronę, a wtedy Alvin kopnął go za uchem. Nie było to szczególne kopnięcie, ale i ucho nie było szczególne. Mężczyzna siadł na ziemi i złapał się za głowę.

- Wio! - krzyknął Alvin.

Koń szarpnął posłusznie i wóz przesunął się o cal. Potem o drugi. Trudno jest poruszyć nagle wozem pełnym żelazu. Alvin sprawił, że koła kręciły się gładko i łatwo, ale nie mógł zmienić ciężaru ładunku ani siły konia. A zanim ruszyli z miejsca, wóz stał się

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

jeszcze cięższy - o wszystkie rzeczne szczury, wiszące z boków, ciągnące i wspinające się na górę.

Alvin odwrócił się i machnął batem. Tylko na pokaz - nikogo nie trafił. Mimo to wszyscy odpadli, jakby istotnie ich uderzył. Tak naprawdę to całkiem nagle wóz stał się śliski, jakby go kto oblał oliwą. W żaden sposób nie mogli się utrzymać. W efekcie wóz ruszył naprzód, a oni zostali, siedząc na drodze.

Ale to ich nie zniechęciło. Żeby dostać się do Hatrack River, Alvin musiał przecież zawrócić i jeszcze raz przejechać obok nich. Zastanawiał się właśnie, co robić, kiedy nagle usłyszał wystrzał z muszkietu, głośny jak huk działa. Dźwięk zawisł w parnym letnim powietrzu. Kiedy Alvin zawrócił, zobaczył stojącego na rampie portomistrza i jego żonę. Portomistrz trzymał muszkiet, a kobieta ładowała drugi, z którego przed chwilą wystrzelił.

- Na ogół nie sprawiamy sobie kłopotów, chłopcy - oświadczył portomistrz. - Ale dzisiaj wyraźnie nie umiecie zrozumieć, że pobili was uczciwie i sprawiedliwie. Dlatego myślę sobie, że powinniście usiąść w cieniu, bo jak się który ruszy w stronę wozu, to ci, co ich śrut nie zabije, staną przed sądem w Hatrack River. A jeżeli wam się wydaje, że nie zapłacicie drogo za napad na miejscowego chłopaka i nową nauczycielkę, to rzeczywiście jesteście tacy durni, na jakich wyglądacie.

Było to całkiem ładne przemówienie i podziałało lepiej niż większość mów, jakie Alvin w życiu słyszał. Rzeczne szczury spokojnie wróciły na miejsca w cieniu. Zaczęli popijać z dzbana i ponurym wzrokiem mierzyli Ala i damę. Portomistrz wrócił do budynku, zanim jeszcze wóz skręcił na drogę.

- Czy nic nie grozi temu dzielnemu człowiekowi za to, że nam pomógł? - spytała dama.

Alvin z satysfakcją spostrzegł, że straciła nieco arogancji. Chociaż nadal mówiła wyraźnie i dźwięcznie niczym młotek uderzający w kowadło.

- Nie - uspokoił ją. - Wszyscy wiedzą, że gdyby portomistrzowi włos spadł z głowy, winni nigdy już nie znaleźliby pracy na rzece. A gdyby nawet, nie przeżyliby pierwszej nocy na brzegu.

- A co z tobą?

- Ja nie mam takich gwarancji. Dlatego pewno przez parę tygodni nie pokażę się w Ujściu Hatrack. Do tego czasu wszyscy ci chłopcy znajdą jakąś robotę i będą setki mil stąd w górę albo w dół rzeki. - Przypomniał sobie, co mówił portomistrz. - Jesteście nową nauczycielką?

Nie odpowiedziała. W każdym razie nie wprost.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Przypuszczam, że na wschodzie też bywają tacy ludzie... Ale nie spotyka się ich w biały dzień, jak tutaj.

- Moim zdaniem lepiej ich spotkać w biały dzień niż ciemną nocą - zauważył ze śmiechem Al.

Nie roześmiała się.

- Miał po mnie wyjechać doktor Whithey Physicker. Spodziewał się, że mój statek przypłynie później, po południu. Ale na pewno już jedzie.

- To jedyna droga, psze pani.

- Panno - poprawiła go. - Nie pani. Ten tytuł słusznie przysługuje kobietom zamężnym.

- Jak już mówiłem, to jedyna droga. Jeśli wyjechał, nie minie ten pan nas. Wie panna.

Tym razem Alvin nie zaśmiał się z własnego żartu. Ale kiedy zerknął kątem oka, miał wrażenie, że pochwycił cień jej uśmiechu. Więc może nie jest taka wyniosła, na jaką wygląda, pomyślał. Może jest prawie ludzka. Może nawet zgodzi się udzielać lekcji pewnemu małemu, półczarnemu chłopcu. Może warta będzie mojego trudu przy szykowaniu źródlanej szopy.

Ponieważ kierując wozem, powinien patrzeć przed siebie, nie byłoby naturalne, ani tym bardziej grzeczne, gdyby odwrócił się teraz i gapił na nią, na co miał ochotę. Dlatego wysłał swój przenikacz, swoją iskrę, tę część siebie, która "widziała" to, czego żaden mężczyzna czy kobieta nie mogli zwyczajnie zobaczyć własnymi oczami. A to dlatego, że badanie, co ludzie chowają pod skórą - jeśli można tak to określić - stało się jego drugą naturą. Trzeba przy tym pamiętać, że chociaż mógł zajrzeć pod ubranie, jednak nie widział ludzi nagich. Za to poznawał dokładnie ich skórę, całkiem jakby zamieszkał w jej porach. Dlatego nie uważał tego za żadne podglądanie. To tylko inny sposób poznawania i rozumienia ludzi: nie zwracał uwagi na ich kształty czy płeć, ale wiedział, czy się pocą, czy im gorąco, czy są zdrowi albo zdenerwowani. Widział rany i blizny. Mógł znaleźć ukryte pieniądze czy listy, ale gdyby chciał je przeczytać, musiałby prześledzić plamy atramentu, aż zdołałby odtworzyć w myślach obraz kartki. Trwało to bardzo długo. Nie, to zupełnie coś innego niż zwyczajne widzenie.

W każdym razie wysłał przenikacz, żeby przyjrzeć się tej wyniosłej damie, na którą nie wypadało mu patrzeć. A to, co znalazł, zaskoczyło go... ponieważ kobieta była chroniona heksami nie gorzej od Mike'a Finka.

A nawet lepiej. Osłaniały ją całe warstwy, poczynając od amuletów na szyi, poprzez heksy wszyte w ubranie, a nawet druciany heks ukryty w koku na głowie. Tylko jeden z nich

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

był ochronny i nie tak silny jak u Finka. Reszta służyła... czemu? Alvin jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział i dopiero po dłuższym namyśie i badaniu odkrył, jaki był cel tych okrywających ją heksowych sieci. Jadąc obok niej, ze wzrokiem wbitym w drogę przed sobą, odgadł tyle, że heksy rzucał jakiś potężny urok. Sprawiały, że wyglądała inaczej niż w rzeczywistości.

Jego pierwszą - chyba naturalną - myślą było, aby odkryć, jaka jest naprawdę pod tym przebraniem. Jej odzież była rzeczywista. Heksy zmieniały tylko brzmienie głosu, odcień i powierzchnię skóry. Jednak Alvin niewielkie miał doświadczenie z urokami, a żadnego z urokami biorącymi swą moc z heksów. Większość ludzi czyniła uroki słowem i gestem, połączonymi z wizerunkiem tego. kim chcieli się wydawać. Wpływały na umysły patrzących i kiedy ktoś zrozumiał, co się dzieje, już im nie ulegał. A że Alvin zawsze potrafił przejrzeć takie uroki, wcale na niego nie działały.

Ale jej urok był inny. Heks odmieniał sposób, w jaki padało na skórę i odbijało się światło, więc człowiek nie myślał tylko, że widzi coś, czego naprawdę nie ma. Rzeczywiście widział ją inaczej, bo światło inaczej wpadało mu do oczu. Zmiana nie dokonywała się w umyśle Alvina, więc wiedza o niej nie pomagała wykryć prawdy. A używając swojego przenikacza, niewiele mógł powiedzieć o tym, co kryło się za heksami. Tyle tylko że nie była taka pomarszczona i koścista, jak się wydawała. Zaczął podejrzewać, że może być młodsza.

Dopiero kiedy przestał zgadywać, co kryje się pod urokiem, zadał sobie o wiele ważniejsze pytanie: jeśli kobieta ma moc, by wydać się taka, jaka tylko zapragnie, dlaczego wybrała sobie ten właśnie wygląd? Zimna, surowa, podstarzała, bez uśmiechu, napuszona, gniewna, obojętna. Wybrała dla siebie wszystkie te cechy, których inna kobieta pragnęłaby się pozbyć.

Może to uciekinierka w przebraniu... Ale pod tymi wszystkimi heksami była bez wątpienia kobietą, a Alvin nie słyszał jeszcze o kobiecie-przestępcy. A więc to nie to. A może po prostu była młoda i uważała, że jeśli nie wyda się starsza, nie będą jej traktować poważnie. Albo była ładna i mężczyźni myśleli o niej w niewłaściwy sposób... Alvin spróbował sobie wyobrazić, jak skończyłoby się spotkanie z rzecznymi szczurami, gdyby nauczycielka była prawdziwą pięknością. Chociaż nie... Wobec ładnej dziewczyny ci ludzie pewnie zachowywaliby się grzecznie, gdyby tylko wiedzieli, jak. Tylko brzydkie kobiety zaczepiali, gdyż brzydkie kobiety przypominały im matki. Czyli ten brak urody nie gwarantował ochrony. Celem zasłony nie było też ukrycie blizny czy czegoś w tym rodzaju, ponieważ Alvin widział, że na skórze nie ma krost, skaz ani oszpeceń.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, dlaczego ukryła się pod tyloma warstwami kłamstwa. Mogła być wszystkim i każdym. Nie mógł jej nawet zapytać, ponieważ musiałby wyznać, że przejrzał jej uroki. A więc zdradziłby prawdę o swoim darze. Skąd miał wiedzieć, czy można jej powierzyć taką tajemnicę? Przecież nie wiedział nawet, jaka jest naprawdę i dlaczego postanowiła żyć w oszustwie.

Zastanawiał się, czy powinien kogoś o tym zawiadomić. Czy rada szkolna, zanim powierzy dzieci jej opiece, nie powinna wiedzieć, że nauczycielka jest kimś innym, niż się wydaje? Ale im także nie mógł tego wyznać, nie zdradzając się jednocześnie. A poza tym może ten sekret był tylko jej sprawą i nikomu nie szkodził. A wtedy, gdyby na nią doniósł, zniszczyłby ją i siebie, a nikomu nic by z tego nie przyszło.

Nie. Lepiej ją obserwować czujnie i uważnie. Przekonać się kim jest w jedyny sposób, w jaki człowiek może poznać innego człowieka: patrząc, jak postępuje. Tak, to będzie najlepsze. Zresztą teraz, kiedy już wiedział, że nauczycielka coś ukrywa, czy mógłby się powstrzymać, żeby się jej nie przyglądać? Tak się przyzwyczaił do wysyłania przenikacza, że musiałby się starać, by jej nie kontrolować. Zwłaszcza jeśli zamieszka w źródlanej szopie. Po części miał nadzieję, że nie, bo wtedy nie dręczyłaby go tak bardzo jej tajemnica. Ale po części miał też nadzieję, że zamieszka. Wtedy będzie mógł na nią uważać i pilnować, czy jest odpowiednią osobą.

A mógłbym przyglądać się jej nawet dokładniej, gdyby mnie uczyła. Mógłbym na nią patrzeć jej własnymi oczami, zadawać pytania, słuchać odpowiedzi, osądzać, jaki z niej człowiek. Może gdyby mnie uczyła dość długo, zdobyłbym jej zaufanie, a ona moje. Wtedy bym jej powiedział, że jestem Stwórcą, a ona wyznałaby mi swoje sekrety. Pomagalibyśmy sobie, może nawet zostalibyśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Nie miałem prawdziwego przyjaciela, odkąd zostawiłem w Vigor Kościele swojego brata Measure'a.

Nie popędzał konia. Wóz był ciężki, a przecież wiózł jeszcze jej kufer i torby, i ją samą na dodatek. Toteż mimo rozmowy i potem długiego milczenia, gdy Alvin próbował odgadnąć, kim naprawdę jest nauczycielka, odjechali nie dalej niż pół mili od Ujścia Hatrack, kiedy naprzeciw pojawiła się elegancka bryczka doktora Physickera. Alvin poznał ją z daleka i krzyknął do Po Doggly'ego, który powoził. Po paru minutach nauczycielka i bagaże znalazły się w bryczce. Po i Alvin przenieśli wszystko, a doktor Physicker z poświęceniem pomógł damie wsiąść do powozu. Alvin jeszcze nie widział, żeby doktor był taki elegancki.

- Bardzo mi przykro, że musiała pani znosić niewygody podróży tym wozem - mówił. - Nie sądziłem, że się spóźnimy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Przybył pan nawet wcześniej, niż było umówione - odparła. Po czym, odwracając się z gracją do Alvina, dodała: - A jazda wozem okazała się zaskakująco przyjemna.

Ponieważ Alvin przez większą część drogi nie odzywał się ani słowem, nie wiedział, czy miał to być komplement dla niego, że dotrzymał jej towarzystwa, czy podziękowanie, że nie otwierał ust i nie zakłócał jej spokoju. Tak czy owak, na jej słowa oblał się rumieńcem... i to nie gniewu.

- Jak ma na imię ten młody człowiek? - zapytała nauczycielka, kiedy doktor Physicker wsiadał już do powozu.

Alvin nie odpowiedział, ponieważ zwracała się do doktora.

- Alvin - poinformował ją Physicker. - Urodził się tutaj. Terminuje u kowala.

- Alvinie - powiedziała, tym razem wprost do niego, wychylona przez okno powozu. - Dziękuję ci za twoją rycerską postawę. Mam nadzieję, że wybaczysz mi niewdzięczność mojej pierwszej reakcji, jednakże nie doceniłam nikczemnego charakteru naszych niepożądanych towarzyszy.

Jej słowa były tak eleganckie, że brzmiały niemal jak muzyka, choć Alvin tylko częściowo się domyślał, co do niego mówi. Spoglądała jednak chyba tak uprzejmie, jak to możliwe przy takiej surowej twarzy. Ciekaw był jej prawdziwego, ukrytego oblicza.

- To przyjemność, psze pani - odparł. - To znaczy: panno.

Po Doggly na koźle popędził parę klaczy i bryczka ruszyła, oczywiście na razie w stronę Ujścia Hatrack. Na wąskiej drodze niełatwo było zawrócić, więc Alvin ujechał spory kawałek, zanim go wyprzedzili. Po Doggly przyhamował trochę, doktor Physicker wychylił się przez okno i rzucił w powietrze dolarową monetę. Alvin pochwycił ją bardziej odruchowo niż świadomie.

- Za to, że pomogłeś pannie Larner - zawołał doktor.

Po machnął batem i odjechali, a Alvin został w tyle i mógł najwyżej przeżuwać kurz drogi.

Czuł w dłoni ciężar monety. Przez moment miał ochotę rzucić nią za powozem. Ale nikomu nic by z tego nie przyszło. Nie, lepiej odda Physickerowi dolara przy innej okazji, w taki sposób, żeby nikt się nie obraził. Ale to bolało, bardzo bolało, że zapłacili mu za pomoc damie, jakby był służącym, dzieckiem albo czymś takim. A najbardziej bolała myśl, że to może ona chciała mu zapłacić. Jakby myślała, że broniąc jej honoru, zasłużył na połowę dziennego zarobku. To jasne: gdyby zamiast brudnej koszuli nosił marynarkę i krawat, uznałaby, że oddał przysługę należną damie od każdego chrześcijańskiego dżentelmena i że winna mu jest wdzięczność, nie zapłatę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Zapłata. Pieniądz parzył mu dłoń. A przez chwilę już mu się zdawało, że ona go lubi. Już prawie miał nadzieję, że zgodzi się go uczyć, pomoże mu zrozumieć, jak działa świat, jak może się stać prawdziwym Stwórcą, jak powstrzymać straszliwą potęgę Niszczyciela. Ale skoro tak wyraźnie nim pogardza, jak może choćby poprosić? Jak może udawać, że wart jest nauki, kiedy ona dostrzega w nim tylko brud, krew i to głupie ubóstwo? Wiedziała, że chciał dobrze, ale nadal był w jej oczach bestią, jak to powiedziała na początku. W głębi serca nadal tak uważała. Brutalność.

Panna Larner. Tak zwracał się do niej doktor. Smakował to imię, kiedy je wymawiał. Jakby miał piasek w ustach. Nie wpuszcza się zwierząt do szkoły.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 15 - NAUCZYCIELKA

Panna Larner nie zamierzała ustąpić nawet na krok. Dość się nasłuchała przerażających opowieści o radach szkolnych w miasteczkach na pograniczu. Wiedziała, że będą próbowali wykpić się z większości złożonych obietnic. Już zaczynali.

- W listach, jako element wynagrodzenia, zagwarantowali mi panowie mieszkanie. A za takowe nie uważam pokoju w zajeździe.

- Będzie pani miała własny pokój - przypomniał doktor Physicker.

- I będę jadła posiłki przy wspólnym stole? To nie do przyjęcia. Jeśli zostanę, całe dnie będę spędzała w towarzystwie dzieci z tego miasta. A po zakończeniu pracy zamierzam sama przygotowywać sobie posiłki, zjadać je w samotności i spędzać wieczory w towarzystwie książek. Nikt nie powinien mi w tym przeszkadzać ani zakłócać mojego spokoju. W zajeździe, panowie, nie jest to możliwe, a zatem pokoju w zajeździe żadną miarą nie można uznać za mieszkanie.

Widziała, że mierzą ją wzrokiem. Niektórzy byli zaskoczeni już samą precyzją jej wypowiedzi. Zdawała sobie sprawę, że w małych miasteczkach prowincjonalni prawnicy zadzierają nosa, ale nie są żadną konkurencją dla kogoś, kto zdobył prawdziwe wykształcenie. Tylko szeryf Pauley Wiseman mógłby naprawdę sprawić jej kłopot... absurdalne, żeby dorosły mężczyzna nadal używał dziecięcego zdrobnienia.

- Proszę posłuchać, młoda damo... - zaczął szeryf.

Uniosła brew. To typowe dla takiego człowieka. Chociaż panna Larner wydawała się kobietą po czterdziestce, zakładał, że jej niezamężny stan daje mu prawo nazywania jej "młodą damą", niczym jakiegoś upartego dziecka.

- Czyżbym czegoś nie dosłyszała?

- Otóż Horacy i Peg Guester rzeczywiście mieli zamiar oddać pani niewielki domek na uboczu, ale powiedzieliśmy im "nie". Jasno i wyraźnie. Powiedzieliśmy "nie" i pani też mówimy "nie".

- Doskonale więc. Jak widzę, nie zamierzacie, panowie, dotrzymać danego mi słowa. Na szczęście nie jestem zwykłą nauczycielką, która z wdzięcznością przyjmuje wszystko, co jej zaproponują. Zajmowałam odpowiednie stanowisko w Penn School i zapewniam panów, że mogę tam powrócić, kiedy tylko zechcę. Żegnam.

Wstała, a wraz z nią wszyscy mężczyźni - z wyjątkiem szeryfa. Ale nie z uprzejmości tak poderwali się na nogi.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Ależ proszę...

- Niechże pani usiądzie.

- Porozmawiajmy o tym.

- Po co ten pośpiech?

Głos zabrał doktor Physicker, doskonały negocjator. Zanim przemówił, rzucił groźne spojrzenie szeryfowi. Ten jednak nie wydawał się szczególnie przestraszony.

- Panno Larner, nasza decyzja w sprawie tego domku nie jest decyzją nieodwołalną. Ale proszę wziąć pod uwagę pewne problemy, które nas zaniepokoiły. Przede wszystkim obawialiśmy się, że dom nie będzie dla pani odpowiedni. To właściwie nie dom, ale przerobiona źródlana szopa, jeden pokój...

Stara źródlana szopa...

- Czy jest ogrzewana?

- Tak.

- Czy ma okna? Czy można zabezpieczyć drzwi? Jest łóżko, stół i krzesło?

- Tak, na wszystkie te pytania.

- Czy ma podłogę?

- Owszem, całkiem nową.

- W takim razie nie sądzę, by przeszkadzała mi jej poprzednia funkcja źródlanej szopy. Czy mają panowie jakieś inne zastrzeżenia?

- Mamy, jak diabli! - wykrzyknął szeryf Wiseman. Po czym, widząc wokół przerażone spojrzenia, dodał prędko: - Z przeproszeniem pani za mój szorstki język.

- Chętnie wysłucham tych obiekcji - oświadczyła panna Larner.

- Kobieta, sama jedna w samotnym domku w lesie... to nijak nie przystoi!

- To słowo "nijak" nie przystoi panu, panie Wiseman - odparła panna Larner. - A co do zamieszkiwania samotnie, zapewniam, że mieszkałam sama przez wiele lat i udało mi się przeżyć cały ten czas, nie będąc napastowaną. Czy w zasięgu głosu są inne zabudowania?

- Po jednej stronie zajazd, a po drugiej kuźnia i dom kowala - odparł doktor Physicker.

- Zatem, w przypadku zagrożenia czy prowokacji, będę słyszana. Zakładam, że ci, którzy usłyszą moje wołanie, przybędą z pomocą. A może boi się pan, panie Wiseman, że mogę zrobić coś niewłaściwego z własnej woli?

Oczywiście, właśnie to miał na myśli, czego dowodziła jego pokrywająca się czerwienią twarz.

- Jak sądzę, uzyskaliście panowie wystarczające referencje mojej moralności - stwierdziła nauczycielka. - Jeśli jednak żywicie jakiekolwiek wątpliwości w tym względzie,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

lepiej będzie, gdy od razu powrócę do Filadelfii. Jeśli bowiem nie ufacie osobie w moim wieku, panowie, że potrafi bez nadzoru dochować zasad moralnych, jak możecie mi powierzyć wychowanie waszych dzieci?

- To nijak nieprzyzwoite! - zawołał szeryf. - To znaczy: wcale.

- To nie jest przyzwoite - poprawiła go z grzecznym uśmiechem. - Doświadczenie podpowiada mi, panie Wiseman, że jeśli ktoś zakłada, iż inni przy pierwszej sposobności spróbują popełnić czyny nieprzyzwoite, w gruncie rzeczy przyznaje, że on sam zmaga się z takimi pragnieniami.

Pauley Wiseman nie zrozumiał, co mu nauczycielka zarzuca, dopóki kilku adwokatów nie zaczęło śmiać się cicho, zasłaniając usta dłońmi.

- Moim zdaniem, panowie z rady szkolnej, macie tylko dwie możliwości. Pierwsza: możecie zapłacić za mój rejs statkiem z powrotem do Dekane i za podróż lądową do Filadelfii, plus miesięczne wynagrodzenie tytułem zwrotu kosztów poniesionych w czasie drogi.

- Nie ma uczenia, nie ma zapłaty - orzekł szeryf.

- Wnioskuje pan pochopnie, panie Wiseman - odparła panna Larner. - Jak sądzę, obecni tu prawnicy wyjaśnią panu, że listy rady szkolnej stanowią w istocie kontrakt, który panowie zrywają. Tym samym jestem uprawniona do żądania nie tylko miesięcznego, ale rocznego wynagrodzenia.

- To nie jest całkiem pewne, panno Larner... - zaczął jeden z adwokatów.

- Hio jest obecnie jednym ze Stanów Zjednoczonych, drogi panie. Istnieją dostatecznie liczne precedensy z innych sądów stanowych, precedensy wiążące, dopóki rząd Hio nie wyda specjalnej ustawy stwierdzającej co innego.

- Jest nauczycielką czy prawnikiem? - zapytał inny adwokat i wszyscy się roześmiali.

- Wasza druga możliwość to zgodzić się, abym obejrzała ten... tę źródlaną szopę... i oceniła, czy jest odpowiednia. A jeśli tak, pozwolić mi tam zamieszkać. Gdybyście panowie kiedykolwiek udowodnili mi czyny moralnie naganne, warunki naszego kontraktu dają wam prawo do natychmiastowej rezygnacji z moich usług.

- Możemy was wsadzić do więzienia. Oto, do czego mamy prawo - oświadczył Wiseman.

- Ależ, panie Wiseman, czy nie spieszy się pan zanadto, mówiąc o więzieniu, gdy nie zdecydowałam jeszcze, jakiż to moralnie obrzydliwy czyn popełnię?

- Zamknij się, Pauley - rzucił któryś z prawników.

- Którą możliwość wybieracie, panowie? - spytała.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Doktor Physicker postanowił nie dopuścić, by Pauley Wiseman zakrzyczał mniej zdecydowanych członków rady szkolnej. Nie będzie żadnej dalszej dyskusji.

- Nie musimy omawiać tego na osobności. Mam rację, panowie? Może i nie jesteśmy kwakrami. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do myśli o damach, które chcą mieszkać samotnie, zajmować się interesami, głosić słowo boże i co tam jeszcze. Ale mamy otwarte umysły i chętnie poznamy te nowe porządki. Zależy nam na pani usługach i dotrzymamy umowy. Wszyscy za?

- Tak.

- Kto przeciw?

Wniosek przeszedł.

- Nie - odezwał się Wiseman.

- Głosowanie skończone, Pauley!

- Za szybko skończyłeś, do diabła!

- Twój głos sprzeciwu został zanotowany, Pauley.

Panna Larner uśmiechnęła się lodowato.

- Może pan być pewien, że ja o nim nie zapomnę, szeryfie.

Doktor Physicker zastukał młotkiem w stół.

- Zamykam zebranie do przyszłego wtorku, trzecia po południu. A teraz, panno Larner, jeśli tylko pora pani odpowiada, z radością odprowadzę panią do źródlanej szopy Guesterów. Nie wiedząc, kiedy pani przybędzie, oddali mi klucz i prosili, żebym otworzył pani drzwi. Powitają panią później.

Podobnie jak wszyscy obecni, panna Larner zdawała sobie sprawę, że to dziwne: właściciel domu nie wychodzi osobiście na spotkanie lokatora.

- Widzi pani, panno Larner, nie byliśmy pewni, czy zaakceptuje pani ten domek. Chcieli, żeby najpierw go pani obejrzała... i to nie w ich obecności, by nie czuła się pani zakłopotana w przypadku odmowy.

- Zachowali się zatem szlachetnie - stwierdziła panna Larner. - I podziękuję im, kiedy ich poznam.

To było poniżające: ona, stara Peg musi sama iść do źródlanej szopy i prosić tę zarozumiałą, bezczelną starą pannę z Filadelfii. To Horacy powinien pójść. Porozmawiać z nią jak mężczyzna z mężczyzną - bo ta baba właśnie za mężczyznę się uważa, nie za damę, ale za lorda. Jakby przyjechała z samego Camelotu, ot co, niby księżniczka wydająca rozkazy prostym ludziom. We Francji już się tym zajęli, Napoleon się zajął, pokazał Ludwikowi

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

XVII, gdzie jego miejsce. Ale takie wyniosłe kobiety jak ta nauczycielka, panna Larner, nigdy nie dostaną tego, co im się należy. I wciąż myślą, że nie muszą się liczyć z ludźmi, którzy nie umieją ładnie mówić.

A co teraz robi Horacy, zamiast ustawić tę zarozumiałą nauczycielkę? Siedzi przy kominku. Dąsa się. Jak czterolatek. Nawet Arthur Stuart nigdy się tak nie dąsa.

- Ona mi się nie podoba - powiada Horacy.

- Podoba się czy nie, jeśli Arthur ma się od kogoś uczyć, to albo od niej, albo wcale - mówi mu Peg, jak zawsze rozsądnie, ale czy Horacy kiedy posłucha? Uśmiać się można.

- Może sobie tam mieszkać i może uczyć Arthura, jak jej się zachce, albo nie, jak jej się nie zachce. Ale ona mi się nie podoba i nie uważam, żeby jej miejsce było w źródlanej szopie.

- A co to, jakaś ziemia święta? Czy miejsce przeklęte? A może powinniśmy zbudować pałac dla jej królewskiej wysokości?

Nie, jak Horacy coś sobie wbije w głowę, to w ogóle nie warto z nim rozmawiać. Więc po co ona właściwie próbuje?

- Nie o to chodzi, Peg - odpowiada Horacy.

- To o co? A może powody już ci niepotrzebne? Czy tylko postanawiasz, a inni niech lepiej ustępują?

- Bo to miejsce małej Peggy, dlatego! I nie podoba mi się, że ta nadęta nauczycielka tam mieszka!

I co na to powiedzieć? Cały Horacy: musiał teraz przypomnieć córkę, która, odkąd uciekła, nawet słowa do nich nie napisała. Hatrack River pozbawiła żagwi, a Horacego miłości jego życia. Tak, tym właśnie była dla niego Peggy: miłością życia. Gdybym to ja uciekła, Horacy, albo gdybym, co nie daj Boże, umarła, czy też byś tak cenił pamięć o mnie? Czy nie wziąłbyś na moje miejsce jakiejś innej kobiety? Chyba tak. Chyba jeszcze ziemia na moim grobie by nie wystygła, a już u twego boku leżałaby jakaś inna. Mnie mógłbyś zastąpić w jednej chwili, ale Peggy nie... Przez Peggy mamy traktować tę szopę jak świątynię. A ja muszę tam iść całkiem sama na spotkanie z tą nadętą starą panną i prosić ją, żeby uczyła czarnego chłopca. Będę miała szczęście, jeśli nie spróbuje go ode mnie kupić.

Panna Larner nie spieszyła się z otwieraniem drzwi. A kiedy już stanęła w progu, trzymała przy ustach chusteczkę. Pewnie perfumowaną, żeby nie musiała wąchać zapachów uczciwych ludzi.

- Jeśli wam to nie przeszkadza, mam sprawę czy dwie do omówienia - oznajmiła Peg.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Panna Larner odwróciła wzrok i spojrzała ponad głową Peg, jakby obserwowała jakiegoś ptaka na dalekim drzewie.

- Jeżeli chodzi o szkołę, obiecano mi tydzień na przygotowania, zanim zaczniemy przyjmować uczniów i rozpoczniemy jesienne zajęcia.

Z daleka Peg słyszała ściszone ding-ding-ding. To któryś z kowali pracował przy kowadle. Mimowolnie pomyślała o małej Peggy, która nienawidziła tego dźwięku. Może Horacy miał rację, opowiadając te głupstwa. Może mała Peggy rzeczywiście straszy w tej szopie.

Ale to przecież panna Larner stała teraz w drzwiach i z panną Larner Peg musiała porozmawiać.

- Panno Larner, jestem Margaret Guester. Mój mąż i ja jesteśmy właścicielami tej źródlanej szopy.

- Och, proszę o wybaczenie. Jest pani moją gospodynią, a ja zachowuję się niewdzięcznie. Proszę wejść.

To już lepiej. Peg przestąpiła próg i zatrzymała się, by obejrzeć pokój. Jeszcze wczoraj wydawał się pusty, ale czysty, pełen obietnic. Teraz wyglądał bardziej domowo. Serweta, kilkanaście książek w szafce, mały dywanik na podłodze, dwie sukienki na haczykach wbitych w ścianę. Kufry i torby stały w kącie. Peg nie wiedziała właściwie, czego się spodziewała. Oczywiście, panna Larner musi mieć więcej ubrań niż tę ciemną, podróżną sukienkę. Po prostu Peg nie wyobrażała sobie panny Larner przy czynności tak zwyczajnej, jak zmiana sukienki, A przecież, kiedy już zdejmie jedną, a zanim założy drugą, stoi pewnie w samej bieliźnie. Jak każdy.

- Niech pani siada, pani Guester.

- Tu, u nas, nie mówimy "pan" i "pani", panno Larner. Oprócz tych adwokatów. Ludzie mówią do mnie "stara Peg".

- Stara Peg... Cóż za... za interesujące imię.

Już chciała wytłumaczyć, skąd się wzięła ta "stara" - jak to miała córkę, która uciekła... takie rzeczy. Ale i tak trudno jej będzie wyjaśnić, skąd wzięła czarnego syna. Po co ta obca ma myśleć o ich rodzinie jeszcze gorzej?

- Panno Larner, nie będę owijać w bawełnę. Macie coś, na czym mi zależy.

- Tak?

- A właściwie nie mnie, prawdę mówiąc, ale mojemu synowi, Arthurowi Stuartowi.

Jeżeli nawet zauważyła, że to imię króla, nie dała tego po sobie poznać.

- A na czym mogłoby mu zależeć, pani Guester?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Na książkowej nauce.

- Przybyłam tu właśnie po to, żeby zagwarantować naukę wszystkim dzieciom w Hatrack River.

- Ale nie Arthurowi Stuartowi. Jeżeli tylko ci tępi tchórze z rady szkolnej postawią na swoim.

- Dlaczego mieliby wykluczyć waszego syna? Czyżby był już za duży?

- Wiek ma odpowiedni, panno Larner. Nieodpowiedni ma tylko kolor skóry.

Panna Larner czekała. Jej twarz nie wyrażała niczego.

- Jest czarny, panno Larner.

- Półczarny, zapewne - podpowiedziała nauczycielka.

Oczywiście, nauczycielka próbowała zgadnąć, skąd u żony oberżysty wziął się półczarny synek. Stara Peg z pewną przyjemnością obserwowała, jak nauczycielka udaje grzeczną, a pewnie w środku aż się zwija ze zgrozy. Ale nie należy pozwalać, żeby za długo żywiła takie myśli.

- Jest adoptowany, panno Larner. Powiedzmy tylko, że jego czarna mama sprawiła sobie kłopot i urodziła półbiałe dziecko.

- A wy, w dobroci swego serca...

Czyżby to złośliwość zabrzmiała w głosie panny Larner?

- Chciałam mieć dziecko. Nie z litości zajmuję się Arthurem Stuartem. Teraz jest moim synem.

- Rozumiem. A dobrzy ludzie z Hatrack River uznali, że wykształcenie ich dzieci ucierpiałoby, gdyby półczarne uszy słyszały moje słowa równocześnie z uszami czysto białymi.

W głosie panny Larner jeszcze raz zabrzmiała złośliwość, ale tym razem Peg pozwoliła sobie na chwilę radości.

- Będziecie go uczyć, panno Larner?

- Wyznaję, pani Guester, że zbyt długo mieszkałam w Mieście Kwakrów. Zapomniałam już, że są w tym kraju miejsca, gdzie ludzie małych umysłów chcą bezwstydnie karać dziecko jedynie za to, że urodziło się ze skórą w odcieniu właściwym mieszkańcom krain tropikalnych. Zapewniam was, że nie zgodzę się na otwarcie szkoły, jeśli wasz adoptowany syn nie zostanie jednym z moich uczniów.

- Nie! - krzyknęła Peg. - Panno Larner, to za mocne!

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Jestem przekonaną Emancypacjonistką, pani Guester. Nie przyłączę się do zmowy, której celem jest pozbawienie jakiegokolwiek czarnego dziecka praw do jego intelektualnego dziedzictwa.

Peg Guester nie miała pojęcia, co to takiego intelektualne dziedzictwo, ale wiedziała, że panna Larner przesadza. Jeśli nie ustąpi, wszystko zepsuje.

- Proszę mnie wysłuchać, panno Larner. Oni sprowadzą inną nauczycielkę, a ja źle na tym wyjdę, a jeszcze gorzej Arthur Stuart. Nie. Proszę was tylko, żebyście poświęcili mu jedną godzinę wieczorem, parę dni w tygodniu. Przypilnuję, żeby codziennie się trochę pouczył i porządnie zapamiętał, co mu mówicie. To bystry chłopak, przekonacie się. Zna już litery, od A do Z, lepiej od mojego Horacego. To mój mąż, Horacy Guester. Nie proszę o więcej niż kilka godzin tygodniowo, jeśli się zgodzicie. Dlatego przygotowaliśmy tę źródlaną szopę, żeby nikt się nie dowiedział.

Panna Larner wstała z brzegu łóżka i podeszła do okna.

- To doprawdy niewyobrażalne: uczyć dziecko w sekrecie, jakbym popełniała zbrodnię.

- W oczach pewnych ludzi, panno Larner...

- Och, w to nie wątpię.

- Czy wy, kwakrzy, nie spotykacie się na modlitwie? O nic więcej nie proszę, tylko o takie ciche spotkanie...

- Nie jestem kwakierką, pani Guester. Jestem zwykłym człowiekiem, który nie odmawia człowieczeństwa nikomu, chyba że ktoś własnymi czynami dowiedzie, iż niegodny jest tego szlachetnego miana.

- Więc będziecie go uczyć?

- Po godzinach, tak. Tu, w moim domu, który z waszym mężem tak uprzejmie mi oddaliście, tak. Ale w tajemnicy? Nigdy! Ogłoszę wszystkim, że uczę Arthura Stuarta, i to nie tylko parę wieczorów w tygodniu, ale codziennie. Mam swobodę dobierania sobie uczniów... Mój kontrakt stwierdza to wyraźnie. I dopóki nie naruszę jego warunków, przynajmniej przez rok muszą mnie tu tolerować. Czy to wam wystarczy?

Peg spojrzała na nauczycielkę ze szczerym podziwem.

- A niech mnie... - westchnęła. - Źli jesteście niczym kot z rzepem w... pod ogonem.

- Żałuję, ale nigdy nie widziałam kota w tak fatalnej sytuacji, pani Guester. Trudno mi więc ocenić słuszność waszego porównania.

Peg nie zrozumiała ani słowa z tego, co mówi panna Larner. Ale dostrzegła w jej oczach iskierkę wesołości, zatem wszystko było jak trzeba.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Kiedy mam przysłać Arthura? - zapytała.

- Jak powiedziałam, potrzebuję tygodnia, żeby się przygotować. Kiedy otworzę szkołę dla białych dzieci, otworzę ją też dla Arthura Stuarta. Pozostaje jeszcze kwestia wynagrodzenia.

Peg zaniemówiła na chwilę. Zamierzała wprawdzie zaproponować pieniądze, ale po tej rozmowie myślała już, że nie będzie żadnych kosztów. Z drugiej strony, panna Larner nauczaniem zarabiała na życie, zatem uczciwie domaga się zapłaty.

- Myśleliśmy, żeby wam zaproponować dolara miesięcznie. To by nam najbardziej odpowiadało, panno Larner, ale jeśli życzycie sobie więcej...

- Och, nie chodzi mi o gotówkę, pani Guester. Chciałam tylko was prosić o uprzejmość. Pragnęłabym raz w tygodniu organizować w waszym zajeździe wieczory poetyckie i zapraszać na nie wszystkich mieszkańców Hatrack River, którzy pragną lepiej poznać najlepszą literaturę tworzoną w języku angielskim.

- Nie wiem, czy dużo znajdzie się takich, co im zależy na poezji, panno Larner. Ale oczywiście, można spróbować.

- Myślę, pani Guester, że będziecie mile zaskoczeni widząc, jak wiele osób pragnie rozwijać swój umysł. Trudno będzie znaleźć dość miejsc dla wszystkich tutejszych dam, które skłonią mężów, by przyprowadzili je i pozwolili wysłuchać nieśmiertelnych słów Pope'a i Drydena, Donne'a i Miliona, Shakespeare'a, Graya i... ach, odważę się chyba... Wordswortha i Coleridge'a. A może nawet amerykańskiego poety, wędrownego tkacza niezwykłych opowieści nazwiskiem Blake.

- Chyba nie mówicie o starym Bajarzu?

- Tak chyba brzmi jego najbardziej popularne przezwisko.

- Macie spisane jego wiersze?

- Spisane? To niepotrzebne; był moim drogim przyjacielem. Wiele jego strof przechowuję w pamięci.

- Ależ daleko zawędrował... Filadelfia... Kto by pomyślał?

- Rozjaśniał swą obecnością moje skromne mieszkanie w tym mieście. Pani Guester, czy możemy nasze pierwsze soiree zaplanować na tę niedzielę?

- Słone co?

- Soiree. Wieczorne spotkanie, może z ponczem imbirowym...

- Nie musicie mnie uczyć gościnności, panno Larner. A jeśli to jest cena nauki Arthura Stuarta, panno Larner, to boję się, że was oszukuję. Bo wydaje mi się, że i tu, i tam robicie nam przysługę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Jesteś pani niezwykle uprzejma, pani Guester. Ale muszę wam zadać jedno pytanie.

- Pytajcie. Ale nie jestem za dobra w odpowiadaniu.

- Pani Guester - panna Larner zawahała się. - Słyszeliście o Traktacie o Zbiegłych Niewolnikach?

Te słowa wypełniły serce Peg lękiem i gniewem.

- To diabelskie dzieło!

- Niewolnictwo w istocie jest dziełem szatana, ale traktat podpisano, aby przywieść Appalachee do Konwencji Amerykańskiej i ocalić nasz młody naród przed wojną z Koloniami Korony. Trudno pokój określić mianem diabelskiego dzieła.

- Jest diabelskie, kiedy stwierdza, że mogą do wolnych stanów posyłać tych swoich przeklętych odszukiwaczy, żeby schwytanych Czarnych sprowadzali z powrotem do panów i robili z nich niewolników!

- Macie rację, pani Guester. Można by powiedzieć, że Traktat o Zbiegłych Niewolnikach to nie traktat pokojowy, to raczej akt kapitulacji. Niemniej jednak jest w tym kraju obowiązującym prawem.

Dopiero teraz Peg Guester uświadomiła sobie, o co chodziło nauczycielce, kiedy wspomniała o traktacie. Chciała dać Peg do zrozumienia, że Arthur nie jest tu bezpieczny, że odszukiwacze mogą przyjechać z Kolonii Korony i ogłosić go własnością jakiejś rodziny białych tak zwanych chrześcijan. A to oznaczało też, że panna Larner ani trochę nie uwierzyła w bajeczkę o Arthurze Stuarcie. A jeśli ona tak łatwo przejrzała kłamstwo, dlaczego Peg głupio sądziła, że nikt inny nie domyśli się prawdy? A tymczasem już pewnie całe Hatrack River wie, że Arthur Stuart to niewolnik, któremu udało się uciec i jakoś znaleźć sobie białą mamę.

A skoro wszyscy wiedzą, pierwszy lepszy może donieść na Arthura Stuarta i zawiadomić tych w Koloniach Korony o pewnym małym zbiegu, mieszkającym w pewnym zajeździe koło miasta Hatrack River. Zgodnie z Traktatem o Zbiegłych Niewolnikach, adopcja Arthura Stuarta była nielegalna. Mogą wyrwać chłopca z jej ramion i nawet nie będzie miała prawa później go zobaczyć. A gdyby pojechała na południe, mogliby ją aresztować i powiesić za ukrywanie niewolników, jak nakazuje prawo króla Arthura. Myśl o tym strasznym władcy w jego legowisku w Camelocie uświadomiła jej rzecz najprzykrzejszą: jeżeli zabiorą Arthura na południe, zmienią mu imię. Przecież w Koloniach Korony jest zdradą stanu nadanie niewolniczemu dziecku imienia króla. A więc biedny Arthur nagle będzie miał całkiem inne imię, którego jeszcze nigdy w życiu nie słyszał. Peg wyobrażała

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

sobie zagubienie chłopca i jak ktoś go woła i woła, i chłosta za to, że nie przychodzi, ale skąd ma wiedzieć, że powinien przyjść, jeżeli nikt go nie woła jego prawdziwym imieniem?

Emocje musiały wyraźnie się malować na jej twarzy, bo panna Larner podeszła i położyła jej dłonie na ramionach.

- Z mojej strony nie macie się czego obawiać, pani Guester.

Przybywam z Filadelfii, gdzie ludzie otwarcie mówią o nieprzestrzeganiu tego traktatu. Pewien młody człowiek z Nowej Anglii dobrze dał się poznać, głosząc powszechnie, że nie należy przestrzegać złego prawa, a dobrzy obywatele powinni raczej być gotowi na więzienie, niż mu się poddać. Wasze serce wypełniłoby się radością, gdybyście go słyszeli.

Peg nie była tego pewna. Serce jej zamierało na samą myśl o traktacie. Do więzienia? Co to pomoże, kiedy Arthura popędzą w łańcuchach na południe? Wszystko jedno, to nie jest sprawa panny Larner.

- Nie wiem, po co mi to mówicie, panno Larner. Arthur Stuart jest wolno urodzonym synem wolnej czarnej kobiety, nawet jeśli poczęła go po złej stronie łóżka. Traktat o Zbiegłych Niewolnikach wcale mnie nie obchodzi.

- W takim razie i ja nie będę więcej o nim myśleć, pani Guester. A teraz, jeśli mi wybaczycie... Jestem trochę zmęczona po podróży i chciałam się położyć, chociaż na dworze jest jeszcze widno.

Peg poderwała się uspokojona, że nie będzie już mowy o Arthurze i traktacie.

- Ależ oczywiście. Ale chyba nie wskoczycie do łóżka bez kąpieli? Nie ma to jak dobra kąpiel dla wędrowca.

- Zgadzam się całkowicie. Niestety, nie zdołałam przywieźć ze sobą balii.

- Jak tylko wrócę do domu, zaraz wyślę tu Horacego z naszą zapasową. A gdybyście rozpalili w piecyku, moglibyśmy nanieść wody ze studni Gertie Smith, tu niedaleko, i zagrzać ją raz dwa.

- Pani Guester, nim przyjdzie wieczór, przekonacie mnie chyba, że znów jestem w Filadelfii. Będę niemal rozczarowana, gdyż szykowałam się na trudy prymitywnego życia w dziczy, a tymczasem widzę, że oferujecie mi wszelkie rozkoszne błogosławieństwa cywilizacji.

- Pojmuję, że to, coście właśnie powiedzieli, znaczy w zasadzie "dziękuję". No więc, nie ma za co. Zaraz wracam z Horacym i balią. I nawet się nie ważcie chodzić po wodę, przynajmniej nie dzisiaj. Siadajcie spokojnie, czytajcie albo filozofujcie sobie czy co tam robi wykształcona osoba zamiast uciąć sobie drzemkę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Peg Guester wybiegła ze źródlanej szopy. Miała ochotę skakać z radości. Ta nauczycielka okazała się nie taka zła, jak można by z początku przypuszczać. Pewnie, mówi tak, że Peg rozumie z tego połowę, ale przynajmniej nie zadziera nosa... I będzie uczyć Arthura za darmo, a na dodatek czytać poezję w zajeździe. A najlepsze, tak, najlepsze, że może zechce czasem porozmawiać z Peg i Peg może złapie trochę tej mądrości. Co prawda taka mądrość nie na wiele się przyda porządnej kobiecie, takiej jak Peg Guester, ale na co się przydaje klejnot na palcu bogatej damy? Jeśli towarzystwo tej wykształconej starej panny ze wschodu pozwoli starej Peg chociaż odrobinę lepiej zrozumieć wielki świat poza Hatrack River, to i tak więcej, niż miała nadzieję w życiu osiągnąć. Jak plamka koloru na szarych skrzydłach ćmy... Nie zmieni ćmy w motyla, ale może teraz ćma przestanie rozpaczać i nie poleci w ogień.

Panna Larner obserwowała odchodzącą Peg. Mamo, szepnęła. Nie, nawet nie szepnęła. Nawet nie otworzyła ust. Tylko mocniej zacisnęła wargi, jak przy M, a język bezgłośnie ukształtował sylaby.

Oszustwo sprawiało ból. Obiecała sobie, że nigdy nie skłamie i w pewnym sensie nie kłamała nawet teraz. Nazwisko, które przyjęła, Larner, oznaczało tyle co nauczyciel A że naprawdę była nauczycielką, nazwisko było prawdziwie jej, tak jak nazwiskiem ojca było Guester, a nazwiskiem Makepeace'a - Smith. Kiedy ludzie zadawali jej pytania, nigdy ich nie okłamywała, choć odmawiała odpowiedzi, które mogłyby zdradzić im więcej, niż powinni wiedzieć.

Ale chociaż unikała otwartych kłamstw, obawiała się, że teraz sama siebie oszukuje. Czyż jej obecność tutaj, tak zamaskowanej, nie jest kłamstwem?

A jednak u korzeni tego kłamstwa tkwi przecież prawda. Nie jest już tą samą osobą, która była żagwią w Hatrack River. Opadły dawne więzy łączące ją z tymi ludźmi. Gdyby oświadczyła, że jest małą Peggy, byłoby to kłamstwo większe niż jej obecne przebranie, bo wtedy wzięliby ją za dziewczynę, którą znali kiedyś. I tak samo jak tamtą traktowali. W tym znaczeniu przebranie jest tylko odbiciem tego, czym się stała - wykształcona, bezpłciowa, chłodna, z własnej woli stara panna.

Dlatego przebranie nie jest kłamstwem, na pewno nie; to tylko sposób zachowania tajemnicy.

Mama dawno już zniknęła w lesie między źródlaną szopą a zajazdem, ale Peggy wciąż stała w progu. Gdyby chciała, mogłaby ją widzieć nawet teraz: nie oczami, ale wzrokiem

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

żagwi. Mogłaby odszukać płomień serca mamy, popatrzeć z bliska. Czy nie wiesz, mamo, że przed swoją córką Peggy nie ukryjesz żadnych sekretów?

Ale tak naprawdę mama mogła ukryć wszelkie sekrety. Peggy nie będzie zaglądać do jej serca. Nie przybyła po to, żeby znów zostać żagwią w Hatrack River. Po tylu latach studiów, kiedy czytała książki tak prędko, aż się obawiała, że ich zabraknie, że w całej Ameryce nie ma dość książek, byją zaspokoić - po tych wszystkich latach tylko jednej umiejętności była pewna. W końcu opanowała sztukę niezaglądania w serca ludzi. Chyba że tego zapragnęła. Wreszcie okiełznała swoje widzenie żagwi.

Oczywiście, w razie potrzeby nadal zaglądała ludziom do wnętrza. Ale rzadko. Nawet na spotkaniu z radą szkolną, kiedy musiała ich pokonać, by poznać ich myśli i zwyciężyć, wystarczyła znajomość ludzkiej natury. A co do przyszłości odsłanianych w płomieniach serc, już ich nie zauważała.

Nie jestem odpowiedzialna za wasze przyszłości. Niczyje. A już najmniej twoją, matko. Dość już mieszania się w twoje życie, w życie wielu ludzi z Hatrack River. Gdybym znała wszystkie wasze przyszłości, czułabym moralny przymus kształtowania swych działań tak, by wam pomóc osiągnąć najlepsze z możliwych dni jutrzejszych. A przecież wtedy sama przestałabym istnieć. Moja własna przyszłość jako jedyna byłaby pozbawiona nadziei. Niby dlaczego? Zamykając oczy na to, co się zdarzy na pewno, staję się taka jak wy, zdolna kierować swym życiem na podstawie domysłów, co zdarzyć się może. I tak nie potrafię wam zagwarantować szczęścia, a w ten sposób sama przynajmniej zachowuję szansę.

Usprawiedliwiała się sama przed sobą, ale czuła, jak wzbiera w niej poczucie winy. Odrzucając swój dar, grzeszyła przeciw Bogu, który jej go zesłał. Wielki mistrz Erazm nauczał: "Twój dar to twoje przeznaczenie. Nigdy nie poznasz radości, jeśli nie podążysz ścieżką wytyczoną przez to, co masz w sobie".

Ale Peggy nie chciała się poddać tej surowej dyscyplinie. Straciła już dzieciństwo i co jej z tego przyszło? Matka jej nie lubiła, ludzie z Hatrack River się jej bali, chociaż przychodzili, szukając odpowiedzi na swoje nieważne, głupie pytania. Obwiniali ją, jeśli jakieś pozorne zło pojawiło się w ich życiu, ale nigdy nie dziękowali, kiedy ocaliła ich przed jakimś groźnym zdarzeniem - nie wiedzieli o tym, ponieważ to wydarzenie nigdy nie następowało.

To nie wdzięczności oczekiwała. Pragnęła wolności. Ulgi w wysiłku. Zbyt wcześnie zaczęła dźwigać to brzemię i nikt nie okazał jej litości. Ich lęki zawsze były ważniejsze niż jej szczęśliwe dzieciństwo. Czy ktokolwiek potrafił to zrozumieć? Czy wiedział, jak łatwo przyszło jej ich porzucić?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Teraz żagiew Peggy wróciła, ale oni się o tym nie dowiedzą. Nie dla was tu jestem, ludzie z Hatrack River, ani nie po to, żeby służyć waszym dzieciom. Przybyłam tu dla jednego ucznia - człowieka, który stoi teraz nad kowadłem, a jego płomień serca gorzeje tak jasno, że widzę go nawet we śnie. Wróciłam, gdyż nauczyłam się wszystkiego, czego może nauczyć świat, i teraz ja z kolei mogę pomóc temu człowiekowi wykonać pracę ważniejszą niż nasze. To jest moje przeznaczenie... jeśli jakieś mam.

Ale po drodze uczynię tyle dobrego, ile zdołam. Będę uczyć Arthura Stuarta, spróbuję spełnić marzenia, dla których umarła jego dzielna, młoda matka. Nauczę też inne dzieci tyle, ile zechcą się nauczyć podczas godzin, do jakich zobowiązuje mnie kontrakt. Przyniosę do miasta Hatrack River tyle poezji i wiedzy, ile skłonne jest przyjąć. Może nie pragniecie poezji tak bardzo, jak mojej wiedzy żagwi o waszych możliwych przyszłościach. Ale myślę, że poezja bardziej się wam przyda. Albowiem wiedza o przyszłości czyni was na przemian zalęknionymi i zadowolonymi z siebie. A poezja ukształtuje wasze dusze tak, że każdej przyszłości stawicie czoła dzielnie, mądrze i szlachetnie, że nie będziecie potrzebować wiedzy o przyszłości, że każda przyszłość stanie się drogą ku wielkości, jeśli macie w sobie wielkość. Czy zdołam was nauczyć, żebyście widzieli w sobie to, co zobaczył wielki Gray?

Serce niebiańskim brzemienne płomieniem; Dłonie, które by mogły dzierżyć ster mocarstwa, Martwą lirę ożywiać jednym strun trąceniem?

Wątpiła jednak, by któraś z tych zwyczajnych dusz w Hatrack River była w istocie niemym, zapoznanym Milionem. Pauley Wiseman nie jest nie zauważonym przez świat Cezarem. Może by chciał, ale brakuje mu zdolności i opanowania. Whitley Physicker to nie Hipokrates, choć próbuje uzdrawiać i godzić - niszczy go zamiłowanie do luksusu i, jak wielu dobrych lekarzy, zaczął pracować dla zapłaty i tego, co może za nią kupić, a nie dla samej radości pracy.

Chwyciła wiadro stojące przy drzwiach. Jest zmęczona, ale nie pozwoli, by choćby przez chwilę uważali ją za bezradną. Ojciec i matka przyjdą niedługo i przekonają się, że panna Larner zrobiła już, co tylko mogła, zanim dostarczyli jej balię.

Ding-ding-ding. Czy Alvin w ogóle nie odpoczywa? Czy nie widzi, że słońce czerwienią barwi zachodni horyzont i wkrótce opadnie za drzewa? Kiedy schodziła ścieżką w dół, czuła, że za chwilę pobiegnie, pomknie do kuźni jak tamtego dnia, kiedy Alvin się urodził. Padało wtedy, a matka Alvina utknęła w wozie na rzece. To Peggy ich wypatrzyła, widziała ich płomienie serc wśród czerni deszczu i wezbranej rzeki. To Peggy podniosła alarm i Peggy stała przy porodzie, widząc wszystkie przyszłości Alvina w płomieniu jego serca, najjaśniejszym płomieniu serca, na jaki patrzyła w życiu. I to Peggy, używając

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

skrawków jego czepka, wiele razy ocaliła mu życie. Może zapomnieć o byciu żagwią w Hatrack River, ale o nim nie zapomni nigdy.

Zatrzymała się w połowie wzgórza. Co jej się roi? Nie może przecież iść do niego, nie teraz, jeszcze nie. To on musi przyjść. Tylko w ten sposób może się stać jego nauczycielką. Tylko w ten sposób może się kiedyś stać dla niego kimś więcej.

Odwróciła się i ruszyła na ukos, na wschód i w dół, w stronę studni. Przyglądała się kiedyś, jak Alvin kopie tę studnię - obie studnie - i ten jeden raz nie mogła mu pomóc, gdy nadciągnął Niszczyciel. Gniew i złość w sercu Alvina przywołały wroga, a Peggy nic nie mogła zrobić, by ocalić go na czas. Mogła tylko patrzeć, jak oczyszcza swoje wnętrze ze zniszczenia i w ten sposób pokonuje - przynajmniej na pewien czas - Niszczyciela, który atakował z zewnątrz. I teraz studnia stała tu jak pomnik siły i jednocześnie słabości Alvina.

Zrzuciła w głąb miedziane wiadro. Rozwinęła się lina i zaklekotał kołowrót. Stłumiony plusk. Odczekała chwilę, aż wiadro napełniło się wodą, potem wciągnęła je na górę. Miała zamiar przelać ją do drewnianego cebrzyka, ale zamiast tego podniosła wiadro do ust i piła jego zimną, ciężką zawartość. Tyle lat czekała, by poznać smak tej wody - wody, nad którą Alvin zapanował tamtej nocy, gdy zapanował nad sobą. Tak się wtedy bała... A kiedy rankiem zasypał tę pierwszą, wykopaną w gniewie dziurę, płakała ze szczęścia i ulgi. Ta woda nie była słona, ale dla niej wciąż miała smak łez.

Młot ucichł. Jak zawsze, od razu odnalazła płomień serca Alvina. Nawet nie musiała go szukać. Wychodził z kuźni. Czy wie, że ona jest tutaj? Nie. Zawsze po skończeniu pracy chodził po wodę. Oczywiście, nie może się obejrzeć, dopóki nie usłyszy jego kroków. Ale chociaż wiedziała, że się zbliża, i chociaż nasłuchiwała, nie usłyszała go. Poruszał się bezszelestnie, niczym wiewiórka na gałęzi.

- Dobra woda, prawda?

Odwróciła się - zbyt szybko, zbyt gorliwie. Lina wciąż trzymała wiadro, szarpnęła je... Wiadro oblało ją wodą i upadło z powrotem do studni.

- Jestem Alvin, pamiętacie? Nie chciałem pani przestraszyć, psze pani. Panno Larner.

- Zapomniałam niemądrze, że wiadro jest przywiązane - wyjaśniła. - Obawiam się, że jestem przyzwyczajona do pomp i kranów. W Filadelfii nieczęsto spotyka się otwarte studnie.

Odwróciła się, by raz jeszcze wyciągnąć wiadro.

- Proszę pozwolić - powiedział.

- Nie potrzeba. Potrafię sama.

- Ale po co, panno Larner, skoro ja chętnie zrobię to dla was?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Odsunęła się i patrzyła, jak kręci korbą jedną ręką, bez wysiłku, jak dziecko sznurkiem. Wiadro wyfrunęło niemal do góry. Zajrzała w płomień jego serca, zerknęła tylko, żeby sprawdzić, czy się przed nią nie popisuje. Nie. Sam nie mógł dostrzec, jak masywne miał ramiona, jak przy każdym ruchu ręki tańczyły pod skórą mięśnie. Nie widział też spokoju na swej twarzy, tego samego, który można zobaczyć u nieustraszonego jelenia. Nie było w nim czujności. Niektórzy ludzie mają oczy rozbiegane, jak gdyby cały czas szukali zagrożenia, czy może ofiary. Inni skupiają się na zadaniu, myślą o tym, czym się akurat zajmują. Alvina jakby nie interesowało specjalnie, co sam robi albo co robią inni. Koncentrował się na własnych myślach, których nikt inny nie mógł usłyszeć. I znowu w pamięci Peggy zabrzmiały słowa "Elegii" Graya.

Z dala od ciżb, którymi waśń obłędna miota, Ustrzegli się manowców nieoględnych marzeń I szli chłodną, zaciszną doliną żywota, Szlakiem bezgłośnych dążeń i codziennych zdarzeń.

Biedny Alvin. Kiedy się tobą zajmę, nie będzie już żadnej chłodnej, zacisznej doliny. Będziesz wspominał terminowanie jako ostatnie spokojne dni swego życia.

Jedną ręką pochwycił pełne, ciężkie wiadro, postawił na krawędzi i przechylił lekko, przelewając wodę do cebrzyka. Uczynił to tak swobodnie i bez trudu, jak gospodyni, która przelewa śmietanę z jednego kubka do drugiego. A gdyby jego ręce równie lekko i delikatnie trzymały moje? Czy przełamałby mnie niechcący, skoro jest taki silny? Czy czułabym się jak zakuta w żelaza w tym jego uścisku? Albo czy spaliłby mnie w białym żarze płomienia swego serca?

Sięgnęła po wiadro.

- Pozwólcie, że je zaniosę.

- Nie trzeba.

- Wiem, że jestem brudny, psze pani... panno Larner. Ale doniosę je wam pod drzwi i wstawię do środka. Niczego nie pobrudzę.

Czyżbym w przebraniu wydawała się tak monstrualnie surowa? Myślisz, że rezygnuję z pomocy z powodu zamiłowania do czystości?

- Nie chciałam tylko, żebyś musiał jeszcze dzisiaj pracować. Jak na jeden dzień, pomogłeś mi już wystarczająco.

Patrzyła mu prosto w oczy i miała wrażenie, że zniknął gdzieś ich spokój. Błysnęła nawet iskra gniewu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Jeżeli się boicie, że będziecie musieli mi zapłacić, to nie musicie się obawiać. Jeśli to wasz dolar, mogę go wam oddać. Nie chciałem go.

Na wyciągniętej dłoni leżała moneta, którą Whitley Physicker rzucił mu z powozu.

- Zganiłam wtedy doktora Physickera. To obraźliwe, że chciał ci zapłacić za rycerską przysługę, jaką mi oddałeś z czystej szlachetności. Uraża nas oboje, pomyślałam, zachowując się tak, jakby wszystko, co zdarzyło się tego ranka, warte było dokładnie jednego dolara.

Teraz przyglądał się jej z sympatią. Peggy mówiła dalej głosem panny Larner.

- Musisz jednak wybaczyć doktorowi Physickerowi. Niezręcznie się czuje z takim majątkiem i szuka sposobności, by podzielić się nim z innymi. Nie nauczył się jeszcze, jak to robić taktownie.

- W takim razie to drobiazg, panno Larner. Skoro to nie od was pochodzi...

Schował dolara do kieszeni i poniósł pełne wiadro ścieżką pod górę.

To jasne, że nie był przyzwyczajony do spacerów z damami. Kroki miał za długie, szedł zbyt szybko, i nie mogła za nim nadążyć. Nie mogła nawet pójść tą samą drogą co on - nie zwracał uwagi na stromiznę zbocza. Był jak dziecko, nie jak dorosły - wybierał najkrótszą drogę, nawet jeśli wymagała niepotrzebnego pokonywania przeszkód.

A przecież jestem tylko o pięć lat starsza od niego. Czyżbym uwierzyła we własne przebranie? Mam dwadzieścia trzy lata, a myślę i zachowuję się, jakbym miała dwa razy tyle. Sama lubiłam tak chodzić jak on, najtrudniejszą drogą, dla czystej radości zmęczenia i zwycięstwa.

Mimo to podążyła łatwiejszą ścieżką, w skos zbocza, wspinając się tam, gdzie nachylenie było mniejsze. Alvin czekał już na nią przed drzwiami.

- Dlaczego nie otworzyłeś i nie wstawiłeś wiadra do środka? Drzwi nie są zamknięte na zamek - powiedziała.

- Wybaczcie, panno Larner, ale te drzwi nie chcą być otwierane, czy zamknie się je na klucz, czy nie.

No tak. Chce, żebym wiedziała o tych ukrytych heksach na zamku.

Niewielu ludzi potrafi dostrzec ukryty heks. Peggy też nie potrafiła. Nie miałaby o nich pojęcia, gdyby nie patrzyła, jak je kreśli. Ale, oczywiście, o tym nie mogła mu powiedzieć. Dlatego zapytała.

- Czyżby tu były jakieś znaki ochronne, których nie widzimy?

- Umieściłem w zamku parę heksów. Nic wielkiego, ale powinniście być w miarę bezpieczni. Jest też heks na piecyku, abyście się nie martwili, że wylecą jakieś iskry.

- Masz wielkie zaufanie do swoich heksów, Alvinie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Dobrze mi się udają. Prawie każdy umie wyrysować kilka heksów, panno Larner. Ale niewielu kowali potrafi umieścić je w żelazie. Chciałem tylko, żebyście wiedzieli.

Oczywiście, chciał jej dać do zrozumienia coś więcej. Dlatego odpowiedziała tak, jak tego oczekiwał.

- Z tego wynika, że pracowałeś w tej źródlanej szopie.

- Robiłem okna, panno Larner. Przesuwają się w górę i w dół całkiem leciutko. I są kołki, żeby je przytrzymać. I jeszcze piecyk, zamek, wszystkie żelazne zawiasy... A mój pomocnik, Arthur Stuart, skrobał ściany.

Jak na młodego, nieobytego człowieka, całkiem dobrze kierował tą rozmową. Przez moment miała ochotę zabawić się z nim, udać, że nie ma tych skojarzeń, na które liczył. I sprawdzić, jak sobie z tym poradzi. Ale nie... Przecież zamierzał ją prosić o to, po co tu przyjechała. Po co utrudniać mu zadanie. Sama nauka będzie dostatecznie trudna.

- Arthur Stuart... - powtórzyła. - To pewnie ten sam chłopiec, o którym rozmawiałam dzisiaj z panią Guester. Prosiła o prywatne lekcje dla niego.

- Ach, już was prosiła? Czy może nie powinienem pytać?

- Nie mam zamiaru trzymać tego w sekrecie, Alvinie. Tak, będę uczyła Arthura Stuarta.

- Bardzo się cieszę, panno Larner. To najmądrzejszy chłopak, jakiegoście w życiu spotkali. A jak naśladuje głosy! Wystarczy, że raz coś usłyszy, a powtórzy wam to waszym własnym głosem. Trudno uwierzyć, nawet kiedy człowiek słyszy to na własne uszy.

- Mam tylko nadzieję, że podczas nauki nie będzie się zajmował takimi zabawami.

Alvin zmarszczył brwi.

- To nie jest zabawa, panno Larner. On to robi całkiem niechcący. To znaczy... Gdyby zaczął wam odpowiadać waszym głosem, to nie dla żartu ani nic... Po prostu kiedyjuż coś usłyszy, zapamiętuje wszystko, głos i słowa, rozumiecie. Nie potrafi ich rozdzielić i powtórzyć tylko słów... bez głosu, który je wypowiadał.

- Będę o tym pamiętać.

Gdzieś w dali trzasnęły drzwi. Peggy spojrzała i znalazła płomienie serc matki i ojca. Szli do niej i kłócili się, oczywiście. Jeśli Alvin chce ją poprosić, musi to zrobić szybko.

- Czy chciałeś mi jeszcze coś powiedzieć, Alvinie?

Do tego zmierzał, ale nagle się zawstydził.

- No więc... Pomyślałem sobie, żeby was prosić... Ale musicie zrozumieć, że nie dlatego przyniosłem wodę, żebyście byli mi coś dłużni albo co... Zrobiłbym to i tak, dla każdego. A co do dzisiejszego ranka, to nie wiedziałem, że jesteście nauczycielką. To znaczy,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

pewnie bym się domyślił, ale jakoś mi to nie przyszło do głowy. Zrobiłem, co zrobiłem, bez powodu i nic mi nie jesteście winni...

- Pozwól, że sama będę decydować o swojej wdzięczności. O co chciałeś mnie prosić?

- Będziecie zajęci Arthurem Stuartem, więc pewnie nie zostanie wam za dużo wolnego czasu... Ale może jeden dzień w tygodniu, choćby godzinę... Może być w sobotę i możecie zażądać za to, ile chcecie, bo mój mistrz daje mi czas wolny i zaoszczędziłem trochę i...

- Prosisz mnie o korepetycje, Alvinie?

Alvin nie znał takiego słowa.

- O to, żebym cię uczyła prywatnie?

- Tak, panno Larner.

- Opłata wynosi pięćdziesiąt centów tygodniowo, Alvinie. I masz się zjawiać w tym samym czasie, co Arthur Stuart. Przychodzić razem z nim i razem z nim wychodzić.

- Ale jak możecie uczyć nas obu równocześnie?

- Uważam, Alvinie, że odniesiesz korzyść, słuchając jego lekcji. A kiedy on będzie pisał albo liczył, mogę rozmawiać z tobą.

- Nie chciałbym zajmować jego czasu nauki.

- Bądź rozsądny, Alvinie. To niewłaściwe, żebyś przychodził na lekcje sam. Jestem może nieco starsza od ciebie, ale są tacy, którzy szukają we mnie wad. A prywatne lekcje udzielane młodemu kawalerowi to dostateczna przyczyna, żeby puścić w ruch języki. Arthur Stuart będzie z nami przez cały czas, a drzwi będą stale otwarte.

- Moglibyśmy umawiać się na lekcje w zajeździe.

- Alvinie, znasz moje warunki. Czy chcesz mnie zatrudnić jako swojego korepetytora?

- Tak, panno Larner. - Sięgnął do kieszeni po dolara. - Tu jest należność za pierwsze dwa tygodnie.

Peggy spojrzała na monetę.

- Odniosłam wrażenie, że zamierzasz oddać tego dolara doktorowi Physickerowi.

- Nie chciałbym, żeby źle się czuł z powodu swojego bogactwa, panno Larner.

Uśmiechnął się szeroko.

Może i jest nieśmiały, ale nie potrafi długo zachować powagi. Zawsze tkwi w nim urwis, tuż pod powierzchnią. I zawsze się w końcu wyrywa.

- Nie, rzeczywiście nie powinien - rzekła panna Larner. - Lekcje zaczynamy w przyszłym tygodniu. Dziękuję ci za pomoc.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

W tej właśnie chwili tato i mama zjawili się na ścieżce. Tato niósł na głowie balię i uginał się pod jej ciężarem. Alvin natychmiast skoczył mu pomóc - a właściwie odebrał balię i sam ją poniósł.

W ten sposób Peggy po raz pierwszy od ponad sześciu lat zobaczyła twarz ojca - zaczerwienioną i spoconą. Tato dyszał ciężko. I był zły, a przynajmniej ponury. Mama na pewno mu powiedziała, że ta nowa nauczycielka nie jest nawet w połowie tak arogancka, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Ale i tak nie podobało mu się, że ktoś obcy zamieszkał w źródlanej szopie. To miejsce należało tylko do jego utraconej córki, Peggy zapragnęła nagle zawołać do niego, nazwać ojcem, uspokoić, że to jego córka Peggy mieszka tu teraz, że jego praca nad zamianą tej starej szopy w dom była w istocie darem miłości. Jak przyjemnie wiedzieć, że ją kocha, że nie zapomniał o niej przez te lata. A jednak, choć cierpiała, nie mogła odezwać się do niego jak córka... Jeszcze nie, jeśli chce osiągnąć to, co sobie zaplanowała. Musi zachowywać się wobec niego tak, jak wobec mamy i Alvina: nie przywoływać dawnych miłości i przyjaźni, ale pozyskać je na nowo.

Nie mogła tu przybyć jako córka, nawet do ojca, który jedyny cieszyłby się szczerze z jej powrotu. Musiała się zjawić jako obca. Ponieważ właśnie obcą się stała, nawet pod przebraniem. Po trzech latach nauki w Dekane i kolejnych trzech latach studiów nie była już tą małą Peggy, spokojną żagwią z ostrym językiem. Już dawno stała się kimś innym. Wiele przydatnych manier poznała pod kierunkiem pani Modesty, wielu rzeczy nauczyła się z książek i od nauczycieli. Jeśli powie: "Tato, jestem twoją córką, małą Peggy" - skłamie tak samo, jak kłamie mówiąc to, co mówi teraz:

- Panie Guester, jestem panna Larner, wasza nowa lokatorka. Miło mi pana poznać.

Podszedł i wyciągnął rękę. Mimo niechęci, mimo że unikał tego spotkania, kiedy godzinę temu zjawiła się w zajeździe, był jednak urodzonym oberżystą i odruchowo powitał ją ze zwykłą uprzejmością - a przynajmniej zdobył się na te szorstkie, wiejskie maniery, które w miasteczku z pogranicza uchodziły za uprzejmość.

- Miło mi, panno Larner. Mam nadzieję, żeście swoje mieszkanie znaleźli odpowiednim.

Posmutniała trochę słysząc, że używa wobec niej tego samego wymyślnego języka, co wobec klientów, których uważał za "dygnitarzy". To znaczy sądził, że stoją w życiu wyżej od niego. Wiele się nauczyłam, ojcze, ale to jedno jest najważniejsze: nikt od nikogo nie stoi wyżej. Liczy się tylko szczere i dobre serce.

Peggy wierzyła, że ojciec ma serce szczere i dobre, ale nie chciała w nie zaglądać. W dawnych latach za dobrze poznała jego płomień. Gdyby teraz przyjrzała mu się zbyt

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

dokładnie, mogłaby zobaczyć coś, czego jako córka nie miała prawa widzieć. Była za młoda, żeby zapanować nad sobą, kiedy wiele lat temu badała jego płomień. W dziecięcej niewinności poznała rzeczy, które uniemożliwiły i niewinność, i dzieciństwo. Teraz jednak, kiedy bardziej panowała nad swym darem, mogła przynajmniej zapewnić dyskrecję jego sercu. Była to winna jemu i mamie.

Nie mówiąc już o tym, że była to winna sobie.

Ustawili balię w niewielkim pokoiku. Mama przyniosła jeszcze jedno wiadro i kociołek. Tato i Alvin zaczęli nosić wodę ze studni, a mama zagotowała trochę na piecu. Kiedy kąpiel była już gotowa, mama wypchnęła z domu mężczyzn; potem Peggy wypchnęła mamę, chciaż nie bez długiego sporu.

- Wdzięczna wam jestem za pomoc - powiedziała. - Ale mam zwyczaj kąpać się w samotności. Byliście niezwykle uprzejmi i możecie być pewni, że przez cały czas będę myślała o was z wdzięcznością.

Takiemu potokowi wyrafinowanych słów nawet mama nie zdołała się przeciwstawić. W końcu Peggy zamknęła drzwi na klucz i zaciągnęła zasłony. Zrzuciła podróżną suknię, ciężką od potu i kurzu. Potem zdjęła bieliznę, lepiącą się do rozgrzanej skóry. Nie musiała nosić gorsetu, co było jedną z zalet tego przebrania. Nikt nie oczekiwał po starej pannie, by demonstrowała perwersyjnie wąską talię, jak te nieszczęsne, młode ofiary mody, które ściągały się tak mocno, że z trudem mogły oddychać.

Na samym końcu zdjęła z siebie amulety: trzy wiszące na szyi i jeden wpleciony we włosy. Zdobyła je z trudem, nie tylko dlatego, że były to kosztowne nowości: działały na to, co ludzie naprawdę widzą, a nie wyłącznie na ich opinie. Cztery razy musiała odwiedzić heksera, zanim uwierzył, że chce wyglądać brzydko.

- Taka śliczna dziewczyna nie potrzebuje mojej sztuki - powtarzał stale.

Wreszcie chwyciła go za ramiona.

- Właśnie dlatego jej potrzebuję - oznajmiła. - Żeby nie być śliczną.

Ustąpił, ale cały czas mruczał, że to grzech ukrywać coś, co Bóg tak dobrze stworzył.

Bóg albo pani Modesty, pomyślała Peggy. W jej domu byłam piękna. Czy jestem piękna teraz, kiedy nikt mnie nie widzi prócz mnie samej, a ja wcale siebie nie podziwiam?

Wreszcie naga, wreszcie będąc sobą, uklękła obok balii, by umyć włosy. Zanurzona w gorącej wodzie poczuła tę samą swobodę co przed laty w źródlanej szopie: mokre odosobnienie, którego nie zakłócały płomienie serc. Teraz naprawdę była sobą.

W źródlanej szopie brakło lustra, a Peggy nie przywiozła żadnego. Ale kiedy skończyła kąpiel i wycierała się przy piecyku, spocona w pełnym pary pokoju, wiedziała, że

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

jest piękna - tak jak uczyła ją pani Modesty. Gdyby Alvin zobaczył ją taką, jaka jest naprawdę, pożądałby jej nie dla mądrości, ale dzięki temu krótkotrwałemu i płytkiemu uczuciu, jakie żywi każdy mężczyzna dla kobiety, która cieszy jego oczy. I dlatego tak jak kiedyś ukryła się przed nim, by nie poślubił jej z litości, teraz ukrywała się, by nie poślubił jej ze szczenięcej miłości. To młode i zwinne ciało pozostanie dla niego niewidzialne. Prawdziwe "ja" Peggy, jej bystry i wprawny umysł, zdołają może przyciągnąć to, co jest w nim najlepszego: mężczyznę, który nie będzie ukochanym, ale Stwórcą.

Gdyby tylko potrafiła ukryć przed swoim spojrzeniem jego ciało... Gdyby nie wyobrażała sobie jego dotyku, delikatnego jak muśnięcie powietrza na skórze, kiedy przebiegała przez pokój...

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 16 - WŁASNOŚĆ

Czarni zaczęli swoje wycie jeszcze przed pierwszym pianiem koguta. Planter nie obudził się od razu; dźwięk jakoś wpasował się w jego sny. Zresztą wyjący Czarni ostatnio często pojawiali się w jego koszmarach. W każdym razie obudził się w końcu i wyskoczył z łóżka. Było prawie całkiem ciemno; musiał odsunąć story, żeby znaleźć spodnie. Dostrzegał jakieś cienie przemykające wokół baraków niewolników, ale nie wiedział, o co chodzi. Oczywiście, podejrzewał najgorsze i wyrwał strzelbę ze stojaka pod ścianą. Właściciele niewolników, gdyby ktoś jeszcze nie odgadł, zawsze trzymają w sypialni broń palną.

Wybiegł na korytarz i zderzył się z kimś. Zabrzmiał chrapliwy krzyk. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to jego żona, Dolores. Czasami zapominał, że ona w ogóle umie chodzić. Prawie nigdy nie wstawała z łóżka, a tylko przy wyjątkowych okazjach opuszczała swój pokój i wtedy towarzyszyła jej niewolnica czy dwie, na których mogła się wesprzeć.

- Ciszej, Dolores. To ja, Cavil.

- Co się stało, Cavilu? Co się tu dzieje?

Przylgnęła do niego i nie mógł się ruszyć.

- Nie sądzisz, że prędzej się dowiem, jeśli mnie puścisz i pójdę sprawdzić?

Objęła go mocniej.

- Nie chodź tam, Cavilu! Nie idź sam! Mogą cię zabić!

- Dlaczego mieliby mnie zabić? Czy nie jestem ich prawowitym właścicielem? Czy Pan nasz mnie nie ochroni?

Ale mimo to przebiegł go dreszcz przerażenia. Czyżby to był bunt niewolników, którego każdy właściciel się obawia, ale o którym nigdy nie wspomina? Uświadomił sobie, że ta myśl kryła się gdzieś w głębi umysłu, dręczyła go od chwili przebudzenia. Dopiero teraz Dolores ubrała ją w słowa.

- Mam strzelbę - oświadczył. - Nie martw się o mnie.

- Boję się - szepnęła Dolores.

- A wiesz, czego ja się boję? Że potkniesz się w ciemności i zrobisz sobie krzywdę. Wracaj do łóżka, żebym nie musiał się o ciebie martwić, kiedy wyjdę.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

- Panie! Panie! - wołał. To niewolnik. - Jesteś potrzebny!

- Widzisz? To Tłusty Lis - uspokoił żonę Cavil. - Gdyby wybuchł bunt, udusiliby go, zanim przyszliby po mnie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Czy to miało mi dodać odwagi? - spytała.

- Panie! Panie!

- Do łóżka - rozkazał Cavil.

Przez sekundę jej dłoń spoczęła na twardej, zimnej lufie strzelby. Potem Dolores odwróciła się i jak blade widmo zniknęła w mroku.

Tłusty Lis aż podskakiwał z emocji. Cavil spojrzał na niego jak zawsze z obrzydzeniem. Polegał na nim, wiedział, że doniesie, co mówią niewolnicy za jego plecami, ale przecież nie musiał go lubić. W niebiosach nie ma nadziei na zbawienie duszy pełnokrwistego Czarnego. Oni wszyscy rodzili się w zepsuciu, jakby radośnie akceptowali grzech pierworodny, jakby ssali go z mlekiem matki. Aż dziw, że to mleko nie jest czarne od wszelkiego występku, bo z pewnością go zawiera. Gdybyż dało się przyspieszyć przemianę rasy czarnej na dostatecznie białą, aby warto się starać o zbawienie ich dusz!

- To ta dziewczyna, Salamanda - oświadczył Tłusty Lis.

- Czyżby już rodziła? - zdziwił się Cavil.

- Nie. Nie, nie rodzi, nie, panie. Proszę, zejdź na dół, panie. Nie bierz strzelby, panie, weź ten wielki nóż.

- Ja sam o tym zdecyduję - odpowiedział Cavil.

Jeżeli Czarny mówi, że można odłożyć strzelbę, to właśnie strzelbę należy ściskać z całej siły.

Ruszył w stronę baraków niewolnic. Szarzało już; widział ziemię pod nogami, widział przemykających tu i ówdzie Czarnych, obserwujących go z ciemności: szeroko otwarte białe oczy. To łaska pańska, że uczynił ich oczy białymi, inaczej w cieniu wcale by ich nie było widać.

Grupka kobiet stała dookoła drzwi chaty, gdzie spała Salamanda. Niedługo miała rodzić, więc nie musiała pracować w polu i dostała łóżko z miękkim materacem. Nikt nie powie, że Cavil Planter nie dba o swój materiał hodowlany.

Jedna z kobiet - w ciemności jej nie rozpoznał, ale sądząc po głosie Miedzianka, ochrzczona imieniem Agnes, choć wolała imię po miedzianogłowym grzechotniku... w każdym razie zapewne ona - krzyknęła:

- Panie, my koniecznie zarżnąć dla niej kurczak!

- Na mojej plantacji nie pozwolę na żadne pogańskie bezeceństwa - odparł surowo Cavil.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Teraz już wiedział na pewno, że Salamanda nie żyje. Miesiąc do rozwiązania i nie żyje. Głęboko zabolała go ta śmierć. Jedno dziecko mniej. Jedna płodna owieczka stracona. O Panie, miej litość nade mną. Jakże mogę ci służyć, jeśli odbierasz mi najlepszą konkubinę?

W izbie cuchnęło jak w stajni chorego konia, bo po śmierci opróżnił się jej żołądek. Powiesiła się na prześcieradle. Cavil wymyślał sobie od głupców za to, że dał jej coś takiego. Było to szczególne wyróżnienie, przecież miała urodzić już szóste półbiałe dziecko. Dlatego pozwolił jej nakryć czymś materac. A ona tak mu odpłaciła.

Jej stopy wisiały najwyżej trzy cale od podłogi. Musiała stanąć na łóżku i zeskoczyć. Jeszcze teraz kołysała się lekko i uderzała stopami o deski pryczy. Cavil pojął, co to oznacza: nie złamała sobie karku, więc musiała się udusić. Dusiła się długo... i przez cały czas łóżko było o cal, a ona o tym wiedziała. Przez cały czas mogła się uratować. Mogła zmienić zdanie. Ta kobieta chciała umrzeć. Nie, chciała zabić. Zamordować to dziecko w swoim łonie.

Oto kolejny dowód, jak zatwardziali w grzechu są Czarni. Wolała zadławić się na śmierć, niż dać życie półbiałemu dziecku z nadzieją na zbawienie. Czy ich zepsucie nie ma granic? Jak bogobojny człowiek może pomagać takim potworom?

- Ona się zabić, panie! - zawołała ta sama kobieta co poprzednio. Obejrzał się. Było już dostatecznie widno, żeby stwierdzić, że to istotnie Miedzianka. - Ona czekać na jutro noc i zabić ktoś inny! My musieć ją polać krew z kurczaka.

- Niedobrze mi się robi na samą myśl, że śmierć tej nieszczęsnej kobiety chcecie wykorzystać, żeby upiec kurczaka. Będzie miała uczciwy pogrzeb, a jej dusza nikogo nie skrzywdzi, chociaż bez wątpienia jako samobójczyni będzie się wiecznie smażyć w piekle.

Miedzianka zaniosła się płaczem, a pozostałe kobiety szybko do niej dołączyły. Cavil i Tłusty Lis wybrali paru młodych kozłów do kopania grobu - oczywiście nie na cmentarzu, bo samobójczyni nie mogła spocząć w poświęconej ziemi. W lesie, między drzewami, bez żadnej tabliczki, która nie należy się bestii, co morduje własne szczenię.

Przed zmrokiem leżała w ziemi. Umarła samobójczą śmiercią, więc Cavil nie mógł prosić katolickiego księdza ani kapłana baptystów, żeby odmówili modlitwę nad jej grobem. Chciał sam powiedzieć właściwe słowa, ale akurat dzisiaj zjawił się wędrowny kaznodzieja, którego wcześniej zaprosił na kolację. Służba domowa posłała go do kwater niewolników. Trafił na pogrzeb i zaproponował pomoc.

- Nie musicie tego robić - rzekł Cavil.

- Niech nikt nigdy nie powie, że wielebny Philadelphia Thrower nie niesie chrześcijańskiej miłości wszystkim dzieciom bożym, Białym i Czarnym, świętym i grzesznikom.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Słysząc to, Czarni wytrzeszczyli oczy, a Cavil Planter również, choć z przeciwnych niż oni powodów. To było emancypacjonistyczne gadanie i Cavil przeraził się nagle, że zapraszając tego prezbiteriariskiego kaznodzieję, wprowadził do domu diabła. Ale trudno. Pozwalając, by modlitwę nad grobem odmówił prawdziwy kapłan, uciszy zabobonne lęki Czarnych.

I rzeczywiście. Kiedy padły już właściwe słowa, niewolnicy uspokoili się od razu. Skończyło się to upiorne zawodzenie.

Przy kolacji kapłan zdołał uspokoić również Cavila.

- Wierzę - powiedział - że należy to do wielkiego boskiego planu, by Czarni przybywali do Ameryki w łańcuchach. Jak dzieci Izraela, przez lata cierpiące w egipskiej niewoli, tak i te czarne dusze cierpią pod batem samego Pana naszego, który je kształtuje dla swoich celów. Emancypacjoniści rozumieją jedną tylko prawdę: że Bóg kocha swoje czarne dzieci. Ale niczego więcej nie pojmują. Gdyby postawili na swoim i uwolnili od razu wszystkich niewolników, szatańskim planom by się przysłużyli, nie bożym. Albowiem bez niewolnictwa Czarni nie mają żadnej nadziei wydźwignięcia się z barbarzyństwa, - To bardzo teologiczna przemowa - przyznał Cąvil.

- Czy ci Emancypacjoniści nie rozumieją, że każdy Czarny, który ucieka od swego prawowitego pana na północ, skazany jest na wieczne potępienie - on sam i dzieci jego? Równie dobrze mogliby zostać w Afryce. Biali na północy nienawidzą Czarnych, i tak być powinno, gdyż tylko najgorsi, najbardziej dumni i hardzi Czarni ośmielają się narażać Bogu, opuszczając swych panów. Ale wy tutaj, w Appalachee i w Koloniach Korony, wy naprawdę ich kochacie, gdyż tylko wy bierzecie na siebie odpowiedzialność za te zbłąkane dzieci boże i pomagacie im kroczyć drogą ku pełnemu człowieczeństwu.

- Może i jesteście prezbiterianinem, wielebny, ale znacie prawdziwą religię.

- Cieszę się, że trafiłem do domu człowieka bogobojnego, bracie Cavilu.

- Mam nadzieję, że jestem waszym bratem, wielebny.

I tak toczyła się ich rozmowa. Płynął czas, a oni coraz większą czuli do siebie sympatię. Wieczorem, gdy wyszli się ochłodzić na werandzie, Cavil pomyślał, że oto spotkał nareszcie człowieka, któremu mógłby zdradzić część swej wielkiej tajemnicy.

Zaczął z pozoru obojętnie.

- Jak myślicie, wielebny, czy Pan Bóg przemawia jeszcze dzisiaj do ludzi?

- Wiem, że tak - odparł z powagą Thrower.

- Myślicie, że mógłby przemówić nawet do prostego człowieka, takiego jak ja?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie wolno wam tego żądać, bracie Cavilu. Albowiem Pan nasz tam podąża, gdzie sam zechce, nie tam, gdzie byśmy sobie życzyli. Jednakże wiem, że nawet najniższy z Jego sług może spotkać... gościa.

Dreszcz przeszył Cavila. Thrower przemawiał tak, jakby już znał jego sekret. Ale mimo to Cavil nie powiedział wszystkiego od razu.

- Wiecie, co myślę? - zapytał. - Myślę, że Pan Bóg nie może pojawić się w swojej prawdziwej postaci, bo jego gloria zabiłaby człowieka śmiertelnego.

- W rzeczy samej - przyznał Thrower. - Kiedy Mojżesz zapragnął ujrzeć Pana, Pan zasłonił mu oczy dłonią.

- Gdyby, na przykład, taki człowiek jak ja zobaczył samego Pana Jezusa, tylko niepodobnego do żadnego obrazu, ale wyglądającego jak nadzorca? Myślę, że człowiek widzi nie prawdziwy majestat boży, ale to, co pozwala mu pojąć boską potęgę.

Thrower z mądrą miną pokiwał głową.

- To całkiem możliwe - orzekł. - Bardzo prawdopodobne wyjaśnienie. A może widzieliście tylko anioła.

I stało się. Tak po prostu. Od "gdyby taki człowiek jak ja zobaczył" do "zobaczyliście anioła". Ci dwaj byli bardzo do siebie podobni. Cavil opowiedział całą historię, po raz pierwszy od dnia, kiedy się zdarzyła siedem lat temu.

Kiedy skończył, Thrower ujął go za rękę i uścisnął po bratersku. Płomiennym wzrokiem spoglądał mu w oczy.

- Gdy pomyślę o waszym poświęceniu! Obcujecie cieleśnie z tymi czarnymi kobietami, aby w ten sposób służyć Panu! Ile dzieci?

- Dwadzieścia pięć sztuk przyszło na świat żywych. Pomagaliście grzebać dwudzieste szóste w brzuchu Salamandy.

- A gdzież są te półbiałe dzieci, w których nadzieja nieszczęsnej rasy?

- To połowa mojej pracy. Przed Traktatem o Zbiegłych Niewolnikach jak najszybciej sprzedawałem je na południe, aby tam dorosły i roznosiły białą krew w Koloniach Korony. Każdy z nich przez swe nasienie stanie się misjonarzem. Oczywiście, kilka ostatnich zatrzymałem tutaj. Nie jest to całkiem bezpieczne, wielebny. Cała moja trzoda w płodnym wieku to Czarni. Ludzie muszą się zastanawiać, skąd się biorą ci mali mieszańcy. Ale na razie mój nadzorca, Lashman, nawet jeśli coś zauważył, nie puszcza pary z gęby. A nikt poza nim ich nie widzi.

Thrower kiwnął głową, ale wyraźnie myślał o czymś innym. - Jest ich tylko dwadzieścia pięć?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Starałem się jak mogłem - zapewnił Cavil. - Nawet czarna kobieta nie pocznie dziecka zaraz po urodzeniu.

- Chciałem powiedzieć... Widzicie, ja również miałem... odwiedziny. Dlatego tutaj właśnie podążałem przez całe Appalachee. Powiedziano mi, że spotkam farmera, który również zna mojego Przybysza i który począł dwadzieścia sześć żyjących darów dla Boga.

- Dwadzieścia sześć...

- Żyjących.

- No więc, widzicie... jak by to powiedzieć... W tych rachunkach pominąłem pierwszego chłopca, który mi się urodził. Dlatego, że jego matka uciekła i ukradła mi go kilka dni przed sprzedażą na południe. Musiałem oddać nabywcy gotówkę. Tropienie nie pomogło, bo psy nie potrafiły odszukać jej śladu. Niewolnicy opowiadali, że zamieniła się w kruka i odleciała, ale sami wiecie, jakie historie oni powtarzają.

- Czyli jednak dwadzieścia sześć sztuk. Powiedzcie mi jeszcze jedno: czy z jakiegoś powodu mówi wam coś imię "Hagar"?

Cavil zakrztusił się niemal.

- Nikt nie wiedział, że jego matkę nazywałem tym imieniem!

- Przybysz powiedział mi, że Hagar ukradła wasz pierwszy dar.

- To On. Wy też Go widzieliście.

- Do mnie przychodzi jako... nie jako nadzorca. Raczej jako uczony, człowiek niezgłębionej mądrości. Pewnie dlatego, że sam jestem uczonym, poza moim powołaniem kapłańskim. Zawsze sądziłem, że jest zaledwie aniołem... co ja mówię: zaledwie... nie śmiałem żywić nadziei, że to sam... sam Pan. Ale teraz zastanawiam się... Czy to możliwe, żebyśmy obaj doświadczyli obecności Pana naszego? Och, Cavilu, jak mogę w to wątpić? Po cóż innego Pan doprowadziłby do naszego spotkania? To znaczy... znaczy, że mi wybaczył.

- Wybaczył?

Twarz Throwera pociemniała. Cavil próbował go uspokoić.

- Nie, nic nie musicie mówić, jeśli nie chcecie.

- Ja... sama myśl o tym jest nie do zniesienia. Ale teraz, kiedy znowu mnie przyjął... a przynajmniej dał mi jeszcze jedną szansę... Bracie Cavilu, otrzymałem kiedyś misję do wypełnienia, misję mroczną, trudną i równie sekretną jak wasza. Tyle że wam nie brakło odwagi i wytrwałości, żeby zwyciężyć. A ja zawiodłem. Próbowałem, ale nie starczyło mi sprytu i waleczności, aby przezwyciężyć diabelską moc. Myślałem, że Pan mnie odepchnął. Dlatego zostałem wędrownym kaznodzieją. Czułem, że nie jestem godny stanąć na własnej ambonie. Ale teraz...

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Cavil pokiwał głową. Ściskał dłoń Throwera i łzy spływały mu po policzkach.

Wreszcie kapłan podniósł głowę.

- Jak sądzicie, czy nasz... przyjaciel chciałby, żebym wam pomógł? I w jaki sposób?

- Trudno powiedzieć - westchnął Cavil. - Ale jest tylko jeden sposób, który od razu nasuwa się na myśl.

- Bracie Cavilu, nie jestem pewien, czy potrafię sprostać temu strasznemu obowiązkowi.

- Według moich doświadczeń, Pan daje mężczyźnie siłę i czyni to... znośnym.

- Jednak w moim przypadku, bracie Cavilu... Widzicie, nigdy nie poznałem kobiety tak, jak mówi o tym Biblia. Raz tylko moje wargi dotknęły kobiecych ust, a stało się to wbrew mej woli.

- W takim razie postaram się wam pomóc. Może najpierw pomodlimy się razem, długo i szczerze, a potem wam pokażę?

Żaden z nich nie miał lepszego pomysłu. Tak więc zrobili i okazało się, że wielebny Thrower jest pojętnym uczniem. Cavil z radością i ulgą powitał kogoś, kto przyłączył się do niego w zbożnym dziele. Nie mówiąc już o pewnej szczególnej przyjemności, że ktoś mu się przyglądał, a potem on sam przyglądał się jemu. To było jak braterstwo dusz, gdy ich nasienie zmieszało się w jednym naczyniu, jeśli można tak to określić.

- Kiedy przyjdzie czas zebrać plon, bracie Cavilu, nie odgadniemy, czyje ziarno tu wzeszło, albowiem tym razem Pan wspólnie kazał nam uprawiać pole.

A potem wielebny Thrower spytał o imię dziewczyny.

- Na chrzcie daliśmy jej imię Hapsibah, ale tutaj nazywają ją Robaczka.

- Robaczka?

- Oni wszyscy przyjmują imiona zwierząt. Myślę, że ta dziewczyna nie ma o sobie zbyt wysokiego mniemania.

Słysząc to, Thrower ujął dłoń i poklepał dłoń Robaczki, delikatnie, jakby byli mężem i żoną. Niewiele brakowało, by Cavil wybuchnął śmiechem.

- Wiesz, Hapsibah, musisz używać swojego chrześcijańskiego imienia - powiedział Thrower. - Nie takiego poniżającego, zwierzęcego przezwiska.

Skulona na materacu Robaczka przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego nie odpowiada, bracie Cavilu?

- Nigdy nie mówią w czasie tego... Wybiłem im to z głów już na samym początku... Zawsze próbowały mnie przekonać, żebym tego nie robił. Uznałem, że lepiej nic nie słyszeć niż słyszeć słowa, które diabeł im podpowiada.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Thrower zwrócił się do kobiety.

- Proszę cię teraz, żebyś do mnie przemówiła, Hapsibah. Nie będziesz powtarzać słów diabła, prawda?

W odpowiedzi wzrok Robaczki przesunął się w górę, gdzie wisiał jeszcze kawałek prześcieradła zawiązany wokół krokwi dachu. Było odcięte poniżej węzła.

Twarz Throwera pozieleniała.

- To znaczy że w tym pokoju... ta dziewczyna, którą pochowaliśmy...

- Tu jest najlepsze łóżko - wyjaśnił Cavil. - Nie chciałem, żebyśmy to robili na sienniku.

Thrower nie odpowiedział. Wybiegł za drzwi i zniknął w ciemności. Cavil westchnął, podniósł latarnię i podążył za nim. Znalazł Throwera pochylonego nad pompą. Słyszał, jak Robaczka wymyka się z pokoju, gdzie umarła Salamanda, i biegnie do swojej chaty. Nie przejmował się nią. Martwił go Thrower. Chyba nie stracił panowania nad sobą do tego stopnia, żeby wymiotować do studni!

- Nic mi nie jest - wyszeptał Thrower. - Ja tylko... Ten sam pokój... Nie jestem przesądny, rozumiecie. Ale przecież szacunek dla zmarłych...

Ach, ci z północy... Nawet jeśli wiedzą to czy owo o niewolnictwie, cały czas myślą o Czarnych tak, jakby to byli ludzie. Czy człowiek przestaje używać pokoju w swoim domu tylko dlatego, że kiedyś zginęła w nim mysz? Albo zabił na ścianie pająka? Czy spali własną stajnię, bo zdechł w niej jego ulubiony koń?

W każdym razie Thrower wziął się w garść, podciągnął spodnie, zapiał je porządnie, a potem wrócili do domu. Brat Cavil odprowadził Throwera do pokoju gościnnego. Rzadko ktoś z niego korzystał i chmura kurzu uniosła się w powietrze, gdy gospodarz strzepnął kołdrę.

- Powinienem wiedzieć, że niewolnicy nie sprzątają tu porządnie.

- To nieważne - uspokoił go Thrower. - Noc jest ciepła i nie potrzebuję przykrycia.

W drodze do sypialni Cavil przystanął pod drzwiami i przez moment wsłuchiwał się w oddech żony. Jak to się czasem zdarzało, słyszał, że jęczy cicho. Pewnie bardzo cierpi. Panie mój, pomyślał Cavil, jak wiele jeszcze razy muszę wykonać Twój rozkaz, zanim okażesz mi łaskę i uleczysz moją Dolores? Ale nie zajrzał do niej. Nie mógł jej ulżyć, chyba że modlitwą, a przecież także musiał się wyspać. Było już późno, a jutro czekało go sporo pracy.

Dolores miała ciężką noc. Spała jeszcze w porze śniadania. Cavil zjadł je razem z Throwerem. Kapłan pochłonął zadziwiającą porcję kiełbasy. Kiedy trzeci raz oczyścił talerz, zerknął z uśmiechem na Cavila.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Służba Panu potrafi zaostrzyć człowiekowi apetyt!

Obaj się roześmiali.

Po śniadaniu wyszli razem na dwór. Przypadkiem znaleźli się na skraju lasu, niedaleko grobu Salamandy. Thrower zaproponował, żeby tam zajrzeć. Bez tego Cavil pewnie nigdy by nie odkrył, co Czarni zrobili w nocy: na całym grobie były odciski stóp, a zdeptana ziemia zmieniła się w błoto. Teraz już wysychało, a wszędzie chodziły mrówki.

- Mrówki? - zdziwił się Thrower. - Pod ziemią nie mogły wyczuć ciała.

- Nie - zgodził się Cavil. - Znalazły coś, co jest świeższe i całkiem na wierzchu. Patrzcie: pocięte wnętrzności.

- Chyba nie ekshumowali jej i...

- To nie jej wnętrzności. Pewnie jakiejś wiewiórki albo ptaka. W nocy złożyli ofiarę diabłu.

Thrower natychmiast zaczął szeptem odmawiać modlitwę.

- Wiedzą, że nie pozwalam na takie rzeczy - rzekł Cavil. - Do wieczora wszystkie ślady z pewnością by zniknęły. Okazują mi nieposłuszeństwo za moimi plecami. Dość tego!

- Teraz pojmuję, jak ogromną pracę wykonują właściciele niewolników. Diabeł trzyma dusze tych Czarnych w żelaznym uchwycie.

- To prawda. Ale dzisiaj za to zapłacą. Chcą, żeby krew spływała na jej grób? Dobrze, ale to będzie ich krew. Panie Lashman! Gdzie pan jest? Panie Lashman!

Przybiegł nadzorca.

- Święto. Czarni będą mieli pół dnia wolnego.

Lashman nie pytał, dlaczego.

- Których mam wychłostać?

- Wszystkich. Po dziesięć batów każdemu. Oczywiście z wyjątkiem ciężarnych kobiet. Ale nawet one... po razie, w uda. I wszyscy mają patrzeć.

- Kiedy patrzą, sir, robią się niespokojni.

- Wielebny Thrower i ja też popatrzymy - oznajmił Cavil.

Lashman poszedł zwołać niewolników. Thrower wymruczał coś... że niby wcale nie chce tego oglądać.

- To zbożne dzieło - rzekł Cavil. - Mam dość siły woli, żeby przyglądać się każdemu godnemu czynowi. Po dzisiejszej nocy myślałem, że wy również.

No i patrzyli wspólnie na chłostanych kolejno niewolników. Krew spływała na grób Salamandy. Po krótkiej chwili Thrower przestał drgać przy każdym uderzeniu bata. Cavil

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

obserwował go z zadowoleniem - ten człowiek nie był słaby, tylko trochę miękki. Ale to wina wychowania w Szkocji i życia na północy.

Kiedy wymierzono karę, wielebny Thrower zaczął szykować się do wyjazdu - obiecał wygłosić kazanie w miasteczku o pół dnia drogi na południe. Przed pożegnaniem zwrócił się jeszcze do Cavila.

- Zauważyłem, że wasi niewolnicy są... nie to, żeby starzy, rozumiecie, ale i nie młodzi.

Cavil wzruszył ramionami.

- To przez Traktat o Zbiegłych Niewolnikach. Moja plantacja świetnie prosperuje, ale mimo to nie wolno mi kupować ani sprzedawać niewolników. Jesteśmy teraz częścią Stanów Zjednoczonych. Większość sąsiadów radzi sobie rozmnażając ich, ale, jak wiecie, moi pikaninowie do niedawna trafiali na południe. A teraz straciłem następną płodną sztukę. Zostało mi tylko pięć kobiet. Salamanda była najlepsza. Reszcie niewiele już pozostało lat rodzenia.

- Przyszło mi do głowy... - Thrower urwał, zamyślony.

- Co takiego?

- Wiele podróżowałem na północy, bracie Cavilu. Prawie w każdym miasteczku w Hio, Suskwahenny, Irrakwa i Wobbish mieszka jedna czy dwie rodziny Czarnych. A przecież obaj wiemy, że Czarni nie rosną na drzewach.

- Sami zbiegowie.

- Bez wątpienia niektórzy legalnie uzyskali wolność. Ale wielu... z pewnością bardzo wielu to uciekinierzy. Jak rozumiem, każdy właściciel przechowuje skarbczyk z włosami, ścinkami paznokci i...

- A tak. Pobieramy je natychmiast po urodzeniu albo zaraz po zakupie. Dla odszukiwaczy.

- Właśnie.

- Ale nie możemy posyłać odszukiwaczy, żeby zbadali każdą stopę ziemi na północy w nadziei, że przypadkiem trafią na jakiegoś konkretnego zbiega. Koszt byłby wyższy niż cena niewolnika.

- Mam wrażenie, że ceny niewolników ostatnio bardzo wzrosły.

- Jeśli rozumiecie przez to, że nie można ich kupić za żadną cenę...

- Właśnie tak, bracie Cavilu. A gdyby odszukiwacze nie musieli ruszać na ślepo, licząc na przypadek? Gdybyście na północy wynajęli ludzi, którzy przebadają dokumenty i

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

zanotują imię i wiek każdego Czarnego, którego tam zobaczą? Wtedy odszukiwacze jechaliby uzbrojeni w te informacje.

Pomysł był tak znakomity, że Cavil zatrzymał się w pół kroku.

- W tym musi tkwić jakiś problem. Inaczej ktoś już by to robił.

- Powiem wam, czemu nikt jeszcze nie próbował. Na północy właściciele niewolników nie cieszą się sympatią. Ludzie tam wprawdzie nie znoszą swoich czarnych sąsiadów, ale ich zbłąkane sumienia nie pozwalają im współpracować przy żadnym pościgu. Każdy południowiec ruszający na północ po swojego zbiegłego niewolnika szybko się przekonuje, że jeśli nie ma ze sobą odszukiwacza albo jeśli trop już wystygł, nie warto nawet próbować.

- Szczera prawda. Ci z północy to złodziejska banda. Spiskują, żeby uczciwy człowiek nie mógł odzyskać swojej własności.

- A gdyby to ludzie z północy zajęli się poszukiwaniami? Gdybyście mieli na północy agenta, może nawet kapłana, który w to dzieło wciągnąłby innych i znalazłby godnych zaufania ludzi? Taka działalność jest kosztowna, ale czy wobec niemożliwości zakupu nowych niewolników w Appalachee plantatorzy nie sypnęliby złotem, aby sfinansować poszukiwania zbiegów?

- Czy by zapłacili? Dwa razy tyle ile zażądacie. Zapłacą z góry, jeśli to wy się tym zajmiecie.

- Powiedzmy, że ustaliłbym opłatę dwudziestu dolarów za rejestrację zbiega: data urodzenia, imię, rysopis, czas i okoliczności ucieczki... A potem tysiąc dolarów, jeśli dostarczę informacji prowadzącej do jego schwytania.

- Pięćdziesiąt dolarów za rejestrację, inaczej nie potraktują was poważnie. I następne pięćdziesiąt, kiedy prześlecie informację, nawet jeśli okaże się mylna. I trzy tysiące za schwytanych zdrowych zbiegów.

Thrower uśmiechnął się lekko.

- Nie chciałbym ciągnąć nieuczciwych zysków ze słusznej pracy.

- Zysków? Wielu ludzi chętnie zapłaci, jeśli dobrze wykonacie tę robotę. Powiem wam, Thrower. Napiszcie kontrakt i niech drukarz w mieście wydrukuje wam tysiąc kopii. A potem przejedźcie się i opowiedzcie o swoich planach tylko jednemu plantatorowi w każdym mieście, do którego traficie w Appalachee. Moim zdaniem po tygodniu będziecie musieli dodrukować nowe egzemplarze. Nie mówimy tu o zyskach, mówimy o wartości usługi. Mogę się założyć, że wpłyną do was pieniądze nawet od takich, którym nikt jeszcze nie uciekł. Jeżeli sprawicie, by rzeka Hio nie była dla nich ostatnią barierą w drodze do wolności, to

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

zapłacą nie tylko za odzyskanie dawnych uciekinierów, ale i za to, że niewolnicy stracą nadzieję i zostaną u swojego pana.

Nie minęło pół godziny, a Thrower znowu wyszedł z domu i wskoczył na konia - ale teraz miał przy sobie projekt kontraktu, listy polecające od Cavila do jego adwokata i do drukarza, a także list kredytowy na sumę pięciuset dolarów. Kiedy protestował, że to za wiele, Cavil nie chciał go słuchać.

- Żebyście mieli z czym zacząć - powiedział. - Obaj wiemy, czyje dzieło wykonujemy. To wymaga pieniędzy. Ja je mam, a wy nie. Dlatego schowajcie to i zabierajcie się do pracy.

- Oto chrześcijańska postawa - westchnął Thrower. - Jak dawni święci, którzy wszelkie dobro mieli wspólne.

Cavil klepnął Throwera w kolano. Kapłan sztywno siedział w siodle. Ci z północy zwyczajnie nie potrafią dosiadać konia.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego - stwierdził. - Mieliśmy te same wizje, tak samo pracowaliśmy przy zbożnym dziele, a jeśli to nie czyni z nas dwóch kropli wody, tu już nie wiem, co jeszcze by mogło.

- Kiedy następnym razem zobaczę Przybysza... jeśli spotka mnie to szczęście, to... wiem, że będzie zadowolony.

- Amen - odpowiedział Cavil.

Klepnął konia Throwera i odprowadził go wzrokiem. Moja Hagar. On znajdzie moją Hagar i jej syna. Już prawie siedem lat temu ukradła mi mojego pierworodnego. A teraz wróci. I tym razem będę ją trzymał w łańcuchach. Urodzi mi więcej dzieci, dopóki będzie mogła rodzić. A co do chłopca, będzie moim Iszmaelem. Takie dam mu imię: Iszmael. Zatrzymam go tutaj, wychowam na silnego, posłusznego i szczerego chrześcijanina. A kiedy dorośnie, będę go wynajmował do pracy na innych plantacjach. I tam, nocami, podejmie moje dzieło, rozprzestrzeniając wybrane nasienie w całym Appalachee. Wtedy potomstwo moje będzie niezliczone niczym ziarnka piasku. Jak Abrama.

I kto wie? Może zdarzy się cud i moja ukochana żona odzyska zdrowie, pocznie i urodzi mi czysto białe dziecko, mojego Izaaka, który odziedziczy moją ziemię i wszelkie moje dzieła. Panie mój, Nadzorco, bądź dla mnie łaskawy!

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 17 - ORTOGRAFIA

Na początku stycznia spadł głęboki śnieg, a wiatr dmuchał tak ostro, że nos zamarzał na kamień. Oczywiście, Makepeace zdecydował, że to on w taki dzień będzie pracował w kuźni, Alvin zaś pojedzie do miasta po zakupy i dostarczy klientom wykonane sprzęty. Latem zwykle działo się na odwrót.

Nie szkodzi, pomyślał Alvin. W końcu on tu rządzi. Ale jeśli kiedyś będę mistrzem we własnej kuźni i jeśli będę miał terminatora, na pewno będzie lepiej traktowany niż ja. Mistrz i uczeń powinni pracować tak samo, chyba że uczeń nie wie jak, a wtedy mistrz powinien go uczyć. Na tym polega umowa, a nie na tym, żeby mieć niewolnika i żeby zawsze uczeń jechał wozem przez głęboki śnieg.

Właściwie wcale nie musi brać wozu. Sanie z parą koni Horacego Guestera lepiej się nadadzą, a Horacy na pewno ich pożyczy. Pod warunkiem, że załatwi też zakupy dla zajazdu.

Alvin opatulił się szczelnie i ruszył pod wiatr. Przez całą drogę do zajazdu wiało mu prosto w twarz, od zachodu. Poszedł ścieżką obok domku panny Larner, bo to była najkrótsza trasa i biegła wśród drzew, które osłaniały go od wichury. Nauczycielki, oczywiście, nie było. Ale starą źródlaną szopę traktował Alvin jak szkołę i przechodząc obok drzwi zaczął myśleć o swojej nauce.

Panna Larner mówiła mu o rzeczach, które nigdy wcześniej nie przyszły mu na myśl. Spodziewał się więcej rachunków, czytania i pisania... Tym też się zajmowali, a jakże. Ale nie kazała mu czytać tych samych prostych zdań, co dzieciakom - choćby Arthurowi Stuartowi, który co wieczór siadał przy lampie w źródlanej szopie. Nie; panna Larner opowiadała Alvinowi o ideach, o których dotąd nie miał pojęcia. Ich dotyczyło całe jego pisanie i liczenie.

Na przykład wczoraj.

- Najmniejszą cząstką materii jest atom - powiedziała. - Według teorii Demostenesa, wszystko składa się z mniejszych elementów. Aż w końcu dochodzimy do atomu, który jest najmniejszy i nie da się podzielić.

- A jak wygląda? - spytał Alvin.

- Nie wiem. Jest za mały, żeby go zobaczyć. A ty wiesz?

- Raczej nie. Nigdy nie widziałem czegoś tak małego, żeby nie dało się przeciąć na połowy.

- Ale czy możesz sobie wyobrazić coś mniejszego?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Tak, ale to też mogę rozbić.

Westchnęła.

- Pomyśl dobrze, Alvinie. Gdyby istniało coś tak małego, że nie można by tego podzielić, jakie by było?

- Chyba naprawdę malutkie.

Ale żartował. To był kłopot: starał się podejść do niego tak, jak zwykle do problemów praktycznych. Wysłał swój przenikacz w podłogę. Niestety, jako drewno, podłoga była gąszczem różnych rzeczy: porwanych i kiedyś żywych serc drzew. Alvin posłał więc przenikacz w żelazo piecyka, które wewnątrz było prawie jednolite. A że zarazem gorące, to jego kawałki, najmniejsze widoczne cząsteczki, były aż rozmazane od szybkości. Ogień wewnątrz także promieniował na zewnątrz, a każda cząstka ciepła i światła tak mała i drobna, że Alvin z trudem utrzymywał w myśli jej wizerunek. Tak naprawdę to nigdy nie widział elementów ognia. Wiedział tylko, że właśnie przemknęły.

- Światło - powiedział głośno. - I ciepło. Nie można ich rozciąć.

- To prawda. Ogień nie jest taki jak ziemia: nie da się przeciąć. Ale można go zmienić, prawda? Można zgasić. Wtedy przestanie być sobą. A zatem jego cząstki to coś innego, nie mogą być niezmiennymi i niepodzielnymi atomami.

- No tak... Ale nie ma nic mniejszego niż te kawałki ognia, więc myślę, że nie ma czegoś takiego jak atomy.

- Alvinie, musisz skończyć z takim empirycznym podejściem do wszystkiego.

- Jakbym się poznał, co to jest, to bym skończył.

- Jakbym się dowiedział.

- Wszystko jedno.

- Nie na każde pytanie możesz odpowiedzieć w ten sposób, że siadasz nieruchomo i przenikasz przez skałę na dworze albo coś innego.

Alvin westchnął.

- Czasami żałuję, że pani powiedziałem, co robię.

- Chcesz, żebym cię nauczyła, co to znaczy być Stwórcą, czy nie chcesz?

- Właśnie chcę! A zamiast tego pani opowiada mi o atomach i grawitacji i... Nie obchodzi mnie, co powiedział ten stary oszust Newton ani nikt inny! Chcę wiedzieć, jak stworzyć... miejsce.

W ostatniej chwili przypomniał sobie, że Arthur Stuart siedzi w kącie i zapamiętuje każde wypowiedziane słowo, a nawet ton głosu. Nie ma sensu nabijać mu głowy gadaniem o Kryształowym Mieście.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Czy nie rozumiesz, Alvinie? Minęło tak wiele czasu... tysiące lat. Nikt naprawdę nie pamięta, czym jest i co robi Stwórca. Jedynie to, że żyli kiedyś tacy ludzie. I kilka czynów, do których byli zdolni. Na przykład przemiana żelaza albo ołowiu w złoto. Wody w wino. Takie rzeczy.

- Myślę, że żelazo w złoto jest łatwiej - stwierdził Alvin. - Metale są w środku takie same. Ale wino... Tam jest taka mieszanina różnych składników, że trzeba by być...

Nie potrafił wymyślić określenia największej mocy, jaką może dysponować człowiek.

- Stwórcą - podpowiedziała nauczycielka.

Tak, to odpowiednie słowo.

- Chyba.

- Mówię ci, Alvinłe, jeśli chcesz się nauczyć robić to, co kiedyś Stwórcy, musisz zrozumieć naturę rzeczy. Nie zdołasz zmienić tego, czego nie pojmujesz.

- I nie mogę pojąć tego, czego nie widzę.

- Błąd! Nieprawda, Alvinie Kowalu. Właśnie to, co widzisz, jest niezrozumiałe. Świat, który oglądasz, to jedynie przykład, przypadek szczególny. Ale zasady, które nim rządzą, porządek, który go utrzymuje... Te pozostają zawsze niewidzialne. Można je odkryć jedynie wyobraźnią, a to właśnie najbardziej zaniedbany aspekt twojego umysłu.

Wtedy Alvin po prostu się rozzłościł, na co ona powiedziała, że gwarantuje mu tylko jedno: iż pozostanie głupcem do końca życia. A on na to, że mu to wcale nie przeszkadza, jeśli tylko dzięki tej głupocie pożyje dostatecznie długo, wbrew wszelkim przeciwnościom i bez żadnej pomocy z jej strony. A potem wybiegł na dwór i spacerował długo, patrząc, jak opadają pierwsze śnieżne płatki zamieci.

Bardzo szybko wtedy zrozumiał, że nauczycielka miała rację i że przecież wiedział o tym od samego początku. Wiedział. Posyłał swój przenikacz, żeby zobaczyć, co jest... Ale kiedy chciał coś zmienić, najpierw musiał pomyśleć, co chciałby, żeby się stało. Musiał sobie wyobrazić coś, czego nie ma, musiał utrzymać w myślach ten wizerunek, a potem... Potem z tą mocą, z którą przyszedł na świat, ale której wciąż nie rozumiał, mówił: "Widzicie? Takie powinnyście się stać!" I wtedy, czasem szybko, czasem powoli, cząsteczki poruszały się i ustawiały jak należy. Zawsze tak robił: kiedy oddzielał fragment litej skały, kiedy łączył razem dwa kawałki drewna, kiedy czynił żelazo mocnym i dobrym, gładko i równo rozsmarowując żar ognia po dnie tygla.

A więc widzę w myślach to, czego nie ma, i dzięki temu to właśnie się staje.

Przez jeden przerażający, oszałamiający moment zastanawiał się, czy może cały świat tylko sobie wyobraził. I że świat zniknie, kiedy przestanie o nim myśleć. Oczywiście, zaraz

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

powrócił rozsądek. Gdyby wyobraził sobie ten świat, nie byłoby w nim tylu dziwacznych rzeczy, o których nigdy by sam nie pomyślał.

Może więc świat jest tylko snem Boga? Nie, to też niemożliwe. Jeśli Bóg śnił o takich ludziach jak Biały Morderca Harrison, to nie jest zbyt dobry. Nie. Najlepsze wyjaśnienie, jakie przyszło Alvinowi do głowy, to takie, że Bóg działał tak jak on: mówił skałom w ziemi i ogniu słońca i różnym rzeczom, jakie powinny być, i pozwalał, by takie się stały. Ale kiedy powiedział to ludziom, oni zwyczajnie zagrali mu na nosie. Przynajmniej większość. A inni udawali, że są posłuszni, ale dalej robili, co chcieli. Planety, gwiazdy i żywioły, wszystko to może pochodzić z myśli Boga, ale ludzie są za bardzo kłótliwi, żeby winić za nich kogokolwiek - oprócz nich samych.

Do tej granicy dotarł Alvin wczoraj wieczorem, w śniegu - zastanawiając się nad tym, czego się nigdy nie dowie. Nad tym, o czym śni Bóg, jeśli w ogóle zasypia, i czy co noc stwarza nowy świat pełen ludzi. Problemy, które nawet o krok nie mogły go zbliżyć do zostania Stwórcą.

I dzisiaj, brnąc przez śnieg i pod wiatr do zajazdu, wrócił do początkowego pytania: jak mógłby wyglądać atom. Próbował sobie wyobrazić coś tak małego, że nie potrafiłby tego podzielić. Ale ledwie pomyślał o czymś takim: małej kostce czy małej kulce lub czymś podobnym, zaraz sobie wyobrażał, jak rozcina to na połowy.

Nie da się czegoś rozciąć tylko wtedy, kiedy jest tak cienkie, że cieńsze już być nie może. Pomyślał o czymś sprasowanym tak mocno, że jest cieńsze niż papier. Tak cienkie, że z jednej strony zwyczajnie nie istnieje. Kiedy się spojrzy od krawędzi, zwyczajnie nic tam nie ma. Ale nawet wtedy, chociaż nie można tego podzielić wzdłuż krawędzi, zawsze można to coś obrócić i rozciąć. Jak papier.

Zatem... gdyby ścisnąć to również z drugiej strony, żeby było samą krawędzią, najcieńszą nicią, jaką tylko można sobie wyobrazić? Nikt byjej nie widział, ale by istniała, ponieważ rozciągałaby się stąd dotąd. Jasne, nie mógłby jej podzielić wzdłuż krawędzi i nie miałaby też płaskiej jak papier powierzchni. Ale skoro sięgała - jak niewidoczna nić - od jednego punktu do drugiego, jakkolwiek mała byłaby odległość między nimi, nadal mógł sobie wyobrazić, jak rozcinają na połowy, a potem jeszcze raz.

Nie. Żeby coś było tak małe jak atom, nie może mieć rozmiaru w żadnym kierunku: długości, szerokości ani wysokości. Tak, to byłby atom... tyle że on by nawet nie istniał; byłby niczym. Tylko pustym miejscem.

Stał na ganku zajazdu i tupał, otrzepując śnieg z butów. To lepszy od pukania sposób powiadomienia gospodarzy, że przyszedł. Słyszał szybkie kroki Arthura Stuarta, który biegł,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

żeby otworzyć drzwi. Jednak Alvin myślał wyłącznie o atomach. Bo kiedy już doszedł do wniosku, że nie może być żadnych atomów, zaczynał sobie uświadamiać, że jeszcze bardziej szalony jest pomysł, że atomy nie istnieją. Że wszystko da się zawsze podzielić na mniejsze części, a potem jeszcze mniejsze i jeszcze, bez końca. A przecież kiedy się dobrze zastanowić, to po prostu nie ma innego wyjścia. Tak albo tak. Albo dochodzi się do kawałka, którego nie można rozciąć, i to jest atom, albo się nie dochodzi i można dzielić przez wieczność. A tego Alvin nie potrafił sobie wyobrazić.

Wszedł do kuchni, niosąc Arthura Stuarta na barana. Dzieciak bawił się szalikiem i czapką Alvina. Horacy Guester w stodole napychał słomą nowe sienniki, więc Alvin o pożyczenie sań poprosił Peg. W kuchni było gorąco, a Peg była chyba w złym humorze. Pozwoliła mu wziąć sanie, jednak pod pewnym warunkiem.

- Uratuj życie pewnego dziecka, Alvinie, i zabierz ze sobą Arthura Stuarta - poprosiła. - Przysięgam, jeśli jeszcze raz coś spsoci, to wieczorem skończy w puddingu.

To fakt, że Arthur Stuart miał wyraźnie ochotę na figle. W tej chwili dusił Alvina szalikiem i śmiał się jak szalony.

- Może się pouczymy? - zaproponował Alvin. - Jak się pisze "wydać ostatnie tchnienie"?

- W-Y-D-A-Ć - odpowiedział Arthur Stuart. - O-S-T-A-T-N-I-E T-H-N-I-E-N-I-E.

Choć zirytowana, Peg Guester wybuchnęła śmiechem. Nie dlatego, że źle przeliterował "tchnienie", ale że bezbłędnie naśladował głos nauczycielki.

- Słowo daję, Arthurze Stuarcie - oświadczyła. - Lepiej, żeby panna Larner tego nie słyszała, mogłaby to źle odebrać. I byłby to koniec ze szkołą.

- To dobrze! Nienawidzę szkoły!

- Nie nienawidzisz jej nawet w połowie tak bardzo, jakbyś nienawidził pracy ze mną w kuchni. Codziennie, od rana do wieczora, latem i zimą. Nawet w niedziele.

- Równie dobrze mógłbym zostać niewolnikiem w Appalachee! - zawołał chłopiec.

Peg Guester przestała żartować, przestała się złościć i spoważniała nagle.

- Nie mów tego nawet w żartach, Arthurze. Ktoś kiedyś umarł, żeby cię uchronić przed takim losem.

- Wiem - oznajmił Arthur.

- Nie, nie wiesz, ale na przyszłość zastanów się, zanim...

- To była moja mama.

Teraz Peg się wystraszyła. Zerknęła na Alvina.

- Zresztą to nieważne - rzuciła szybko.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Moja mama była krukiem - dodał Arthur. - Leciała wysoko, ale potem ziemia ją złapała i ona utknęła i umarła.

Alvin zauważył, że Peg Guester spogląda na niego nerwowo. Może więc było coś w tej Arthurowej bajce o lataniu. Może dziewczyna pochowana obok Vigora sprowadziła jakoś kruka, żeby przeniósł ją i dziecko. A może to tylko wizja. W każdym razie Peg Guester postanowiła zachowywać się tak, jakby to były tylko dziecinne wymysły. Za późno, żeby oszukać Alvina, ale przecież nie mogła o tym wiedzieć.

- Bardzo ładna historia - powiedziała.

- To prawda - oświadczył Arthur. - Pamiętam.

Peg Guester nagle zdenerwowała się jeszcze bardziej. Jednak Alvin wiedział, że z Arthurem nie warto się nawet kłócić o to, czy latał kiedyś na kruku. Był tylko jeden sposób, żeby przestał o tym mówić: należało zainteresować go czymś innym.

- Chodźmy już, Arthurze Stuarcie - powiedział. - Może kiedyś twoja mama była krukiem, ale mam przeczucie, że twoja mama tutaj za chwilę zacznie ugniatać cię jak ciasto.

- Nie zapomnij, co masz dla mnie kupić - rzuciła jeszcze Peg.

- Proszę się nie martwić - uspokoił ją Alvin. - Mam listę.

- Nie widziałam, żebyś coś zapisywał!

- Arthur Stuart jest moją listą. Arthurze, pokaż mamie. Chłopiec nachylił się do ucha Alvina i wrzasnął tak głośno, jakby chciał, żeby bębenki popękały mu aż do kolan.

- Baryłkę pszennej mąki, dwie głowy cukru, funt pieprzu, tuzin arkuszy papieru i parę jardów materiału, co by się nadał na koszulę dla Arthura Stuarta.

Krzyczał, ale głosem swojej mamy.

Peg nie znosiła, kiedy ją naśladował. Podeszła z wielkim widelcem wjednej ręce i starym tasakiem w drugiej.

- Nie ruszaj się, Alvinie - poleciła. - Nabiję go na widelec i obetnę uszy.

- Ratuj! - zawołał Arthur.

Alvin ocalił go, rzucając się do ucieczki, w każdym razie do kuchennych drzwi. Peg odłożyła rzeźnickie narzędzia, a potem ubierała Arthura w płaszcze, spodnie, buty i szale, dopóki nie był niemal szerszy niż dłuższy. Alvin wypchnął malca za drzwi i toczył go nogą, aż Arthur cały był pokryty śniegiem.

- No tak, Alvinie Juniorze - krzyknęła z progu Peg. - Zamrozisz go na śmierć na oczach jego matki! Co za nieznośny terminator!

Alvin i Arthur Stuart śmiali się tylko. Peg przykazała im jeszcze, żeby uważali i żeby wrócili do domu przed zmrokiem, po czym zatrzasnęła drzwi.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Zaprzęgli do sani, zmietli świeży śnieg, który zasypał siedzenie, kiedy zaprzęgali, wsiedli i okryli nogi derką. Najpierw pojechali z powrotem do kuźni, żeby zabrać wszystko to, co Alvin miał dostarczyć klientom: przede wszystkim zawiasy i gałki, a także narzędzia dla cieśli i szewców, dla których był właśnie środek sezonu. Dopiero wtedy ruszyli do miasta.

Nie zajechali daleko, gdy ujrzeli człowieka brnącego w tę samą stronę. Jak na taką pogodę, nie był zbyt ciepło ubrany. Kiedy zrównali się z nim i zobaczyli jego twarz, Alvin wcale się nie zdziwił, że to Mock Berry.

- Siadajcie na sanie, panie Berry, żebym nie miał was na sumieniu, jak tu zamarzniecie - zawołał.

Mock spojrzał, jakby dopiero teraz zauważył, że ktoś jest na drodze. A przecież przed chwilą wyprzedziły go parskające i tupiące mocno o śnieg konie.

- Dziękuję ci, Alvinie.

Alvin przesunął się na koźle, żeby zrobić miejsce. Mock wspiął się na górę niezgrabnie, bo ręce mu zmarzły. Dopiero kiedy już usiadł, zauważył Arthura Stuarta. I jakby go ktoś uderzył: natychmiast zaczął wysiadać.

- Chwileczkę! - powstrzymał go Alvin. - Nie mówcie tylko, że jesteście takim głupcem jak niektórzy Biali z miasta, którzy nie chcą usiąść obok mieszańca. Jak wam nie wstyd!

Przez chwilę Mock patrzył Alvinowi w oczy. Wreszcie zdecydował się odpowiedzieć.

- Znasz mnie przecież, Alvinie. Wiem, skąd się biorą na świecie takie dzieciaki i nie mam im za złe tego, co jakiś biały pan zrobił ich mamie. Ale w mieście plotkują... kto jest jego prawdziwą mamą. I nie wyjdzie mi na dobre, jeśli zobaczą, jak wjeżdżam do miasta z tym małym.

Alvin znał dobrze tę historię - jak to Arthur Stuart niby miał być dzieckiem Angi, żony Mocka, a ojcem jakiś Biały, więc Mock nie chciał widzieć chłopca w swoim domu. Dlatego Peg Guester się nim zaopiekowała. Alvin wiedział też, że to nieprawda. Ale w takim miasteczku lepiej, żeby ludzie w to wierzyli, niż żeby zaczęli się domyślać prawdziwej wersji zdarzeń. Znaleźliby się tacy, którzy by próbowali uznać Arthura za niewolnika i wysłać go na południe, żeby pozbyć się kłopotów ze szkołą i całą resztą.

- Nie przejmujcie się - powiedział. - Nikt was nie zobaczy w taką pogodę. A gdyby nawet, to Arthur wygląda jak kłębek płaszczy, a nie dziecko. Możecie zeskoczyć, jak tylko wjedziemy do miasta. - Alvin pochylił się, złapał Mocka za ramię i wciągnął na kozioł.

- Okryjcie się dobrze, żebym nie musiał was wieźć do przedsiębiorcy pogrzebowego, gdybyście mi tu zamarzli.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Dziękuję uprzejmie, ty marudny, zarozumiały uczniu kowala - burknął Mock.

Podciągnął derkę tak wysoko, że zakrył Arthura Stuarta razem z głową. Arthur krzyknął i ściągnął ją trochę, żeby coś widzieć. Po czym obrzucił Mocka Berry'ego takim wzrokiem, że spaliłby go na popiół, gdyby nie było tak zimno i mokro.

W mieście pełno było sań, ale nie pozostało już ani śladu radości z pierwszego śniegu. Ludzie załatwiali swoje sprawy, a konie czekały, tupały kopytami, parskały i parowały na mrozie. Co bardziej leniwi mieszkańcy - prawnicy, urzędnicy i tym podobni - w takie dni w ogóle nie ruszali się z domów. Ale ci, którzy pracowali naprawdę, palili w piecach aż trzeszczało i siedzieli przy warsztatach albo otwierali sklepy.

Alvin porozwoził wykonane zamówienia. Wszyscy podpisywali się w księdze dostaw Makepeace'a - jeszcze jeden dowód lekceważenia: mistrz nie ufał uczniowi i nie pozwalał mu odbierać pieniędzy, jakby Alvin miał ledwie dziewięć lat, a nie prawie dwa razy tyle.

Przez cały czas Arthur Stuart siedział opatulony na koźle - Alvin nie wchodził nigdzie na długo i chłopak nie zdążyłby się rozgrzać po marszu z sań do drzwi. Dopiero przy sklepie Pietera Vanderwoorta warto było zsiąść i posiedzieć wewnątrz w cieple. Pieter napalił w piecu i nie oni pierwsi wpadli na pomysł, żeby tu zajrzeć. Dwóch chłopaków z miasta grzało nogi, popijając herbatę i dla lepszego efektu czasem pociągając z flaszki. Alvin nie spotykał się z nimi zbyt często. Owszem, przewrócił ich w zapasach raz czy dwa, ale to samo można było powiedzieć o każdym mieszkańcu miasta, który miał ochotę na zapasy. Ten piegowaty miał na imię Martin, a ten drugi Daisy - imię dobre raczej dla krowy, ale on takie właśnie nosił. Alvin wiedział, że są z tych, co to lubią podpalać kotom ogony i opowiadać brzydkie żarty o dziewczętach za ich plecami. Krótko mówiąc, ich towarzystwo mu nie odpowiadało. Ale też nie czuł do nich specjalnej niechęci. Kiwnął im głową na powitanie, a oni odpowiedzieli tym samym. Jeden podniósł butelkę, proponując poczęstunek, ale Alvin odpowiedział gestem, że nie, bardzo dziękuje. I to wszystko.

Przy ladzie Alvin rozpiął się trochę i od razu poczuł się lepiej, bo był już solidnie spocony. Potem zaczął odwijać Arthura Stuarta: ciągnął go za końce kolejnych szali, a chłopiec kręcił się jak bąk. Jego śmiech sprowadził z zaplecza pana Vanderwoorta, który też się roześmiał.

- Są tacy mili, póki nie dorosną - zauważył.

- Jest moim spisem sprawunków. Prawda, Arthurze? Arthur Stuart raz jeszcze głosem mamy wykrzyczał swoją listę:

- Baryłkę pszennej mąki, dwie głowy cukru, funt pieprzu, tuzin arkuszy papieru i parę jardów materiału, co by się nadał na koszulę dla Arthura Stuarta.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Pan Vanderwoort boki zrywał ze śmiechu.

- Ależ zabawny ten mały. Mówi zupełnie jak jego mama. Jeden z chłopców siedzących przy piecu aż krzyknął z radości. - Jego adoptowana mama, chciałem powiedzieć - poprawił się Vanderwoort.

- Pewnie jest prawdziwa - stwierdził Daisy. - Słyszałem, że Mock Berry często pracuje w zajeździe.

Alvin tylko zacisnął zęby, żeby powstrzymać słowa, które miał już na końcu języka. Zamiast gadać, podgrzał butelkę w ręku Daisy'ego tak, że tamten krzyknął znowu i ją upuścił.

- Chodź ze mną na zaplecze, Arthurze - zarządził Vanderwoort.

- Sparzyła mnie w rękę - mruczał Daisy.

- Powtórzysz jeszcze raz tę listę, tylko powoli, a ja przygotuję co trzeba - dodał Vanderwoort.

Alvin posadził malca na ladzie, a sprzedawca odebrał go z drugiej strony i ustawił na podłodze.

- Musiałeś ją położyć na piecu - stwierdził Martin. - Ależ z ciebie dureń, Daisy. Whisky się nie podgrzeje sama z siebie.

Vanderwoort wyszedł z Arthurem. Alvin wyjął ze słoja dwa herbatniki i przysunął stołek do pieca.

- Nie stawiałem jej nawet koło ognia - tłumaczył się Daisy.

- Cześć, Alvinie - rzucił Martin.

- Cześć Martin, cześć Daisy. Dobry dzień na siedzenie przy piecu.

- Dzień do niczego - burknął Daisy. - Pyskaci pikanini i poparzone paluchy.

- Co cię sprowadza do miasta? - spytał Martin. - I skąd wytrzasnąłeś tego małego koziołka? Czy może odkupiłeś go od Peg Guester?

Alvin gryzł tylko herbatnika. Zrobił błąd, karząc Daisy'ego, a popełniłby jeszcze większy, gdyby go ukarał po raz drugi. Przecież zeszłego lata właśnie chęć ukarania kogoś sprowadziła do niego Niszczyciela. Nie. Alvin postanowił zapanować nad swoją złością i dlatego milczał.

- Ten mały nie jest na sprzedaż - wtrącił Daisy. - Wszyscy to wiedzą. Przecież ona próbuje go nawet wykształcić.

- A ja kształcę swojego psa. Myślisz, że ten chłopak nauczy się służyć, wystawiać zwierzynę albo w ogóle robić coś równie pożytecznego?

- Ale ty masz przewagę, Marty. Pies ma dość rozumu, żeby wiedzieć, że jest psem. I nie próbuje uczyć się czytać. A takie małpy uważają się za ludzi. Wiesz, o co mi chodzi.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin wstał i podszedł do lady. Vanderwoort wracał z rękami pełnymi sprawunków. Arthur dreptał za nim.

- Wejdź do magazynu, Al - poprosił Vanderwoort. - Lepiej, żebyś to ty wybrał materiał na koszulę Arthura.

- Nie znam się na materiałach.

- Ja się znam, ale nie mam pojęcia, co się spodoba Peg Guester. Wolę, żeby miała pretensje do ciebie niż do mnie.

Alvin wskoczył na ladę i przerzucił przez nią nogi. Vanderwoort zaprowadził go do magazynu. Przez kilka minut wybierali flanelę. Kraciasta wydawała się odpowiednia i dostatecznie mocna, żeby resztki wykorzystać na łaty do starych spodni. Kiedy wrócili, Arthur Stuart stał przy piecu obok Martina i Daisy'ego.

- Jak się pisze "korzenny"? - pytał Daisy.

- Korzenny - powtórzył Arthur Stuart, jak zwykle idealnie naśladując głos panny Larner. - K-O-R-Z-E-N-N-Y.

- Dobrze? - upewnił się Martin.

- Niech to diabli... nie wiem.

- Nie używajcie takich słów przy dziecku - upomniał Vanderwoort.

- Nie martwcie się - uspokoił go Martin. - To nasz oswojony pikanin. Nie zrobimy mu krzywdy.

- Nie jestem pikaninem - zaprotestował Arthur Stuart. - Jestem małym mieszańcem.

- Święta prawda! - wykrzyknął Daisy tak głośno i piskliwie, że głos mu się załamał.

Alvin miał już tego dosyć. Odezwał się bardzo cicho, tak że tylko Vanderwoort go słyszał.

- Jeszcze jeden taki wrzask, a natrę mu uszu śniegiem.

- Nie denerwuj się. Są nieszkodliwi.

- Dlatego go nie zabiję.

Jednak mówił to z uśmiechem. Vanderwoort również. Daisy i Martin bawili się, a Arthurowi Stuartowi podobała się taka zabawa, więc czemu protestować?

Martin zdjął coś z półki i podszedł do Vanderwoorta.

- Co to za słowo? - zapytał, wskazując napis na opakowaniu.

- Eukaliptus.

- Jak się pisze "eukalipdus", mieszańcu?

- Eukaliptus - poprawił go Arthur. - E-U-K-A-L-I-P-T-U-S.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Słuchajcie tylko! - zawołał Daisy. - Dla nas nauczycielka nie ma czasu, a ten mały jej własnym głosem mówi, jak się co pisze.

- A jak się pisze "łono"? - spytał Martin.

- Tego już za wiele - wtrącił się Vanderwoort. - Przecież to jeszcze dziecko.

- Chciałem usłyszeć, jak to brzmi... głosem nauczycielki.

- Wiem, czego chciałeś, ale tak możecie sobie gadać za stodołą, nie w moim sklepie.

Drzwi otworzyły się, dmuchnął lodowaty wiatr i wszedł Mock Berry. Wyglądał na zmęczonego i przemarzniętego - i taki właśnie był.

Chłopcy nie zwrócili na niego uwagi.

- Za stodołą nie ma piecyka - stwierdził Daisy.

- I nie zapominajcie o tym, kiedy wam znowu przyjdzie ochota na takie słowa - uprzedził Vanderwoort.

Alvin zauważył, że Mock Berry zerka z ukosa w stronę piecyka. Nie podszedł jednak. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zrezygnowałby z ogrzania się w taki dzień... Ale Mock Berry wiedział, że są rzeczy gorsze niż zimno.

Stanął przy ladzie.

Vanderwoort musiał wiedzieć, że tam stoi, ale nadal się przyglądał, jak Daisy i Martin przepytują Arthura Stuarta. Na Mocka Berry'ego nie zwracał uwagi.

- Suskwahenny - powiedział Daisy.

- S-U-S-K-W-A-H-E-N-N-Y - odpowiedział Arthur.

- Założę się, że ten mały wygrałby turniej ortograficzny - oświadczył Vanderwoort. - Gdyby tylko wystartował.

- Macie klienta - zauważył Alvin.

Vanderwoort odwrócił się bardzo powoli i obojętnie spojrzał na Mocka Berry'ego. Potem, nadal powoli, podszedł i bez słowa stanął przy ladzie.

- Chciałem dwa funty mąki i dwanaście stóp tej półcalowej liny - powiedział Mock.

- Słyszałeś? - rzucił Daisy. - Na pewno chce sobie upudrować gębę na biało, a potem się powiesić.

- Jak się pisze "samobójstwo", mały? - spytał Martin.

- S-A-M-O-B-Ó-J-S-T-W-O.

- Kredytów nie udzielamy - burknął Vanderwoort.

Mock położył na ladzie kilka monet. Vanderwoort przyglądał im się przez chwilę.

- Sześć stóp liny - stwierdził.

Mock stał nieruchomo. Vanderwoort stał nieruchomo.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin wiedział, że Mockowi powinno wystarczyć pieniędzy. Nie mógł uwierzyć, że Vanderwoort podnosi cenę ubogiemu człowiekowi, który przy tym pracuje jak wół. Zaczynał rozumieć, dlaczego Mock wciąż jest biedny. I wiedział, że niewiele może mu pomóc...

Ale może przynajmniej zrobić to, co kiedyś Horacy Guester z Makepeace'em - zmusić Vanderwoorta, żeby działał otwarcie, przestał udawać, że postępuje uczciwie.

Położył na ladzie papier, który Vanderwoort właśnie mu wypisał.

- Przykro mi, że nie udzielacie kredytu - powiedział. - Pojadę do Peg Guester i przywiozę pieniądze.

Vanderwoort spojrzał na niego. Teraz mógł albo posłać Alvina po pieniądze, albo przyznać, że udziela kredytu Guesterom, ale nie Mockowi Berry'emu.

Oczywiście wybrał inne rozwiązanie. Bez słowa wyszedł na zaplecze i zważył mąkę. Potem odmierzył dwanaście stóp półcalowej liny. Vanderwoort znany był z tego, że liczył uczciwie. I z uczciwych cen. Dlatego Alvin tak się zdumiał widząc, jak traktuje Mocka.

Mock wziął linę i mąkę, po czym ruszył do drzwi.

- Macie resztę - zawołał Vanderwoort.

Mock zawrócił. Był zdziwiony, choć starał się to ukryć. Przyglądał się, jak Vanderwoort odlicza mu dziesiątkę i jeszcze trzy pensy. Po chwili wahania zgarnął monety z lady i wrzucił do kieszeni.

- Dziękuję panu - powiedział. I wyszedł na mróz.

Vanderwoort spojrzał na Alvina gniewnie, a może po prostu z wyrzutem.

- Nie mogę wszystkim dawać kredytu.

Alvin miał ochotę powiedzieć, że mógłby przynajmniej sprzedawać po tej samej cenie Czarnym i Białym. Nie chciał jednak czynić sobie nieprzyjaciela z pana Vanderwoorta, który przecież zwykle zachowywał się przyzwoicie. Dlatego uśmiechnął się przyjaźnie.

- Oczywiście, że nie możecie. Ci Berry'owie są prawie tacy biedni jak ja.

Vanderwoort uspokoił się. Widać bardziej mu zależało na opinii Alvina niż na rewanżu za to zakłopotanie.

- Musisz zrozumieć, Alvinie... To zraża kupujących... jeśli oni wciąż tu przychodzą. Ten twój mieszaniec nikomu nie przeszkadza. Są mili, dopóki nie dorosną. Ale ludzie niechętnie przychodzą, gdy myślą, że mogą tu spotkać któregoś z nich.

- Nigdy nie słyszałem, żeby Mock Berry nie dotrzymał słowa - stwierdził Alvin. - Albo żeby coś ukradł czy zgubił.

- Nie, tego nikt mu nie może zarzucić.

- Cieszę się, że i jego, i mnie zaliczacie do swoich klientów - oświadczył Alvin.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Popatrz no, Daisy - zawołał Martin. - Nasz uczeń Alvin wygłasza kazania. Mały, jak się pisze "chrześcijanin"?

- C-H-R-Z-E-Ś-C-I-J-A-N-I-N.

Vanderwoort zrozumiał, że sytuacja zaczyna być kłopotliwa. Spróbował zmienić temat.

- Jak powiedziałem, Alvinie, ten mały mieszaniec jest chyba najlepszym ortografem w okręgu. Nie sądzisz? Czemu nie miałby w przyszłym tygodniu pojechać na konkurs? Uważam, że zdobyłby mistrzostwo dla Hatrack River. Może nawet mistrzostwo stanowe, jakby mnie kto pytał.

- Jak się pisze "mistrzostwo"? - spytał Daisy.

- Panna Larner nigdy mi nie pokazywała takiego słowa - oświadczył Arthur Stuart.

- Spróbuj zgadnąć - zaproponował Alvin.

- M-I-S... - zaczął Arthur. - Z-C-Z-O-S-T-W-O.

- Według mnie w porządku - stwierdził Daisy.

- Od razu widać, jak się na tym znasz - mruknął Martin.

- A tyś lepszy? - wtrącił Vanderwoort.

- Ja nie mam występować w okręgowym konkursie ortografii.

- Co to jest konkurs ortografii? - chciał wiedzieć Arthur.

- Pora jechać - oznajmił Alvin.

Dobrze wiedział, że oficjalnie Arthur nie jest uczniem szkoły w Hatrack River, a zatem z pewnością nie może startować w żadnym konkursie.

- Aha, panie Vanderwoort, jestem wam winien za dwa herbatniki.

- Od przyjaciół nie biorę pieniędzy za parę herbatników - oświadczył Vanderwoort.

- Jestem dumny, że zalicza mnie pan do swoich przyjaciół - zapewnił go Alvin.

To była prawda. Jeśli traktuje jak przyjaciela kogoś, kto właśnie przyłapał go na czymś niełądnym, musi być naprawdę dobrym człowiekiem.

Alvin owinął Arthura Stuarta w liczne szale i razem pobrnęli w śniegu do sań. Tym razem Alvin dźwigał w worku wszystko to, co kupił u Vanderwoorta. Wsunął worek pod kozioł, żeby śnieg go nie zasypał, potem usadził Arthura Stuarta i wspiął się za nim na sanie. Konie były wyraźnie zadowolone, że znów mogą się ruszać - stojąc w miejscu marzły tylko coraz bardziej.

Po drodze dogonili Mocka Berry'ego i zawieźli go do domu. Nie wspomniał ani słowem o tym, co zaszło w sklepie. Alvin wiedział, że to nie z niewdzięczności. Domyślał się, że Mock Berry jest zawstydzony: osiemnastoletni uczeń kowala załatwił mu uczciwą cenę i

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

uczciwą miarę u Vanderwoorta - tylko dlatego że był biały. Mężczyzna nie lubi mówić o takich sprawach.

- Przekażcie pozdrowienia pani Berry - rzucił Alvin, kiedy Mock zeskoczył z sań pod domem.

- Powiem, że ją pozdrawiasz - obiecał Mock. - I dziękuję za podwiezienie.

Po sześciu krokach zniknął w zasłonie śnieżycy. Burza szalała coraz mocniejsza.

Kiedy odwieźli wszystko do zajazdu, nadszedł czas na lekcje Alvina i Arthura w domku panny Larner. Ruszyli tam razem i przez całą drogę obrzucali się śnieżkami. Alvin zajrzał jeszcze do kuźni, żeby oddać Makepeace'owi księgę rachunkową. Ale mistrza nie było - musiał skończyć bardzo wcześnie. Alvin wsunął księgę na półkę przy drzwiach, gdzie Makepeace z pewnością będzie jej szukał, a potem znów rzucali się śnieżkami, dopóki nie zjawiła się panna Larner.

Doktor Whitley Physicker odwiózł ją swoimi krytymi saniami i odprowadził pod same drzwi. Na widok czekających trochę się zirytował.

- Nie sądzicie, chłopcy, że w taki dzień jak dzisiaj panna Larner nie powinna mieć więcej lekcji?

Panna Larner położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dziękuję, że mnie pan odwiózł, doktorze.

- Wolałbym, żeby nazywała mnie pani Whitleyem.

- Jest pan bardzo uprzejmy, doktorze, ale pański szacowny tytuł bardziej mi odpowiada. A co do moich uczniów, przekonałam się, że przy złej pogodzie lepiej im idzie nauka. Nie marzą wtedy, żeby iść nad wodę i popływać.

- To nie ja! - wykrzyknął Arthur Stuart. - Jak się pisze "mistrzostwo"?

- M-I-S-T-R-Z-O-S-T-W-O - przeliterowała panna Larner. - Gdzie usłyszałeś to słowo?

_ M-I-S-T-R-Z-O-S-T-W-O - powtórzył Arthur Stuart głosem nauczycielki.

- Ten chłopiec jest zadziwiający - oświadczył Physicker. - Jak papuga.

- Papuga powtarza słowa - sprzeciwiła się panna Larner. - Ale nie rozumie ich sensu. Arthur powtarza pisownię tych słów moim głosem, ale naprawdę je zna. Potrafi je przeczytać i napisać, kiedy tylko zechce.

- Nie jestem papugą - oznajmił Arthur. - Jestem mistrzostwem konkursu ortograficznego.

Doktor Physicker i panna Larner wymienili znaczące spojrzenia.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- No cóż - westchnął Physicker. - Ponieważ zapisałem go jako specjalnego ucznia... pod pani naciskiem... istotnie, może wziąć udział w konkursie okręgowym. Ale proszę się nie spodziewać, że dotrze wyżej.

- Doskonale rozumiem pańskie argumenty, doktorze. Dlatego zgadzam się. Ale moje...

- Pani argumenty są nieodparte, panno Larner. A mnie trudno się nie cieszyć na samą myśl o konsternacji tych, którzy nie chcieli wpuścić chłopca do szkoły. Co powiedzą widząc, że radzi sobie nie gorzej od innych, dwukrotnie starszych dzieci?

- Konsternacja, Arthurze Stuart.

- Konsternacja... K-O-N-S-T-E-R-N-A-C-J-A.

- Dobranoc, doktorze. Wejdźcie, chłopcy. Pora do szkoły.

Arthur Stuart wygrał okręgowy konkurs ortograficzny słowem "sprzysiężenie". Panna Larner natychmiast wycofała go z dalszego współzawodnictwa; inne dziecko miało zająć jego miejsce w konkursie stanowym. W rezultacie mało kto zwrócił na niego uwagę. Pojawiła się tylko krótka notka w miejscowej gazecie w Hatrack River.

Szeryf Pauley Wiseman złożył stronicę gazety i wraz z krótkim listem umieścił w kopercie zaadresowanej do wielebnego Philadelphii Throwera, Krucjata Praw Własności, 44 Harrison Street, Carthage City, Wobbish. Nie minęły dwa tygodnie, a stronica znalazła się na biurku Throwera. List stwierdzał tylko:

Chłopak zjawił się latem 1811, miał najwyżej kilka tygodni. Mieszka w zajeździe Horacego Guestera, Hatrack River. Moim zdaniem adopcja jest bezprawna, jeżeli chłopak okaże się zbiegiem.

Bez podpisu... Ale Thrower był do tego przyzwyczajony, chociaż nie rozumiał, dlaczego ludzie starają się ukryć swoją tożsamość, pomagając w słusznej sprawie. Dołączył list od siebie i wysłał wszystko na południe.

Po miesiącu Cavil Planter odczytał list Throwera dwójce odszukiwaczy. Potem wręczył im skarbczyki, które przechowywał przez te wszystkie lata - skarbczyki Hagar i wykradzionego małego Iszmaela.

- Wrócimy przed latem - zapewnił czarnowłosy odszukiwacz. - Jeśli jest wasz, będziemy go mieli.

- Wtedy otrzymacie zapłatę i dodatkowo solidną premię - obiecał Cavil Planter.

- Nie potrzebujemy premii - odparł siwowłosy odszukiwacz. - Zapłata i zwrot kosztów wystarczy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Jak chcecie. Wiem, że Bóg pobłogosławi waszą wyprawę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 18 - KAJDANY

Wczesną wiosną, kilka miesięcy przed dziewiętnastymi urodzinami Alvina, Makepeace Smith podszedł do niego i powiedział:

- Czas już, żebyś zaczął pracować nad swoim majstersztykiem. Co ty na to, Al?

Te słowa zabrzmiały w uszach Alvina niczym pieśń drozda. Słowa uwięzły mu w gardle. Zdołał tylko skinąć głową.

- Co planujesz? - zapytał mistrz.

- Myślałem o pługu - wyznał Alvin.

- To dużo materiału. Wymaga idealnej formy i wcale nie takiej prostej. Prosisz mnie chłopcze, żebym zaryzykował spory kawałek żelaza.

- Jeśli się nie uda, zawsze można go przetopić.

Obaj wiedzieli, że porażka Alvina jest mniej więcej tak samo prawdopodobna, jak to, że Alvin zacznie latać. Było to więc tylko puste gadanie - strzępy dawnych pretensji Makepeace'a, że Alvin nie radzi sobie z kowalstwem.

- Chyba faktycznie - przyznał Makepeace. - Postaraj się, chłopcze. Twardy, ale nie za kruchy. Dość ciężki, żeby orał głęboko, ale dość lekki, żeby go ciągnąć. Dość ostry, żeby rozcinał ziemię, i dość mocny, żeby odrzucał kamienie na bok.

- Tak, psze pana.

Zasad wytwarzania narzędzi Alvin nauczył się na pamięć, kiedy miał dwanaście lat.

Istniały jeszcze inne zasady, których zamierzał przestrzegał:. Chciał sobie udowodnić, że jest dobrym kowalem, nie tylko niedowarzonym Stwórcą. A zatem nie będzie wykorzystywał swojego daru, lecz wyłącznie umiejętności kowalskie - dobre oko, znajomość metalu, siłę ramion i dokładność dłoni.

Praca nad dziełem czeladnika zwalniała go od innych zajęć.

Zaczął od samego początku, jak zawsze czyni dobry czeladnik. Na formę wybrał nie zwyczajną glinę, ale najlepszą białą glinkę - wyruszył po nią w górę Hatrack - żeby powierzchnia odlewu była czysta, gładka i utrzymywała właściwy kształt. Lepienie formy wymagało spojrzenia na przyszłe dzieło jakby z drugiej strony, od wewnątrz, jednak Alvin zawsze miał dobre oko do kształtów. Poklepywał i gładził glinę w drewnianej ramie, a cały czas widział, wjaki sposób różne jej części nadadzą stygnącemu żelazu kształt lemiesza. Potem wypalał formę, aż była sucha i twarda, gotowa do przyjęcia żelaza.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Metal wybrał ze stosu złomu i starannie opiłował do czysta, usuwając brud i rdzę. Wyczyścił też tygiel. Dopiero wtedy gotów był do wytopu i odlewania. Rozpalił ogień na palenisku i sam pracował przy miechach - unosił i opuszczał uchwyt jak wtedy, kiedy zaczynał naukę. Wreszcie żelazo w tyglu rozgrzało się do białości, a ogień był tak gorący, że trudno było się zbliżyć. Zbliżył się jednak ze szczypcami w ręku, zdjął tygiel, przeniósł go do formy i nalał. Żelazo syczało i strzelało iskrami, ale forma wytrzymała, nie wykrzywiła się i nie pękła od żaru.

Odstawić tygiel na palenisko. Teraz miał ułożyć na miejscu pozostałe części formy: delikatnie, równo, żeby nie chlupnęło.

Dobrze ocenił ilość płynnego żelaza - kiedy ostatni element formy wśliznął się na miejsce, tylko odrobina wypłynęła na brzegach. To znaczy, że jest tyle, ile trzeba, i prawie nic się nie zmarnuje.

I koniec. Teraz już tylko czekać, aż żelazo wystygnie i stwardnieje. Jutro się dowie, co stworzył.

Jutro Makepeace Smith obejrzy lemiesz i nazwie Alvina czeladnikiem. Czeladnik to wolny człowiek, który może pracować w każdej kuźni, ale nie jest jeszcze gotów, żeby przyjmować uczniów. Jednak Alvin osiągnął już tę gotowość całe lata temu. Makepeace podarował mu ledwie kilka tygodni z pełnych siedmiu lat służby. I to było dla niego ważne, nie pług.

Nie, prawdziwy majstersztyk Alvina dopiero powstanie. Kiedy Makepeace uzna pług za odpowiedni, Alvinowi pozostanie jeszcze jedno zadanie do wykonania.

- Mam zamiar zmienić go w złoto - oświadczył Alvin.

Panna Larner uniosła brew.

- I co potem? Jak wytłumaczysz ludziom, skąd wziąłeś złoty lemiesz? Znalazłeś go gdzieś? Czy przypadkiem miałeś akurat trochę złota i pomyślałeś, że wystarczy na pług?

- Sami mówiliście, że Stwórca to ten, co potrafi żelazo zamienić w złoto.

- Owszem. Ale z tego jeszcze nie wynika, że to mądre posunięcie.

Panna Larner wyszła z gorącej kuźni na dwór, w nieruchome powietrze wczesnego wieczoru. Było tu chłodniej, ale nie za bardzo - pierwsza upalna noc wiosny.

- W coś więcej niż złoto - dodał Alvin. - A w każdym razie nie w zwyczajne złoto.

- Normalne złoto ci nie wystarczy?

- Złoto jest martwe. Jak żelazo.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie jest martwe. To po prostu... ziemia bez ognia. Nigdy nie żyło, więc nie może być martwe.

- Wy sami mówiliście, że jeśli potrafię coś sobie wyobrazić, to może uda mi się to uczynić.

- A potrafisz sobie wyobrazić żywe złoto?

- Pług, który rozcina ziemię, chociaż nie ciągną go woły.

Milczała, ale oczy jej błyszczały.

- Czy jeśli zrobię coś takiego, panno Larner, uznacie, że ukończyłem waszą szkołę Stwórców?

- Powiem, że nie jesteś już Stwórcą uczniem.

- Tak właśnie myślałem, panno Larner. Czeladnik Stwórca i czeladnik kowal. Jedno i drugie, jeśli tylko potrafię.

- A potrafisz?

Alvin kiwnął głową i wzruszył ramionami.

- Myślę, że tak. To przez to, co w styczniu mówiliście o atomach.

- Sądziłam, że zrezygnowałeś...

- Nie, psze pani. Długo się zastanawiałem, co to takiego, czego nie da się podzielić na części. I wtedy pomyślałem: jeśli to coś ma jakiś rozmiar, można to przeciąć. No więc atom jest tylko miejscem, jednym dokładnym miejscem bez żadnej szerokości.

- Punkt geometryczny Euklidesa.

- Tak jest, psze pani. Ale mówiliście, że jego geometria jest cała wymyślona, a to jest rzeczywiste.

- Ale skoro nie ma rozmiaru, Alvinie...

- Też tak pomyślałem. Jeśli nie ma rozmiaru, to jest niczym. Ale atom nie jest niczym. Jest miejscem. I wtedy pomyślałem jeszcze, że nie JEST miejscem... On MA miejsce. Jeśli widzicie różnicę. Atom może być w tym miejscu, czysty punkt geometryczny, tak jak mówiliście. Ale potem może się przesunąć. Może się znaleźć gdzie indziej. A zatem, rozumiecie, ma nie tylko miejsce, ale ma też przeszłość i przyszłość. Wczoraj był tam, dzisiaj jest tutaj, jutro będzie gdzie indziej.

- Ale przecież nie jest "czymś", Alvinie.

- Nie. Wiem o tym. Nie jest "czymś". Ale nie jest też nicem.

- Niczym.

- Znam gramatykę, panno Larner, ale teraz nie o niej myślę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie opanujesz gramatyki, jeśli nie będziesz stosował jej zasad bezwiednie. Ale mniejsza z tym.

- Widzicie, myślałem sobie, że przecież atom nie ma rozmiaru, więc skąd wiadomo, gdzie jest? Nie świeci, bo nie ma w sobie ognia, który by dawał światło. I wymyśliłem coś takiego: przypuśćmy, że atom nie ma rozmiarów, ale ma jakiś rodzaj umysłu. Jakiś malutki rozum, tyle tylko, żeby wiedzieć, gdzie się znajduje. I potrafi jedynie przenieść się w inne miejsce i znów wiedzieć, gdzie jest.

- Jak to możliwe? Pamięć w czymś, co nie istnieje...

- Przypuśćmy tylko! Powiedzmy, że leży ich gdzieś tysiąc i latają w różne strony. Skąd któryś może wiedzieć, gdzie trafiły inne? Ponieważ wszystkie się wciąż ruszają, nic nie pozostaje takie samo. Ale wtedy, przypuśćmy, zjawia się ktoś... a mam tu na myśli Boga... ktoś, kto pokazuje im wzorzec. Uczy je, jak się ustawić. Jakby mówił: ty tam, ty będziesz w środku, a cała reszta ma się przez cały czas trzymać w tej samej odległości od niego. Co wtedy dostaniemy?

Panna Larner zastanawiała się przez moment.

- Kulę pustą w środku. Sferę. Ale złożoną z niczego, Alvinie.

- Nie rozumiecie? To właśnie dobrze. Bo jeśli moje przenikanie czegoś mnie nauczyło, to tego, że wszystko jest przeważnie puste. To kowadło: wygląda na twarde, prawda? Ale mówię wam, że tam prawie nic nie ma. Tylko małe kawałki żelaza wiszące w pewnej odległości od siebie, według wzorca. A większa część kowadła to właśnie puste miejsca między nimi. Rozumiecie? Te kawałki zachowują się jak atomy. Powiedzmy, że kowadło jest jak góra. Kiedy spojrzymy z bliska, widzimy, że jest usypana ze żwiru. A kiedy podnieść żwir, rozsypuje się w ręku i widzimy, że jest zrobiony z pyłu. A gdyby można podnieść jedną drobinkę pyłu, zobaczylibyśmy, że jest taka sama jak góra, usypana też ze żwiru, tylko jeszcze drobniejszego.

- Mówisz więc, że to, co postrzegamy jako ciała stałe, to w rzeczywistości tylko iluzja? Takie "nic" tworzące maleńkie sfery, które razem układają się w cząsteczki, z cząsteczek powstają drobinki, a z nich kowadło...

- Tyle że jest chyba więcej kroków między jednym a drugim. To przecież wyjaśnia, dlaczego muszę sobie tylko wyobrazić nowy kształt, nowy wzór albo nowy porządek i pokazać go w myślach. A jeśli myślę jasno i czysto i nakazuję cząstkom zmianę, wtedy one... one się zmieniają. Ponieważ żyją. Może są maleńkie i niezbyt mądre, ale jeżeli pokażę im wyraźnie, mogą to uczynić.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To dla mnie za trudne, Alvinie. Pomyśleć, że wszystko jest w rzeczywistości niczym.

- Nie, panno Larner, nie o to chodzi. Rzecz w tym, że wszystko jest żywe. Wszystko składa się z żywych atomów, które wykonują polecenie, jakie dał im Bóg. I wykonując jego rozkazy, niektóre zmieniają się w ciepło i światło, inne stają się żelazem, wodą, powietrzem, a inne naszą skórą i kośćmi. Wszystkie te rzeczy są realne... a więc i atomy są realne.

- Alvinie, opowiedziałam ci o atomach, ponieważ to ciekawa teoria. Najtęższe umysły naszych czasów sądzą, że coś takiego nie istnieje.

- Za przeproszeniem, panno Larner, ale te najtęższe umysły nigdy nie widziały tego, co ja widziałem. I nic nie wiedzą. Mówię wam, że według mnie to jedyna teoria, która tłumaczy wszystko... To, co widzę i to, co robię.

- Ale skąd się biorą te atomy?

- Znikąd się nie biorą. Albo raczej biorą się zewsząd. Może te atomy po prostu są. Zawsze były i zawsze będą. Nie można ich podzielić. Nie giną. Nie można ich stworzyć ani zniszczyć. Istnieją wiecznie.

- A zatem Bóg nie stworzył świata.

- Ależ naturalnie, że stworzył. Atomy były niczym, tylko miejscami, które nie wiedziały nawet, gdzie są. To Bóg poustawiał je na miejsca, żeby wiedzieć, gdzie istnieją, i żeby one wiedziały... A wszystko we wszechświecie jest z nich złożone.

Panna Larner zastanawiała się bardzo długo. Alvin przyglądał się jej i czekał. Wiedział, że to prawda, a przynajmniej jest bliższe prawdy niż wszystko, o czym kiedykolwiek usłyszał albo pomyślał. Chyba że ona znajdzie jakiś błąd. Tyle już razy zauważała coś, o czym zapomniał... Dlatego teraz czekał, aż coś mu wytknie. Jakąś pomyłkę.

Może by to i zrobiła, ale kiedy tak stała, zamyślona, przed kuźnią, na drodze z miasta usłyszeli tętent koni. Oczywiście popatrzyli, żeby sprawdzić, kto się zbliża w takim pośpiechu.

Nadjeżdżał szeryf Pauley Wiseman w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn. Za nimi toczył się powóz doktora Physickera z Po Dogglym na koźle. W dodatku nie przejechali obok, ale zatrzymali się na zakręcie przy kuźni.

- Panno Larner - odezwał się Pauley Wiseman. - Jest tu gdzieś Arthur Stuart?

- A czemu pytacie? - zdziwiła się nauczycielka. - I kim są ci ludzie?

- Jest blisko - oświadczył jeden w obcych, siwowłosy. W dwóch palcach trzymał malutkie pudełko. Obaj zerknęli na nie, po czym spojrzeli w stronę źródlanej szopy. - Tam - dodał siwowłosy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Potrzebujecie innych dowodów? - zapytał Pauley Wiseman. Zwracał się do doktora Physickera, który wysiadł z bryczki i stał teraz na drodze. Był wściekły, bezradny i wyglądał strasznie.

- Odszukiwacze - szepnęła panna Larner.

- Istotnie - potwierdził siwowłosy. - Ma tu pani zbiegłego niewolnika.

- Nie jest niewolnikiem. To mój uczeń, oficjalnie adoptowany przez Horacego i Margaret Guesterów...

- Mamy pismo od właściciela, który podaje datę jego urodzenia. I mamy tu jego skarbczyk. To właśnie on. Jesteśmy zaprzysiężeni i mamy certyfikaty, psze pani. Co odszukamy, jest odszukane. Tak mówi prawo, a jeśli będziecie przeszkadzać, popełnicie przestępstwo.

- Proszę się nie martwić, panno Larner - wtrącił doktor Physicker. - Mam już pismo burmistrza. Zatrzymamy chłopca do jutra, a jutro wróci sędzia.

- Zatrzymamy w więzieniu, naturalnie - uzupełnił Pauley Wiseman. - Nie chcielibyśmy przecież, żeby ktoś próbował z nim uciec.

- Niewiele by mu z tego przyszło - oświadczył siwy odszukiwacz. - Pojechalibyśmy za nim. I pewnie byśmy go zastrzelili, jako złodzieja, który ucieka z kradzioną własnością.

- Pewnie nawet nie zawiadomiliście Guesterów! - zawołała panna Larner.

- Nie mogłem - westchnął doktor Physicker. - Musiałem tych tu pilnować, żeby go zwyczajnie nie wywieźli.

- Przestrzegamy prawa - zapewnił siwy odszukiwacz.

- Tam jest - zauważył ciemnowłosy.

Arthur Stuart stanął w otwartych drzwiach źródlanej szopy.

- Stój na miejscu, chłopcze! - wrzasnął Pauley Wiseman. - Spróbuj się ruszyć, a stłukę cię na kwaśne jabłko!

- Nie musicie go straszyć - powiedziała panna Larner, ale nikt jej nie słuchał. Wszyscy biegli już pod górę.

- Nie zróbcie mu krzywdy! - zawołał doktor Physicker.

- Nic mu się nie stanie, jeśli nie będzie uciekał - uspokoił go siwowłosy.

- Alvinie - ostrzegła panna Larner. - Nie rób tego.

- Nie zabiorą Arthura Stuarta.

- Nie wykorzystuj tak swojej mocy. Nie po to, żeby kogoś zranić.

- Mówię wam...

- Pomyśl, Alvinie. Mamy czas do jutra. Może sędzia...

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Chcą go wsadzić do więzienia!

- Jeżeli cokolwiek przytrafi się tym odszukiwaczom, zjawią się urzędnicy federalni i wymuszą realizację Traktatu o Zbiegłych Niewolnikach. Rozumiesz, o czym mówię? Według nich to nie drobne przestępstwo, takie jak na przykład morderstwo. Zabiorą cię do Appalachee i tam postawią przed sądem.

- Nie mogę na to patrzeć i nic nie robić.

- Biegnij uprzedzić Guesterów.

Alvin zawahał się. Gdyby to od niego zależało, spaliłby im ręce na węgiel, zanim dotkną Arthura. Ale chłopiec był już między nimi, już ich palce wbijały mu się w ramiona. Panna Larner miała rację. Musieli znaleźć sposób, żeby zagwarantować Arthurowi wolność na zawsze. A nie próbować szalonej obrony, która tylko pogorszyłaby sprawę.

Pobiegł do zajazdu. Był zdziwiony reakcją Guesterów na wieści - jakby oczekiwali ich codziennie przez ostatnie siedem lat. Peg i Horacy popatrzyli tylko na siebie, a potem kobieta bez słowa zaczęła się pakować: swoje rzeczy i rzeczy Arthura Stuarta.

- Po co zabiera swoje ubrania? - zdziwił się Alvin.

Horacy uśmiechnął się posępnie.

- Nie dopuści, żeby Arthur Stuart samotnie spędził noc w wiezieniu. Każe im się zamknąć razem z nim.

To rozsądne... Ale dziwnie było myśleć o takich osobach jak Arthur Stuart i Peg Guester, siedzących w więziennej celi.

- A co wy zrobicie?

- Załaduję strzelbę - odparł Horacy. - Kiedy odjadą, ruszę za nimi.

Alvin powtórzył mu to, co mówiła panna Larner o federalnych, którzy przyjadą, jeśli ktoś tknie odszukiwaczy choćby palcem.

- A co mogą mi zrobić? Najwyżej mnie powieszą. A wolę już wisieć, niż przeżyć choćby jeden dzień w tym domu, jeśli zabiorą Arthura Stuarta, a ja nie spróbuję im przeszkodzić. A potrafię to zrobić, chłopcze. Do licha, w swoim czasie ocaliłem chyba z pięćdziesięciu niewolników. Po Doggly i ja zabieraliśmy ich z tej strony rzeki i posyłaliśmy do Kanady. Tam są bezpieczni. Robiliśmy to przez całe lata.

Alvin wcale się nie zdziwił, że Horacy Guester jest Emancypacjonistą. I to nie z tych, co tylko gadają.

- Mówię ci o tym, Alvinie, bo potrzebuję twojej pomocy. Jestem sam, a ich jest dwóch. Nie mam nikogo, komu mógłbym zaufać. Będzie już z pół tuzina Bożych Narodzeń, odkąd Po Doggly nie chodzi ze mną na takie wyprawy. Nie wiem, jak z nim jest teraz. Ale

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ty... Wiem, że umiesz dochować tajemnicy i wiem, że kochasz Arthura Stuarta prawie tak mocno jak moja żona.

Ton ostatnich słów zaskoczył Alvina.

- A pan go nie kocha?

Horacy spojrzał na niego jak na wariata.

- Nie pozwolę, Al, żeby zabrali chłopaka spod mojego dachu.

Peg Guester zeszła na dół, dźwigając dwie samodziałowe torby.

- Horacy Guesterze, zawieziesz mnie do miasta.

Z zewnątrz dobiegł stuk kopyt.

- To chyba oni - zauważył Alvin.

- Nie martw się, Peg - powiedział Horacy.

- Nie martwić się? - Peg odwróciła się do niego, wściekła. - Tylko dwie rzeczy mogą z tego wyniknąć, Horacy. Albo stracę syna, który zostanie niewolnikiem na południu, albo mój głupi mąż da się zabić, próbując go ratować. Pewnie, że nie mam się o co martwić!

Wybuchnęła płaczem i objęła Horacego tak mocno, że na ten widok Alvinowi serce mało nie pękło.

W końcu to Alvin zawiózł Peg do miasta. Stał przy niej, kiedy wreszcie przekonała Pauleya Wisemana, żeby pozwolił jej spędzić noc w celi - chociaż musiała złożyć straszną przysięgę, że nie spróbuje wykraść Arthura Stuarta.

- Nie przejmujcie się tak - powiedział szeryf, prowadząc ją do celi. - Jego pan z pewnością jest dobrym człowiekiem. Moim zdaniem ludzie tutaj niesłusznie potępiają niewolnictwo.

- Więc może sam pojedziesz zamiast niego, Pauley? - warknęła wściekle. - Skoro tak dobrze być niewolnikiem?

- Ja? - pomysł wyraźnie go rozbawił. - Ja jestem biały, Peg Guester. Niewolnictwo nie jest moim naturalnym stanem.

Alvin sprawił, że klucze wyśliznęły się z palców Pauleya.

- Niezgrabny się robię - mruknął szeryf.

Stopa Peg jakby przypadkiem nadepnęła na kółko od kluczy.

- Podnieście nogę - rozkazał szeryf. - Albo oskarżę was o współudział, zachęcanie, że już nie wspomnę o stawianiu oporu.

Przesunęła stopę. Szeryf otworzył drzwi. Peg weszła do celi i przytuliła Arthura Stuarta. Alvin przyglądał się, jak Wiseman zamyka za nią drzwi i przekręca klucz. A potem wrócił do domu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin rozbił formę i starł glinę przylegającą do powierzchni lemiesza. Żelazo było gładkie i twarde, najlepszy odlew, jaki kiedykolwiek Alvin w życiu oglądał. Obejrzał go od wewnątrz i nie znalazł żadnej skazy. Piłował i ścierał, piłował i ścierał, aż lemiesz był idealnie równy, z ostrzem, które nadałoby się do rzeźni, nie tylko do orki.

Położył go na ławie. A potem usiadł i czekał, aż wzejdzie słońce i przebudzi się reszta świata.

W odpowiednim czasie Makepeace przyszedł do kuźni i obejrzał gotowy lemiesz. Alvin nie widział tego, ponieważ spał. Makepeace obudził go wcześniej i zaprowadził do domu.

- Biedny chłopiec - rozczuliła się Gertie. - Na pewno przez całą noc oka nie zmrużył. Poszedł wieczorem do kuźni i aż do świtu pracował nad tym pługiem.

- Lemiesz wygląda nieźle - przyznał Makepeace. - Jak znam Alvina, to na pewno wygląda doskonale. Makepeace skrzywił się.

- Co ty się znasz na kowalstwie?

- Znam Alvina i znam ciebie.

- Dziwny chłopak. Ale to ciekawe: najlepiej pracuje, kiedy zostaje w kuźni na noc.

W głosie Makepeace'a zabrzmiał nawet ślad współczucia, jednak Alvin spał i nie usłyszał go.

- Tak się przywiązał do tego małego mieszańca - westchnęła Gertie. - Nic dziwnego, że nie mógł zasnąć.

- Teraz śpi - zauważył Makepeace.

- Pomyśl tylko: zabierają Arthura Stuarta do niewoli, choć taki mały...

- Prawo jest prawem. Nie podoba mi się, ale trzeba go przestrzegać. Nie można inaczej.

- Ty i prawo... - burknęła Gertie. - Cieszę się, Makepeace, że nie żyjemy na tamtym brzegu Hio. Miałbyś wtedy niewolników zamiast uczniów... jeśli w ogóle byś zauważył różnicę.

Było to wyraźne wypowiedzenie wojny i jedno z typowych starć z wrzaskami i tłuczeniem talerzy wisiało na włosku. Ale Alvin pochrapywał na stryszku, więc Gertie i Makepeace tylko popatrzyli na siebie gniewnie i dali spokój. Wszystkie ich kłótnie zawsze wyglądały tak samo, zawsze powtarzali te same okrutne słowa, tak samo się nawzajem ranili, więc teraz jakby mieli już dość. Jakby stwierdzili: udawaj, że powiedziałem wszystko to,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

czego nienawidzisz najbardziej na świecie, a ja udam, że usłyszałem to, czego ja najbardziej nienawidzę. I na tym skończmy.

Alvin nie spał długo ani głęboko. Lęk, gniew i niecierpliwość wzbierały w nim tak, że nie mógł uleżeć bez ruchu, ani tym bardziej dryfować myślami z prądem sennych marzeń. Obudził się ze snu o czarnym lemieszu zamienionym w złoto. Obudził się ze snu o tym, jak chłostają Arthura Stuarta. Obudził się ze snu o tym, że mierzy ze strzelby do jednego z odszukiwaczy i że pociąga za spust. Obudził się ze snu o tym, że mierzy do odszukiwacza ze strzelby i nie pociąga za spust, jak odjeżdżają, wlokąc między sobą Arthura Stuarta, który krzyczy przez cały czas: "Alvinie, gdzie jesteś, Alvinie, nie pozwól mnie zabrać!" - Obudź się albo bądź cicho! - zawołała Gertie. - Straszysz dzieci.

Alvin otworzył oczy i wyjrzał ze strychu.

- Przecież nie ma tu waszych dzieci.

- No, to mnie straszysz. Nie wiem, co ci się śniło, ale nie życzyłabym takich snów najgorszemu wrogowi, którym dzisiaj rano jest akurat mój mąż, jeśli chcesz poznać prawdę.

Wzmianka o Makepeasie rozbudziła Alvina natychmiast. Wciągnął spodnie, zastanawiając się, skąd się wziął na stryszku i kto mu zdjął ubranie i buty. W ciągu tej krótkiej chwili Gertie zdążyła jakoś postawić na stole jedzenie: chleb, ser i gęsty słodki syrop.

- Nie mam czasu na jedzenie, psze pani - oświadczył Alvin. - Przepraszam, ale muszę biec...

- Masz czas.

- Nie, psze pani. Przykro mi.

- Więc weź chociaż chleb, głupcze jeden. Chcesz cały dzień pracować o pustym żołądku? Po paru godzinach snu? Przecież jeszcze nawet nie południe.

W rezultacie Alvin schodząc do kuźni, przeżuwał chleb. Zauważył bryczkę doktora Physickera i konie odszukiwaczy. Przez jedną chwilę miał nadzieję... Może są tutaj, bo Arthur Stuart zdołał jakoś uciec, a odszukiwacze zgubili trop i...

Nie. Mieli ze sobą Arthura Stuarta.

- Dzień dobry, Alvinie - powitał go Makepeace i spojrzał na pozostałych. - Jestem chyba najłagodniejszym mistrzem na świecie, skoro pozwalam uczniowi spać prawie do południa.

Alvin nie zauważył nawet, że Makepeace go krytykuje i nazywa uczniem, kiedy czeladnicze dzieło leży gotowe na ławie. Przykucnął tylko przed Arthurem Stuartem i spojrzał mu w oczy.

- Cofnij się - polecił siwowłosy odszukiwacz.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin ledwie go zauważał. Właściwie nie widział też Arthura Stuarta, przynajmniej nie oczami. Badał ciało chłopca, szukając ran czy sińców. Nic. Na razie nic. Tylko strach.

- Nie odpowiedzieliście nam jeszcze - odezwał się Pauley Wiseman. - Zrobicie je czy nie?

Makepeace chrząknął.

- Panowie, raz tylko zrobiłem kajdany, jeszcze w Nowej Anglii.

Dla człowieka skazanego za zdradę, który w łańcuchach wracał do kraju. Mam nadzieję, że nigdy nie wykonam kajdan dla siedmioletniego chłopca, który żywej duszy nie skrzywdził i bawił się często koło mojej kuźni...

- Makepeace - przerwał mu szeryf. - Powiedziałem im, że jeżeli zrobisz te kajdany, nie będą musieli używać tego...

Podniósł ciężką obrożę z żelaza i drewna, do tej pory opartą o jego nogę.

- Tak mówi prawo - wyjaśnił siwowłosy. - Doprowadzamy zbiegłych niewolników w tej obroży, żeby inni zobaczyli, co ich czeka. Ale że to tylko dziecko i to jego mama uciekła, nie on, zgodziliśmy się na kajdany. Dla mnie to bez różnicy. Zapłacą nam i tak.

- Wy i ten wasz przeklęty Traktat o Zbiegłych Niewolnikach! - wykrzyknął Makepeace. - Wykorzystujecie prawo, żeby z nas także zrobić łowców niewolników.

- Ja je zrobię - oznajmił Alvin.

Makepeace spojrzał na niego ze zgrozą.

- Ty?

- Lepsze to niż obroża - wyjaśnił Alvin.

Nie dodał, że według niego, Arthur Stuart będzie nosił te kajdany nie dłużej niż do dzisiejszego wieczoru. Obejrzał się na malca.

- Zrobię ci kajdany tak, żeby nie uciskały - obiecał.

- Mądra decyzja - pochwalił go Pauley Wiseman.

- To przyjemnie zobaczyć tu kogoś, kto nie stracił rozsądku - dodał siwowłosy.

Alvin spojrzał na niego, starając się pohamować nienawiść. Nie do końca mu się to udało. Jego ślina uniosła obłok kurzu u stóp siwowłosego.

Czarnowłosy był już gotów go zaatakować, Alvin zaś chętnie złapałby się z nim za bary i ze dwie minuty wycierał podłogę jego gębą. Jednak Pauley Wiseman skoczył między nich i miał dość rozumu, żeby zwracać się do odszukiwacza, nie do Alvina.

- Musicie być zupełnym durniem, żeby rwać się do bójki z kowalem. Popatrzcie na jego muskuły.

- Poradzę sobie - oświadczył odszukiwacz.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Wy tutaj nie chcecie zrozumieć... - wtrącił uspokajająco siwowłosy. - Taki jest nasz dar. Nic na to nie poradzimy, że jesteśmy odszukiwaczami.

- Są takie dary - burknął Makepeace - że lepiej umrzeć w porodzie, niż dorosnąć i robić z nich użytek. - Popatrzył na Alvina. - Nie pozwolę ci wykuć tego w mojej kuźni.

- Nie przeszkadzaj nam, Makepeace - poprosił szeryf.

- Proszę was - dodał doktor Physicker. - Więcej robicie chłopcu złego niż dobrego.

Makepeace ustąpił, ale nie był przekonany.

- Pokaż mi ręce, Arthurze Stuarcie - polecił Alvin.

Potem demonstracyjnie zmierzył sznurkiem przeguby chłopca. Prawdę mówiąc, każdy cal jego skóry i wszelkie rozmiary miał w głowie; wykuje te kajdany gładkie i dopasowane, z zaokrąglonymi brzegami i lekkie. Arthurowi nie sprawią bólu. W każdym razie fizycznego.

Wszyscy w milczeniu przyglądali się pracy Alvina. Była to najlepsza, najczyściejsza robota, jaką mieli w życiu widzieć. Tym razem Alvin skorzystał ze swojego talentu, ale tak, żeby nikt nie zauważył. Rozkuł i wygiął pasek żelaza, przyciął go jak należy. Dwie połówki każdej obręczy pasowały dokładnie, żeby się nie przesuwać i nie szczypać skóry. A przez cały czas Alvin myślał, jak Arthur pomagał mu przy miechach albo zwyczajnie stał obok i z nim rozmawiał. To już nie wróci. Jeśli nawet ocalą go dzisiejszej nocy, będą musieli go wywieźć do Kanady albo gdzieś ukryć... jakby można się było ukryć przed odszukiwaczem.

- Dobra robota - ocenił siwowłosy odszukiwacz. - W życiu nie widziałem lepszego kowala.

- Możesz być z siebie dumny, Alvinie - odezwał się z ciemnego kąta Makepeace. - Może te kajdany będą twoim dziełem czeladniczym?

- Moje czeladnicze dzieło, Makepeace, to ten lemiesz, co leży na ławie.

Po raz pierwszy Alvin zwrócił się do mistrza po imieniu. Chyba wyraźnie dał mu do zrozumienia, że dni pomiatania już się skończyły.

Makepeace nie chciał tego zrozumieć.

- Uważaj, jak do mnie mówisz, chłopcze! To ja mówię, co jest twoim dziełem i...

- Chodź tu, mały! Musimy ci je założyć! - Siwowłosego odszukiwacza nie interesowały argumenty kowala.

- Jeszcze nie - zaprotestował Alvin.

- Są gotowe.

- Za gorące.

- No to wrzuć je do wiadra, żeby ostygły.

- Wtedy odrobinę zmienią kształt i poranią ręce chłopaka do krwi.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Czarnowłosy odszukiwacz wzniósł oczy w górę. Co ich obchodzi trochę krwi małego mieszańca?

Ale siwowłosy wiedział, że nikt ich nie poprze, jeśli nie zechcą czekać.

- Nie ma pośpiechu - mruknął. - To już nie potrwa długo. Usiedli i czekali bez słowa. Pauley zaczął rozmowę o niczym, włączyli się odszukiwacze, a nawet doktor Physicker. Paplali bez sensu, jak ze zwykłymi gośćmi. Może wierzyli, że wprawią odszukiwaczy w lepszy nastrój i w drodze na południe będą traktować jeńca łagodniej. Alvin musiał tak to sobie tłumaczyć, żeby nie znienawidzić tych ludzi.

Poza tym zaczynało mu coś świtać w głowie. Uwolnienie Arthura dziś w nocy nie wystarczy. A gdyby tak sprawić, żeby nawet odszukiwacze nie potrafili go znaleźć?

- Co jest w tym skarbczyku, którego używają odszukiwacze? - zapytał.

- Chciałbyś wiedzieć... - mruknął czarnowłosy.

- To żaden sekret - oświadczył siwowłosy. - Każdy właściciel szykuje takie pudełko dla każdego niewolnika, zaraz po zakupie albo urodzeniu. Kawałki skóry, trochę włosów, kropla krwi... takie rzeczy. Części ciała.

- I trafiacie po ich zapachu?

- Nie chodzi o zapach. Nie jesteśmy psami gończymi, panie kowalu.

Alvin wiedział, że nazwanie go panem i kowalem było czystym pochlebstwem. Uśmiechnął się lekko, udając, że sprawia mu to przyjemność.

- Więc w jaki sposób to pomaga?

- To jest nasz talent - odparł siwowłosy. - Kto wie, jak działa? Po prostu patrzymy i... jakbyśmy widzieli kształt osoby, której szukamy.

- Wcale nie tak - zaprotestował czarnowłosy.

- Dla mnie właśnie tak.

- Ja po prostu wiem, gdzie on jest. Jakbym widział jego duszę. W każdym razie kiedy już jestem blisko. Płonie jak ogień... dusza niewolnika, którego szukam. - Czarnowłosy odszukiwacz uśmiechnął się. - A potrafię widzieć daleko.

- Możecie mi pokazać? - poprosił Alvin.

- Nie ma na co patrzeć - odpowiedział siwowłosy.

- Ja ci pokażę, chłopcze - zgodził się czarnowłosy. - Odwrócę się plecami, a wy chodźcie z tym małym po kuźni. Wskażę go palcem przez ramię i trafię za każdym razem.

- Daj spokój - zaprotestował jego towarzysz.

- Dopóki nie ostygnie żelazo, i tak nie mamy nic do roboty. Daj skarbczyk.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Czarnowłosy odszukiwacz zrobił dokładnie to, co zapowiedział - przez cały czas wodził palcem za Arthurem Stuartem. Jednak Alvin wcale na to nie patrzył. Był zajęty badaniem wnętrza odszukiwacza, próbował zrozumieć, co właściwie robi, co widzi, i jaki to ma związek ze skarbczykiem. Nie miał pojęcia, jak siedmioletnie, wyschnięte skrawki ciała noworodka Arthura pokazują, gdzie chłopiec jest teraz.

Wtedy przypomniał sobie, że na samym początku odszukiwacz wcale nie wskazał Arthura. Jego palec kołysał się przez chwilę i dopiero po kilku sekundach odnalazł chłopca. Jakby odszukiwacz próbował odgadnąć, który z ludzi za jego plecami jest Arthurem.

Skarbczyk nie służył do odszukiwania - służył do rozpoznawania. Odszukiwacze widzieli wszystkich, ale bez skarbczyka nie mieli pojęcia, kto jest kim.

Zatem to, co widzieli, nie było ani umysłem, ani duszą. Widzieli tylko ciało podobne do każdego innego - chyba że coś je wyróżniało. I Alvin wiedział, co to może być. Uleczył w życiu wielu ludzi i przekonał się, że wszyscy są właściwie tacy sami - różnią się tylko maleńkie cząstki w samym środku każdego żywego skrawka. Te cząstki każdy człowiek miał takie same, ale inne niż reszta ludzi. Tak jakby Bóg chciał ludzi nazwać w drobinach ciał. A może było to znamię Bestii, jak w Apokalipsie. Nieważne. Alvin wiedział, że tylko jedna rzecz pozwala poznać Arthura Stuarta: ten podpis tkwiący w każdej cząstce jego ciała, nawet w martwych i odrzuconych fragmentach, przechowywanych w skarbczyku.

Potrafię zmienić ten podpis, myślał. Z pewnością potrafię. Odmienię go w każdej cząstce ciała. To jak przemiana żelaza w złoto. Jak przemiana wody w wino. Wtedy skarbczyk przestanie działać. Nie pomoże im. Mogą szukać Arthura Stuarta jak długo zechcą, ale dopóki nie zobaczą jego twarzy i nie rozpoznają w zwykły sposób, nigdy go nie znajdą.

A co najlepsze, nie odgadną, że w ogóle coś się zmieniło. Dalej będą mieli swój skarbczyk, zupełnie taki sam jak dawniej. Będą wiedzieli, że wcale się nie zmienił - ponieważ Alvin go nie zmieni. Ale choćby przeszukali cały świat, nie znajdą ciała takiego, jak te skrawki w skarbczyku. I nigdy się nie domyśla dlaczego.

Zrobię to. Znajdę jakiś sposób, żeby Arthura zmienić. W jego ciele są pewnie miliony takich podpisów. Zmienię je wszystkie. Dokonam tego dzisiaj, a od jutra będzie już bezpieczny na zawsze.

Żelazo wystygło. Alvin przyklęknął przed Arthurem i delikatnie założył mu kajdany. Pasowały doskonale, jakby odlewał je w formie ukształtowanej z ciała chłopca. Kiedy je zatrzasnął, kiedy łańcuch połączył przeguby, Alvin spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie bój się - powiedział.

Arthur Stuart milczał.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie zapomnę o tobie.

- Pewno - wtrącił czarnowłosy odszukiwacz. - Ale na wypadek, gdybyś za bardzo chciał pamiętać, kiedy mały będzie w drodze do swojego prawowitego właściciela, muszę cię uprzedzić: my dwaj nigdy nie śpimy równocześnie. A jako odszukiwacze wiemy, kiedy ktoś się zbliża. Nie można się do nas podkraść. A już na pewno nie ty, kowalczyku. Ciebie wypatrzę na dziesięć mil.

Alvin patrzył na niego bez słowa. W końcu odszukiwacz parsknął gniewnie i odwrócił się. Arthura Stuarta posadzili na konia przed siwowłosym. Alvin jednak domyślał się, że jak tylko przekroczą Hio, każą chłopcu iść pieszo. Nie z okrucieństwa zapewne, ale odszukiwacz nie powinien uciekinierowi okazywać litości. To źle wpływa na reputację. Poza tym muszą dać przykład innym niewolnikom. Niech zobaczą, jak siedmiolatek maszeruje z pokrwawionymi stopami, z pochyloną głową. Dwa razy się potem zastanowią, zanim spróbują uciekać ze swoimi dziećmi. Będą wiedzieli, że po odszukiwaczach nie można się spodziewać miłosierdzia.

Pauley i doktor Physicker pojechali wraz z nimi. Zamierzali odprowadzić odszukiwaczy aż do Hio i zobaczyć, jak przepływają rzekę. Upewnią się, że nikt nie skrzywdzi Arthura Stuarta na wolnym terytorium. Nic więcej nie mogli zrobić.

Makepeace nie miał wiele do powiedzenia, ale to, co miał, powiedział głośno.

- Prawdziwy mężczyzna nie założyłby kajdan przyjacielowi - oświadczył. - Pójdę do domu i podpiszę ci czeladnicze papiery. Nie chcę cię więcej widzieć w mojej kuźni ani w moim domu.

I zostawił Alvina samego przy kowadle.

Nie minęło nawet pięć minut, a zjawił się Horacy Guester.

- Chodźmy - powiedział.

- Nie. Jeszcze nie. Zobaczą nas. Powiedzą szeryfowi, ze ktoś ich śledzi.

- Nie mamy wyboru. Nie możemy zgubić tropu.

- Wiecie trochę o mnie i o tym, co umiem - uspokoił go Alviń. - Widzę ich nawet teraz. Będą spać, zanim odjadą na milę od brzegu Hio.

- Potrafisz to zrobić?

- Wiem, co się dzieje w człowieku, kiedy jest senny. Mogę sprawić, że jak tylko postawią nogę w Appalachee, coś takiego zacznie się dziać z nimi.

- To czemu ich po prostu nie zabić?

- Nie mogę.

- Przecież to nie są ludzie! Zabić ich to nie morderstwo!

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To są ludzie - odparł Alvin. - Poza tym to byłoby naruszenie Traktatu o Zbiegłych Niewolnikach.

- Jesteś teraz prawnikiem?

- Panna Larner mi to wytłumaczyła. Właściwie tłumaczyła Arthurowi Stuartowi, a ja słuchałem. Chciał wiedzieć. Jeszcze zeszłej jesieni. Powiedział: "Gdyby przyszli po mnie jacyś odszukiwacze, to dlaczego tato ich nie zabije?" A panna Larner mu wyjaśniła, że wtedy przyszłoby ich więcej, ale tym razem powiesiliby was, a jego i tak zabrali.

Horacy zaczerwienił się. Przez chwilę Alvin nie rozumiał dlaczego, ale Horacy Guester zaraz mu to wytłumaczył.

- Nie powinien mnie nazywać tatą. Nie chciałem go w swoim domu. - Przełknął ślinę. - Ale miał rację. Zabiłbym tych odszukiwaczy, gdybym tylko wierzył, że to się na coś przyda.

- Żadnego zabijania - oświadczył Alvin. - Uda mi się chyba tak wszystko ułożyć, że już nigdy Arthura nie znajdą.

- Wiem. Odwiozę go do Kanady. Dotrę do jeziora i przepłynę na drugą stronę.

- Nie. Uda mi się chyba tak wszystko ułożyć, że nie znajdą go już nigdzie. Będziemy go tylko musieli ukryć, dopóki nie odjadą na dobre.

- Gdzie?

- W źródlanej szopie, jeśli panna Larner się zgodzi.

- Dlaczego tam?

- Bo nastawiałem tam heksów po same uszy. Myślałem, że robię to dla nauczycielki, ale teraz wydaje mi się, że naprawdę robiłem to dla Arthura Stuarta.

Horacy uśmiechnął się.

- Coś w tobie siedzi, Alvinie. Wiesz o tym?

- Może. Ale chciałbym się dowiedzieć co.

- Pójdę spytać panny Larner, czy możemy wykorzystać jej dom. - Jak ją znam, powie "tak", zanim jeszcze skończycie mówić.

- No, to kiedy ruszamy?

Alvin był zaskoczony: dorosły mężczyzna jego pytał, kiedy należy coś zrobić.

- Jak tylko się ściemni. Jak tylko ci dwaj odszukiwacze zasną.

- Naprawdę to potrafisz?

- Jeżeli tylko będę się im przyglądał. To znaczy... tak jakby przyglądał. Jeśli będę pilnował, gdzie są. Żebym nie uśpił jakichś innych ludzi.

- A teraz ich pilnujesz?

- Wiem, gdzie są.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- No, to uważaj na nich.

Horacy wyglądał na przestraszonego. Prawie tak bardzo, jak siedem lat temu, kiedy Alvin powiedział, że wie o pogrzebanej dziewczynie. Bał się, ponieważ Alvin był zdolny do czegoś niezwykłego, co wykraczało poza heksy i talenty zrozumiałe dla Horacego.

Nie znasz mnie, Horacy? Nie wiesz, że wciąż jestem Alvinem, tym chłopcem, którego lubiłeś, któremu ufałeś i pomagałeś tyle razy? Jeśli jestem silniejszy, inaczej silniejszy, niż myślałeś, to nie znaczy przecież, że jestem choć odrobinę groźniejszy od ciebie. Nie ma powodu do strachu.

Horacy jakby słyszał te myśli, bo lęk odpłynął z jego twarzy.

- Chciałem powiedzieć... Peg i ja liczymy na ciebie. Bogu niech będą dzięki, że tutaj trafiłeś, i to właśnie w chwili, kiedy tak bardzo jesteś potrzebny. Dobry Pan czuwa nad nami.

Horacy uśmiechnął się, odwrócił i wyszedł z kuźni.

To, co powiedział, dodało Alvinowi pewności. Poczuł się lepiej. Ale przecież taki był dar Horacego: sprawiał, że ludzie czuli się tak, jak pragnęli się czuć.

Alvin powrócił myślami do odszukiwaczy. Posłał za nimi swój przenikacz, żeby pilnować ich ciał, które sunęły jak dwie czarne burze poprzez zieloną pieśń wokół, a pomiędzy nimi cicha pieśń Arthura Stuarta. Czysta i jasna. Czarna i biała skóra nie ma nic wspólnego z czernią i bielą serca, pomyślał Alvin. Ręce miał zajęte pracą przy kowadle, ale choćby się starał, nie potrafił się na niej skupić. Nigdy jeszcze nie obserwował nikogo na taką odległość... Z jednym wyjątkiem: kiedy na Ośmiościennym Kopcu pomagał mocom, których nie pojmował.

A najgorsze, co mogłoby mu się zdarzyć, to gdyby ich zgubił, gdyby stracił Arthura Stuarta przez nieuwagę. Chłopiec zginąłby wśród tych udręczonych dusz niewolników w Appalachee i dalej, na głębokim południu, gdzie wszyscy biali ludzie byli sługami innego Arthura Stuarta, króla Anglii. Czyli Czarni byli niewolnikami niewolników.

Arthur nie może się zgubić w takim strasznym miejscu. Muszę podążać za nim, jak gdyby nas łączyła jakaś nić.

I niemal natychmiast, ledwie sobie wyobraził cienką, niewidzialną nić łączącą go z małym mieszańcem, ta nić zaistniała. Biegła przez powietrze, tak cienka jak to, co kiedyś wymyślił, kiedy próbował zrozumieć, czym jest atom. Nić miała tylko jeden wymiar - długość, która łączyła serce chłopca z sercem Alvina. Zostań z nim, polecił jej Alvin, jakby była żywą istotą. A ona w odpowiedzi zdawała się rozjaśniać, pogrubiać... aż się przestraszył, że inni ją zobaczą.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Kiedy jednak popatrzył zwyczajnie oczami, nie zauważył żadnej nici; pojawiała się tylko wtedy, gdy spoglądał inaczej. Zdumiało go, że taka rzecz może się nagle pojawić, stworzona z niczego, to znaczy bez żadnego wzorca poza tym, który tkwił w głowie Alvina. To jest Tworzenie. Moje pierwsze cienkie, niewidzialne Tworzenie... Ale ono istnieje i nocą zaprowadzi mnie do Arthura Stuarta, żebym mógł dać mu wolność.

W swoim małym domku Peggy obserwowała Alvina i Arthura Stuarta. Spoglądała to na jednego, to na drugiego. Szukała jakiejś ścieżki, wiodącej ku wolności Arthura, za którą Alvin nie płacił śmiercią albo więzieniem. Ale choć szukała starannie i dokładnie - takiej ścieżki nie było. Odszukiwacze zbyt byli sprawni w posługiwaniu się swoim strasznym darem. Na pewnych ścieżkach Alvin i Horacy uwalniali Arthura, ale wkrótce znajdowano go i na powrót zabierano w niewolę, kosztem krwi albo wolności Alvina.

Dlatego z rozpaczą zaczęła się przyglądać, jak Alvin splata swą prawie nie istniejącą nić. I dopiero wtedy, po raz pierwszy, dostrzegła w płomieniu serca Arthura Stuarta lekki błysk możliwej wolności. Nie o to chodziło, że nić doprowadzi Alvina do chłopca. Już wcześniej na niektórych ścieżkach widziała, jak Alvin odnajduje i usypia odszukiwaczy. Nie, rzecz w tym, że Alvin w ogóle potrafił taką nić stworzyć. Prawdopodobieństwo było znikome i nie ukazywała go żadna ścieżka. A może... Wcześniej o tym nie pomyślała... Może sam akt Stworzenia tak głęboko narusza prawa natury, że ona ze swym darem nie potrafi dostrzec ścieżek, które biorą z niego początek. Przynajmniej dopóki rzecz się nie stanie.

Ale czy nawet w chwili narodzin Alvina nie widziała jego wspaniałej przyszłości? Czy nie widziała, jak wznosi miasto z najczystszego szkła czy lodu? Nie widziała tego miasta pełnego ludzi, którzy mówią językami aniołów i patrzą oczami Boga? To, że Alvin będzie Stwarzał, zawsze było prawdopodobne - pod warunkiem, że nie zginie. Ale żaden konkretny akt Stworzenia nigdy nie wydawał się możliwy, nigdy dość naturalny, by żagiew - nawet żagiew tak nadzwyczajna jak Peggy - go przewidziała.

Zobaczyła, jak Alvin usypia odszukiwaczy prawie natychmiast po zmroku, kiedy tylko znaleźli miejsce na obóz na drugim brzegu Hio. Zobaczyła, że Alvin i Horacy spotykają się w kuźni i szykują do marszu przez las do Hio, unikając drogi, żeby nie spotkać wracających z Ujścia Hatrack szeryfa i doktora Physickera. Nie zwracała na nich uwagi. Teraz, gdy pojawiła się nadzieja, całą uwagę skoncentrowała na przyszłości Arthura. Badała jego wąskie ścieżki wolności, zakorzenione w teraźniejszych działaniach. Nie potrafiła znaleźć jednego momentu wyboru i zmiany. Dla niej był to dowód, że wszystko zależy od tego, czy Alvin stanie się prawdziwym Stwórcą - dzisiaj, tej nocy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- O Boże - szepnęła. - Jeżeli sprawiłeś, że ten chłopiec urodził się z takim darem, błagam cię, abyś dziś wieczorem nauczył go Tworzenia.

Alvin stał obok Horacego, obaj ukryci w cieniach na brzegu. Czekali, aż przepłynie rzęsiście oświetlony rzeczny statek. Na pokładzie grała muzyka, a pasażerowie tańczyli kadryla. Alvin poczuł gniew: bawili się jak dzieci, gdy tymczasem prawdziwe dziecko prowadzono do niewoli. Wiedział jednak, że jest niesprawiedliwy. Nie można winić ich za to, że są szczęśliwi, gdy cierpi ktoś inny, kogo nawet nie znają. Inaczej na świecie wcale nie istniałoby szczęście. Życie jest, jakie jest, myślał. Nie ma chwili, kiedy przynajmniej kilkuset ludzi nie cierpi z jakiegoś powodu.

Ledwie statek zniknął za zakrętem, usłyszeli jakieś trzaski wśród drzew. A raczej to Alvin usłyszał, i to tylko jemu dźwięk wydał się trzaskiem, ponieważ wyczuwał właściwy porządek rzeczy w zielonej pieśni lasu. Dopiero po kilku minutach Horacy także coś zauważył. Ktokolwiek się do nich skradał, jak na Białego poruszał się rzeczywiście cicho.

- Teraz żałuję, że nie mam strzelby - szepnął Horacy.

Alvin pokręcił głową.

- Czekajcie i patrzcie - odpowiedział, ledwie poruszając wargami.

Czekali. Po chwili jakiś człowiek wynurzył się z lasu i zsunął po błotnistym brzegu do wody, gdzie kołysała się łódka. Przybysz rozejrzał się, westchnął i wsiadł do łódki. Odwrócił się i zajął miejsce na rufie, posępnie wspierając dłonią podbródek. I nagle Horacy zachichotał.

- A niech mnie diabli porwą, kiedy już umrę! Przecież to Po Doggly!

Człowiek w łódce nagle się wyprostował i w blasku księżyca Alvin zobaczył jego twarz. Rzeczywiście, to był woźnica doktora Physickera. Ale Horacy wcale się tym nie zmartwił. Zjeżdżał już po stromym brzegu i brnął przez wodę do łódki. Kiedy się w niej znalazł, uściskał Po Doggly'ego tak mocno, że aż woda chlupnęła przez burtę. Po sekundzie obaj zauważyli, że łódka kołysze się niebezpiecznie i bez słowa przesunęli się dokładnie tak, żeby ją zrównoważyć. Potem, wciąż w milczeniu, Po Doggly wsunął wiosła w dulki, a Horacy wyjął spod ławki płaski blaszany czerpak i zaczął rytmicznie wybierać wodę.

Przez chwilę Alvin podziwiał idealną współpracę tych dwóch. Nie musiał pytać - po ich zachowaniu poznał, że w przeszłości nieraz wyruszali na takie wyprawy. Jeden wiedział, co zrobi drugi, więc się nie zastanawiali. Jeden robił swoje, drugi swoje, i nie musieli nawet sprawdzać, by wiedzieć, że obie części roboty są wykonane jak należy.

Niczym te cząsteczki i drobinki, które tworzyły wszystko na świecie; niczym taniec atomów, których obraz Alvin ukształtował w swoim umyśle. Dotąd nie zdawał sobie z tego

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

sprawy, ale ludzie też mogą być jak atomy. Na ogół są zdezorganizowani, nikt nie zna nikogo, nikt nie pozostaje na miejscu dość długo, żeby zaufać i zdobyć zaufanie - dokładnie tak, jak Alvin wyobrażał sobie atomy, zanim Bóg pouczył je, kim są, i zanim przydzielił im zadania. Ale oto zobaczył dwóch ludzi - dwóch mężczyzn, których nikt by nawet nie podejrzewał, że się bliżej znają... Najwyżej tak, jak wszyscy znają wszystkich w Hatrack River. Po Doggly, kiedyś farmer, teraz zmuszony powozić bryczką doktora Physickera, i Horacy Guester, pierwszy osadnik w miasteczku, właściciel dobrze prosperującego zajazdu. Kto by pomyślał, że tak doskonale potrafią się dopasować? To dlatego, że każdy z nich wiedział, kim jest ten drugi, wiedział czysto i jasno, tak jak atom pewnie zna imię, które otrzymał od Boga. Każdy zajmował swoje miejsce i wykonywał swoją pracę.

Wszystkie te myśli tylko przemknęły Alvinowi przez głowę. Jednak po latach miał pamiętać, że właśnie wtedy zrozumiał po raz pierwszy: ci dwaj ludzie razem tworzyli coś równie rzeczywistego i solidnego jak ziemia pod stopami, jak drzewo, o które się opierał. Większość nie umiała tego dostrzec - po prostu dwaj mężczyźni siedzący razem w łódce. Ale może i atomy uznałyby, że inne atomy, tworzące kawałek żelaza, po prostu przypadkiem znalazły się blisko siebie. Może trzeba spojrzeć z oddali, jak Bóg, a w każdym razie ktoś stojący wysoko. Tylko wtedy można się przekonać, co powstaje, kiedy dwa atomy pasują do siebie w pewien szczególny sposób. A z faktu, że inny atom nie widzi związku, nie wynika jeszcze, że ten związek nie jest realny, albo że żelazo nie jest twarde jak tylko może być żelazo.

- Al, idziesz czy nie?

Jak już zostało powiedziane, Alvin nie całkiem zdawał sobie sprawę z własnych przemyśleń. Ale nie zapomniał ich. Nawet zjeżdżając z brzegu w błoto wiedział, że nigdy ich nie zapomni, choćby od ich pełnego zrozumienia dzieliły go jeszcze mile i lata, i krew, i łzy.

- Miło was widzieć, Po - powiedział. - Ale zdawało mi się, że ta wyprawa ma być tajemnicą.

Po machnął wiosłami i łódka podpłynęła bliżej. Alvin mógł przeskoczyć burtę, nie mocząc nóg. Nie protestował. Miał awersję do wody, czemu trudno się dziwić, skoro Niszczyciel tak często właśnie wodę wykorzystywał, próbując go zabić. Ale dzisiaj zdawała się tylko wodą. Niszczyciel był niewidoczny albo bardzo daleki. Może to z powodu tej cienkiej nici, która wciąż łączyła Alvina z Arthurem... Może tak potężny akt Stworzenia sprawił, że Niszczycielowi brakło sił, by zwrócić wodę przeciwko Alvinowi, choć miał jej całą rzekę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To jest tajemnica, Alvinie - wyjaśnił Horacy. - Po prostu nie wiesz, o co chodzi. Jeszcze zanim przybyłeś do Hatrack River... to znaczy, zanim wróciłeś... ja i Po często wyruszaliśmy po zbiegłych niewolników. Pomagaliśmy im przedostać się do Kanady.

- Odszukiwacze was nie złapali?

- Jeśli niewolnik dotarł aż tutaj, odszukiwacze musieli być daleko - odparł Po. - Zresztą, sporo zbiegów zdążyło wykraść swoje skarbczyki.

- Poza tym to było jeszcze przed Traktatem o Zbiegłych Niewolnikach - dodał Horacy. - Jeśli odszukiwacze nie zastrzelili nas na miejscu, to potem niewiele już mogli zrobić.

- I w tamtych czasach mieliśmy żagiew - mruknął Po.

Horacy milczał. Odwiązał tylko i rzucił na brzeg linę. Po zaczął wiosłować dokładnie w chwili, gdy opadła cuma... A Horacy pochylił się, gotów na pierwsze szarpnięcie łodzi. Sprawiało to wrażenie cudu: jak gładko z góry odgadywali nawzajem swoje ruchy i zamiary. Alvin zaśmiał się niemal z radości, że widzi coś podobnego, wie, że to jest możliwe, że można marzyć o tym, co może z tego wyniknąć: tysiące ludzi znających siebie tak doskonale, działających w idealnej harmonii, pracujących wspólnie. Kto mógłby stanąć im na drodze?

- Kiedy odjechała córka Horacego, nikt nie mógł nas uprzedzać, że zbliża się jakiś uciekinier. - Po pokręcił głową. - To był koniec. Ale wiedziałem, że skoro zakuli w łańcuchy i wloką na południe Arthura Stuarta, Horacy na pewno przepłynie rzekę i go uwolni, choćby samo piekło stanęło mu na drodze. I jak tylko zostawiliśmy tych odszukiwaczy i odjechałem kawałek od Hio, zatrzymałem powóz i pobiegłem z powrotem.

- Założę się, że doktor Physicker coś zauważył - mruknął Alvin.

- Pewno, że zauważył, głuptasie jeden! - oświadczył Po. - Aha, widzę, że ze mnie żartujesz. Ale zauważył. I powiedział tylko: "Bądź ostrożny, ci chłopcy są niebezpieczni". Obiecałem, że będę uważał, a on powiada: "To ten przeklęty szeryf Pauley Wiseman. Pozwolił, żeby tak szybko go zabrali. Może nie dopuścilibyśmy do ekserdycji, gdybyśmy tylko zatrzymali chłopaka do przyjazdu sędziego okręgowego. Ale Pauley... Wszystko robił zgodnie z prawem, ale działał tak szybko... W głębi serca wiedziałem: chce się pozbyć chłopca, chce, żeby zniknął z Hatrack River i już nigdy nie wrócił". Wierzę mu, Horacy. Pauley Wiseman nie lubił tego małego mieszańca, odkąd Peg się uparła, żeby go posłać do szkoły.

Horacy burknął coś pod nosem. Przesunął rudel dokładnie w tym samym momencie, kiedy Po mocniej pociągnął wiosłem z jednej strony, żeby wykręcić łódką pod prąd i wylądować w dogodnym miejscu na drugim brzegu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Wiesz, co sobie myślę? - zapytał Horacy. - Myślę, Po, że na tej posadzie masz za dużo wolnego czasu.

- Kiedy ona mi odpowiada - zapewnił Po Doggly.

- Pomyślałem sobie, że na jesieni mamy wybory okręgowe i urząd szeryfa jest do wzięcia. Uważam, że Pauley Wiseman powinien wylecieć.

- A ja mam być szeryfem? Myślisz, że to możliwe? Przecież wszyscy wiedzą, że jestem pijakiem.

- Nie wypiłeś ani kropelki przez cały czas, kiedy pracujesz u doktora. A jeżeli przeżyjemy tę noc i Arthur wróci bezpieczny, zostaniesz bohaterem.

- Bohaterem jak diabli! Oszalałeś, Horacy? Ani żywa dusza nie może się o tym dowiedzieć, bo od Hio do Camelotu ogłoszą nagrodę za nasze móżdżki na chlebie.

- Nie wydrukujemy tego i nie będziemy sprzedawać, jeśli o to ci chodzi. Ale wiesz, jak się rozchodzą plotki. Dobrzy ludzie będą wiedzieli, co zrobiliśmy.

- To ty zostań szeryfem, Horacy.

- Ja? - Guester uśmiechnął się. - Wyobrażasz mnie sobie, jak zamykam kogoś w więzieniu?

Po zaśmiał się cicho.

- Raczej nie.

Dotarli do brzegu. I znowu ich ruchy były szybkie, doskonale zgrane. Trudno uwierzyć, że tak wiele lat minęło, odkąd ostatnio pracowali razem. Całkiem jakby ich ciała wiedziały same, co trzeba zrobić, a oni nie musieli nawet o tym myśleć. Po wyskoczył do wody - sięgała mu po kostki, nie wyżej - i przytrzymał łódź, żeby nie chlupotała. Oczywiście, zakołysała się, ale bez żadnego zbędnego gestu Horacy pochylił się i wyhamował kołysanie. Po chwili dziób leżał już wyciągnięty na piaszczysty w tym miejscu brzeg i przywiązany do drzewa. Alvinowi lina wydawała się stara i zbutwiała, ale kiedy posłał do jej wnętrza swój przenikacz, przekonał się, że utrzyma łódkę mimo prądu ściągającego rufę.

Dopiero kiedy wykonali wszystkie znajome zadania, stanęli niby oddział pospolitego ruszenia na miejskim rynku. Horacy wyprostował ramiona i spojrzał na Alvina.

- Teraz, Al, wszystko zależy od ciebie. Prowadź.

- Nie będziemy ich tropić? - zdziwił się Po.

- Al wie, gdzie teraz są.

- A, to miło. A wie też, czy trzymają strzelby w pogotowiu, wycelowane w nasze głowy?

- Wiem - oświadczył Alvin.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Powiedział to tak, aby Po zrozumiał, że nie chce więcej pytań. Jednak Po nie zrozumiał.

- Powiadasz, że ten chłopak to żagiew, czy co? Z jego darów słyszałem tylko o podkuwaniu koni.

Dlatego właśnie Al nie lubił, kiedy towarzyszył mu ktoś obcy. Nie miał ochoty tłumaczyć Po, do czego jest zdolny. A przecież nie można komuś wprost powiedzieć, że się mu nie ufa.

Horacy pospieszył mu na ratunek.

- Po, muszę ci coś powiedzieć: Al nie bierze udziału w naszej wyprawie.

- Mnie wygląda na to, że on jest tu najważniejszy.

- Mówię ci, Po, że poszliśmy tylko ty i ja, i akurat natrafiliśmy na śpiących odszukiwaczy. Zrozumiałeś?

Po Doggly zmarszczył brwi, ale kiwnął głową.

- Jedno mi tylko powiedz, chłopcze. Nieważne, jaki tam masz talent, ale czy jesteś chrześcijaninem? Nie pytam nawet, czy metodystą.

- Tak, psze pana - potwierdził Alvin. - Chyba jestem chrześcijaninem. Przestrzegam wskazań Biblii.

- To dobrze - odetchnął Po. - Nie chciałbym się pakować w jakieś diabelskie moce.

- Nie ze mną - zapewnił Alvin.

- Lepiej, żebym nie wiedział, co potrafisz, Al. Uważaj tylko, żebym przypadkiem nie zginął z tego powodu.

Alvin wyciągnął rękę, a Po uścisnął ją z uśmiechem.

- Wy, kowale, musicie być silni jak niedźwiedzie.

- Ja? Kiedy niedźwiedź wejdzie mi w drogę, tłukę go po głowie, aż zmieni się w rosomaka.

- Podobasz mi się, chłopcze.

Po chwili Alvin prowadził ich wzdłuż nici łączącej go z Arthurem.

Mieli przed sobą niedaleką drogę, ale całą godzinę zajęło im przedzieranie się przez gąszcz. Niewiele księżycowego światła sączyło się przez liście na ziemię. Bez Alvinowego wyczucia lasu droga zajęłaby im trzy razy więcej czasu i dziesięć razy głośniej by hałasowali.

Znaleźli odszukiwaczy śpiących na polanie przy dogasającym ognisku. Siwowłosy leżał przykryty kocem. Czarnowłosy musiał stać na straży, bo chrapał oparty o drzewo. Konie drzemały w pobliżu. Alvin stanął, zanim zdążyły się zaniepokoić.

Arthur Stuart nie spał. Siedział wpatrzony w ogień.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Przez minutę Alvin obserwował wszystko i zastanawiał się, co teraz robić. Nie był pewien, jak sprytni są odszukiwacze. Czy mogą znaleźć skrawki wyschniętej skóry, zgubione włosy i z tego zrobić nowy skarbczyk? W każdym razie nie należy przemieniać Arthura na miejscu. Oni sami też nie powinni wchodzić na polanę, żeby nie zostawić tam drobin swoich ciał jako dowodu, kto wykradł chłopca.

Dlatego Alvin z daleka przedostał się do wnętrza żelaza kajdan i wywołał pęknięcia we wszystkich czterech częściach, tak że upadły na ziemię z cichym brzękiem. Hałas zaniepokoił konie, które parskały trochę, ale odszukiwacze dalej spali jak zabici. Za to Arthur natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Poderwał się na nogi i zaczął się rozglądać, wypatrując Alvina.

Alvin zagwizdał, próbując naśladować piosenkę drozda. Była to dość marna imitacja, jednak Arthur usłyszał i pojął, że to Alvin go wzywa. Nie czekając i nie wahając się ani chwili, skoczył w las i po pięciu minutach i kilku dodatkowych gwizdach wskazujących kierunek, stanął przed Alvinem.

Oczywiście, Arthur Stuart zrobił ruch, jakby chciał Alvina uściskać, ale Alvin ostrzegawczo podniósł rękę.

- Niczego nie dotykaj - szepnął. - Muszę cię przemienić, Arthurze Stuarcie, żeby odszukiwacze nie złapali cię znowu.

- Dobrze, przemieniaj.

- Nie chcę zostawiać nawet skrawka tego, jaki zawsze byłeś. W ubraniu masz pełno włosów i skóry. Dlatego rozbierz się.

Arthur Stuart nie wahał się. Po chwili ubranie leżało już u jego stóp.

- Co prawda nie wiem, co robisz - odezwał się Po Doggly. - Ale jeśli zostawisz tu jego rzeczy, odszukiwacze będą wiedzieć, że szedł tędy. To znaczy na północ... To jakbyśmy wymalowali na ziemi wielką białą strzałę.

- Chyba macie rację - przyznał Alvm.

- Więc niech Arthur Stuart je zabierze i spuści z prądem - zaproponował Horacy.

- Tylko niech nikt nie dotyka Arthura ani niczego - przypomniał Alvin. - Arthurze, weź ubranie i idź za nami, powoli i ostrożnie. Jeśli się zgubisz, gwizdnij jak drozd, a ja też zagwiżdżę, żebyś nas znalazł.

- Wiedziałem, że przyjdziesz, Alvinie - powiedział Arthur Stuart. - I ty, tato.

- Odszukiwacze też pewnie wiedzieli - odparł Horacy. - A chociaż bardzo bym tego chciał, nie będą przecież spać przez wieczność.

- Zaczekajcie jeszcze chwilę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin wysłał swój przenikacz do kajdan, ściągnął razem pęknięte części, dopasował i połączył żelazo. Teraz leżały na ziemi całe i zamknięte. Nie zdradzą, w jaki sposób chłopiec się z nich uwolnił.

- Nie przypuszczam, Al, żebyś łamał im nogi albo coś w tym rodzaju? - spytał z nadzieją Horacy.

- A potrafiłby z tego miejsca? - nie dowierzał Po Doggly.

- Nic takiego nie zrobię - oświadczył Alvin. - Chcemy tylko, żeby odszukiwacze zaprzestali pościgu za chłopcem, który, według nich, przestanie istnieć.

- To rozsądne - przyznał Horacy. - Ale i tak podoba mi się myśl o odszukiwaczach z połamanymi nogami.

Alvin uśmiechnął się tylko i ruszyi przez las. Świadomie robił trochę hałasu i szedł tak wolno, żeby pozostali za nim nadążyli mimo niemal całkowitej ciemności.

Zatrzymali się nad rzeką. Alvin nie chciał, żeby Arthur wsiadał do łodzi w swej obecnej skórze i wszędzie zostawiał ślady. Jeżeli miał go odmienić, musi to zrobić teraz.

- Rzuć ubranie, chłopcze - polecił Horacy. - Jak najdalej.

Arthur wszedł na dwa kroki do wody. Alvin przestraszył się. Wewnętrzny wzrok ukazał mu, jak Arthur - zbudowany ze światła, ziemi i powietrza - znika częściowo, pochłonięty czernią wody. A jednak woda nie skrzywdziła ich po drodze na tę stronę i Alvin znalazł nawet sposób, by ją wykorzystać.

Arthur Stuart cisnął zawiniątko do wody. Prąd nie był tu zbyt silny; ubranie wirowało leniwie i spływało w dół, a tobołek rozsypywał się stopniowo. Arthur stał zanurzony do pośladków i wpatrywał się w rzeczy na wodzie - a właściwie nie... Nie drgnął nawet, kiedy przepłynęły daleko z lewej strony. Patrzył na północny brzeg, brzeg wolności.

- Już tu kiedyś byłem - oznajmił. - Widziałem tę łódź.

- Możliwe - przyznał Horacy. - Chociaż byłeś trochę za mały, żeby to wszystko pamiętać. Po i ja pomogliśmy twojej mamie wsiąść do tej samej łódki. A moja córka Peggy niosła cię na rękach, kiedy już wyszliśmy na brzeg.

- Moja siostra Peggy - stwierdził Arthur.

Obejrzał się na Horacego, jakby zadał pytanie.

- Chyba tak - mruknął Horacy i to była cała odpowiedź.

- Nie ruszaj się, Arthurze Stuarcie - uprzedził Alvin. - Kiedy cię będę przemieniał, muszę przemienić całego, w środku i na zewnątrz. Lepiej załatwić to w wodzie, żebyś mógł zmyć z siebie dawną skórę, gdzie jesteś naznaczony dawny ty.

- Zrobisz ze mnie Białego? - zapytał Arthur Stuart.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Potrafiłbyś? - zdziwił się Po Doggly.

- Nie wiem, do czego doprowadzi ta zmiana. Ale mam nadzieję, że nie będziesz biały. To byłoby jak kradzież tej części ciebie, którą dała ci twoja mama.

- Biali chłopcy nie są niewolnikami.

- I ten mieszany chłopiec też nie będzie. Przynajmniej jeśli mogę coś na to poradzić. A teraz stój, nie ruszaj się i pozwól mi się zastanowić.

Czekali bez ruchu, mężczyźni i chłopiec, a Alvin studiował wnętrze Arthura Stuarta, szukał tego maleńkiego podpisu, który znaczył każdy żyjący fragment jego ciała.

Wiedział, że nie może nic zmieniać dowolnie, ponieważ nie miał pojęcia, do czego właściwie taki podpis służy. Zgadywał tylko, że jego część czyni Arthura Stuarta sobą, a tego przecież odmieniać nie wolno. Zmiana w nieodpowiednim miejscu może odebrać chłopcu wzrok, zmienić krew w deszczówkę albo co... Skąd Alvin miał to wiedzieć?

To nić, nadal łącząca ich serca, podsunęła mu pomysł... I jeszcze wspomnienie słów Drozda, wypowiedzianych ustami Arthura Stuarta: "Stwórcą jest ten, kto staje się częścią tego, co tworzy". Alvin ściągnął koszulę i wszedł do rzeki, uklęknął tak, że patrzył Arthurowi prosto w oczy. Na piersi czuł łagodne falowanie chłodnej wody. Potem przyciągnął chłopca do siebie, pierś do piersi, dłonie na ramionach.

- Myślałem, że nie wolno nam małego dotykać - szepnął Po.

- Cicho, durniu jeden - burknął Horacy. - Alvin wie, co robi.

Chciałbym, żeby to była prawda, pomyślał Alvin. Ale przynajmniej miał teraz jakiś plan, a to już lepsze niż nic. Teraz, kiedy ich skóry do siebie przylegały, mógł porównać ów tajemny podpis Arthura Stuarta z własnym. Większe ich części były podobne, nawet identyczne. Alvin domyślił się, że to one sprawiają, iż jest się człowiekiem, a nie żabą, świnią czy kurą.

Tej części nie ośmielę się zmienić, ani odrobinki. Reszta... resztę mogę przekształcić. Ale nie jakkolwiek. Po co go ratować, jeśli stanie się jasnożółty albo głupi, albo coś takiego?

Dlatego Alvin postąpił w jedyny sposób, jaki wydał mu się rozsądny. Zmienił kawałki podpisu Arthura Stuarta na takie, jakie znalazł u siebie. Nie wszystko, co się różniło... Właściwie całkiem niedużo. Tylko trochę. Ale nawet ta odrobina wystarczała, żeby Arthur przestał być do końca sobą, a stał się częściowo AKinem. Zaś Alvin miał wrażenie, że to, co robi, jest równocześnie piękne i straszne.

Ile? Ile musi odmienić, żeby odszukiwacze nie poznali chłopca? Na pewno wystarczy te kilka przeróbek. Alvin mógł się tylko domyślać, a więc uwierzył w swoje domysły i już.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Oczywiście, to był dopiero początek. Teraz zaczął zmieniać wszystkie inne podpisy tak, żeby pasowały do nowych: każdy żywy fragment ciała Arthura, jeden po drugim, jak najszybciej. Dziesiątki, setki... Odnajdywał kolejne podpisy i przemieniał je zgodnie z nowym wzorcem.

Całe setki, potem następne, a nadal nie przemienił więcej niż skrawek skóry na piersi Arthura. Jak zdąży przekształcić całe ciało chłopca, pracując tak wolno?

- To boli - szepnął Arthur Stuart.

Alvin odsunął się od niego.

- Nie robię nic, co mogłoby cię zaboleć - zapewnił.

Arthur popatrzył na swoją pierś.

- O, tutaj...

Dotknął palcem okolicy, nad którą pracował Alvin.

Alvin przyjrzał się jej w świetle księżyca. Rzeczywiście, skóra była nabrzmiała, spuchnięta, pociemniała. Spojrzał jeszcze raz, ale nie oczami. Zobaczył, że reszta ciała Arthura atakuje zmieniony fragment, zabija go szybko po kawałku.

Oczywiście. Czego się spodziewał? Po tym podpisie ciało rozpoznawało własne części. Dlatego istniał w każdej drobince. Jeśli znikał, ciało poznawało, że to jakaś choroba i zabijało obcą materię. Przemiana Arthura szła i tak powoli, a teraz okazało się, że wszystko na nic - im więcej Alvin przekształci, tym bardziej będzie cierpiał Arthur Stuart, tym mocniej jego ciało będzie próbowało zniszczyć samo siebie, aż chłopiec umrze albo odrzuci nową część.

Całkiem jak w tej opowieści Bajarza o budowaniu muru tak wielkiego, że jeszcze człowiek nie doszedł z robotą do polowy, a już najstarsze części rozsypywały się w pył. Jak można wznieść taki mur, jeśli rozpada się szybciej, niż się go buduje?

- Nie mogę - szepnął Alvin. - Próbuję dokonać czegoś niemożliwego.

- Jeżeli nie potrafisz, to mam nadzieję, że umiesz latać - oświadczył Po Doggly. - Bo tylko w ten sposób zdołasz przerzucić małego do Kanady, zanim dopadną was odszukiwacze.

- Nie mogę - powtórzył Alvin.

- Jesteś zmęczony - pocieszył go Horacy. - Będziemy cicho, żebyś mógł się zastanowić.

- To na nic.

- Moja mama umiała latać - zauważył Arthur Stuart.

Alvin westchnął niecierpliwie, po raz kolejny słysząc tę samą bajkę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Ale to prawda - wtrącił Horacy. - Peggy mi mówiła. Ta czarna dziewczyna robiła jakieś cuda z popiołem, piórami kruka i takimi rzeczami, a potem doleciała aż tutaj. To ją zabiło. Z początku nie mogłem uwierzyć, że mały to zapamiętał. Nigdy tego nie powtarzaliśmy w nadziei, że w końcu zapomni. Ale muszę ci powiedzieć, Alvinie, że to byłby wstyd, gdyby ta dziewczyna umarła, żebyś ty siedem lat później zrezygnował w tym samym miejscu na brzegu.

Alvin przymknął oczy.

- Zamknijcie się i dajcie mi pomyśleć.

- Proponowałem ci to.

- No to sam się zamknij - uciął Po Doggly.

Alvin prawie ich nie słyszał. Znowu spoglądał do wnętrza ciała Arthura, do wnętrza zmienionej skóry. Sam w sobie nowy podpis nie był zły. Tylko tam, gdzie nowa skóra stykała się ze starą, ta nowa chorowała i ginęła. Wszystko byłoby dobrze, gdyby udało się przemienić całego Arthura naraz, zamiast po kawałku.

Tak jak ta nić, która powstała od razu: Alvin pomyślał o niej, wyobraził sobie, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy... i ona się stała. Wszystkie jej atomy jednocześnie wskoczyły na miejsca. Tak jak Horacy Guester i Po Doggly dopasowali się od razu: każdy wykonywał swoje zadania, ale uwzględniał wszystko, co robił ten drugi.

Tyle że nić była czysta i prosta. Tutaj jest trudniej; mówił o tym pannie Larner: to jak zmienić wodę w wino, a nie żelazo w złoto.

Nie, trzeba spojrzeć inaczej. Co zrobiłem, żeby stworzyć tę nić? Nauczyłem wszystkie atomy, czym mają być i gdzie się znaleźć, ponieważ wszystkie są żywe i mogą mnie posłuchać. Tyle że w ciele Arthura Stuarta nie mam do czynienia z atomami. Mam tu żywe cząstki. Może to właśnie podpis je ożywia, może potrafiłbym je nauczyć, czym powinny się stać... Zamiast przekształcać każdą ich część, po jednej, mogę po prostu powiedzieć: "Bądźcie takie!" A one to zrobią.

Natychmiast w myślach przemówił do podpisów w skórze Arthura, na całej jego piersi, wszystkich naraz. Pokazał im wzorzec, który sobie wyobraził: wzorzec tak złożony, że sam go nie rozumiał. Wiedział tylko, że jest ten sam, co w podpisach na skrawku skóry, który zmieniał po kawałku. I kiedy tylko im go pokazał, kiedy nakazał: "Bądźcie takie! Oto jest wzór!" - zmieniły się. Wszystkie się zmieniły, cała skóra piersi Arthura Stuarta, jednocześnie.

Arthur jęknął, a potem krzyknął głośno z bólu.

- Zaufaj mi - powiedział Alvin. - Teraz cię przemienię i ból minie. Ale zrobię to pod wodą, żeby cała stara skóra spłynęła. Zatkaj nos! Wstrzymaj oddech!

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Arthur Stuart dyszał ciężko z bólu, ale zrobił to, co mu nakazano. Palcami prawej dłoni złapał się za nos, nabrał tchu i zamknął usta. Alvin lewą ręką chwycił go za przegub, prawą wsunął pod plecy i zanurzył chłopca pod wodę. W tym momencie wyrysował w myślach całe ciało Arthura, zobaczył wszystkie podpisy - nie pojedynczo, ale wszystkie równocześnie. Pokazał im nowy wzorzec i tym razem pomyślał słowa z taką mocą, że usta same je wymówiły:

- Oto jest wzór! Bądźcie takie!

Niczego nie wyczuł dotykiem. Zwykłymi zmysłami nie mógłby odkryć zmian w ciele Arthura. Mimo to widział przemianę: wszędzie, w mgnieniu oka, zmienił każdy z podpisów w ciele chłopca, we wszystkich organach, w mięśniach, we krwi, w mózgu, nawet we włosach - w każdej części połączonej z ciałem. A co nie było połączone, co nie uległo przemianie, to zmyła i uniosła woda.

Alvin zanurzył się, żeby zmyć z siebie resztki skóry i włosów Arthura. Potem wyprostował się i wyniósł go na powierzchnię. Chłopiec otrząsnął się z wody - zalśniły krople niby deszcz pereł w świetle księżyca. Stanął dysząc ciężko i dygocząc z zimna.

- Powiedz, że już ustało bolenie.

- Przestało boleć. - Arthur poprawił Alvina tak, jak to zawsze robiła panna Larner. - Czuję się świetnie. Tylko zmarzłem.

Alvin podniósł go na rękach i wrócił na brzeg.

- Owińcie go w moją koszulę i zabierajmy się stąd.

Tak uczynili. Żaden z nich nie zauważył, że kiedy Arthur naśladował pannę Larner, nie mówił jej głosem.

Peggy też nie zauważyła, przynajmniej nie od razu. Zbyt była zajęta obserwacją płomienia serca Arthura Stuarta. Jak się zmienił, kiedy Alvin dokonał transformacji? Zmiana była tak subtelna, że nawet Peggy nie umiałaby wskazać, czego Alvin dokonał. A jednak od chwili, gdy Arthur wynurzył się z wody, nie pozostała ani jedna z jego dawnych ścieżek przyszłości - ani jedna nie prowadziła na południe, do życia w niewoli. Wszystkie nowe szlaki wiodły ku zadziwiającym możliwościom.

Przez cały czas, kiedy Horacy, Po i Alvin przewozili Arthura przez Hio i prowadzili lasem do kuźni, Peggy badała jego płomień serca, sprawdzała ścieżki, które przedtem nie istniały. Na ziemi pojawił się nowy Stwórca; dotknął Arthura Stuarta i nagle wszystko się zmieniło. Co więcej, prawie wszystkie przyszłości chłopca były nierozerwalnie związane z Alvinem. Peggy dostrzegła szansę niezwykłych wypraw: na jednej ze ścieżek podróż do Europy, gdzie Arthur będzie stał obok Alvina, kiedy złoży im pokłon Napoleon, nowy władca

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Świętego Cesarstwa Rzymskiego; na innej rejs na przedziwną wyspę daleko na południu, gdzie Czerwoni całe życie spędzają na dryfujących matach splecionych z wodorostów; na jeszcze innej tryumfalny marsz ku zachodnim krainom i Czerwoni witający Alvina jako wielkiego człowieka jednoczącego wszystkie rasy, w bezgranicznym zaufaniu otwierający przed nim swą ostatnią kryjówkę. I zawsze Alvinowi towarzyszy Arthur Stuart, mieszaniec - ale teraz sam obdarzony częścią mocy Stwórcy.

Większość ścieżek rozpoczynała się od tego, że przyprowadzają Arthura do źródlanej szopy. Dlatego nie zaskoczyło jej pukanie do drzwi.

- Panno Larner - zawołał cicho Alvin.

Ocknęła się z zamyślenia. Rzeczywistość nie była nawet w połowie tak interesująca, jak przyszłości odkryte w płomieniu serca Arthura Stuarta. Otworzyła drzwi. Stali tam wszyscy, z Arthurem opatulonym w koszulę Alvina.

- Przyprowadziliśmy go - oznajmił Horacy.

- To widzę - odparła Peggy.

Cieszyła się, ale jej głos nie zdradzał tej radości. Zachowywała się, jakby była bardzo zajęta, jakby jej przerwali coś ważnego, jakby była zirytowana. I była. No szybko, miała ochotę powiedzieć. Znam już tę rozmowę, bo Arthur Stuart ją słyszał, więc kończmy, żebym mogła dalej badać, czym się stanie ten chłopiec. Ale oczywiście nie mogła powiedzieć tego głośno, jeśli chciała nadal uchodzić za pannę Larner.

- Nie znajdą go - zapewnił ją Alvin. - W każdym razie dopóki nie zobaczą na własne oczy. Coś... Ich skarbczyk jest już do niczego.

- Jest bezużyteczny.

- No właśnie. Przyszliśmy prosić... czy można... czy możemy go u was zostawić? Ten dom... Obłożyłem go heksami, psze pani, więc nawet im do głowy nie przyjdzie, żeby tu wejść. Byle tylko drzwi były zamknięte na zamek.

- Nie macie dla niego jakiegoś ubrania? Jest jeszcze wilgotny... Chcecie, żeby się przeziębił?

- Noc jest ciepła - uspokoił ją Horacy. - Nie chcieliśmy wstępować do domu po rzeczy. Przynajmniej dopóki odszukiwacze nie wrócą, nie zrezygnują i nie odjadą znowu.

- Doskonale - odrzekła Peggy.

- A teraz lepiej zajmijmy się swoimi sprawami - wtrącił Po Doggly. - Muszę wracać do doktora.

- Powiedziałem Peg, że będę w mieście, więc lepiej, żebym naprawdę tam był.

Alvin zwrócił się do Peggy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Będę w kuźni, panno Larner. Gdyby coś się stało, proszę krzyknąć. W dziesięć sekund zjawię się tutaj.

- Dziękuję ci. A teraz proszę, wracajcie wszyscy do siebie.

Zamknęła drzwi. Nie chciała tak ich ponaglać, ale miała do zbadania cały wachlarz nowych przyszłości. Nikt, oprócz niej samej, nie był tak ważny dla dzieła Alvina, jak Arthur Stuart. Ale może tak będzie z każdym, kogo Alvin dotknie i odmieni... Może jako Stwórca przekształci każdego, kogo kocha. Wszyscy staną przy nim w tej wspaniałej chwili, popatrzą na świat przez ściany Kryształowego Miasta i zobaczą rzeczy takimi, jakimi pewnie widzi je Bóg.

Stukanie do drzwi. Otworzyła.

- Po pierwsze - powiedział Alvin - nie otwierajcie drzwi, jeśli nie wiecie, kto puka.

- Wiedziałam, że to ty - odparła.

Ale, prawdę mówiąc, wcale nie wiedziała. Nawet nie pomyślała.

- A po drugie, czekałem i nasłuchiwałem, czy zamkniecie drzwi na zamek. Nie zamknęliście.

- Przepraszam. Zapomniałam.

- Wiele nas kosztowało uwolnienie dzisiaj tego chłopca, panno Larner. Teraz wszystko zależy od pani. Dopóki odszukiwacze nie wyjadą.

- Tak, wiem.

Naprawdę było jej przykro i pozwoliła, by w głosie odezwał się ten żal.

- No to dobranoc.

Stał tam i czekał. Na co? Ach tak, aż ona zamknie drzwi. Zamknęła i przekręciła klucz w zamku. Potem wróciła do Arthura Stuarta, przytuliła go i ściskała tak długo, aż zaczął się wyrywać. - Jesteś bezpieczny - powiedziała.

- Oczywiście. Wiele nas kosztowało uwolnienie dzisiaj tego chłopca, panno Larner.

Słuchała go i wiedziała, że coś się stało. O co chodzi? No tak, oczywiście, Alvin użył dokładnie tych samych słów, ale coś się nie zgadza. Przecież Arthur zawsze naśladował różne osoby.

Naśladował. A tym razem powtórzył słowa Alvina własnym głosem. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszała. Zawsze uważała, że to talent chłopca. Że jest urodzonym imitatorem i nie ma pojęcia, że kogoś udaje.

- Jak się pisze "chrząszcz"?

- C-H-R-Z-Ą-S-Z-C-Z - odpowiedział. Swoim, nie jej głosem.

- Arthurze Stuarcie - szepnęła. - Co się stało?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nic się nie stało, panno Larner. Wróciłem do domu.

Nie wiedział. Nie zdawał sobie sprawy. Nigdy sobie nie uświadamiał, jak doskonałym jest naśladowcą, więc i teraz nie pojmował, że stracił swój talent. Zachował niemal doskonałą pamięć tego, co mówili inni. Wciąż mógł to powtórzyć słowo w słowo. Ale głosy zniknęły. Pozostał tylko jeden: jego własny głos siedmiolatka.

Objęła go znowu, na moment tylko, przelotnie. Teraz zrozumiała. Gdyby Arthur pozostał sobą, odszukiwacze mogliby go znaleźć i zabrać na południe. Jedynym ratunkiem było uczynienie go nie do końca sobą. Alvin nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że ratując Arthura, odebrał mu jego dar, a przynajmniej część daru. Ceną za wolność Arthura było to, że przestał być w pełni Arthurem. Czy Alvin to pojmuje?

- Jestem zmęczony, panno Larner - odezwał się Arthur Stuart.

- Tak, oczywiście - odparła. - Możesz położyć się tutaj, w moim łóżku. Ściągnij tę brudną koszulę i wskakuj pod kołdrę.

Zawahał się. Zajrzała w płomień jego serca i zrozumiała dlaczego. Odwróciła się z uśmiechem. Usłyszała szelest pościeli, a potem lekki zgrzyt sprężyn łóżka i odgłos małego ciała, wsuwającego się pod kołdrę. Wtedy podeszła do niego, pochyliła się i lekko pocałowała w policzek.

- Dobranoc, Arthurze - powiedziała.

- Dobranoc - wymruczał.

Po chwili już spał. Peggy usiadła przy biurku i podkręciła knot lampy. Może poczytać, czekając na powrót odszukiwaczy. Coś, co ją uspokoi.

Nie, nie mogła. Słowa tkwiły na stronicy, ale nie rozumiała ich sensu. Czyta Kartezjusza czy Księgę Rodzaju? To nieważne. Nie mogła się oderwać od nowego płomienia serca Arthura. Oczywiście, że zmieniły się wszystkie ścieżki jego życia. Nie był już tą samą osobą.

Prawie Arthur. Prawie ten, którym był przedtem. Ale niezupełnie.

Czy było warto? Utracić część siebie, aby zachować wolność? Może ten nowy człowiek był lepszy niż dawny, ale dawny Arthur odszedł, odszedł na zawsze. Odszedł bardziej nieodwracalnie, niż gdyby zabrali go na południe i spędził resztę życia jako niewolnik, a ten czas w Hatrack River stałby się tylko wspomnieniem, potem snem, wreszcie bajką opowiadaną pikaninom w ostatnich latach przed śmiercią.

Głupia! - krzyknęła na siebie w głębi serca. Nikt nie jest dzisiaj tą samą osobą, jaką był wczoraj. Nikt nie ma ciała tak młodego jak kiedyś, ani serca tak naiwnego czy umysłu pełnego niewiedzy. O wiele bardziej zmieniłoby go... okaleczyło... życie w niewoli, niż

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

delikatne działanie Alvina. Arthur Stuart teraz jest bardziej sobą, niż byłby w Appalachee. Poza tym widziała przecież mroczne ścieżki ukryte kiedyś w jego płomieniu serca, smak bata, ogłupiający żar przy pracy w polu, albo stryczek czekający na licznych ścieżkach, które wiodły do przewodzenia buntowi niewolników i wyrżnięcia w łóżkach dziesiątków białych ludzi. Arthur Stuart był zbyt młody, by pojąć, co go spotkało. Gdyby jednak był człowiekiem dojrzałym, gdyby sam mógł dokonać wyboru, wybrałby przyszłość, którą Alvin właśnie uczynił możliwą. Peggy nie miała wątpliwości.

W pewnym sensie utracił część siebie, część swego daru, a zatem i część wyborów, jakich mógł w życiu dokonać. Ale tracąc to wszystko, zyskał wolność, zyskał moc... Oczywiście, że zamiana była opłacalna.

Ale na wspomnienie jego skupionej buzi, kiedy jej własnym głosem literował słowa, nie mogła powstrzymać kilku łez żalu.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 19 - PŁUG

Odszukiwacze przebudzili się wkrótce po tym, jak przyjaciele zabrali Arthura Stuarta za rzekę.

- Popatrz tylko. Kajdany wciąż zatrzaśnięte. Dobre, twarde żelazo.

- Nieważne. Mieli dobry czar na sen i dobry czar na zsuwanie łańcuchów. Czy nie wiedzą, że kiedy my, odszukiwacze, raz złapiemy trop, potem już zawsze znajdziemy uciekiniera?

Gdyby ich ktoś zobaczył, mógłby pomyśleć, że cieszą się z ucieczki Arthura. To prawda: lubili dobry pościg, uwielbiali pokazywać ludziom, że nie da się uciec odszukiwaczom. A jeśli tak się złożyło, że przed końcem polowania wpakują komuś w brzuch garść ołowiu, to trudno, tak już bywa. Byli jak ogary na tropie krwawiącego jelenia.

Podążali śladem Arthura Stuarta przez las, aż na brzeg Hio. Dopiero wtedy ich wesołe spojrzenia ustąpiły posępnym. Podnieśli głowy i spojrzeli za rzekę, szukając płomieni serc tych, którzy nie śpią, kiedy porządni ludzie powinni spać. Siwowłosy nie sięgał wzrokiem tak daleko. Ale czarnowłosy zobaczył.

- Widzę kilka, które się poruszają. I kilka, które są nieruchome. Złapiemy trop w Hatrack River.

Alvin trzymał w rękach lemiesz. Wiedział, że potrafi zmienić go w złoto - dość widział złota w życiu, żeby poznać jego wzorzec. Mógł zatem pokazać cząsteczkom żelaza, czym powinny się stać. Ale wiedział też, że nie zwykłego złota mu trzeba. Byłoby za miękkie i zimne - jak zwyczajny kamień. Nie, chciał czegoś nowego. Nie tylko przemiany żelaza w złoto, o czym marzyli alchemicy, ale w złoto żywe, złoto zachowujące swój kształt i siłę lepiej od żelaza., lepiej od najlepszej stali. Złoto świadome, postrzegające świat dookoła... Pług znający ziemię, którą ma rozciąć i odsłonić promieniom słońca.

Złoty pług, który zna człowieka i któremu człowiek może zaufać, tak jak Po Doggly i Horacy Guester ufali sobie nawzajem. Pług, którego nie muszą ciągnąć woły i nie potrzebuje obciążenia, by orał ziemię. Pług, który wie, jaka gleba jest żyzna, a jaka nieurodzajna. I takie złoto, jakiego dotąd świat nie widział, jak nie widział tej cienkiej nici, którą Alvin przeciągnął pomiędzy Arthurem Stuartem a sobą.

Przyklęknął, tworząc w umyśle kształt złota.

- Bądźcie takie - szepnął do żelaza.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Czuł, jak atomy zbiegają się z otoczenia lemiesza i łączą z atomami żelaza, jak formują cząsteczki o wiele cięższe i układają się inaczej, aż tworzą wzór, jaki pokazał im w myślach.

Trzymał w rękach lemiesz ze złota. Potarł ostrze palcami. Tak, złoto, jasnożółte w blasku ognia na palenisku, ale wciąż martwe, wciąż zimne. Jak je nauczyć życia? Pokazując wzorzec własnego ciała? Nie, nie takiego życia potrzebowało. Pragnął rozbudzić żywe atomy, pokazać im, czym są w porównaniu z tym, czym być mogą. Tchnąć w nie płomień życia.

Płomień życia... Alvin uniósł złoty lemiesz - o wiele cięższy niż przedtem - i nie zważając na żar dogasającego ognia, wsunął go pomiędzy czerwone węgle paleniska.

Znowu siedzieli w siodłach... Jechali powoli drogą do Hatrack River i zaglądali do każdego domu, chaty i szopy. Trzymali skarbczyk, żeby porównywać go z płomieniami serc, jakie widzieli wewnątrz. Jednak nie znaleźli żadnego podobnego, nie rozpoznali nikogo. Minęli kuźnię i zobaczyli jarzący się w niej płomień serca, ale to nie był zbiegły mały mieszaniec. To na pewno ten kowal, który zrobił kajdany.

- Mam ochotę go zabić - szepnął czarnowłosy. - Pewnie rzucił zaklęcie na te kajdany, żeby ten mały mógł je zsunąć.

- Będzie na to czas, jak już znajdziemy pikanina - odpowiedział siwowłosy.

Zauważył dwa płomienie serc w źródlanej szopie, jednak żaden nie przypominał tego, co mieli w skarbczyku. Pojechali dalej. Szukali dziecka, które zdołają rozpoznać.

Ogień sięgał w głąb złota, ale tylko je roztapiał. To na nic. Lemiesz potrzebował życia, nie śmierci metalu w żarze. Alvin miał w myślach kształt pługu i z mocą pokazywał go każdej drobince metalu. Krzyczał bezgłośnie do każdego atomu: "Nie wystarczy ustawić się w te małe cząstki złota... Musicie utrzymać ten większy wzorzec, choćby działały na was inne siły, choćby was zgniatały, rozrywały, topiły czy kaleczyły!" Wyczuwał, że jest słyszany... Wyczuwał ruch w złocie, opór wobec spływania metalu zmieniającego się w ciecz. Ale ten opór nie wystarczał. Nie zastanawiając się, wsunął ręce do ognia, pochwycił złoto, pokazywał wzór pługu i krzyczał w sercu: "Bądźcie takie! Tym jesteście!" Bolało go strasznie, ale wiedział, że to właściwe miejsce dla jego dłoni, ponieważ Stwórca jest częścią tego, co tworzy. Atomy słyszały go i formowały się na sposoby, o których Alvin nawet nie pomyślał. Jednak efekt był tylko taki, że teraz złoto wchłaniało ogień i nie topniało, nie traciło kształtu. Udało się; lemiesz nie był żywy, w każdym razie nie tak, jak chciał tego Alvin, ale potrafił

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

przetrwać żar paleniska. Złoto stało się czymś więcej niż złotem. To złoto wiedziało, że jest lemieszem, i zamierzało nim pozostać.

Alvin wyjął ręce z ognia. Płomienie nadal tańczyły na jego skórze, zwęglonej miejscami i odchodzącej od kości. Cichy jak śmierć wsunął ręce do beczki z wodą i usłyszał syk gasnącego ognia. Potem, zanim ból zaatakował z pełną siłą, zaczął leczyć rany, zrzucać martwą skórę i zastępować ją nową.

Stanął wreszcie, osłabiony wysiłkiem uzdrawiania, spoglądając w ogień na złoty lemiesz. Leżał tam, znał swój kształt i utrzymywał go - ale to nie wystarczy do życia. Musiał jeszcze wiedzieć, do czego służą pługi. Musiał wiedzieć, po co żyje, aby mógł podjąć działania dla spełnienia tego celu. To byłoby Tworzenie; o tym właśnie mówił trzy lata temu Drozd. Tworzenie to nie stolarka, kowalstwo ani nic podobnego, nie cięcie, zginanie i rozgrzewanie, żeby zmusić przedmioty do przyjęcia nowej formy. Tworzyć to coś jednocześnie subtelniejszego i potężniejszego - to sprawić, by przedmioty chciały być inne, chciały przyjąć nowe formy i w naturalny sposób zmieniać kształt. Coś takiego Alvin robił od lat, nie zdając sobie z tego sprawy. Kiedy zdawało mu się, że znajduje tylko naturalne pęknięcia kamienia, tak naprawdę tworzył te pęknięcia. Wyobrażając je sobie w odpowiednich miejscach, dawał wskazówki atomom w cząsteczkach drobin skały i uczył je, by chciały ułożyć się we wzór, jaki dla nich wymyślił.

Teraz uczynił to samo, ale nie przypadkiem, lecz świadomie. Nauczył złoto być czymś mocniejszym, zachowywać kształt lepiej niż cokolwiek, co dotąd Tworzył. Ale jak nauczyć je czegoś więcej? Jak nauczyć je działać, poruszać się tak, jak złoto nigdy się nie poruszało?

Gdzieś w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że to nie złoty pług jest prawdziwym problemem. Liczy się Kryształowe Miasto, a tam cegłami nie będą zwykłe atomy w metalowym lemieszu. Atoniami miasta są mężczyźni i kobiety, a im brakuje prostodusznej wiary atomów. Brakuje im absolutnego zrozumienia, a kiedy działają, ich czyny nie są nawet w połowie tak czyste. Ale jeśli potrafię nauczyć to złoto, żeby było pługiem i było żywe, może potrafię z mężczyzn i kobiet wznieść Kryształowe Miasto. Może uda mi się znaleźć ludzi tak czystych jak atomy złota, mężczyzn i kobiety, którzy zdołają pojąć formę Kryształowego Miasta i pokochają je tak jak ja, gdy wszedłem z Tenska-Tawą na szczyt trąby powietrznej i zobaczyłem je po raz pierwszy. Wtedy nie tylko utrzymają jego kształt, ale także sprawią, że ożyje, stanie się większe i wspanialsze od nas, którzy będziemy jego atomami.

Stwórcą jest ten, kto staje się częścią tego, co tworzy.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin podbiegł do miechów i pompował, aż węgiel zapłonął żarem, który zwykłego kowala wypędziłby z kuźni. Ale nie Alvina. Podszedł do paleniska i wstąpił prosto w gorąco i płomienie. Czuł, jak spala się na nim ubranie, ale nie dbał o to. Zwinął się wokół pługu, a potem zaczął się leczyć; nie część po części, ale wszystko naraz. Mówił swojemu ciału: "Trwaj przy życiu! Ogień, który cię spala, prześlij do tego pługa!" A jednocześnie przemawiał do pługa: "Rób to, co robi moje ciało! Żyj! Ucz się od każdej części ciała, że każda z nich ma swoje przeznaczenie, że je realizuje. Nie mogę ci pokazać, jakim kształtem masz się stać ani jak to uczynić, bo sam nie wiem. Ale mogę ci pokazać, co to znaczy życie: przez ból mojego ciała, przez jego uzdrawianie, przez walkę, by nie zginąć. Bądź taki! Jakkolwiek trudno ci to pojąć, bądź jak ja!" Trwało to całą wieczność. Drżał w palenisku, ciało zmagało się z żarem, szukało sposobów, by przepłynął nim niby woda rzeką, wlał go w lemiesz, jakby był oceanem złocistego ognia. A w lemieszu atomy usiłowały spełnić prośbę Alvina, pragnęły być posłuszne, choć nie wiedziały jak. Ale wezwanie było potężne, zbyt potężne, by go nie słyszeć. Zresztą nie tylko o słuchanie chodziło. Było tak, jakby umiały ocenić, że to, czego Alvin chce od nich, jest dobre. Ufały mu, chciały być tym żywym pługiem, który sobie wymarzył. I w milionie drobinek czasu tak małych, że sekunda wydawała się przy nich wiecznością, próbowały to tego, to owego, aż gdzieś wewnątrz kruszcu powstał nowy wzorzec. Wzorzec, który wiedział, że jest żywy właśnie tak, jak chciał Alvin. I w jednej krótkiej, bardzo krótkiej chwili wszystkie atomy ułożyły się według niego, a lemiesz ożył.

Żył. Alvin poczuł, jak przesuwa się wzdłuż jego ciała, opada w gorące węgle, rozcina je niby glebę. A że była to jałowa gleba, na której nic by nie wyrosło, lemiesz uniósł się ponad nią i wysunął z paleniska ku wrotom kuźni. Poruszał się, decydował być w innym miejscu, a potem znajdował się tam. Kiedy dotarł na skraj ognia, przewrócił się i upadł.

Alvin w agonii także wytoczył się z ognia i upadł, także leżał przyciśnięty do zimnej podłogi. Teraz, kiedy nie otaczały go już płomienie, ciało zwyciężało w wyścigu ze śmiercią, leczyło się tak, jak je nauczył. Nie musiał wskazywać, co trzeba robić, nie musiał o niczym myśleć. Stań się sobą - to było polecenie Alvina, a podpis w każdym żywym fragmencie ciała postępował zgodnie z wzorcem, jaki w sobie zawierał. I po chwili jego ciało znowu było całe, bez skazy.

Nie mógł tylko usunąć wspomnienia bólu ani słabości - energia ciała wyczerpała się niemal do cna. Ale Alvin, choć słaby, był przecież radosny - leżący obok lemiesz zrobiony był z żywego złota, i to nie dlatego, że on go takim uczynił, ale dlatego, że go nauczył, jak się takim stać.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Odszukiwacze nic nie znaleźli, chociaż jeździli po całym mieście. Ten mały mieszaniec jakoś się przed nimi ukrywał, choć obaj wiedzieli, że to absolutnie niemożliwe. Jednak tak być musiało.

Najbardziej prawdopodobnymi kryjówkami wydawały się te miejsca, które chłopiec znał najlepiej: zajazd, źródlana szopa, kuźnia - miejsca, gdzie ludzie nie spali do późna. Odszukiwacze podjechali do zajazdu i uwiązali konie przy drodze. Załadowali strzelby i pistolety i ruszyli dalej na piechotę. Mijając zajazd, zbadali go jeszcze raz, sprawdzając każdy płomień serca. Żaden nie pasował do skarbczyka.

- Domek nauczycielki - powiedział siwowłosy. - Tam go przedtem znaleźliśmy.

Czarnowłosy popatrzył w stronę źródlanej szopy. Nie widział jej za drzewami, naturalnie, ale to, czego szukał, mógł zobaczyć i tak. - Jest tam dwoje ludzi - oznajmił.

- Może więc ten mieszaniec?

- Skarbczyk mówi, że nie. - Czarnowłosy odszukiwacz uśmiechnął się złośliwie. - Samotna nauczycielka, mieszka sama, a o tej porze przyjmuje gościa? Domyślam się, jakie ma towarzystwo, i to nie jest ten mały.

- Może lepiej sprawdźmy - zaproponował siwowłosy. - Jeśli masz rację, to nie wniesie skargi, że wyważyliśmy jej drzwi. Niech tylko spróbuje, a wszystkim powiemy, co zobaczyliśmy w środku.

Pośmiali się trochę i w blasku księżyca ruszyli w stronę domku panny Larner. Zamierzali kopniakami wyłamać drzwi, oczywiście, a potem uśmiać się setnie, kiedy nauczycielka zacznie się złościć i grozić.

Zabawne, ale na miejscu te plany jakoś wywietrzały im z głów. Zapomnieli o wszystkim. Przyjrzeli się tylko płomieniom serc wewnątrz i porównali je ze skarbczykiem.

- Co my tu robimy, do diabła? - zapytał siwowłosy. - Chłopak musi być w zajeździe. Wiemy przecież, że tutaj go nie ma.

- Wiesz, co myślę? - zapytał czarnowłosy. - Że może oni go zabili.

- Wariactwo. To po co by go ratowali?

- No to dlaczego nie możemy go znaleźć?

- Jest w zajeździe. Mają pewnie jakiś heks, który go zasłania. Jak tylko otworzymy drzwi, zobaczymy go i będzie po sprawie.

Przez jedną przelotną chwilę czarnowłosy zastanowił się: skoro już mają taki heks, to właściwie dlaczego nie w domku nauczycielki? Może by jednak tam zajrzeć? Otworzyć te drzwi?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ale ta myśl przemknęła mu tylko przez głowę i zniknęła. Nie pamiętał o niej, nie pamiętał nawet, że w ogóle coś myślał. Bez słowa poczłapał za siwowłosym. Mały mieszaniec z pewnością ukrywa się w zajeździe.

Oczywiście, widziała płomienie serc odszukiwaczy, kiedy zbliżyli się do drzwi. Nie bała się jednak. Przez cały czas badała płomień serca Arthura i nie znalazła żadnej ścieżki prowadzącej do jego schwytania. W przyszłości czekało go dość zagrożeń - Peggy zobaczyła ich wiele - ale dziś w nocy był bezpieczny. Dlatego nie zwracała na nich uwagi. Wiedziała, kiedy postanowili odejść; wiedziała, kiedy czarnowłosy pomyślał, żeby jednak wtargnąć do środka; wiedziała, kiedy heksy powstrzymały go i odepchnęły. Lecz przez cały czas obserwowała Arthura Stuarta, cały czas studiowała lata, które nadejdą.

Nie, nie wytrzyma dłużej. Musi opowiedzieć Alvinowi o wielkości i smutku tego, co uczynił. Ale jak? Ma mu zdradzić, że panna Larner jest w istocie żagwią, która w płomieniu serca Arthura Stuarta widzi miliony nowo narodzonych przyszłości? To nie do zniesienia zachowywać wszystko w sekrecie. Z panią Modesty mogła mówić otwarcie. Nie miała przed nią tajemnic.

Biec teraz do kuźni? To szaleństwo. Pragnie przecież powiedzieć mu o tym, o czym powiedzieć nie może, nie wyjawiając, kim jest naprawdę. Ale z pewnością oszaleje, jeśli zostanie w tych czterech ścianach z wiedzą, którą nie może się podzielić.

Zerwała się z krzesła i wyszła na zewnątrz. W pobliżu nie było nikogo. Zamknęła za sobą drzwi, przekręciła klucz w zamku. Raz jeszcze zajrzała w płomień serca Arthura i nadal nie dostrzegła tam żadnego zagrożenia. Będzie bezpieczny. Może iść do Alvina.

Dopiero wtedy poszukała płomienia serca Alvina. Dopiero wtedy zobaczyła, jaki straszliwy ból cierpiał kilka minut temu. Dlaczego nic nie zauważyła? Alvin przekroczył właśnie najwyższy próg swego życia. Dokonał wielkiego aktu Tworzenia, dał światu coś nowego... A ona nie patrzyła. Przecież kiedy walczył z Niszczycielem, z odległego Dekane widziała jego wysiłki. Dlaczego nie spojrzała na niego teraz, kiedy była o piętnaście jardów? Czemu nie poznała jego bólu, kiedy cierpiał w ogniu?

Może to przez źródlaną szopę... Kiedyś, prawie dziewiętnaście lat temu, w dniu narodzin Alvina, źródlana szopa zdusiła jej talent i sprowadziła sen. Peggy obudziła się, kiedy było już prawie za późno. Ale nie, to niemożliwe: woda nie płynie teraz przez źródlaną szopę i ogień w kuźni jest od niej mocniejszy.

Może to sam Niszczyciel przyszedł i zakrył jej oczy? Ale kiedy rozejrzała się wzrokiem żagwi, nie dostrzegła żadnej nienaturalnej ciemności wśród barw świata wokół siebie. W każdym razie nigdzie w pobliżu. Nic nie mogło jej oślepić.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Nie, to z pewnością natura dzieła Alvina nie pozwoliła jej go zobaczyć. Nie widziała, jak przed laty zakończył swą konfrontację z Niszczycielem, nie widziała, jak dzisiaj przemienił małego Arthura na brzegu Hio. I nie widziała, co robił w palenisku. To szczególne Tworzenie, którego dokonał dziś w nocy, wykraczało poza przyszłości dostępne jej spojrzeniu.

Czy tak już będzie zawsze? Czy zawsze oślepnie, kiedy będą się dokonywać najważniejsze dzieła? Rozgniewała się i przestraszyła: na co mi taki dar, który zawodzi, kiedy najbardziej go potrzebuję?

Nie. Teraz go nie potrzebowałam. Ani ja; ani mój talent nie przydałby się Alvinowi, kiedy wstępował w ogień. Mój dar nigdy mnie nie opuścił, kiedy był niezbędny. To tylko moje pragnienie nie doznało spełnienia.

Ale teraz jestem mu potrzebna, pomyślała. Ostrożnie schodziła ze wzgórza: księżyc opadł nisko, wokół zalegały głębokie cienie i ścieżka była zdradliwa. Kiedy Peggy minęła róg kuźni, padający na trawę blask ognia niemal ją oślepił.

W kuźni na ziemi leżał Alvin, twarzą do paleniska i plecami do niej. Oddychał ciężko, nierówno. Spał? Nie. Był nagi. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ubranie musiało spłonąć w ogniu. Nie zauważył tego w bólu, w jego myślach nie istniało wspomnienie, a więc i ona nic nie zauważyła, kiedy w płomieniu serca badała jego pamięć.

Skórę miał zadziwiająco jasną i gładką. Wcześniej tego dnia widziała, że jest opalony na brąz słońcem i żarem paleniska. Wcześniej miał skórę na palcach zgrubiałą, tu i tam bliznę po jakiejś iskrze czy oparzeniu - zwyczajna rzecz, kiedy pracuje się przy ogniu. Teraz był niby niemowlę. Nie mogła się powstrzymać: weszła do kuźni, przyklękła i delikatnie przesunęła dłoń po jego plecach, od ramion do zwężenia powyżej bioder. Skórę miał tak miękką, że przy niej własne dłonie wydały się jej szorstkie. Samym dotknięciem mogła go zadrapać.

Odetchnął głęboko. Cofnęła rękę.

- Alvinie - powiedziała. - Nic ci się nie stało?

Przesunął ramię; gładził coś, co osłaniał własnym ciałem. Teraz dopiero to dostrzegła: słabe żółte lśnienie w podwójnym cieniu - jego ciała i paleniska. Złoty lemiesz.

- Jest żywy - wyszeptał.

I jakby w odpowiedzi, lemiesz poruszył się pod jego dłonią.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Oczywiście, że nie zastukali. O tej porze? Nocą? Ci w środku od razu by się domyślili, że to nie żaden przypadkowy podróżny, lecz z pewnością odszukiwacze. Pukanie byłoby ostrzeżeniem. Na pewno spróbowaliby uciec gdzieś z chłopcem.

Ale czarnowłosy nawet nie sprawdził zapadki. Machnął nogą i drzwi trzasnęły o ścianę, wyrywając przy tym górny zawias. Potem, ze strzelbą w ręku, wskoczył do środka i rozejrzał się po izbie. Ogień dogasał, więc było dość ciemno, jednak widzieli wyraźnie, że nie ma tu nikogo.

- Przypilnuję schodów - powiedział siwowłosy. - A ty biegnij od tyłu i sprawdź, czy ktoś nie próbuje się wydostać tamtędy.

Czarnowłosy przebiegł przez kuchnię do drzwi prowadzących na podwórko. Otworzył je na oścież. Siwowłosy był już w połowie schodów, zanim kuchenne drzwi znów się zamknęły.

W kuchni Peg wyczołgała się spod stołu. Żaden z obcych nie zajrzał tu nawet. Nie miała pojęcia, co to za jedni, ale miała nadzieję... miała nadzieję, że to odszukiwacze wrócili, bo jakimś cudem Arthur Stuart zdołał uciec, a oni nie wiedzą, gdzie się ukrył. Zsunęła buty i jak najciszej przemknęła się do sali gościnnej, gdzie Horacy trzymał nad kominkiem nabitą strzelbę. Zdjęła ją z haków, ale przewróciła blaszany czajnik, postawiony przez kogoś przy ogniu. Czajnik brzęknął, a gorąca woda zalała jej bose stopy. Syknęła mimo woli.

I natychmiast usłyszała kroki na schodach. Nie zważając na ból, pobiegła w tamtą stronę. Zdążyła zobaczyć schodzącego w dół siwowłosego. Trzymał strzelbę i mierzył wprost do niej. Jeszcze nigdy w życiu nie strzelała do człowieka, ale nie wahała się ani przez moment. Pociągnęła spust; kolba uderzyła ją w brzuch, odebrała oddech i pchnęła na ścianę przy drzwiach kuchni. Nie zauważyła tego. Widziała tylko siwowłosego z głupim, cielęcym wyrazem spokojnej nagle twarzy. Czerwone plamy wykwitły na jego koszuli, gdy wolno zwalił się na plecy.

Już nigdy żadnego dziecka nie ukradniesz jego mamie, pomyślała Peg. Nigdy żadnego Czarnego nie powleczesz do życia w strachu przed batem. Zabiłam cię, odszukiwaczu, i wierzę, że dobry Bóg cieszy się z tego. Ale choćbym miała iść do piekła, i tak nie żałuję.

Przyglądała mu się w takim skupieniu, że nie zauważyła, jak uchylają się kuchenne drzwi, popychane lufą strzelby czarnowłosego odszukiwacza. Lufą skierowaną prosto na nią.

Alvin z takim przejęciem opowiadał Peggy o tym, czego dokonał, że zapomniał o swojej nagości. Podała mu skórzany fartuch zdjęty z haka na ścianie, a on włożył go odruchowo. Peggy prawie go nie słuchała. Wszystko, co mówił, znała już z jego płomienia

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

serca. Przyglądała mu się tylko i myślała: teraz jest już Stwórcą, po części dzięki temu, czego go nauczyłam. Może zakończyłam swe dzieło, może odtąd moje życie będzie należeć tylko do mnie... A może nie, może dopiero zaczęłam, może teraz mogę go traktować jak mężczyznę, nie jak ucznia czy podopiecznego. Alvin zdawał się jaśnieć wewnętrznym ogniem. Złoty lemiesz reagował na każdy jego krok, nie podążając za nim ani nie plącząc się pod nogami, ale jakby orbitując wokół niego, dość blisko, żeby być pod ręką. Jakby był częścią jego ciała, choć oddzieloną.

- Wiem - powiedziała Peggy. - Rozumiem. Teraz jesteś już Stwórcą.

- Jestem czymś więcej! - zawołał. - Chodzi o Kryształowe Miasto. Wiem już, jak je zbudować, panno Larner. Rozumie pani, miasto to nie te kryształowe wieże, które widziałem. Miasto to ludzie, którzy w nim żyją. Jeśli mam je zbudować, muszę znaleźć tych, którzy tam zamieszkają: ludzi szczerych i lojalnych jak ten pług. Ludzi, których łączy wspólne marzenie i którzy wspólnie chcą je urzeczywistnić. Którzy będą budować, nawet kiedy mnie zabraknie. Rozumie pani? Kryształowego Miasta nie zdoła wznieść jeden Stwórca. To miasto Stwórców, więc muszę różnych ludzi uczynić Stwórcami.

I kiedy to powiedział, zrozumiała, że tak jest w istocie, że do tego zadania się narodził. I że ta praca złamie mu serce.

- Tak - przyznała. - To prawda. Wiem, że tak jest.

Mimo wysiłków nie potrafiła już mówić tonem panny Larner, chłodnym, obojętnym, obcym. Mówiła głosem Peggy, głosem swych prawdziwych uczuć. Płonęła ogniem rozpalonym przez Alvina.

- Proszę iść ze mną, panno Larner - powiedział Alvin. - Wie pani tak dużo, jest pani tak dobrą nauczycielką... Potrzebna mi pani pomoc.

Nie, Alvinie, to nie te słowa. Tak, dla tych słów pójdę za tobą, ale wypowiedz te inne. Te, które tak pragnę usłyszeć.

- Jak mogę uczyć cię tego, co ty jeden potrafisz? - zapytała.

Starała się mówić cicho, spokojnie.

- Ale nie tylko o naukę proszę. Nie dokonam tego samotnie. To, co zrobiłem dzisiaj... to takie trudne. Potrzebuję pani, panno Larner.

Postąpił o krok w jej stronę. Złoty pług przesunął się ku niej, za nią; jeśli poruszał się na granicy zasięgu "ja" Alvina, to ona znalazła się wewnątrz tego kręgu.

- Po co ci jestem potrzebna? - spytała Peggy.

Nie zaglądała w płomień jego serca, nie chciała sprawdzać, czy istnieje szansa, by on... Nie, nawet w myślach nie chciała nazywać tego, czego teraz pragnęła. Bała się odkrycia,

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

że to zupełnie niemożliwe, że nigdy się nie zdarzy, że dzisiaj w nocy wszystkie prowadzące tam ścieżki zostały nieodwracalnie zamknięte. Zdała sobie sprawę, że dlatego właśnie tak pilnie badała nowe przyszłości Arthura Stuarta: miał być blisko Alvina i mogła oczami chłopca obserwować jego wspaniałą i straszną przyszłość. A przy tym nie wiedzieć, co by odkryła, zaglądając w płomień serca Alvina. Ten płomień mógłby jej pokazać, czy wśrdd licznych przyszłości jest też taka, w której on ją pokochał, poślubił, złożył swe ukochane, doskonałe ciało w jej ramionach, by dać jej - i wziąć od niej - to, co dzielą tylko kochankowie.

- Proszę iść ze mną - powtórzył. - Nie wyobrażam sobie nawet, że wyruszam tam bez pani, panno Larner. Ja... - Zaśmiał się cicho. - Ja nawet nie wiem, jak pani na imię.

- Margaret.

- Mogę panią tak nazywać? Margaret... czy pójdziesz ze mną? Wiem, że nie jesteś tym, kim się wydajesz, ale nie obchodzi mnie, jak wyglądasz pod tymi heksami. Myślę, że jesteś jedyną żywą istotą, która zna mnie naprawdę i...

Zamilkł, szukając właściwego słowa. A ona czekała na nie w milczeniu.

- Kocham cię - szepnął. - Chociaż uważasz mnie pewnie za dzieciaka.

Może by mu wtedy odpowiedziała. Może by zapewniła, że wie, iż jest mężczyzną, a ona jedyną kobietą, która może go kochać bez oddawania czci. Jedyną, która naprawdę może mu być pomocna. Ale zanim zdążyła się odezwać, ciszę rozerwał huk strzału.

Natychmiast pomyślała o Arthurze Stuarcie, ale już po sekundzie wiedziała, że płomień jego serca jarzy się spokojnie: chłopiec spał głęboko wjej małym domku. Nie, odgłos dobiegł z większej odległości. Spojrzała wzrokiem żagwi w stronę zajazdu i znalazła płomień serca człowieka tuż przed śmiercią. Konając patrzył na kobietę stojącą u stóp schodów. To była mama. I trzymała strzelbę.

Płomień jego serca pociemniał i zgasł. Peggy natychmiast zajrzała w płomień serca matki. Poza jej myślami, uczuciami i wspomnieniami zobaczyła, że miliony ścieżek przyszłości splatają się, zmieniają w oczach, stają się jedną drogą prowadzącą do jednego miejsca: strasznego bólu, a potem pustki.

- Mamo! - krzyknęła Peggy. - Mamo!

I wtedy przyszłość stała się teraźniejszością. Płomień serca jej matki zgasł, zanim jeszcze do kuźni dotarł huk drugiego strzału.

Alvin nie mógł uwierzyć w to, co mówi pannie Larner. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z własnych uczuć. Bał się, że go wyśmieje, powie mu, że jest o wiele za młody, że tylko mu się wydaje i z czasem o tym zapomni.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Ale zamiast mu odpowiedzieć znieruchomiała na chwilę i w tej właśnie chwili huknął wystrzał. Alvin od razu wiedział, że strzelano w zajeździe; podążył przenikaczem za dźwiękiem i znalazł martwego człowieka, już nie do uratowania. A po chwili zabrzmiał kolejny strzał i wtedy znalazł jeszcze kogoś: kobietę. Znał jej ciało na wylot: nie była obca. To z pewnością stara Peg.

- Mamo! - krzyknęła panna Larner. - Mamo!

- To Peg Guester! - zawołał Alvin.

Zobaczył, że panna Larner odpina kołnierzyk, sięga pod suknię i wyciąga amulety. Zdarła je z szyi, przecinając łańcuszkami skórę. Alvin nie wierzył własnym oczom: stała przed nim młoda kobieta, niewiele starsza od niego. I piękna, choć twarz miała wykrzywioną bólem i trwogą.

- To moja matka! - załkała. - Ratuj ją, Alvinie!

Nie wahał się ani sekundy. Wypadł z kuźni i pognał boso po trawie, po drodze... Nie dbał o twardą ziemię i kamienie kaleczące świeżą skórę stóp. Przenikacz mówił mu, że nic już nie uratuje Peg. Biegł jednak, ponieważ musiał przynajmniej spróbować, choć wiedział, że to nierozsądne. A potem ona umarła, a on wciąż biegł, bo nie mógł przecież nie biec tam, gdzie leżała martwa dobra kobieta, jego przyjaciółka.

Jego przyjaciółka i matka panny Larner. To możliwe tylko jeśli nauczycielka jest tą żagwią, która uciekła siedem lat temu. Ale jeśli była taką żagwią, jak opowiadali ludzie, dlaczego nie zobaczyła tego wcześniej? Dlaczego nie zajrzała w płomień serca własnej matki i nie przewidziała jej śmierci? To przecież nie ma sensu.

Przed sobą dostrzegł jakiegoś człowieka. Mężczyzna biegł od zajazdu w kierunku pary koni uwiązanych przy drodze. Był to człowiek, który zabił Peg - Alvin wiedział o tym i nic więcej go nie obchodziło. Przyspieszył; nigdy jeszcze nie biegł tak szybko, nie pobierając energii z otaczającej go puszczy. Mężczyzna usłyszał go z jakichś trzydziestu jardów. Odwrócił się.

- Kowal! - wykrzyknął czarnowłosy odszukiwacz. - Ciebie też chętnie zabiję!

Trzymał w dłoni pistolet. I wystrzelił.

Alvin przyjął kulę w brzuch, ale nawet się nie zatrzymał. Ciało natychmiast zaczęło łączyć to, co rozerwała, ale nie zwolniłby, nawet gdyby miał się wykrwawić na śmierć. Rzucił się na przeciwnika, powalił go i przejechał na nim dziesięć stóp po ziemi. Odszukiwacz krzyknął z bólu i strachu. To był jego ostatni krzyk. Rozwścieczony Alvin chwycił go za głowę tak mocno, że wystarczył tylko silny cios drugą ręką w szczękę, a kark pękł z chrupotem. Odszukiwacz był już martwy, ale Alvin bez pamięci okładał go pięściami po

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

głowie, aż ramiona, pierś i skórzany fartuch spryskała mu krew, a czaszka czarnowłosego popękała jak upuszczony gliniany dzbanek.

Wreszcie Alvin znieruchomiał. Klęczał oszołomiony zmęczeniem i niedawną pasją. Po chwili przypomniał sobie, że Peg wciąż leży na podłodze zajazdu. Wiedział, że jest martwa, ale czyż mógł pójść gdzie indziej?

Wstał powoli.

Usłyszał tętent koni. W Hatrack River strzały nocą zawsze oznaczały kłopoty. Ludzie się zjawią, znajdą ciało na drodze i trafią do zajazdu. Nie musi tu czekać, żeby ich powitać.

W zajeździe Peggy klęczała już nad ciałem matki, zapłakana i zdyszana po biegu. Alvin poznał ją tylko po sukni - tylko raz widział jej prawdziwą twarz, w kuźni, przez jedną sekundę.

Odwróciła się.

- Gdzie byłeś! Dlaczego jej nie uratowałeś! Mogłeś to zrobić!

- Nie mogłem - odpowiedział Alvin. Nie powinna mówić takich rzeczy. - Nie było czasu.

- Powinieneś sprawdzić. Powinieneś zobaczyć, co się stanie.

Alvin nie rozumiał.

- Ja nie widzę, co się stanie. To twój dar.

Rozpłakała się. Tym razem nie był to suchy szloch, jak przed chwilą, ale głęboki, rozdzierający płacz. Alvin nie wiedział, co robić. Za jego plecami otworzyły się drzwi.

- Peggy - szepnął Horacy Guester. - Mała Peggy.

Peggy spojrzała na ojca. Twarz miała zalaną łzami, wykrzywioną bólem i zaczerwienioną. Aż dziw, że ją rozpoznał.

- Zabiłam ją! - szlochała. - Nie powinnam była odchodzić, tato. Zabiłam ją!

Dopiero wtedy Horacy zrozumiał, że to ciało jego żony leży na podłodze. Alvin patrzył przerażony, jak mężczyzna zadrżał, jęknął, wreszcie zaskowyczał głośno niczym zbity pies. Alvin nie widział jeszcze takiego żalu. Czy tak płakał mój ojciec po śmierci Vigora? Czy takie głosy wydawał, gdy myślał, że Czerwoni zamęczyli na śmierć mnie i Measure'a?

Chwycił Horacego za ramiona, przytrzymał mocno, podprowadził do Peggy i pomógł uklęknąć obok córki. Płakali oboje, nie dając znaku, że widzą siebie nawzajem. Widzieli tylko ciało Peg rozciągnięte na podłodze. Alvin nie domyślał się nawet, jak głęboko, jak boleśnie tkwiło w każdym z tych dwojga przekonanie o własnej winie za tę śmierć.

Po pewnym czasie zjawił się szeryf. Widział już zwłoki czarnowłosego odszukiwacza na drodze i szybko się domyślił, co zaszło. Wziął Alvina na stronę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To najczystsza samoobrona, jaką w życiu widziałem - oświadczył. - Nawet na trzy minuty nie wsadziłbym cię za to do więzienia. Ale wiesz, że prawo w Appalachee nie traktuje lekko zabójstwa odszukiwacza. Traktat pozwala im przyjechać tu i zabrać cię pod sąd na południe. Inaczej mówiąc, mój chłopcze, lepiej zniknij stąd w ciągu najbliższych paru dni, bo nie mogę ręczyć za twoje bezpieczeństwo.

- I tak chciałem odejść - odparł Alvin.

- Nie wiem, jak to zrobiłeś - dodał Pauley Wiseman. - Ale musiałeś jakoś wykraść odszukiwaczom tego półczarnego pikanina i ukryć go gdzieś tutaj. Więc radzę ci, Alvinie, jak już będziesz odchodził, lepiej zabierz go ze sobą. Wywieź go do Kanady. Bo jeśli jeszcze raz zobaczę jego twarz, osobiście wyślę go na południe. To wszystko przez niego... Niedobrze mi się robi, kiedy widzę, że porządna biała kobieta ginie z powodu mieszańca.

- Lepiej byłoby dla was, Pauleyu Wisemanie, żebyście nie powtarzali przy mnie takich rzeczy.

Szeryf pokręcił tylko głową.

- To wbrew naturze - mruczał odchodząc. - Wszyscy traktują tę małpę jakby była człowiekiem.

Odwrócił się do Alvina.

- Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz, Alvinie, ale tobie i temu mieszańcowi daję szansę uratowania życia. Masz chyba dość rozsądku, żeby z niej skorzystać. A tymczasem mógłbyś zmyć z siebie krew i poszukać jakiegoś ubrania.

Alvin wrócił na drogę. Nadchodzili ludzie, ale nie zwracał na nich uwagi. Tylko Mock Berry rozumiał chyba, co się dzieje. Zabrał Alvina do domu. Anga go umyła, a Mock dał własne ubranie. Zbliżał się świt, kiedy Alvin wrócił do kuźni.

Makepeace siedział na stołku we wrotach i przyglądał się złotemu lemieszowi - leżał na ziemi, całkiem nieruchomo, na samym progu.

- Niezłe to twoje czeladnicze dzieło - oświadczył.

- No chyba.

Alvin podszedł do lemiesza i sięgnął po niego, a lemiesz niemal wskoczył mu do rąk. Teraz wcale nie był ciężki. Jeśli jednak Makepeace zauważył, że pług sam się poruszył, to nie powiedział ani słowa.

- Mam sporo żelaznego złomu - stwierdził tylko. - Nie proszę nawet, żebyś się ze mną dzielił po połowie. Pozwól mi tylko zachować parę kawałków, kiedy już zmienisz je w złoto.

- Nie będę więcej zmieniał żelaza w złoto.

Makepeace rozzłościł się.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- To przecież złoto, durniu! Ten twój pług to zawsze jedzenie do syta, nigdy więcej pracy, życie w luksusie zamiast w tej krzywej chałupie! To nowe sukienki dla Gertie i może garnitur dla mnie! Ludzie będą mi się kłaniać, jakbym był dżentelmenem. To bryczka, taka jak doktora, to wyjazdy do Dekane albo Carthage czy gdziekolwiek przyjdzie mi ochota, bez liczenia, ile to kosztuje. A ty mi mówisz, że nie chcesz robić więcej złota?

Alvin wiedział, że nie warto nawet tłumaczyć. Spróbował jednak.

- To nie jest zwykłe złoto. To żywy lemiesz... Nie pozwoli, żeby ktokolwiek go przetopił na monety. Moim zdaniem, nikt nie potrafi go przetopić, choćby nie wiem jak bardzo się starał. Dlatego odsuńcie się i pozwólcie mi odejść.

- I co zrobisz? Będziesz nim orał? Ty głupcze, razem moglibyśmy zdobyć świat!

Ale kiedy Alvin wyminął go i chciał wyjść z kuźni, Makepeace przestał prosić i przeszedł do pogróżek.

- To z mojego żelaza zrobiłeś ten lemiesz! Złoto należy do mnie! Dzieło czeladnicze zawsze należy do mistrza, chyba że on sam podaruje je czeladnikowi, a ja ci nie podaruję! Złodziej! Okradasz mnie!

- To wy okradliście mnie z pięciu lat życia, bo dawno już mogłem zostać czeladnikiem. A ten pług... Robiąc go nie korzystałem z waszych nauk. On żyje, Makepeasie Smith. Nie należy do was ani do mnie. Należy do siebie. Położę go teraz na ziemi i zobaczymy, do kogo trafi.

Ustawił pług na trawie między nimi. Potem odstąpił na kilka kroków. Makepeace zbliżył się, ale wtedy pług osiadł i rozcinając ziemię przesunął się w stronę Alvina. Kiedy Alvin go podniósł, ostrze było ciepłe. Wiedział, co to oznacza.

- Dobra ziemia - stwierdził.

Pług drżał mu w rękach.

Makepeace stał bez ruchu i wytrzeszczał przerażone oczy. - Wielki Boże - wykrztusił. - Ten pług się rusza!

- Wiem - odparł Alvin.

- Kim ty jesteś? Diabłem?

- Chyba nie. Ale spotkałem go raz czy dwa.

- Wynoś się stąd! Zabierz to i wynoś się! Nie chcę cię tu więcej oglądać!

- Macie mój patent czeladnika - przypomniał Alvin. - Chcę go dostać.

Makepeace sięgnął do kieszeni, wyjął złożony papier i rzucił na trawę. Potem zatrzasnął wrota kuźni, czego nie robił prawie nigdy, nawet zimą. Zamknął je i zaryglował od

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

środka. Biedny głupiec. Przecież gdyby tylko Alvin chciał się tam dostać, w ciągu sekundy rozbiłby te ściany.

Alvin podszedł i podniósł papier. Rozłożył go i przeczytał. Wszystko było jak należy. Zgodnie z prawem został czeladnikiem.

Słońce miało się właśnie pokazać, kiedy Alvin stanął przed drzwiami źródlanej szopy. Były zamknięte, naturalnie, ale zamki i heksy nie mogły mu przeszkodzić, zwłaszcza że sam je zrobił. Otworzył więc i wszedł do środka. Arthur Stuart poruszył się przez sen. Alvin dotknął jego ramienia, a gdy chłopiec się zbudził, uklęknął przy nim i opowiedział, co się wydarzyło w nocy. Pokazał mu złoty pług i jak się porusza. Arthur zaśmiał się zachwycony. Potem Alvin powiedział mu, że kobieta, którą przez całe życie nazywał matką, zginęła zabita przez odszukiwaczy. Arthur zapłakał.

Ale płakał niedługo. Był za mały, żeby długo rozpaczać.

- Mówisz, że zabiła jednego przed śmiercią?

- Ze strzelby twojego ojca.

- Dobrze mu tak! - krzyknął chłopiec tak bojowo, że Alvin niemal wybuchnął śmiechem.

- Ja zabiłem tego drugiego. Tego, który ją zastrzelił.

Arthur ujął prawą dłoń Alvina i rozprostował mu palce.

- Zabiłeś go tą ręką?

Alvin kiwnął głową.

Arthur pocałował go w otwartą dłoń.

- Uratowałbym ją, gdybym mógł - powiedział Alvin. - Ale za szybko umarła. Gdybym nawet stał przy niej w sekundę po strzale, też bym nie zdążył.

Arthur Stuart objął go za szyję i zapłakał znowu.

Przed wieczorem złożyli Peg w ziemi, na wzgórzu obok jej córek, brata Alvina, Vigora i mamy Arthura, która umarła tak młodo.

- To miejsce dla ludzi odważnych - powiedział doktor Physicker.

Alvin wiedział, że ma rację, chociaż nie ma pojęcia o zbiegłej czarnej niewolnicy.

Zmył plamy krwi z podłogi i schodów w zajeździe. Wykorzystał swój dar, by usunąć tę krew, której nie dały rady soda i piasek. To był ostatni prezent, jaki mógł ofiarować Horacemu i Peggy. Margaret. Pannie Larner.

- Teraz muszę stąd odejść - powiedział im.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Siedzieli w izbie gościnnej zajazdu i przez cały dzień przyjmowali ludzi z kondolencjami. - Zabieram Arthura Stuarta do moich rodziców w Vigor Kościele. Tam będzie bezpieczny. A potem wyruszę dalej.

- Dziękuję ci za wszystko - odezwał się Horacy. - Byłeś nam przyjacielem. Peg cię kochała.

I załkał znowu.

Alvin poklepał go po ramieniu, po czym stanął przed Peggy. - Wszystko, czym jestem, panno Larner, zawdzięczam pani. Pokręciła głową.

- To była prawda, co pani powiedziałem. I nadal jest.

I znów pokręciła głową. Nie był zaskoczony. Jej matka zginęła, nie wiedząc nawet, że córka wróciła do domu. Cóż, trudno się spodziewać, żeby w takiej chwili wstała i odeszła. Ktoś musi pomóc Horacemu prowadzić zajazd. To wszystko bardzo rozsądne. Ale serce go bolało, ponieważ wyraźniej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie, że to prawda: kochał ją. Ale cóż, ona nie była dla niego. To jasne. Nigdy. Taka kobieta, wykształcona, obyta i piękna... Może być jego nauczycielką, ale nie może go kochać tak, jak on ją kocha.

- No, to... chyba się pożegnam - westchnął.

Wyciągnął rękę, chociaż zdawał sobie sprawę, że to niezbyt mądrze ściskać dłoń komuś tak zrozpaczonemu. Ale bardzo pragnął objąć ją i przytulić mocno, jak tulił zapłakanego Arthura Stuarta. Uścisk ręki był temu najbliższy.

Ujęła jego dłoń. Nie po to, żeby uścisnąć, ale żeby przytrzymać. Mocno. To go zdziwiło. W miesiącach i latach, które miały nadejść, często będzie myślał o tym, jak trzymała go za rękę, jak nie chciała go puścić. Może to znaczyło, że go kocha. A może tylko tyle, że dba o swojego ucznia albo że dziękuje za pomszczenie śmierci matki. Skąd mógł wiedzieć, o czym świadczy taki gest? Ale zapamiętał go na wszelki wypadek. A nuż oznaczał, że Peggy go kocha.

Wtedy też - kiedy ona trzymała mocno jego dłoń - złożył jej obietnicę. Złożył, chociaż nie wiedział nawet, czy chciałaby, żeby jej dotrzymał.

- Wrócę - oświadczył. - A to, co powiedziałem w nocy, zawsze pozostanie prawdą. - Całej odwagi wymagało nazwanie jej imieniem, którego wczoraj w nocy pozwoliła mu używać. - Bóg z tobą, Margaret.

- Bóg z tobą, Alvinie - szepnęła.

Zabrał Arthura Stuarta, który też musiał się pożegnać. Razem przeszli obok zajazdu do szopy, gdzie w beczce fasoli Alvin ukrył złoty lemiesz. Zdjął pokrywę i wyciągnął rękę, a

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

lemiesz wzniósł się w górę, błyszczący w świede dnia. Alvin chwycił go, owinął w podwójną jutę, schował do jutowego worka, a worek zarzucił na ramię.

Potem przyklęknął i wyciągnął rękę, jak zawsze robił, kiedy chciał, żeby Arthur Stuart wspiął mu się na plecy. Chłopiec myślał, że to zabawa - w jego wieku nie można dłużej niż godzinę czy dwie trwać w rozpaczy. Śmiejąc się i podrygując wskoczył Alvinowi na plecy.

- Tym razem pojedziesz daleko, Arthurze Stuarcie - uprzedził go Alvin. - Wracamy do Vigor Kościoła, mojego domu rodzinnego.

- Całą drogę pieszo?

- Ja pójdę pieszo. Ty pojedziesz wierzchem.

- Ju-huu! - krzyknął Arthur Stuart.

Alvin ruszył truchtem, ale wkrótce biegł już ile sił. Ani razu nie dotknął stopą traktu. Gnał na przełaj, przez pola, przeskakując płoty, do lasu. Lasy wciąż rosły na szerokich obszarach stanów Hio i Wobbish, pomiędzy nim a domem. Zielona pieśń rozbrzmiewała słabiej niż w dniach, kiedy Czerwoni władali tą krainą, ale wciąż dość głośno, żeby usłyszał ją Alvin Kowal. Włączył się w jej rytm, biegnąc tak, jak biegali Czerwoni. Zaś Arthur Stuart też może słyszał tę pieśń, w każdym razie ukołysała go do snu na grzbiecie Alvina. Świat się rozpłynął. Pozostał tylko on, Alvin, Arthur Stuart i złoty pług - i śpiewający wokół las.

Jestem już czeladnikiem. I wyruszyłem w pierwszą podróż.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 20 - CZYN CAVILA

Cavil Planter miał coś do załatwienia w mieście. Pięknego wiosennego ranka dosiadł konia i odjechał spokojnie, zostawiając za sobą żonę i niewolników, dom i ziemię. Wiedział, że wszystko jest pod kontrolą, wszystko należy do niego.

Koło południa, kiedy załatwił już wiele interesów i odbył wiele przyjemnych wizyt, zatrzymał się przy poczcie. Czekały na niego trzy listy. Dwa były od przyjaciół, jeden od wielebnego Philadelphii Throwera w Carthage, stolicy Wobbish.

Przyjaciele mogą poczekać. Ważniejsze są wiadomości od wynajętych odszukiwaczy, chociaż dlaczego list przyszedł od Throwera, a nie od nich samych? Tego Cavil nie potrafił odgadnąć. Może były jakieś kłopoty. Może jednak będzie musiał pojechać na północ i złożyć zeznania. No cóż, pomyślał Cavil Planter, jeśli będzie trzeba, pojadę. Chętnie pozostawię dziewięćdziesiąt dziewięć owiec, jak nakazał Jezus, aby odzyskać tę jedną, zbłąkaną.

W liście znalazł złe wieści. Zginęli obaj odszukiwacze, a także żona oberżysty, która podobno adoptowała porwanego syna pierworodnego Cavila. Szczęśliwej drogi, pomyślał Cavil. Nie żałował też odszukiwaczy - byli najemnikami i cenił ich niżej niż swoich niewolników, ponieważ nie należeli do niego. Nie, to ostatnia wiadomość sprawiła, że Cavil zadrżał i wstrzymał oddech. Człowiek, który zabił jednego z odszukiwaczy, uczeń kowalski imieniem Alvin, uciekł, zamiast stanąć przed sądem. I zabrał ze sobą jego syna. Ukradł mojego syna...

Ale najgorsze Thrower zostawił na koniec: "Znałem tego Alvina jeszcze jako dziecko, a już wtedy był agentem zła. Jest najbardziej zaciętym wrogiem naszego wspólnego Przyjaciela, a teraz wszedł w posiadanie twojej najcenniejszej własności. Żałuje, że nie mam lepszych wieści. Modlę się, żeby twój syn nie stał się groźnym i nieprzejednanym przeciwnikiem świętego dzieła naszego Przyjaciela".

Jak się zajmować interesami wobec takich informacji? Cavil Planter bez słowa wsunął listy do kieszeni, wyszedł z poczty, wskoczył na siodło i ruszył do domu. Przez całą drogę dręczyły go na przemian wściekłość i lęk. Jak ci północni emancypacjonistyczni bandyci mogli pozwolić, żeby jego niewolnika, jego syna, wykradł im sprzed nosa największy wróg Nadzorcy? Pojadę na północ i zapłacą mi za to, znajdę chłopca i... I nagle zastanowił się, co by powiedział Nadzorca, gdyby się zjawił. A jeśli pogardza mną teraz i już nigdy nie przybędzie? Albo jeszcze gorzej: przybędzie i przeklnie mnie jako niezdarnego sługę? Jeśli

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

uzna mnie za niegodnego i zakaże na przyszłość brania czarnych kobiet? Jak mógłbym żyć nie w jego służbie... Jakiż cel miałoby moje życie?

A potem wściekłość, straszliwy bluźnierczy gniew, krzyk w głębi duszy: O mój Nadzorco! Dlaczego na to pozwoliłeś? Jeśli naprawdę jesteś Panem, jednym słowem mogłeś go powstrzymać!

A potem przerażenie: jak można wątpić w moc Nadzorcy? Nie, wybacz mi, szczerze jestem Twym niewolnikiem, Panie! Wybacz mi, utraciłem wszystko, wybacz!

Nieszczęsny Cavil... Wkrótce miał się dowiedzieć, co to znaczy: utracić wszystko.

Wrócił do siebie, skierował konia w długą aleję. Słońce przygrzewało mocno, więc trzymał się w cieniu dębów, po południowej stronie drogi. Może gdyby jechał środkiem, wcześniej by go dostrzeżono. Może wtedy nie usłyszałby krzyku kobiety wewnątrz domu - akurat w chwili, kiedy wynurzył się spod drzew.

- Dolores! - zawołał. - Czy coś się stało?

Żadnej odpowiedzi.

Przeraził się. Oczyma duszy widział już rabusiów czy złodziei, którzy pod jego nieobecność włamali się do domu. Może zabili już Lashmana, a teraz mordują jego żonę... Spiął konia i pognał na tyły budynku.

Zdążył jeszcze zobaczyć wielkiego Czarnego, który pędził od drzwi kuchennych w stronę kwater niewolników. Nie dostrzegł jego twarzy z powodu spodni, których Czarny nie miał na sobie, jak zresztą żadnej innej odzieży. Trzymał te spodnie jak proporzec i biegnąc do baraków, wymachiwał nimi przed twarzą.

Czarny bez spodni, wybiegający z domu, w którym przed chwilą krzyczała kobieta... Przez moment Cavil nie mógł się zdecydować, czy ścigać go, dogonić i zabić gołymi rękami, czy pędzić do Dolores. Czy nic jej nie grozi? Czy wrócił na czas? Czy nie została zhańbiona?

Cavil wbiegł na schody i z rozmachem otworzył drzwi pokoju żony. Dolores leżała w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

- Co się tu działo? - krzyknął Cavil. - Nic ci się nie stało?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała ostro. - Co robisz w domu?

Czy tak się zachowuje kobieta, która przed chwilą krzyczała ze strachu?

- Usłyszałem, że wołasz o pomoc. Nie słyszałaś, że odpowiedziałem?

- Słyszę tutaj wszystko - rzekła Dolores. - Nie mam nic innego do roboty, jak tylko leżeć i słuchać. Słyszę wszystko, co się mówi w tym domu, i wszystko, co się robi. Tak, słyszałam cię. Istotnie.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Cavil zdumiał się: Dolores była zagniewana. Nigdy dotąd to się nie zdarzyło. Ostatnio prawie jej nie słyszał. Zawsze spała, kiedy jadł śniadanie, a ich wspólne kolacje mijały w milczeniu. A teraz gniew... Dlaczego? Dlaczego właśnie dzisiaj?

- Widziałem jakiegoś Czarnego, który uciekał z domu. Myślałem, że może...

- Może co?

Te słowa zabrzmiały jak drwina, jak wyzwanie.

- Może cię skrzywdził.

- Nie. Skrzywdził... nie.

Pewna myśl pojawiła się w głowie Cavila, myśl tak straszna, że aż nie chciał uwierzyć, że ją pomyślał.

- Więc co tu robił?

- Spełniał to samo święte dzieło, którym i ty się zajmujesz, Cavilu.

Na to Cavil nie umiał znaleźć odpowiedzi. Wiedziała. Wiedziała wszystko.

- Zeszłego lata, kiedy odwiedził cię wielebny Thrower, twój przyjaciel, leżałam tutaj w łóżku, a wy rozmawialiście.

- Spałaś. Drzwi były...

- Słyszałam wszystko. Każde słowo, każdy szept. Słyszałam, że wychodzicie. Słyszałam waszą rozmowę przy śniadaniu. Czy wiesz, że chciałam cię zabić? Przez tyle lat wierzyłam, że jesteś kochającym mężem, człowiekiem anielskiej dobroci, a przez cały ten czas zaspokajałeś swoje żądze u czarnych kobiet. A potem własne dzieci sprzedawałeś jako niewolników. Jesteś potworem, pomyślałam wtedy. Tak okropnym, że każda kolejna minuta twego życia jest bluźnierstwem. Ale moje dłonie nie potrafią utrzymać noża ani pociągnąć spustu strzelby. Dlatego leżałam tylko i myślałam. I wiesz, co wymyśliłam?

Cavil milczał. Opowiadała to w taki sposób, że on sam wydawał się sobie bardzo złym człowiekiem.

- To było inaczej, niż myślisz. To zbożne dzieło.

- To cudzołóstwo!

- Miałem wizję!

- Tak, twoja wizja... Doskonale, panie Cavilu Planterze. Miałeś wizję, że robienie półbiałych dzieci jest dobrym uczynkiem. Otóż mam dla ciebie niespodziankę: ze mną też można płodzić półbiałe dzieci!

Wszystko powoli nabierało sensu.

- Zgwałcił cię!

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nie zgwałcił, Cavilu. Zaprosiłam go tutaj. Powiedziałam, co ma zrobić. Kazałam mu się nazwać jego lisiczką i wcześniej odmówić ze mną modlitwę, żeby to było równie święte, jak twoje dokonania. Modliliśmy się do tego przeklętego Nadzorcy, ale z jakichś powodów nigdy się nie zjawił.

- To niemożliwe!

- To się powtarzało za każdym razem, kiedy wyjeżdżałeś z plantacji. Zimą i wiosną.

- Nie wierzę ci, kłamiesz, żeby mnie zranić. Nie możesz tego robić... doktor tak powiedział... to zbyt bolesne.

- Cavilu, zanim odkryłam, co czynisz tym czarnym kobietom, myślałam, że wiem, co znaczy ból. Ale ten ból był niczym. Słyszysz? Codziennie mogę tak cierpieć i jeszcze ten dzień uważać za święto. Jestem w ciąży, Cavilu.

- On cię zgwałcił. Tak wszystkim powiemy, a jego powiesimy dla przykładu i...

- Jego powiesić? Na plantacji jest tylko jeden gwałciciel i nawet przez moment nie myśl, że o tym nie opowiem. Jeśli ojca mojego dziecka tkniesz choćby palcem, wszyscy w okręgu dowiedzą się o twoich wyczynach. W niedzielę wstanę z łóżka i opowiem o nich w kościele.

- Wszystko to robiłem, służąc...

- Sądzisz, że w to uwierzą? Nie bardziej niż ja. Słowo określające twoje czyny to nie pobożność. To chuć. Cudzołóstwo. Żądza. A kiedy wieść się rozejdzie, kiedy moje dziecko urodzi się czarne, wszyscy zwrócą się przeciwko tobie. Przepędzą cię.

Cavil wiedział, że Dolores ma rację. Nikt mu nie uwierzy. Był zrujnowany. Chociaż... pozostało mu jeszcze jedno proste rozwiązanie.

Wyszedł z sypialni. Dolores leżała w łóżku i naśmiewała się z niego. Drwiła. W swoim pokoju zdjął ze ściany strzelbę, nasypał prochu, ubił, dodał podwójny ładunek śrutu i wszystko dopełnił pakułami.

Kiedy wrócił, już się nie śmiała. Płakała z twarzą zwróconą do ściany. Za późno na łzy, pomyślał Cavil.

Nie spojrzała na niego, kiedy podchodził, kiedy zrywał z niej kołdrę. Dolores pod nią była naga jak oskubany kurczak.

- Przykryj mnie - jęknęła. - Uciekł tak szybko, że nie zdążył mnie ubrać. Zimno! Przykryj mnie, Cavilu...

Wtedy zobaczyła strzelbę.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Zamachała powykręcanymi rękami. Skuliła się. Krzyknęła z bólu, jaki sprawiły jej zbyt szybkie ruchy. I wtedy pociągnął za spust. Ciało opadło na łóżko i ostatnie tchnienie uleciało z miejsca, gdzie była głowa.

Cavil wrócił do siebie i przeładował strzelbę.

Tłusty Lis, całkowicie ubrany, polerował bryczkę. Był kłamcą i myślał, że zdoła oszukać Cavila Plantera. Ale Cavil nie miał ochoty nawet go słuchać.

- Twoja lisica czeka na ciebie na górze - powiedział.

Tłusty Lis wypierał się wszystkiego przez całą drogę, dopóki nie wszedł do sypialni i nie zobaczył w łóżku Dolores. Wtedy zmienił ton.

- Kazała mi! Co mogłem zrobić, panie? To całkiem jak ty i kobiety, panie! Jaki wybór ma czarny niewolnik? Musiałem posłuchać. Jak te kobiety ciebie!

Cavil potrafił rozpoznać diabelskie podszepty, więc nie zwracał na nie uwagi.

- Zdejmij ubranie i zrób to jeszcze raz - rozkazał.

Tłusty Lis jęczał, Tłusty Lis wył, ale kiedy Cavil dźgnął go lufą w żebra, wykonał polecenie. Zamknął oczy, żeby nie widzieć, co zrobiła z Dolores strzelba Cavila, i zrobił, co mu kazano. Wtedy Cavil wypalił po raz drugi.

Po chwili z pola przybiegł Lashman, spocony i przestraszony. Usłyszał strzały i nie miał pojęcia, co się stało. Cavil wyszedł mu na spotkanie.

- Zamknijcie niewolników, Lashman, i sprowadźcie mi tu szeryfa.

Kiedy przyjechał szeryf, Cavil zaprowadził go na górę i wszystko pokazał. Szeryf zbladł.

- Boże święty! - wyszeptał.

- Czy to morderstwo, szeryfie? Ja to zrobiłem. Zamkniecie mnie do więzienia?

- Nie. Nikt nie nazwie tego morderstwem. - Szeryf spojrzał na Cavila i skrzywił się. - Co z was za człowiek?

Przez sekundę Cavil nie rozumiał pytania.

- Że pokazaliście mi waszą żonę taką... Wolałbym umrzeć, niż pozwolić komuś oglądać swoją żonę w takim stanie.

Szeryf odjechał. Lashman dopilnował, żeby niewolnicy posprzątali pokój. Żadne z tych dwojga nie doczekało się pogrzebu. Oboje pochowano obok miejsca, gdzie spoczęła Salamanda. Cavil był pewien, że kilka kurcząt zginęło nad ich grobami, ale nic go to nie obchodziło. Kończył dziesiątą butelkę bourbona i szeptał dziesięciotysięczną modlitwę do Nadzorcy, który w tej ciężkiej chwili zachował całkowitą obojętność.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Jakiś tydzień potem, może trochę później, zjawił się szeryf w towarzystwie księdza i kaznodziei baptystów. Wszyscy trzej rozbudzili Cavila z pijackiego snu i pokazali mu czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Wszyscy wasi sąsiedzi się złożyli - wyjaśnił ksiądz.

- Nie potrzebuję pieniędzy - burknął Cavil.

- Wykupują was - wyjaśnił kaznodzieja.

- Plantacja nie jest na sprzedaż.

Szeryf pokręcił głową.

- Nie rozumiecie, Cavilu. To, co się wydarzyło, było złe. Ale pozwolić, żeby inni widzieli waszą żonę...

- Tylko wam ją pokazałem.

- Nie jesteście dżentelmenem, Cavilu.

- Jest też sprawa niewolniczych dzieci - dodał kaznodzieja. - Mają zadziwiająco jasną skórę, a przecież wasi reproduktorzy są wszyscy czarni jak noc.

- To Bóg sprawia cuda. Bóg rozjaśnia czarną rasę.

Szeryf podsunął Cavilowi dokument.

- To jest dowód przekazania praw do waszej własności: niewolników, budynków, ziemi... Trafią pod zarząd towarzystwa złożonego z waszych byłych sąsiadów.

Cavil przeczytał.

- Stoi tu napisane: wszyscy niewolnicy na plantacji. Mam jeszcze prawo do zbiegłego chłopca na północy.

- To nas nie interesuje. Należy do was, jeśli zdołacie go odszukać. Zauważyliście, mam nadzieję, że jest tam również paragraf mówiący o tym, że do końca swego naturalnego życia nie powrócicie do tego ani żadnego z sąsiednich okręgów.

- Widziałem.

- I zapewniam was, że jeśli złamiecie tę umowę, będzie to naprawdę koniec waszego naturalnego żywota. Nawet taki uczciwy, ciężko pracujący szeryf, jak ja, nie zdoła was ochronić przed tym, co się stanie.

- Obiecaliście, że nie będzie żadnych gróźb - mruknął ksiądz.

- Cavil musi wiedzieć, co go czeka.

- Nie wrócę - oświadczył Cavil.

- Módl się, żeby Bóg ci wybaczył - dodał kaznodzieja.

- Tak uczynię.

Cavil podpisał dokument.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Tej samej nocy wyjechał konno. W kieszeni miał czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a juczny koń wiózł zmianę ubrania i prowiant na tydzień. Nikt go nie żegnał. Niewolnicy w swoich chatach śpiewali radosne pieśni. Koń zanieczyścił wylot alejki. A Cavil myślał tylko o jednym: Nadzorca mnie nienawidzi, inaczej to by się nie stało. Tylko w jeden sposób mogę odzyskać jego miłość. Muszę znaleźć tego Alvina, zabić go i odebrać swojego chłopca, ostatniego niewolnika, który jeszcze jest moją własnością.

Czy wtedy, Nadzorco, wybaczysz mi i uleczysz te straszne rany, jakie zadał Twój bat mojej duszy?

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

ROZDZIAŁ 21 - ALVIN CZELADNIK

Całe lato Alvin mieszkał w domu w Vigor Kościele i na nowo poznawał rodzinę. Zmienili się, i to bardziej niż trochę: Cally był już mężczyzną, Measure miał żonę i dzieci, bliźniaki Wastenot i Wantnot pożenili się z parą sióstr, Francuzek z Detroit, a mama i tato całkiem posiwieli i poruszali się wolniej. Nie wszystko uległo zmianie - w rodzinie panowała dawna wzajemna życzliwość. A mrok, który ogarnął Vigor Kościół po masakrze nad Chybotliwym Kanoe, może nie zniknął, ale przemienił się w rodzaj cienia, który padał na wszystko. Prawem kontrastu jasne chwile życia wydawały się przez to jeszcze jaśniejsze.

Od razu polubili Arthura Stuarta. Był tak młody, że mógł wysłuchać wszystkich mężczyzn w miasteczku, gdy po kolei opowiadali mu historię Chybotliwego Kanoe. Zareagował jedynie tak, że opowiedział im własną historię, będącą właściwie mieszaniną dziejów jego prawdziwej matki, historii Alvina i opowieści o tym, jak złapali go odszukiwacze i jak jego biała mama zabiła jednego z nich, zanim sama zginęła.

Alvin nie poprawiał wersji Arthura Stuarta. Trochę dlatego, że nie chciał wytykać mu błędów, skoro chłopak tak lubił o tym opowiadać. Trochę z żalu, gdyż zdał sobie sprawę, że Arthur Stuart już nigdy nie przemówi głosem innym niż własny. Ludzie się nie dowiedzą, jak to jest, kiedy się słyszy Arthura Stuarta naśladującego ich akuratnie. Mimo to lubili go słuchać, ponieważ nadal pamiętał, co mówią, wszystko, co do słowa. Dlaczego Alvin miałby podawać w wątpliwość to, co pozostało jeszcze z jego daru?

Alvin wiedział również, że czego nie opowie, tego nikt nie powtórzy. Istniał, na przykład, pewien owinięty workiem pakunek, którego nikt jeszcze nie widział rozwiniętego. Nic dobrego nie przyniosłaby plotka, że w Vigor Kościele widziano pewien złoty przedmiot. W miasteczku, od czasu masakry nad Chybotliwym Kanoe odwiedzanym tylko przez nielicznych, zjawiłoby się nagle więcej gości. A wszyscy z najgorszego gatunku, poszukujący złota i nie dbający o to, kogo mogą skrzywdzić po drodze. Dlatego nawet żywej duszy nie powiedział o złotym pługu. Jedyną zaś osobą, która wiedziała, że ukrywa jakiś sekret, była jego małomówna siostra Eleanor.

Alvin wybrał się do sklepu, który ona i Armor-of-God prowadzili przy miejskim rynku od dnia, kiedy w ogóle powstał miejski rynek. Kiedyś, jeszcze w czasach, gdy puszcza porastała ziemię od Mizzipy po Dekane, było to miejsce, gdzie goście, Czerwoni i Biali, przybywali po mapy i wieści. Teraz nadal klientów było sporo, ale wszyscy miejscowi. Przychodzili po zakupy i plotki, po wieści ze świata poza miastem. Jako że Armor-of-God był

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

w Vigor Kościele jedynym dorosłym mężczyzną, którego nie dotknęła klątwa Tenska-Tawy, on jeden mógł podróżować daleko, kupować towar i słuchać, co się dzieje w świecie. Tak się złożyło, że tego dnia Armor-of-God wyjechał po szkło i cienką porcelanę do miasta Mishy-Wacka. Alvin zastał więc tylko Eleanor i jej najstarszego syna, Hektora.

Przez te lata trochę się tu zmieniło. Eleanor, która potrafiła kreślić heksy prawie tak dobrze jak Alvin, nie musiała już ich ukrywać wśród odpowiednio ułożonych koszy z kwiatami czy w ziołach wiszących w kuchni. Niektóre były teraz całkiem na widoku, co znaczyło, że są też czystsze i mocniejsze. Armor-of-God musiał trochę złagodnieć w swej nienawiści do darów i ukrytych sił. To dobrze; dawniej aż przykro było patrzeć, jak Eleanor udaje, że jest kimś innym niż jest, albo że nie wie tego, co wie.

- Przyniosłem coś - poinformował ją Alvin.

- Widzę - odparła Eleanor. - Zapakowane w worek i nieruchome jak kamień. Mimo to wydaje mi się, że masz tam coś żywego.

- Nie myśl o tym. Tego, co przyniosłem, nie powinien oglądać nikt oprócz mnie.

Eleanor nie zadawała zbędnych pytań. Zrozumiała od razu, po co przyniósł do niej ten pakunek. Poleciła Hektorowi, żeby obsłużył klientów, gdyby jacyś się zjawili, a potem zaprowadziła Alvina do nowego magazynu. Trzymali tam z dziesięć odmian fasoli w beczkach, sól w baryłkach, cukier w papierowych rożkach, mieloną sól w wodoszczelnych słojach i przyprawy w różnych naczyniach. Podeszła prosto do najpełniejszej z beczek - z fasolą w zielone cętki, jakiej Alvin jeszcze nie widział.

- Niewielu kupuje taką fasolę - stwierdziła. - Myślę, że nigdy nie zobaczymy dna tej beczki.

Alvin położył zawinięty lemiesz na ziarnach. A potem kazał im się rozsunąć, spłynąć wokół pługu gładko jak syrop. Pakunek opadł na samo dno. Alvin nie prosił nawet, żeby Eleanor się odwróciła. Zawsze wiedziała, że brat ma moc, by dokonać czegoś takiego.

- Cokolwiek tam żyje - spytała - nie umrze chyba, nie zacznie wysychać na dnie beczki?

- Nigdy nie umrze - odparł Alvin. - A przynajmniej nie tak, jak starzeją się i umierają ludzie.

Eleanor poddała się ciekawości na tyle tylko, by poprosić:

- Obiecaj mi, że gdyby ktokolwiek miał się dowiedzieć, co tam schowałeś, i ja się dowiem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Alvin kiwnął głową. Tej obietnicy mógł dotrzymać. Wtedy nie wiedział jeszcze, czy komukolwiek pokaże swój pług. Jeśli jednak ktoś potrafił dotrzymać tajemnicy, to z pewnością Eleanor.

I tak mieszkał w Vigor Kościele i sypiał w swojej starej sypialni w domu rodziców. Minęło wiele tygodni, zbliżał się lipiec, a przez cały czas niewiele opowiadał o czasach swojego terminowania. Prawdę mówiąc, opowiadał tylko tyle, ile musiał. Bywał tu i tam, z ojcem i matką odwiedzał sąsiadów, a przy okazji leczył bolące zęby, złamane kości, ropiejące rany i choroby. Pomagał w młynie, wynajmował się do pomocy farmerom, zbudował niewielkie palenisko i dokonywał najprostszych napraw, jakich może dokonać kowal bez odpowiedniego kowadła. I przez cały czas odzywał się tylko wtedy, kiedy ktoś do niego zagadał. Mówił tyle, ile trzeba, żeby załatwić sprawę albo poprosić o jedzenie przy stole.

Nie był ponury - śmiał się z żartów, nawet sam kilka opowiedział. I nie był odludkiem - sporo czasu spędzał popołudniami na rynku, udowadniając najsilniejszym farmerom z Vigor Kościoła, że w zapasach nie mogą się równać z kowalem. Tyle że nie plotkował i nie rozmawiał o głupstwach, a także nigdy nie opowiadał o sobie. I jeśli ktoś nie podtrzymywał rozmowy, Alvin pozwalał, by zapadało milczenie. Pracował wtedy albo wpatrywał się w przestrzeń, jakby nawet nie pamiętał, że ma towarzystwo.

Niektórzy zauważyli, jak mało mówi. Ale długo go nie było, a trudno się spodziewać, żeby dziewiętnastolatek zachowywał się tak samo jak jedenastolatek. Pomyśleli tylko, że wyrósł na małomównego mężczyznę.

Niektórzy czegoś się domyślali. Matka i ojciec Alvina nieraz rozmawiali o tym między sobą.

- Chłopcu musiało przydarzyć się coś złego - twierdziła matka.

Ojciec tłumaczył to inaczej.

- Myślę, że spotkał dobro i zło zmieszane razem. Jak większość ludzi. Po prostu nie zna nas jeszcze dość dobrze. Nie było go przecież siedem lat. Niech się przyzwyczai, że jest w tym mieście mężczyzną, nie chłopcem. Już wkrótce zacznie gadać jak najęty.

Eleanor także spostrzegła, że Alvin jest małomówny. Ale ponieważ wiedziała także o niezwykłym sekrecie ukrytym w beczce z fasolą, ani przez chwilę nie myślała, że coś z nim jest nie w porządku. Kiedy jej mąż, Armor-of-God, zauważył, że Alvin do nikogo chyba nie powiedział pięciu słów naraz, odpowiedziała:

- Rozważa rzeczy głębokie. Rozwiązuje problemy, których nikt z nas nie rozumie dostatecznie, by mu pomóc. Zobaczysz: zacznie mówić więcej, kiedy już to wszystko sobie przemyśli.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

Był jeszcze Measure, brat Alvina, wraz z nim schwytany kiedyś przez Czerwonych. Brat, który prawie tak dobrze jak Alvin poznał Ta-Kumsawa i Tenska-Tawę. Oczywiście, Measure także widział, jak mało Alvin opowiada o latach swojej nauki. W odpowiednim czasie Alvin z pewnością mu się zwierzy - to naturalne. Przecież zawsze ufał Measure'owi i wiele wspólnie przeszli. Ale z początku Alvin czuł się skrępowany, ponieważ Measure miał żonę, Delphi. Każdy dureń by zauważył, jak trudno im odejść od siebie dalej niż na trzy stopy, jak łagodnie i delikatnie się do siebie odnoszą, jak Measure wciąż się na nią ogląda, mówi do niej, kiedy są blisko. Skąd Alvin miał wiedzieć, czy w sercu brata zostało jeszcze miejsce dla niego? Nie, nawet Measure'owi nie mógł o sobie opowiedzieć, w każdym razie nie od razu.

Pewnego dnia, w środku lata, Alvin ze swoim bratem Callym budował w polu ogrodzenie. Cally był już wysoki jak sam Alvin, choć nie tak szeroki w barach. Obaj mieli przez tydzień pracować na farmie u Martina Hilla.

Alvin rozszczepiał drewno na drążki. Prawie nie korzystał ze swego daru, choć właściwie mógł zwyczajnie poprosić belki, żeby same pękały. Ale nie: ustawiał klin i uderzał młotem. Pilnował tylko, żeby belki nie pękały ukośnie, ale wzdłuż.

Ogrodzili już ze ćwierć mili, gdy Alvin zdał sobie sprawę, że Cally nie zostaje w tyle. Przygotowywał drągi, a Cally układał je na wbitych w ziemię palikach. I wcale nie potrzebował pomocy, nawet kiedy wbijał paliki w grunt za twardy, za miękki, kamienisty czy w błoto.

Alvin przyjrzał się bratu... a raczej użył swego daru, żeby mu się przyjrzeć. I rzeczywiście odkrył, że Cally częściowo posiadł jego talent. Był jak sam Alvin dawno temu, kiedy jeszcze nie wiedział, jak z niego korzystać. Cally znajdował odpowiednie miejsce na wbicie palika, potem rozmiękczał ziemię, a wreszcie ją utwardzał. Alvin pomyślał, że Cally nie robi tego świadomie. Pewnie mu się wydaje, że trafia na miejsca w naturalny sposób najlepsze do wbicia palików.

Znalazłem, pomyślał Alvin. Oto co muszę zrobić: nauczyć jeszcze kogoś, żeby został Stwórcą. A jeżeli mam kogoś uczyć, to właśnie Cally'ego, który otrzymał ten sam dar. Jest w końcu siódmym synem siódmego syna, tak samo jak ja, bo Vigor żył jeszcze, kiedy się urodziłem, ale od dawna był martwy, gdy przyszedł na świat Cally.

Nie przerywając pracy, Alvin zaczął mówić. Opowiadał Cally'emu o atomach: jak można im pokazać, czym być powinny, a one tym się stają. Tłumaczył to po raz pierwszy od rozmowy z panną Larner... z Margaret... i słowa cudownie smakowały w ustach. Do takiej

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

pracy się urodziłem, myślał. Żeby tłumaczyć bratu, jak funkcjonuje świat. A on potrafi kiedyś nad tym światem zapanować.

Zdumiał się, kiedy Cally nagle uniósł palik nad głową i cisnął mu go pod nogi. Rzucił z taką siłą - albo może użył swojego daru - że palik rozpadł się w drzazgi. Alvin nie domyślał się dlaczego, ale widział, że Cally jest wściekły.

- Co takiego powiedziałem, Cally? - zapytał.

- Mam na imię Cal - odparł Cally. - Nie jestem Callym, odkąd skończyłem dziesięć lat.

- Nie wiedziałem. Przepraszam. Od tej chwili jesteś dla mnie Calem.

- Jestem dla ciebie niczym. Chciałbym, żebyś stąd odszedł.

Dopiero wtedy Alvin uświadomił sobie, że Cal nie zapraszał go do wspólnej pracy. To Martin Hill prosił, żeby przyszedł. Do tej pory Cal sam wykonywał takie zlecenia.

- Nie chciałem odbierać ci roboty - zapewnił. - Po prostu nie przyszło mi do głowy, że nie życzysz sobie pomocy. Ja miałem ochotę popracować w twoim towarzystwie.

Miał wrażenie, że cokolwiek powie, rozzłości Cala jeszcze bardziej. Brat poczerwieniał i zacisnął pięści tak mocno, że mógłby udusić węża.

- Miałem tu swoje miejsce - powiedział. - A teraz ty wróciłeś. Uczony w szkołach, powtarzający wszystkie trudne słowa. I uzdrawiasz ludzi, choć nawet ich nie dotykasz. Wchodzisz tylko do domu, mówisz zaklęcie, a kiedy wyjdziesz, są wyleczeni ze wszystkich chorób.

Alvin nie zdawał sobie sprawy, że ludzie cokolwiek zauważają. Nikt nie mówił na ten temat ani słowa, sądził więc, że swoje wyzdrowienia uznają za naturalne.

- Nie rozumiem, czemu cię to złości, Cal. To przecież dobry uczynek pomagać ludziom.

I nagle łzy popłynęły po policzkach Cala.

- Nawet kiedy ich dotykam, nie zawsze mogę wszystko naprawić - poskarżył się. - A teraz nikt już mnie nawet nie prosi.

Alvinowi nie przyszło do głowy, że Cal także zajmował się uzdrawianiem. Ale to przecież logiczne. Po wyjeździe Alvina Cal zajął jego miejsce w Vigor Kościele. Miał podobny dar, więc radził sobie całkiem dobrze. Zaczął robić to, czego nie robił Alvin jako dziecko, na przykład leczył ludzi - najlepiej jak potrafił. A teraz Alvin wrócił i nie tylko objął dawne funkcje, ale w dodatku górował nad nim w sprawach, których Cal dotąd tylko próbował. I co teraz począć?

- Przykro mi - zapewnił Alvin. - Ale mogę cię uczyć. Właśnie zacząłem.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Nigdy nie widziałem tych kawałeczków i o czym tam jeszcze gadałeś. Niczego nie pojąłem. Może nie mam takiego talentu jak ty, a może jestem za tępy, rozumiesz? Mogę robić tylko to, co sam wymyślę. I nie musisz mi dowodzić, że jestem gorszy. Martin Hill wziął cię do tej pracy, bo wie, że zbudujesz lepsze ogrodzenie. I proszę, nawet nie korzystasz ze swojego daru, żeby przygotowywać te drągi. Bo chcesz pokazać, że nawet bez niego potrafisz mi dorównać.

- Wcale nie dlatego! - zaprotestował Alvin. - Zwyczajnie nie wykorzystuję swojego daru przy...

- Przy ludziach tak głupich jak ja.

- Nie najlepiej ci to tłumaczyłem - zgodził się Alvin. - Ale jeśli mi pozwolisz, Cal, nauczę cię, jak zmienić żelazo w...

- W złoto - dokończył Cal pogardliwie. - Za kogo mnie bierzesz? Chcesz mnie nabrać na tę bajkę alchemika? Gdybyś to potrafił, nie wróciłbyś biedny. Wiesz, kiedyś uważałem cię za najważniejszego na świecie. Myślałem, że jak już Al wróci do domu, wszystko będzie tak jak dawniej. Będziemy razem się bawić i pracować, rozmawiać bez przerwy, będę ci pomagał, wszystko będziemy robili wspólnie. Ale wyszło na to, że ciągle uważasz mnie za małego chłopca i w ogóle się do mnie nie odzywasz. Najwyżej "trzymaj drąg" albo "mógłbyś mi podać fasolę". Przejąłeś wszystkie prace, które kiedyś ludzie powierzali mnie, nawet takie proste, jak postawienie solidnego ogrodzenia.

- Robota jest twoja. - Alvin zarzucił młot na ramię. Nawet gdyby Cal mógł się czegoś nauczyć, to na pewno nie od niego. - Nie będę ci więcej zabierał czasu.

- Zabierał mi czasu! - powtórzył Cal. - Nauczyłeś się tak mówić z książki, czy od tej paskudnej starej nauczycielki z Hatrack River, o której wiecznie opowiada ten twój paskudny mały mieszaniec?

Słysząc, że brat z takim lekceważeniem wypowiada się o pannie Larner i Arthurze Stuarcie, Alvin aż zawrzał ze złości. Zwłaszcza że zdań w rodzaju "nie będę ci dłużej zabierał czasu" rzeczywiście nauczył się od panny Larner. Ale nie powiedział i nie zrobił nic, co mogłoby zdradzić jego gniew. Odwrócił się tylko i pomaszerował wzdłuż gotowego ogrodzenia. Niech Cal skorzysta ze swojego daru i sam je skończy. Alvin nie odebrał nawet zapłaty za prawie cały dzień pracy. Co innego zaprzątało mu głowę. Trochę wspominał pannę Larner, ale przede wszystkim złościł się, że Cal nie chciał mu pozwolić, by go uczył. Był może jedyną osobą na świecie, która mogła opanować wszystko tak łatwo, jak niemowlę sztukę ssania, bo przecież miał wrodzony dar... Ale nie chciał się uczyć, w każdym razie nie

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

od Alvina. Alvin nigdy nie podejrzewał, że można odrzucić możliwość nauki tylko dlatego, że się nie lubi nauczyciela.

Chociaż, kiedy się nad tym zastanowić, on sam także nie znosił lekcji z wielebnym Throwerem. Thrower zawsze sprawiał, że czuł się jakoś zły, głupi albo coś w tym rodzaju. Czy to możliwe, że Cal nienawidzi Alvina tak samo jak Alvin nienawidził pastora? Nie mógł zrozumieć, dlaczego Cal tak się złości. Ze wszystkich ludzi na świecie miał przecież najmniej powodów, bo najbardziej zbliżył się do Alvina. Ale właśnie z tej przyczyny Cal był zazdrosny i nigdy nie nauczy się niczego, do czego sam krok po kroku nie dojdzie.

W tym tempie nigdy nie zbuduję Kryształowego Miasta, bo nie zdołam nikogo nauczyć Tworzenia.

Dopiero po kilku tygodniach Alvin znowu spróbował z kimś o tym porozmawiać. Była niedziela i razem z Arthurem Stuartem przyszli na obiad do domu Measure'a. Dzień był gorący, więc Delphi podała zimne dania: chleb i ser, soloną szynkę i wędzonego indyka. Wyszli wszyscy z domu i usiedli w cieniu kuchennej werandy na północnej ścianie domu.

- Alvinie, zaprosiłem cię z Arthurem Stuartem nie bez powodu - zaczął Measure. - Delphi i ja omówiliśmy już to między sobą. Powiedzieliśmy też mamie i ojcu.

- To musi być coś strasznego, skoro wymagało tylu rozmów.

- Raczej nie. Chodzi o to... Widzisz, Arthur Stuart to miły chłopak, pracowity, a w dodatku niezły kompan.

Arthur Stuart wyszczerzył zęby.

- I jeszcze mocno sypiam - dodał.

- I śpioch - zgodził się Measure. - Ale mama i tato nie są już młodzi. Mama jest przyzwyczajona do rządzenia kuchnią po swojemu.

- To prawda - westchnęła Delphi.

Miała wiele okazji, by się przekonać, że Faith Miller lubi stawiać na swoim.

- A ojciec szybko się męczy. Kiedy wraca z młyna, musi się położyć. Potrzebuje spokoju i ciszy.

Alvin miał wrażenie, że wie, dokąd zmierza ta rozmowa. Może jego rodzina nie należała do tej samej klasy co Peg Guester czy Gertie Smith. Może nie potrafią przyjąć mieszańca do swego domu i serca. Posmutniał, ale wiedział, że nie będzie ich przekonywać. Razem z Arthurem Stuartem spakują rzeczy i ruszą w drogę bez konkretnego celu. Może do Kanady... Gdzieś, gdzie serdecznie powitają mieszańca.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Naturalnie, oni nic takiego nie mówili - zastrzegł się Measure. - To ja im powiedziałem. Widzisz, mamy z Delphi dom trochę większy niż nam potrzeba. A przy trójce maluchów Delphi przyda się taki chłopak jak Arthur Stuart. Pomoże w kuchni i w ogóle.

- Umiem sam upiec chleb - pochwalił się Arthur Stuart. - Znam na pamięć przepis mamy. Ona nie żyje.

- No widzisz - ucieszyła się Delphi. - Gdyby czasem upiekł chleb albo chociaż pomógł mi przy cieście, w końcu tygodnia nie byłabym taka zmęczona.

- A już niedługo Arthur Stuart mógłby mi pomagać w polu - dodał Measure.

- Ale nie myśl, że chcemy go wynająć na służbę - zaznaczyła Delphi.

- Nie, nie! Myślimy o nim jak o jeszcze jednym synu, tylko większym niż mój najstarszy, Jeremiasz. On ma dopiero trzy i pół roku i jako istota ludzka jest właściwie bezużyteczny. Tyle że przynajmniej nie próbuje bez przerwy rzucać się do strumienia i tonąć, jak jego siostra Shiprah... albo ty, kiedy byłeś mały, jeśli wolno przypomnieć.

Arthur Stuart roześmiał się głośno.

- Mnie też kiedyś Alvin chciał utopić - oświadczył. - Wsadził mnie do Hio.

Alvin zawstydził się - z powodu wielu rzeczy. Że nie opowiedział Measure'owi, jak ocalił Arthura Stuarta przed odszukiwaczami. I że nawet przez chwilę sądził, że mama, tato i Measure chcą się pozbyć chłopca, kiedy w istocie spierali się, kto go weźmie do siebie.

- To Arthur Stuart zdecyduje, czy zechce się do was przenieść - stwierdził. - Przybył tu ze mną, ale nie dokonam za niego wyboru.

- Naprawdę mogę tu mieszkać? - upewnił się Arthur Stuart. - Cal nie bardzo mnie lubi.

- Cal ma własne kłopoty - odparł Measure. - Ale lubi cię, na pewno.

- Dlaczego Al nie przywiózł do domu czegoś pożytecznego, na przykład konia? - powiedział Arthur Stuart. - Ty jesz jak koń, a założę się, że nie pociągniesz nawet dwukółki.

Measure i Delphi wybuchnęli śmiechem. Wiedzieli, że Arthur Stuart słowo w słowo powtarza wypowiedź Cala. Robił to często i ludzie podziwiali jego absolutną pamięć. Ale Alvin posmutniał. Wiedział, że ledwie kilka miesięcy temu chłopiec przemówiłby głosem Cala i nawet mama musiałaby spojrzeć, żeby rozpoznać, kto się odezwał.

- Czy Alvin też będzie tu mieszkał? - zapytał Arthur Stuart.

- Tak właśnie myśleliśmy. Dlaczego się do nas nie przeprowadzisz, Alvinie? Na razie mógłbyś spać w dużym pokoju. A kiedy skończymy letnie prace, wzięlibyśmy się za starą chatę. Wciąż jest w dobrym stanie, przecież wyprowadziliśmy się z niej dopiero dwa lata

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

temu. Wtedy mógłbyś być samodzielny. Jesteś chyba za duży, żeby sypiać w domu taty i jadać przy maminym stole.

Alvin nigdy by się tego nie spodziewał: nagle miał oczy pełne łez. Może z czystej radości, bo ktoś zauważył, że nie jest już tym samym dawnym Alvinem Millerem Juniorem. A może dlatego, że Measure troszczył się o niego jak dawniej. W każdym razie dopiero w tej chwili naprawdę poczuł, że wrócił do domu.

- Pewnie, przeprowadzę się, jeśli mnie przyjmiecie - powiedział.

- Nie musisz płakać z tego powodu - zauważyła Delphi. - Mam już trójkę dzieciaków, które płaczą, kiedy tylko sobie o tym przypomną. Nie chcę wycierać ci oczu i nosa, jak małej Keturah.

- Przynajmniej nie nosi pieluch - mruknął Measure.

On i Delphi zaśmiali się tak głośno, jakby w życiu nie słyszeli lepszego żartu. Ale naprawdę śmiali się, bo Alvin tak się rozczulił.

Więc Alvin z Arthurem Stuartem przeprowadzili się, a Alvin na nowo poznał swego ukochanego brata. Wszystko to, co podziwiał w nim dawniej, dostrzegał nadal u dorosłego Measure'a. Pojawiło się też kilka nowych cech. Łagodność, jaką okazywał dzieciom, nawet kiedy musiał sprawić im lanie albo upomnieć surowo. To, jak doglądał swojej ziemi i obejścia, dostrzegał wszystko, co należało zrobić, a potem to robił, tak że nigdy drzwi nie skrzypiały przez dwa dni z rzędu, nigdy żadne zwierzę nie chodziło głodne od rana do wieczora.

A przede wszystkim Alvin widział, jak Measure postępuje z Delphi. Nie była dziewczyną wyjątkowej urody, ale też nie była szczególnie brzydka. Mocno zbudowana i silna, śmiała się głośno jak osioł. Jednak Measure wodził za nią oczami, jakby była najpiękniejsza na świecie. Podnosiła głowę, a on przyglądał jej się z rozmarzonym uśmiechem. Wtedy uśmiechała się także, czerwieniła albo odwracała głowę i przez chwilkę poruszała się z większą gracją, jakby tańczyła albo próbowała pofrunąć. Alvin zastanawiał się wtedy, czy on sam potrafiłby patrzeć na pannę Larner tak, żeby z radości chciała wzlecieć w powietrze.

Czasami leżał bezsennie wśród nocy, wyczuwając subtelne drżenia domu. Wiedział, skąd dochodzi to ciche trzeszczenie. W takich chwilach wspominał twarz kobiety imieniem Margaret, która przez tyle miesięcy ukrywała się w pannie Larner. Wyobrażał sobie tę twarz tuż przy swojej, rozchylone wargi i ciche krzyki rozkoszy, jak te, które wydawała Delphi. A potem znów widział jej twarz wykrzywioną bólem i żalem. W takich chwilach serce go bolało

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

i pragnął wrócić do niej, wziąć ją w ramiona i zabrać gdzieś, gdzie mógłby ją uleczyć, wziąć na siebie cierpienie.

A ponieważ Alvin zamieszkał w domu Measure'a, przestał się pilnować i jego twarz zaczęła zdradzać szarpiące nim uczucia. Zdarzyło się więc, że kiedy Measure i Delphi wymienili takie spojrzenia, jakimi zwykle się nawzajem obrzucali, Measure przypadkiem zerknął na Alvina. Delphi tymczasem wyszła już z pokoju, a dzieci dawno leżały w łóżkach, Measure mógł zatem swobodnie wyciągnąć rękę i położyć bratu dłoń na kolanie.

- Kim ona jest? - zapytał.

- Kto? - zmieszał się Alvin.

- Ta, którą tak kochasz, że samo wspomnienie dech ci odbiera. Alvin wahał się przez chwilę, raczej z przyzwyczajenia. Ale w końcu otworzyło się ujście i zwierzył się bratu ze wszystkiego. Zaczął od panny Larner i od tego, że naprawdę była nią Margaret, ta sama dziewczyna-żagiew, o której opowiadał Bajarz i która z daleka czuwała nad Alvinem. Ale historia o miłości prowadziła do opowieści o tym, czego Margaret go nauczyła. Zanim Alvin skończył, zbliżał się świt. Delphi zasnęła, wsparta o ramię Measure'a - wróciła wcześniej do pokoju, ale nie wytrzymała długo. To dobrze, bo przecież troje dzieci i Arthur Stuart zażądają śniadania, niezależnie od tego, jak późno poszła spać. Za to Measure słuchał uważnie. Oczy błyszczały mu, gdy Alvin mówił o pieśni Drozda, o żywym pługu ze złota, o sobie w ogniu paleniska kuźni i Arthurze Stuarcie w wodach Hio. A za tym błyskiem czaiła się głęboka pełna smutku zaduma nad zabójstwem, które popełnił Alvin, choćby i było zasłużone, nad śmiercią Peg Guester, a nawet nad śmiercią pewnej zbiegłej niewolnicy całe życie Arthura Stuarta temu.

- Muszę jakoś znaleźć ludzi, którym potrafię pokazać, jak być Stwórcami - mówił Alvin. - A nie wiem nawet, czy ktokolwiek bez mojego daru może się tego nauczyć, ani ile powinien się nauczyć, ani nawet czy w ogóle zechce się uczyć.

- Myślę - rzekł Measure - że przede wszystkim powinni kochać marzenie o twoim Kryształowym Mieście. I to zanim jeszcze zaczną się uczyć, jak pomagać przy jego budowie. Jeśli rozejdzie się plotka, że jest Stwórca, który chce uczyć Tworzenia, zbiegnie się wielu takich, co z twoją mocą chcieliby rządzić innymi. Ale Kryształowe Miasto... Pomyśl tylko, Alvinie! To jakby żyć wewnątrz tej trąby powietrznej, która przed laty pochwyciła ciebie i Proroka.

- Czy zechcesz się uczyć, Measure? - zapytał Alvin.

- Zrobię wszystko co można, żeby się nauczyć. Ale najpierw składam ci uczciwą obietnicę, że tego, co mi pokażesz, użyję tylko do budowy Kryształowego Miasta. A gdyby

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

się okazało, że w żaden sposób nie zostanę Stwórcą, i tak pomogę ci, jak potrafię. O cokolwiek mnie poprosisz, Alvinie, uczynię to: zabiorę rodzinę na kraniec świata, oddam wszystko, co posiadam, zginę, jeśli zajdzie potrzeba... Wszystko, by sprawdziła się wizja, którą pokazał ci Tenska-Tawa.

Alvin ujął go za ręce i trzymał długo. Potem Measure pochylił się i ucałował go jak brat brata, jak przyjaciel przyjaciela. Ten ruch zbudził Delphi. Nie słyszała wszystkiego, ale odgadła, że dzieje się coś ważnego. Uśmiechnęła się sennie, wstała i pozwoliła, żeby Measure odprowadził ją do łóżka na te ostatnie godziny nocy.

Tak rozpoczęła się dla Alvina prawdziwa praca. Przez całe lato Measure był jego uczniem i jego nauczycielem. Alvin uczył go Tworzenia, zaś Measure uczył ojcostwa, uczuć rodzinnych, męstwa. Tyle że Alvin nie całkiem zdawał sobie sprawę z tego, czego się uczy, natomiast Measure z ciężkim trudem zdobywał każde nowe zrozumienie, każdy strzęp sztuki Tworzenia. Rozumiał jednak coraz więcej, choć opanował zaledwie niewielką część wiedzy. Po wielu próbach i porażkach Alvin zaczął pojmować, w jaki sposób nauczać "widzenia" bez oczu i "dotyku" bez rąk.

Teraz, kiedy czasem leżał bezsennie, rzadziej tęsknił za przeszłością, raczej starał się wyobrazić sobie przyszłość. Gdzieś tam było miejsce, w którym wzniesie Kryształowe Miasto. I byli ludzie, których musi znaleźć, nauczyć ich kochać tę wizję i pokazać, jak zmienić ją w rzeczywistość. Gdzieś tam rozciąga się pole, które miał orać jego złoty pług. Gdzieś była kobieta, którą mógłby kochać i żyć u jej boku aż do śmierci.

Jesienią w Hatrack River odbyły się wybory. A że krążyły pogłoski o tym, kto jest prawdziwym bohaterem, a kto żmiją, Pauley Wiseman stracił pracę, zaś Po Doggly dostał nową. Mniej więcej w tym samym czasie Makepeace Smith zjawił się ze skargą, że ostatniej wiosny jego uczeń uciekł z pewnym przedmiotem, który należał do mistrza.

- Długo czekaliście, żeby wnieść tę skargę - zauważył szeryf Doggly.

- Groził mi - wyjaśnił Makepeace. - Bałem się o rodzinę.

- No, dobrze. Powiedzcie, co takiego wam ukradł.

- To był pług.

- Zwyczajny pług? Wielkie nieba, po co miałby kraść coś takiego? Makepeace Smith zniżył głos.

- Ten pług był ze złota - wyszeptał tajemniczo.

Po Doggly niemal boki zrywał ze śmiechu.

- To prawda - zapewniał go Makepeace. - Uwierzcie mi.

PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com
PDF-XChange
Click to buy NOW!
www.docu-track.com

- Coś podobnego... Chyba wam wierzę, przyjacielu. Ale jeżeli w waszej kuźni był złoty pług, stawiam dziesięć do jednego, że to był pług Ala, nie wasz.

- Wszystko, co wykona uczeń, należy do jego mistrza!

Po spoważniał nagle.

- Zacznijcie tylko rozpowiadać o tym w Hatrack River, Makepeasie Smith. A wtedy inni wam przypomną, jak to trzymaliście tego chłopaka, chociaż już dawno był lepszym kowalem od was. Na pewno rozejdzie się szeroko, żeście nie byli uczciwym mistrzem. Kiedy zaczniecie oskarżać Alvina o kradzież tego, co on jeden na całym świecie mógł zrobić, ludzie was tylko wyśmieją.

Może by wyśmiali, a może i nie. W każdym razie Makepeace Smłth nie próbował już żadnych sztuczek i nie starał się odebrać Alvinowi pługu, gdziekolwiek był. Ale opowiadał o nim każdemu, wciąż dodając więcej szczegółów: jak to Alvin zawsze go okradał, jak to złoto było rodzinnym dziedzictwem Makepeace'a Smitha, odlanym w kształt lemiesza i pomalowanym na czarno, jak Alvin z diabelską pomocą odkrył je i zabrał ze sobą. Gertie, póki żyła, karciła go za takie gadanie, ale zmarła niedługo po odejściu Alvina, pękła jej żyła, kiedy wrzeszczała na męża, że jest takim durniem. Od tego dnia Makepeace opowiadał tę historię po swojemu. Dodawał, że to Alvin zabił Gertie klątwą, od której pękła jej żyła w głowie, i nieszczęsna wykrwawiła się na śmierć. Było to straszliwe kłamstwo, ale zawsze znajdzie się dość ludzi, którzy lubią słuchać takich rzeczy. Opowieść dotarła do granic stanu Hio, a potem jeszcze dalej. Słyszał ją Pauley Wiseman. Słyszał wielebny Thrower. Słyszał Cavil Planter. I jeszcze wielu innych.

Dlatego właśnie, kiedy Alvin opuścił wreszcie Vigor Kościół, sporo ludzi pilnie uważało na obcych niosących pakunki rozmiarów lemiesza, wyglądało błysku złota pod workiem i oceniało przybyszów, czy nie są przypadkiem pewnym zbiegłym uczniem kowalskim, który okradł swojego mistrza. Niektórzy zamierzali nawet, gdyby tylko złoty pług wpadł im w ręce, odwieźć go do Hatrack River i oddać Makepeace'owi Smithowi. Za to innym taka myśl nie przeszła nawet przez głowę.

KONIEC TOMU TRZECIEGO